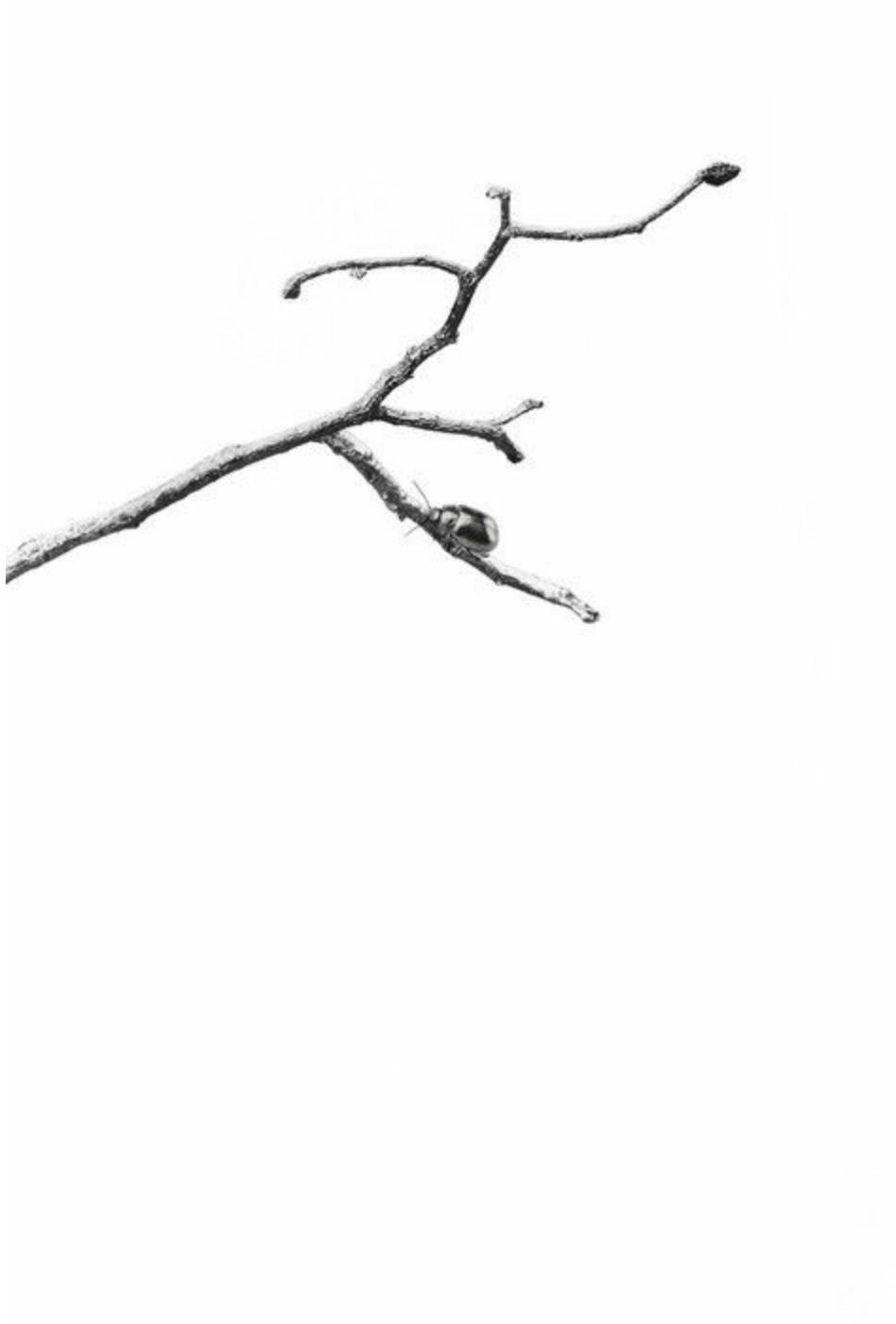


*Holly to prawdziwa
Królowa Elfów.
– Victoria Aveyard,
autorka serii
Czerwona Królowa*

OKRUTNY KSIĄŻĘ

AUTORKA #1 NA LISTACH BESTSELLERÓW NYT

HOLLY BLACK





OKRUTNY KSIĄŻĘ

Tłumaczenie: Stanisław Kroszczyński

HOLLY BLACK



Tytuł oryginału: *The Cruel Prince*

Copyright © Holly Black, 2018

All rights reserved.

Illustrations copyright © Kathleen Jennings, 2018

Jacket design by Karina Granda

Jacket art © 2018 by Sean Freeman

Jacket © 2018 Hachette Book Group, Inc.

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-742-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Mapa

Księga Pierwsza

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Księga Druga

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

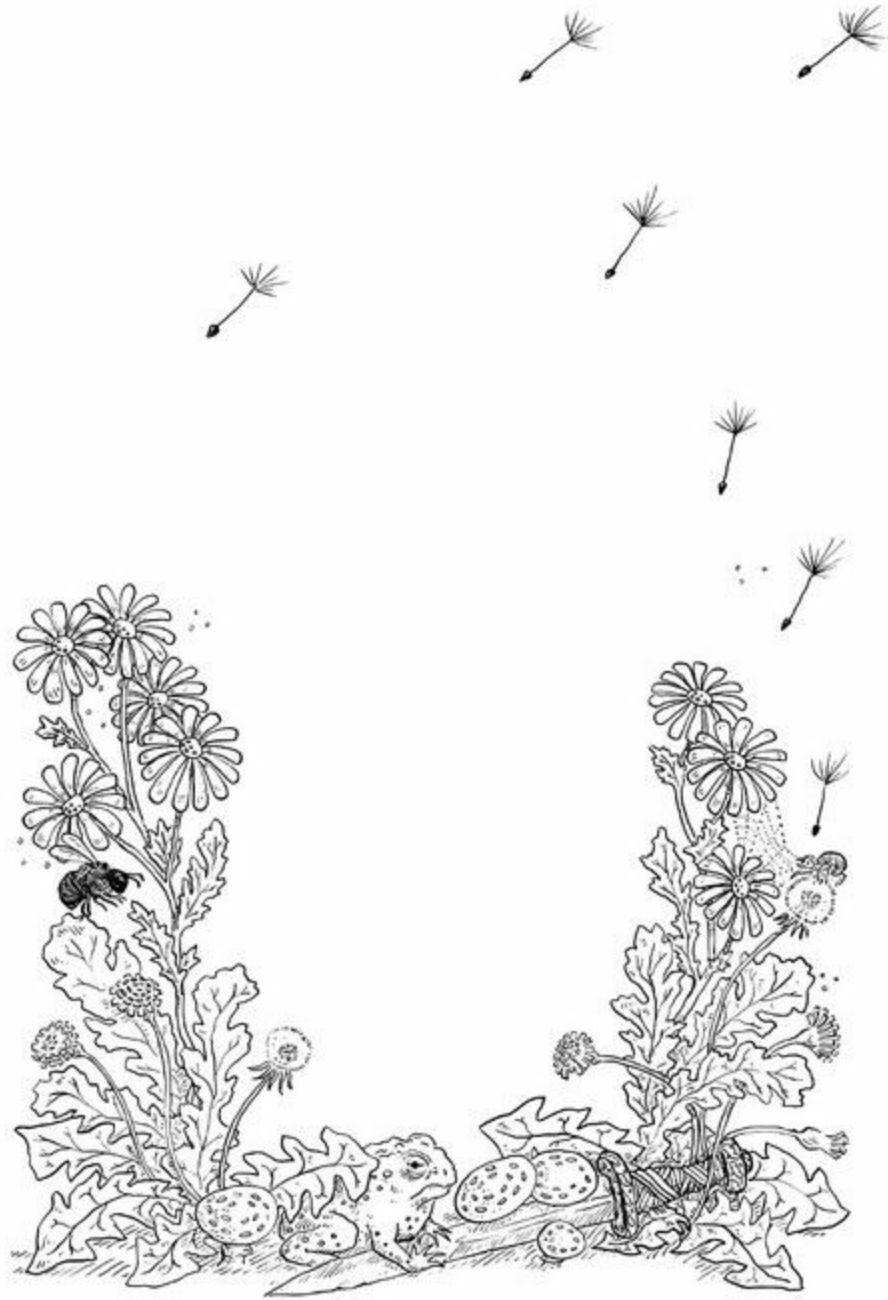
Rozdział 30

Epilog

Podziękowania

*Dla Cassandry Clare,
zwabionej w końcu do Krainy Elfów*





KSIEGA PIERWSZA

Dziecię elfowego rodu
Nie zna chłodu ani głodu;
Elfy szatki strojne mają,
Zawsze to, co chcą, dostają;
Kieszenie wciąż pełne złota,
Ślub – gdy przyjdzie im ochota.
I ty chciałbyś też, no powiedz,
Mieć kucyki, stado owiec?
Posiadają własne domy
(Kamień, cegła. Żadnej słomy!),
A żywią się jagódkami
I broją całymi dniami.
W głowach mają tylko psotę,
Miałbym elfem być ochotę!

Robert Graves,
Miałbym elfem być ochotę

PROLOG



Wsenne niedzielne popołudnie obcy mężczyzna w długim ciemnym płaszczu rozejrzał się po wysadzonej drzewami ulicy. Stał przed jednym z domów. Nie zaparkował nigdzie samochodu, nie przyjechał też taksówką. Żaden z sąsiadów nie widział, żeby szedł chodnikiem. Po prostu się pojawił, tak jakby wyszedł spomiędzy cieni.

Podszedł do drzwi i uniósł pięść, żeby zastukać.

Wewnątrz domu, w dużym pokoju, siedziała Jude zajadająca się ociekającymi keczupem, podgrzanymi uprzednio w mikrofalówce paluszkami rybnymi. Jej siostra bliźniaczka, Taryn, z kciukiem w ustach drzemała na wersalce, zwinięta w kłębek wokół koca. Buzię miała poplamioną ponczem owocowym. Siedząca w drugim końcu wersalki ich starsza siostra Vivienne gapiała się na ekran telewizora; jej dziwne, kocie źrenice podążały za myszką z animowanego filmu, która umykała przed animowanym kocurem. Vivienne zaśmiała się, kiedy myszka już, już miała zostać pożarta.

Vivi była inna od innych starszych sióstr, ale ponieważ siedmioletnie Jude i Taryn były identyczne, miały takie same zmierzwione brązowe włosy oraz

twarczyczki w kształcie serca, to i one różniły się od pozostałych dzieci. Oczywiście Vivi oraz porośnięte delikatnym puszkciem czubki jej uszu nie dziwiły Jude bardziej niż fakt, że sama jest lustrzanym odbiciem drugiej osoby.

Czasami zwracała uwagę na to, że dzieciaki trzymają się z daleka od Vivi, i słyszała, jak ich rodzice mówią o niej przyciszonymi, zatroskanymi głosami, ale Jude nie sądziła, by miało to jakieś istotne znaczenie. Wiadomo, dorośli zawsze czymś się przejmują i bezustannie mówią półgłosem.

Taryn ziewnęła i wyciągnęła się jak długa, położyła głowę na kolanach Vivi.

Na zewnątrz świeciło słońce, które rozpalało asfalt. Kosiarki do trawy wyły w najlepsze, dzieci pluskały się w ogrodowych basenach. Tatuś był w przybudówce, gdzie miał kuźnię. Mama była w kuchni i smażyła kotlety. Było nudno. Było dobrze.

Rozległo się stukanie i Jude pobiegła, żeby otworzyć. Miała nadzieję, że to któraś z dziewczyn mieszkających na tej samej ulicy, która chciałaby w coś pograć albo zaprosić ją na po kolacji, żeby popływać.

Za drzwiami stał wysoki mężczyzna. Spoglądał na nią z góry. Pomimo upału miał na sobie pelerynę z brązowej skóry, a srebrzyste okucia butów zabrzęczały, gdy przestąpił przez próg. Jude spojrzała w jego mroczną twarz i zadrżała.

– Mamo! – zawołała. – Maaaamo! Ktoś przyszedł.

Matka wyszła z kuchni, ocierając mokre ręce o dzinsy. Na widok mężczyzny pobladła.

– Idź do swojego pokoju – nakazała Jude surowym głosem. – Natychmiast!

– Czyje to dziecko? – spytał mężczyzna, wskazując ją palcem. Mówił z dziwnym akcentem. – Twoje? Jego?

– Niczyje. – Mama nawet nie spojrzała w stronę Jude. – To niczyje dziecko.

Nieprawda. Jude i Taryn były niesamowicie podobne do taty. Wszyscy to mówili. Postąpiła kilka kroków w stronę schodów, ale nie chciała być sama w pokoju. Vivi – pomyślała. – Vivi będzie wiedzieć, kim jest ten wysoki facet. Vivi będzie wiedziała, co robić.

Jednak Jude nie mogła się zdecydować, żeby postąpić choćby krok dalej.

– Widziałem wiele rzeczy niemożliwych – odezwał się mężczyzna. – Widziałem żołądz bez dębu. Widziałem iskrę bez ognia. Jednak czegoś

takiego jeszcze nie widziałem: martwej kobiety, która żyje. Dziecka, które przyszło na świat znikąd.

Mama nie wiedziała, co powiedzieć. Była strasznie spięta, to było widać. Jude chciała wziąć ją za rękę i uścisnąć, ale nie miała odwagi.

– Nie wierzyłem, kiedy Balekin mi powiedział, że cię tu znajdę – mówił mężczyzna łagodniejszym tonem. – Zwęglone kości kobiety ziemskiego rodu oraz jej nienarodzonego dziecięcia w zgliszczach mojego domu wyglądały przekonująco. Czy wiesz, jak to jest, wrócić po bitwie i znaleźć zwłoki swojej żony, a wraz z nią trupa jedyne go potomka? Przekonać się, że całe życie obróciło się w popiół?

Mama potrząsnęła głową, ale nie odpowiadając na jego słowa, raczej jakby próbując się z nich otrząsnąć.

Postąpił krok w jej stronę, ona się o krok cofnęła. Ten człowiek miał coś z nogą. Poruszał się sztywno, jakby go bolała. Przedtem Jude widziała go pod światło, ale teraz, w przedpokoju, dostrzegła dziwny, zielonkawy odcień jego skóry, a także to, że dolne zęby nie mieściły mu się w ustach.

Zauważyła też, że facet ma takie same oczy jak Vivi.

– Nigdy nie byłabym z tobą szczęśliwa – powiedziała mama. – Twój świat nie jest stworzony dla takich ludzi jak ja.

Mężczyzna przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– Wypowiedziałaś słowa przysięgi – odezwał się wreszcie.

Uniosła dumnie głowę.

– A następnie się ich wyparłam.

Spojrzał na Jude, rysy jego twarzy stwardniały.

– Co warta jest przysięga śmiertelnej kobiety? Chyba właśnie się tego dowiedziałem.

Mama odwróciła się. Jude zorientowała się, że matka ją widzi, dała więc nura do dużego pokoju.

Taryn nadal spała. Telewizor nadal był włączony. Vivienne spojrzała na nią kocimi oczami.

– Kto przyszedł? – spytała. – Słyszałam, że się kłóca.

– Jakiś straszny człowiek – wyrzuciła z siebie Jude. Brakło jej tchu, chociaż przebiegła zaledwie kilka kroków, a jej serce waliło jak oszalałe. – Mama kazała nam iść na górę.

Pominięła fakt, że mama tylko jej to nakazała. Nie zamierzała iść sama. Vivi westchnęła ciężko, dźwignęła się i potrząsnęła Taryn, żeby ją obudzić.

Zaspana bliźniaczka Jude powlokła się za siostrami do przedpokoju.

Kiedy zaczęły wchodzić po wyłożonych chodnikiem stopniach, Jude ujrzała ojca nadbiegającego z ogrodu. W ręce trzymał topór – własnoręcznie wykutą replikę topora, który widział na Islandii w muzeum. Nie było nic dziwnego w tym, że niósł topór. Wraz z kilkoma przyjaciółmi interesował się starą bronią i spędzał mnóstwo czasu, sporządzając jej kopie, ciągle też opowiadał o „kulturze materialnej” i szkicował fantastyczne klingi. Dziwne było jednak to, jak ten topór trzymał, zupełnie jakby zamierzał...

Ojciec zamachnął się toporem i zadał cios wymierzony w nieznanego.

Nigdy dotąd nie podniósł ręki na Jude czy jej siostry, nawet kiedy porządnie nabroili. Muchy by nie skrzywdził. Po prostu nie był do tego zdolny.

A jednak. Jednak.

Żeleźce nie ugodziło wysokiego mężczyzny, utkwilo w drewnianej framudze drzwi.

Mężczyzna wydobył spod skórzanego płaszcza zakrzywione ostrze. Miecz. Zupełnie jak w komiksie. Tatuś usiłował jeszcze wyrwać siekierę z framugi, ale mężczyzna wbił już miecz w jego brzuch i pchnął do góry. Rozległ się dźwięk jakby trzaskających patyków i zwierzęce wycie. Tatuś upadł na chodnik w przedpokoju, ten sam, o który mama robiła tyle krzyku, kiedy ktoś naniósł na niego błoto.

Teraz chodnik nasiąkał czerwienią.

Mama wrzasnęła. Jude wrzasnęła. Taryn i Vivi wrzasnęły. Wszyscy wrzeszczeli, tylko nie ten wysoki mężczyzna.

– Chodź tutaj – rozkazał, patrząc groźnie na Vivi.

– Ty... Ty potworze – krzyknęła matka i rzuciła się w stronę kuchni. – Zabiłeś go!

– Nie uciekaj przede mną – wrzasnął mężczyzna. – Nie po tym, co zrobiłaś. Jeśli znowu spróbujesz uciec, to przysięgam...

Spróbowała. Była już prawie za drzwiami, kiedy ostrze uderzyło w jej plecy. Padła na linoleum, zakrzywionymi palcami ściągając magnesy z lodówki.

W powietrzu gęsto było od zapachu świeżej krwi – wilgotnego, metalicznego. Tak pachniały myjki, za pomocą których mama szorowała patelnię, kiedy coś się na niej przypaliło.

Jude podbiegła do mężczyzny, waliła piąstkami w jego pierś, kopała go po

nogach. Nawet się nie bała. Właściwie nie czuła nic.

Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Przez długą chwilę stał bez ruchu, jakby nie mógł uwierzyć, że zrobił to, co właśnie zrobił. Jakby nawet żałował, że nie da się cofnąć tych ostatnich pięciu minut. Potem przyklęknął na jedno kolano i chwycił Jude za ramię. Przycisnął jej ręce do boków, żeby nie mogła go już tłuc, ale nawet na nią nie spojrział.

Wpatrywał się w Vivienne.

– Zostałaś mi skradziona – oznajmił. – Przybyłem, żeby zabrać cię do twojego prawdziwego domu w Elfhame pod Wzgórzem. Tam będziesz bogata ponad wszelką miarę. Tam będziesz przebywać pośród podobnych sobie.

– Nie – powiedziała Vivi tym swoim ponurym głosem. – Nigdzie z tobą nie pójdę.

– Jestem twoim ojcem – odparł ostrym głosem, a brzmiało to, jakby trzasnął z bata. – Ty jesteś krew z mojej krwi, będziesz mi posłuszna zarówno w tej, jak i w innych rzeczach.

Nie poruszyła się, zacisnęła tylko usta.

– Ty nie jesteś jej ojcem – wrzasnęła Jude. I co z tego, że miał takie same źrenice, nie zamierzała w to uwierzyć.

Zacisnęła mocniej dłonie na jej ramionach, pisnęła cicho, ale wciąż spoglądała mu wyzywająco w oczy. Wygrała wiele pojedynków na spojrzenia.

I to on pierwszy odwrócił wzrok. Spojrzał w stronę Taryn, która klęczała obok mamy i szlochała, potrząsając ją, jakby próbowała ją obudzić. Mama ani drgnęła. Mama i tatuś nie żyli. Już nigdy się nie poruszają.

– Nienawidzę cię – oświadczyła Vivi głosem tak jadowitym, że jego brzmienie przyprawiło Jude o dreszcz satysfakcji. – Zawsze cię będę nienawidzić. Ślubuję to.

Oblicze mężczyzny było jak z kamienia.

– Mimo to pojedziesz ze mną. Przygotuj te ludzkie istotki. Zabierzcie ze sobą jak najmniej rzeczy. Ruszamy o zmroku.

Vivienne uniosła dumnie głowę.

– Zostaw je w spokoju. Jeżeli musisz, to zabierz mnie, ale je zostaw.

Rzucił Vivi gniewne spojrzenie.

– Chcesz ochronić przede mną swoje siostrzyczki? To powiedz, dokąd mają pójść?

Vivi nie odpowiedziała. Nie mieli dziadków ani żadnej innej rodziny. Przynajmniej żadnej, o której by wiedziała.

Znowu spojrzął na Jude, puścił ją i wstał.

– Są potomstwem mojej żony, więc za nie odpowiadam. Zapewne jestem okrutnikiem, potworem i mordercą, ale nie uchylam się od odpowiedzialności. I ty jako najstarsza również nie powinnaś się od niej uchylać.

Wiele lat później, kiedy Jude opowiadała sobie samej te wydarzenia, nie pamiętała momentu pakowania rzeczy. Trwało to z godzinę, ale najwyraźniej wstrząs sprawił, że zupełnie tego nie odnotowała. Zapewne Vivi znalazła jakieś torby, wsadziła do nich ulubione książeczki z obrazkami dziewczynek i ich ukochane zabawki, zdjęcia i piżamy, i kurtki, i sukienki.

A może Jude sama się spakowała. Nie mogła sobie tego przypomnieć.

Nie umiała sobie wyobrazić, jak mogły to zrobić, podczas gdy na parterze stygły ciała ich rodziców. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak się wtedy czuła, i po latach nie umiała przywołać tego uczucia. Z upływem czasu potworność podwójnego morderstwa zbladła. Wspomnienia tego dnia się zatarły.

Gdy wyszli, ujrzała czarnego konia skubiącego trawę przed domem. Oczy miał wielkie i łagodne. Jude miała ochotę objąć go ramionami za szyję i wtulić mokrą twarz w jedwabistą grzywę. Nim jednak zdążyła to zrobić, mężczyzna wciągnął ją, a potem Taryn na siodło, traktując je raczej jak tobołki niż jak dzieci. Vivienne usadził za sobą.

– Trzymajcie się – polecił.

Jude i jej siostry płakały przez całą drogę do Elysium.

ROZDZIAŁ

|



W Elysium nie ma paluszków rybnych, keczupu ani telewizji.

ROZDZIAŁ

2



Siedzę na poduszce, a skrzatka zaplata mi warkocze, żeby włosy nie opadały na twarz. Skrzatka ma długie palce i ostre paznokcie. Krzywię się, w lusterku na szponiastej nóżce, które stoi na mojej toalecie, napotykam spojrzenie czarnych oczu.

– Do turnieju jeszcze cztery noce – powiada to stworzenie. Na imię ma Strzępka, jest służącą w posiadłości Madoka i pozostanie nią, dopóki nie odpracuje długu, który u niego zaciągnęła. Opiekuje się mną od dzieciństwa. To właśnie Strzępka smarowała mi oczy piekącą maścią, co miało mnie obdarzyć drugim wzrokiem, abym widziała prawdę poprzez blichtrz ułudy. To ona czyściła moje buty z błota i nizała na nić jagody jarzębiny, które noszę na szyi, dzięki czemu nie ima się mnie większość zaklęć. To ona wycierała mój zasmarkany nos i ciągle mi przypominała, bym nosiła skarpetki na lewą stronę, dzięki czemu w lesie nic nie zwiedzie mnie na manowce.

– Wiem, że nie możesz się doczekać, ale nikt nie umie sprawić, żeby księżyc wzeszedł wcześniej. Postaraj się dziś godnie reprezentować dwór

generała, pokazując się z jak najlepszej strony.

Wzdycham.

Nigdy nie miała cierpliwości do moich dąsów.

– Tańczyć z dworzanami Najwyższego Króla pod Wzgórzem to zaszczyt.

Wszyscy służący lubują się w powtarzaniu, jakie to szczęście mi sprzyja: nieprawa córka niewiernej żony, ludzka istota, w której żyłach nie płynie ani kropelka elfowej krwi, a traktowana jest jak prawowite dziecię elfowego rodu. Taryn musi wysłuchiwać tego samego.

Wiem, że to nie lada zaszczyt dorastać pośród potomków szlachetnie urodzonych elfów. Wielki zaszczyt, którego nigdy nie będę godna.

I nie jest łatwo o tym zapomnieć, skoro bezustannie ktoś mi o tym przypomina.

– Tak – odpowiadam uprzejmie, bo ona przecież stara się być dla mnie miła. – Coś wspaniałego.

Istoty zamieszkujące Krainę Elfów nie potrafią kłamać, więc skupiają się raczej na słowach, nie zwracając uwagi na ton głosu, zwłaszcza jeśli nie miały zbyt wiele do czynienia z ludźmi. Strzępka kiwa więc głową z aprobatą, jej oczy lśnią jak dwa czarne koraliki, nie widać ani źrenicy, ani tęczówki.

– Może ktoś cię poprosi o rękę, a wtedy zostaniesz dwórką Najwyższego Króla.

– Chcę sama wywalczyć sobie swoje miejsce – mówię.

Skrzatka nieruchomieje. W palcach trzyma długą szpilę do włosów i pewnie się zastanawia, czyby mnie nią nie ukłuć.

– Nie bądź głupia.

Nie warto się kłócić i nie ma sensu przypominać, jak tragicznie skończyło się małżeństwo mojej matki. Śmiertelni mogą stać się dworzanami Najwyższego Króla tylko na dwa sposoby: albo się wżenić, albo opanować jakąś szczególną umiejętność – stać się mistrzami w obróbce metalu albo wspaniale grać na lutni, albo coś w tym rodzaju. Małżeństwo mnie nie interesuje, więc pozostaje mi tylko nadzieja, że zdołam odpowiednio się wykazać osobistymi uzdolnieniami.

Kończy splatać moje włosy we fryzurę, dzięki której wyglądam, jakbym miała rogi. Ubiera mnie w szafirowy aksamit. Ani to, ani nic innego nie zdoła jednak ukryć tego, kim jestem – ludzką istotą.

– Zrobiłam trzy węzły na szczęście – mówi skrzatka. To miłe z jej strony.

Wzdycham, a ona telepie się do drzwi.

Wstaję od toaletki i padam twarzą na pokryte wyszywaną kapą łożo. Jestem przyzwyczajona do tego, że zajmuje się mną służba. Skrzaty i gnomy, gobliny i chochliki. Nietoperzowe skrzydła, zielone paznokcie, rogi i kły. Mieszkam w Elysium od dziesięciu lat. To wszystko już dawno przestało mnie dziwić. Tutaj to ja jestem dziwadłem: mam tępo zakończone palce, okrągłe uszy i jestem stworzeniem ulotnym, przemijającym jak jętką.

Dziesięć lat to bardzo wiele dla śmiertelnej istoty.

Madok skradł nas ze świata ludzi i przywiózł do swoich włości na Insmire, wyspie mocy, którą rządzi Najwyższy Król z Elfhame. Odtąd opiekował się nami – to jest mną, Vivienne i Taryn – ponieważ zobowiązywał go do tego honor. Choć ja i Taryn jesteśmy dowodem zdrady naszej mamy, zgodnie z obyczajem Elysium, jako że jesteśmy dziećmi jego żony, to on za nas odpowiada.

Jako generał Najwyższego Króla często w imieniu korony wyruszał na różne wojny. Muszę jednak przyznać, że zawsze byłyśmy otoczone troskliwą opieką. Spałyśmy na materacach wypchanych mięciutkim puszkim mleczka. Madok osobiście uczył nas sztuki walki kordelasem i sztyletem, tasakiem i gołymi rękami. Grał z nami przy kominku w lisa i gęś, młynek oraz elfowe szachy. Pozwalał nam siadać na swoich kolanach i jeść ze swojego talerza.

Ileż to razy odpływałam w sen przy wtórze jego dudniącego głosu czytającego podręcznik strategii bitewnej. Mimo woli, chociaż uczynił to, co uczynił i jest, kim jest, pokochałam go. Naprawdę go kocham.

Tylko że to nie jest łatwa miłość.

– Piękne warkocze – mówi Taryn, która właśnie wbiegła do mojej komnaty. Tak jak ja ubrana jest w aksamit, ale karmazynowy. Włosy ma rozpuszczone – długie kasztanowe pukle, które powiewają za nią jak płaszcz; wpleciono w nie kilka srebrnych nitczek. Wskakuje na łożo, rozrzucając równo poukładane wyleniące pluszaki – misia koala, węża, czarnego kota – ukochane maskotki z czasów, kiedy miałam siedem lat. Nie jestem w stanie wyrzucić żadnej z tych pamiątek.

Podnoszę się, aby spojrzeć krytycznie na swoje odbicie w lustrze.

– Też mi się podobają.

– Mam przecucie – mówi ku mojemu zaskoczeniu Taryn. – Przecucie, że dzisiaj nieźle się zabawimy.

– My?

Jak dotąd wyobrażałam sobie, że będziemy obserwować tłumy gości, siedząc w naszej zwykłej kryjówce, a ja będę się tylko zamartwiać tym, czy wypadnę wystarczająco dobrze podczas turnieju, na tyle dobrze przynajmniej, żeby ktoś z królewskiej rodziny zechciał pasować mnie na rycerza. Gdy tylko o tym myślę, robię się nerwowa, a przecież myślę o tym bezustannie. Muskam czubkiem kciuka to miejsce, gdzie brak mi końcówki palca serdecznego. Taki tik. Nerwowy.

– No – mówi Taryn i szturcha mnie w bok.

– Hej, ała! – Odsuwam się od niej. – Jaki masz plan?

Rzecz w tym, że kiedy udajemy się na Dwór, zwykle się ukrywamy. Widziałyśmy wiele ciekawych rzeczy, ale zawsze z pewnej odległości.

Rozkłada szeroko ręce.

– O co ci chodzi, jaki znowu plan? Dobrze się bawić to znaczy dobrze się bawić!

Śmieje się, trochę nerwowo.

– Widzisz, sama nie masz pojęcia. Ale niech ci będzie. Przekonamy się, czy posiadasz dar proroczy.

Jesteśmy coraz starsze i wszystko się zmienia. My się zmieniamy. I choć wyczekuję tych zmian, jednocześnie ich się obawiam.

Taryn zeskakuje z mojego łóżka, wyciąga do mnie rękę, tak jakby prosiła mnie do tańca. Pozwalam się wyprowadzić z komnaty, odruchowo jednak sprawdzam, czy nóż nadal jest przymocowany paskami do nogi.

Wnętrze siedziby Madoka jest pobielone wapnem, biel przecinają belki z surowego drewna. Szybki w oknach są ze szkła barwionego na szaro, więc w środku jest dziwne światło. Gdy schodzimy spiralnymi schodami, dostrzegam ukrytą na balkoniku Vivi, która ze zmarszczonym czołem przegląda komiks ukradziony z ludzkiego świata.

Szczerzy się do mnie. Ubrana jest w dzinsy i bluzkę z bufiastymi rękawami. Najwyraźniej nie wybiera się na imprezę. Ponieważ jest pełnoprawną córką Madoka, nie usiłuje mu się przypodobać. Robi, co tylko zechce. Nawet czyta czasopisma, te nieklejone, a spięte żelaznymi zszywkami, wcale się nie przejmując, że przypała sobie palce.

– Wybieracie się dokądś? – pyta półgłosem, który dochodzi z cienia.

Taryn musiała jej nie zauważyć, bo wzdryga się, przestraszona.

Vivi oczywiście doskonale wie, dokąd się wybieramy.

Kiedy tu przybyłyśmy, Taryn i ja tuliłyśmy się do Vivi w jej wielkim łóżku,

rozmawialiśmy bez ustanku o tym, co pamiętałyśmy z domu. Gadałyśmy o tym, jak mama przypaliła zupę, i o tym, jak tatuś przyrządził prażoną kukurydzę. Wspominałyśmy sąsiadów i jak pachniał dom, jak było w szkole, wspominałyśmy wakacje, smak lukru na urodzinowym torcie. Rozmawialiśmy o oglądanych w telewizji serialach, przypominałyśmy sobie dzieje ich bohaterów i powtarzałyśmy dialogi, a mimo to wszystkie wspomnienia zatarły się, a ich miejsce zajęły twory naszych wyobraźni.

Teraz nie ma już żadnego przytulania się w łóżku ani wspomnienia. Mamy nowe wspomnienia, które są stąd, a tym Vivi interesuje się tylko pobieżnie.

Ślubowała Madokowi nienawiść i ślubowania dotrzymała. Początkowo, jeśli nie wspominała domu, była istnym koszmarem. Wszystko rozwalala. Wrzeszczała, wściekała się i szczypała nas, kiedy było nam za dobrze. Wreszcie dała sobie z tym wszystkim spokój, chociaż wydaje mi się, że część tej nienawiści przelała na nas – za to, że się dostosowałyśmy. Że jakoś sobie radzimy. Że teraz tutaj jest nasz dom.

– Chodź z nami – namawiam ją. – Taryn jest w jakimś dziwnym nastroju.

Vivi przygląda jej się z udanym zaciekawieniem, po czym potrząsa głową.

– Mam inne plany.

Może to znaczyć, że zamierza się zakraść do świata śmiertelników, ale równie prawdopodobne jest to, że spędzi cały ten wieczór na balkonie, czytając.

Tak czy inaczej, na pewno zajmie się czymś, co Madokowi by się nie spodobało.

On zaś czeka na nas w sieni w towarzystwie swojej drugiej żony, Oriany. Oriana ma błękitną skórę jak kozuch na kwaśnym mleku, a włosy białe niczym świeży śnieg. Jest piękna, ale trudno mi na nią patrzeć, bo wygląda jak duch. Dziś ma na sobie zieleń i złoto; mchową suknię z misternym lśniącym kołnierzem, który uwydatnia róż jej ust, uszu i oczu. Madok też ubrał się na zielono, w głęboką leśną barwę. Miecz u jego boku nie jest częścią ozdobą.

Na zewnątrz, za otwartymi podwójnymi wrotami, czeka gnom trzymający w dłoni srebrzyste wodze pięciu jabłkowitych wierzchowców o grzywach zaplecionych w złożone i zapewne magiczne węzły. Myślę o węzłach w moich włosach – ciekawe, czy są tego samego rodzaju.

– Obie dobrze wyglądacie – mówi Madok do mnie i do Taryn; nieczęsty to w jego ustach komplement. Jego spojrzenie wędruje ku schodom. – Czy

wasza siostra wkrótce będzie gotowa?

– Nie wiem, gdzie jest Vivi – odpowiadam niezgodnie z prawdą. Tak łatwo tu kłamać. Od rana do nocy można nie powiedzieć ani słowa prawdy, bez obawy, że ktoś mnie na tym przyłapie. – Pewnie zapomniała.

Na twarzy Madoka widzę rozczarowanie, ale nie zaskoczenie. Wychodzi, żeby coś powiedzieć gnomowi dzierżącemu lejce. Dostrzegam istotę, która dla niego szpieguje, to pomarszczona kreatura z nosem jak biała pietruszka i garbem sięgającym wyżej niż głowa. Wsuwa Madokowi w dłoń karteczkę, po czym umyka z zaskakującą zwinnością.

Oriana przygląda się nam uważnie, jakby spodziewała się dostrzec jakieś zaniedbania.

– Bądźcie ostrożne dzisiejszej nocy – przestrzega nas. – Obiecacie, że nie będziecie nic jeść ani pić, ani tańczyć.

– Nie pierwszy raz udajemy się na Dwór – przypominam jej, udzielając tym samym typowo elfowej nieodpowiedzi.

– Może wam się wydawać, że sól wystarczająco was chroni, ale wy, dzieci, tak łatwo zapominacie. Lepiej radzić sobie bez niej. A co do tańca, to kiedy śmiertelnicy się w nim zapamiętają, gotowi zatańczyć się na śmierć, jeśli tylko się ich nie powstrzyma.

Patrzę na swoje stopy, nic nie mówię.

My, dzieci, nie tak łatwo zapominamy.

Madok ożenił się z nią przed siedmioma laty, a wkrótce potem dała mu dziecko, chorowitego chłopca o imieniu Dąb, o ślicznych małych różkach na główce. Od początku było jasne, że Oriana znosi mnie i Taryn wyłącznie ze względu na Madoka. Mam wrażenie, że myśli o nas jak o ulubionych ogarach męża: źle wyszkolonych i niewdzięcznych, gotowych w każdej chwili rzucić się z zębami na swojego pana.

Dąb jednak uważa nas za swoje siostry, co wyraźnie drażni Oriane, chociaż ja nigdy w życiu nie byłabym w stanie go skrzywdzić.

– Jesteście pod opieką Madoka, który jest w łaskach Najwyższego Króla – oznajmia Oriana. – Nie życzę sobie, żeby z powodu waszych wybryków Madok znalazł się w niezręcznej sytuacji.

Palnąwszy tę mówkę, rusza w stronę koni. Jeden z nich parska i stuka kopytem o ziemię.

Taryn i ja spoglądamy na siebie, potem idziemy za nią. Madok dosiada już największego z elfowych koni, wspaniałego rumaka z blizną pod okiem. Koń

niecierpliwie rozdyma chrapy, niespokojnie potrząsa grzywą.

Wskakuję na grzbiet bladozielonego konia o ostrych zębach, konia, który pachnie bagnem. Taryn wsiada na swojego wierzchowca, wali go piętami w boki. Koń rusza przed siebie jak strzała, pędzę na swoim w ślad za siostrą. Dajemy nura w mrok.

ROZDZIAŁ 3



Elfy są nocnymi stworzeniami, więc i ja także nauczyłam się żyć w nocy. Wstajemy, gdy wydłużają się cienie, a udajemy się do łóżek, nim wszędzie słońce. Do pałacu Elfhame pod Wzgórzem przybywamy długo po północy. By dostać się do środka, musimy przejechać między dwoma drzewami, dębem i głogiem, a potem prosto na coś, co wygląda jak kamienna ściana opuszczonej ruiny. Robiłam to już setki razy, ale i tak ogarnia mnie lęk. Ciało się spina, zaciskam palce na wodzach, zaciskam mocno powieki.

Gdy je otwieram, jestem już wewnątrz Wzgórza.

Jedziemy wnętrzem jaskini, między filarami korzeni, po ubitej ziemi.

Widzę rój przedstawicieli „małego ludku”; często wcale nie są oni mali. Tłoczą się u wejścia do rozległej sali tronowej, gdzie zasiada Dwór – są tam długonose pixie o zszarganych skrzydełkach; zielonoskóre damy w długich sukniach, których treny niosą gobliny; przewrotne boginy, rozchichotane lisolaki, chłopiec w sowej masce i złotym nakryciu głowy; starsza kobieta,

na której ramionach siedzi kilka kruków; stadko dziewcząt z dzikimi różami we włosach; chłopiec o skórze jak kora drzewa w naszyjniku z piór; rycerze zakuci w zbroje zielone jak skorupy skarabeusza. Wiele z tych istot widziałam już wcześniej, z niektórymi rozmawiałam. Jest ich zbyt wiele, by wszystkie objąć wzrokiem, a jednak nie potrafię od nich oderwać oczu.

To spektakl, który nigdy mnie nie znuży – barwny korowód elfowych dworzan. Może Oriana nie całkiem niesłusznie się martwi, że pewnego dnia wciągnie mnie ten wir, porwie, że zapomnę się w nim i zatracę. Nie jest mi trudno zrozumieć ludzkie istoty, które ulegają oszałamiającemu pięknu dworskiego koszmaru i gotowe są w nim się pogryźć bez miary.

Wiem, że nie powinnam się tak zachwycać, w końcu zostałam skradziona ze świata śmiertelnych, moi rodzice zostali zamordowani. A jednak mój zachwyt nie zna granic.

Madok zwinnie zeskakuje na ziemię. Oriana i Taryn już zsiadły ze swoich wierzchowców, podały wodze stajennym. Czekają tylko na mnie. Madok wyciąga dłoń, jakby zamierzał mi pomóc, ale samodzielnie zeskakuje z siodła. Podeszwy moich skórzanych pantofli uderzają o grunt.

Mam nadzieję, że prezentuję się w jego oczach jak rycerz.

Oriana podchodzi, zapewne aby znów przypomnieć Taryn i mnie wszystkie te rzeczy, których nie wolno nam robić. Nie daję jej szansy. Szybko chwytam Taryn pod ramię, wbiegamy do środka. W komnacie unosi się woń palonego rozmarynu i pokruszonych ziół. Słyszę za nami ciężkie kroki Madoka, ale dobrze wiem, dokąd iść. Pierwsza rzecz, którą należy uczynić po przybyciu na Dwór, to pokłonić się królowi.

Najwyższy Król Eldred siedzi na tronie w popielatej szacie ceremonialnej, ciężka korona ze złotych liści dębu przyciska jego rzadkie żółtawe włosy. Kiedy się kłaniamy, muska nasze głowy rosochatymi upierścienionymi dłońmi, a potem wolno nam już powstać.

Jego babką była królowa Mab wywodząca się z rodu Kolcowojów. Początkowo czarownica-samotnica, podbiła królestwo elfów z pomocą rogatego małżonka. Powiada się, że to po nim każdy z sześciu spadkobierców Eldreda odziedziczył jakąś zwierzęcą cechę – co nie jest niczym niezwykłym u elfów, ale rzadko się zdarza pośród wysokich rodów.

Najstarszy z książąt, Balekin, oraz jego młodszy brat Dain stoją w pobliżu, piją wino z drewnianych kubków okutych srebrem. Dain nosi pludry do kolan, ukazujące kopyta i jelenie nogi. Balekin ma na sobie ulubioną szatę

z niedźwiedzim kołnierzem, na każdym knykciu jego dłoni wyrasta kolec, kolce ciągną się też wzdłuż ramienia i znikają pod rękawem – widać je wyraźnie, gdy przyzywa do siebie Madoka.

Oriana dyga przed nimi. Choć Dain i Balekin stoją teraz obok siebie, często wiodą spory i tworzą dwa rywalizujące dworskie stronnictwa. Trzeciemu przewodzi ich siostra, Elowyn.

Księżę Balekin, pierworodny, oraz jego zauszniczy zwani są Kręgiem Wilg; nade wszystko uwielbiają zabawę i gardzą wszystkim, co staje na jej przeszkodzie. Zapijają się do nieprzytomności winem i odurzają trującymi, rozkosznymi proszkami. Ten krąg jest najbardziej szalony ze wszystkich, choć przyznać muszę, że Balekin, kiedy ze mną rozmawiał, zawsze był trzeźwy i powściągliwy. Zapewne mogłabym oddać się rozpuście w nadziei, że im zaimponuję. Nie mam jednak na to chęci.

Księżniczka Elowyn, która przyszła na świat po nim, oraz jej stronnicy tworzą Krąg Skowronków. Nade wszystko cenią sztukę. Dopuścili do swoich łask licznych śmiertelników, ale ponieważ nie posiadam wielkiego talentu do gry na lutni ani nie umiem pięknie deklamować, nie mam tym samym żadnych widoków na to, by mnie przyjęli.

Księżę Dain, który urodził się jako trzeci, przewodzi Kręgowi Sokołów. Należą do niego rycerze, wojownicy i stratedzy. Rzecz jasna, Madok jest członkiem tego właśnie stronnictwa. Rozprawiają o honorze, ale tak naprawdę chodzi im o władzę. Niezłe władam klingą, nieobca mi jest strategia, potrzebuję więc tylko okazji, żeby się wykazać.

– Idźcie, bawcie się – mówi nam Madok.

Spoglądam jeszcze na księcia, na drugiego księcia i razem z Taryn znikam w tłumie.

W królewskim pałacu Elfhame jest wiele sekretnych alków i ukrytych korytarzy, idealnych na potajemne schadzki kochanków i kryjówek dla skrytobójców albo dla kogoś, kto nie chce innym wchodzić w drogę i jest zakałą każdego przyjęcia. Kiedy ja i Taryn byłyśmy małe, chowałyśmy się pod długimi bankietowymi stołami. Odkąd jednak stwierdziła, że jesteśmy już wykwintnymi damami, zbyt dorosłymi, żeby pełzać po podłodze i brudzić sobie suknie, musiałyśmy wynaleźć coś lepszego. Otóż zaraz za drugim podestem kamiennych stopni znajduje się takie miejsce, gdzie wystaje blok lśniącego kamienia, tworząc skalną półkę. Zazwyczaj tam właśnie się mościłyśmy, aby słuchać muzyki i przyglądać się zabawie, w której nie

miałyśmy uczestniczyć.

Jednak dziś Taryn ma inny plan. Mija schody, chwyta ze srebrnej tacy jedzenie – zielone jabłko i kawałek niebieskawego sera. Nie zawraca sobie głowy solą, bierze po kęsie obu przysmaków, następnie podaje mi jabłko, żebym też ugryzła. Oriana sądzi, że nie potrafimy odróżnić zwykłych owoców od owoców elfowych, kwitnących głębokim złotem. Mają one mięsz czerwony i gęsty, a ich upajający zapach wypełnia las w porze zbiorów.

Jabłko jest rześkie i zimne. Podajemy je sobie, kęs po kęsie, chrapiemy aż do ogryzka, który pochłaniam na dwa razy.

Blisko tego miejsca, gdzie stoję, małe elfka o białych włosach przypominających puch dmuchawca przecina nożykiem rzemień mocujący sakiewkę do pasa jakiegoś ogra. Robi to nad wyraz zręcznie. W jednej ulotnej chwili wielkolud nie ma już miecza i pieniędzy, a ona znika w tłumie. Mogłoby się здаwać, że to wszystko w ogóle się nie zdarzyło. Mogłoby, dopóki elfka nie napotyka mojego spojrzenia.

Wtedy puszcza do mnie oko.

Chwilę potem ogr zdaje sobie sprawę, że został okradziony.

– Czuję zapach złodzieja – wrzeszczy, wymachuje łapskami, zrzuca ze stołu kufel ciemnobrązowego piwa, rzeczywiście niucha wokoło pokrytym brodawkami nochalem.

Powstaje zamieszanie, bo jedna ze świec wybucha nagle błękitnymi płomieniami, trzaskającymi tak głośno, że odwraca to uwagę wszystkich, nawet okradzionego. Kiedy wszystko powraca do normy, białowłosa złodziejka jest już daleko.

Uśmiecham się lekko, odwracam się do Taryn, która nie zwraca uwagi na nic, tylko jak oczarowana tęsknie przygląda się tańczącym.

– Mogłybyśmy się zmieniać – podsuwa. – Jeżeli nie będziesz mogła przestać, to ja cię wyciągnę. A potem ty mnie popilnujesz.

Kiedy słyszę jej propozycję, serce bije mi prędeej. Patrzę na korowód płasających, usiłuję wzbudzić w sobie śmiałość równą tej, jaką trzeba mieć, żeby gwizdnąć sakiewkę nieuspionemu ogrowi.

Księżniczka Elowyn wiruje w samym środku kręgu Skowronków. Jej skóra lśni złotem, jej włosy mają kolor głębokiej zieleni w odcieniu bluszczu. Obok niej gra na skrzypcach chłopiec, to śmiertelnik. Jeszcze dwóch innych mu akompaniuje, nie grają zbyt dobrze, ale brzdąkają wesoło na swoich

ukulele. Opodal tańczy młodsza siostra Elowyn, Caelia; ma jedwabiste włosy koloru kukurydzy jak ojciec, a na nich kwietny wieniec.

Zaczyna się nowa ballada, wsłuchuję się w jej słowa:

*Ze wszystkich synów króla Williama,
najgorszy był ksiązę Jamie,
rzecz smutna i niesłychana,
bo najstarszy był ksiązę Jamie.*

Nigdy za bardzo nie lubiłam tej pieśni, bo przypomina mi kogoś. Kogoś, kto podobnie jak księżniczka Rhyia jest dziś chyba nieobecny. Chociaż nie, do licha. Właśnie go zobaczyłam.

Ksiązę Cardan, szósty w kolejności narodzin potomek Najwyższego Króla Eldreda, przy czym zdecydowanie najgorszy, zmierza właśnie w naszą stronę.

Za nim podążają Valerian, Nicassia i Loki – trójka jego najprzewrotniejszych, najpiękniejszych, najlojalniejszych przyjaciół. Tłum robi dla nich przejście, rozlega się pomruk powitań, mijani goście zginają się w ukłonach. Cardan jest jak zawsze pochmurny, do czego pasuje czarna obwódka wokół oczu i złota przepaska w kruczych włosach. Ma na sobie długi czarny płaszcz z wysokim zębatym kołnierzem wyszywany w srebrzyste konstelacje gwiazdne. Valerian w głębokiej purpurze, na jego mankietach połyskują rubinowe kaboszony, które wyglądają jak kropelki zamrożonej krwi. Włosy Nicassii, barwy błękitnozielonych głębin oceanu, ukoronowane są perłowym diademem. Lśniaca metalowa siatka niczym pajęczyna pokrywa jej warkocze. Loki o włosach koloru lisiego futra, który zamyka pochód, wygląda na znudzonego.

– Śmieszni są – mówię do Taryn, która podąża za moim spojrzeniem. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że są przy tym piękni. Elfowi kawalerowie i elfowe damy, zupełnie jak w piosenkach. Gdybym nie musiała odbywać lekcji w ich towarzystwie, gdybym nie wiedziała z własnego bolesnego doświadczenia, jak podle postępują wobec tych, którzy nie przypadną im do gustu, prawdopodobnie byłabym w nich zakochana tak jak wszyscy.

– Vivi mówiła mi, że Cardan ma ogon – szepce Taryn. – Widziała podczas ostatniej pełni, kiedy kąpali się w jeziorze z nim i księżniczką Rhyią.

Nie potrafię sobie wyobrazić Cardana pływającego w jeziorze, skaczącego do wody, pluskającego nią na swoich towarzyszy, śmiejącego się z czegoś

innego niż cudze cierpienie.

– Ogon? – powtarzam z niedowierzającym uśmiechem na twarzy; uśmiezek znika, bo nagle uświadamiam sobie, że Vivi nie zadała sobie trudu, żeby mi tę historię opowiedzieć, chociaż od tamtej nocy musiało już minąć sporo czasu. Dziwnie bywa, kiedy są trzy siostry. Zawsze któraś jest pomijana.

– Tak, z kitą na końcu! Chowa go pod ubraniem, a potem go rozwija jak bicz. – Chichocze, więc ledwo udaje mi się zrozumieć to, co mówi potem: – Vivi mówi, że też chciałyby mieć taki.

– Dobrze, że nie ma – stwierdzam stanowczo, co jest głupie. Nie mam nic przeciwko ogonom.

A potem Cardan i jego kompania są już zbyt blisko, żeby można ich było bezpiecznie obgadywać. Wbijam wzrok w podłogę. Nie cierpię tego, ale muszę, więc przyklękam na jedno kolano, pochylam głowę, zaciskając zęby. Obok mnie Taryn robi to samo. Wszyscy wokół składają pokłony.

– Nie patrzcie na nas – mówię w myśli. Nie patrzcie.

Valerian, przechodząc, chwyta mnie za jeden ze splecionych w rogi warkoczy. Pozostali idą dalej, ale Valerian zaczyna się nade mną pastwić.

– Myślałaś, że cię nie zobaczę? Ty i twoja siostra wyróżniacie się w tłumie – mówi, nisko pochylony nade mną. Jego oddech niesie ze sobą ciężki zapach miodowego wina. Dłoń mi się zaciska w pięść, a tuż obok niej znajduje się nóż. Nadal jednak nie patrzę mu w oczy. – Żadna inna fryzura nie jest tak nudna, żadna inna twarz równie pospolita.

– Valerianie – woła go książe Cardan. Już wcześniej był zagniewany, a kiedy mnie widzi, mruży powieki.

Valerian szarpie mnie mocno za warkocz. Krzywię się, bezsilna furia gromadzi się w moim brzuchu. On śmieje się i idzie dalej.

Moja wściekłość przeradza się we wstyd. Żałuję, że nie odtrąciłam jego ręki, chociaż wtedy byłoby jeszcze gorzej.

Taryn dostrzega coś na mojej twarzy.

– Co on ci powiedział?

Potrząsam głową.

W tym momencie Cardan zatrzymał się przy chłopcu o długich miedzianych włosach i skrzydełkach puszystych jak u ćmy – chłopcu, który nie złożył mu pokłonu. Chłopiec śmieje się, a Cardan się na niego rzuca. W jednym mgnieniu oka zaciśnięta pięść księcia uderza chłopca w szczękę,

powalając go na podłogę. Kiedy malec upada, Cardan chwyta go za skrzydło, które drze się jak papier. Krzyk chłopca jest cienki i piskliwy. Winowajca zwija się z bólu na udeptanej ziemi, na jego twarzy aż nazbyt wyraźnie widać cierpienie. Zastanawiam się odruchowo, czy elfom odrastają skrzydła; wiem, że motyl, który straci swoje, nigdy już nie będzie latał.

Dworzanie wokół nas gapią się i nerwowo chichoczą, ale trwa to tylko chwilę. Potem znów ruszają w tan, podejmują pieśń, zabawa trwa w najlepsze.

Tacy właśnie są. Kiedy ktoś wejdzie w drogę Cardanowi, spotyka go natychmiastowa i okrutna kara. Nie może już potem pobierać lekcji w pałacu, czasami musi w ogóle opuścić Dwór. Zraniony, złamany.

Cardan rusza dalej, uznawszy najwyraźniej, że już się rozprawił z chłopcem, a ja cieszę się, że ma on pięcioro starszego od siebie i lepszego rodzeństwa; stanowi to gwarancję, że raczej nigdy nie zasiądzie na tronie. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co by było, gdyby zyskał większą władzę, niż ma teraz.

Nawet Nicassia i Valerian wymieniają znaczące spojrzenia. Potem jednak Valerian wzrusza ramionami, idzie za Cardanem. Tylko Loki zatrzymuje się przy chłopcu, pochyła się, żeby pomóc mu wstać.

Pojawiają się przyjaciele chłopaka, wyprowadzają go – i w tej chwili, to zdumiewające, ale Loki podnosi wzrok. Jego lisie, brązowe oczy spotykają moje spojrzenie i widzę w nich zdziwienie. Nieruchomieję, moje serce wali jak oszalałe. Już się przygotowuję na kolejne szyderstwa, ale oto kącik jego ust się unosi. Mruga do mnie porozumiewawczo, tak jakby przyznawał, że został przyłapany. Tak jakbyśmy dzielili jakiś sekret. Jakby nie sądził, że jestem godnym najwyższej pogardy śmieciem i nie uznawał, że moja śmiertelność jest czymś w rodzaju zarazy.

– Przestań się na niego gapić – upomina mnie Taryn.

– Nie widziałaś, że... – zaczynam jej tłumaczyć, ale przerywa mi, chwytając mnie za rękę, żeby pociągnąć w stronę schodów, w stronę naszej skalnej półeczki, gdzie możemy się ukryć. Wbija paznokcie w moją skórę.

– Nie dawaj im jeszcze więcej powodów, żeby ci dokuczali!

Mówi to takim tonem, że odruchowo wyrywam rękę z jej uścisku. Zostały na niej czerwone ślady jej palców, gniewne półksiężycy.

Patrzę jeszcze tam, gdzie był Loki, ale już pochłonął go tłum.

ROZDZIAŁ 4



Gdy nastaje świt, otwieram okno swojego pokoju i wpuszczam do niego ostatni powiew chłodnego nocnego powietrza, a potem zrzucam dworską suknię. Jest mi gorąco. Moja skóra mnie uciska, a serce nie chce się uspokoić.

Byłam u Dworu już wiele razy. Widziałam rzeczy wstrętniejsze niż rozdarte skrzydła i słyszałam rzeczy gorsze od obelg. Elfowie nadrabiają niezdolność do kłamstwa całym wachlarzem podłości i okrucieństw. Pokrętnie zdania, wredne psikusy, przemilczenia, zagadki, intrygi, nie wspominając już o tym, jak mszczą się bez końca za dawne, na poły już zapomniane przewinienia. Burza jest mniej nieprzewidywalna od nich, morze mniej kapryśne niż one.

Na przykład Madok potrzebuje rozlewu krwi, tak jak syrenom potrzebna jest słońca morska piana. Po każdej bitwie odprawia taki sam rytuał – zanurza kaptur we krwi swoich wrogów. Widziałam ten kaptur, przechowywany jest pod szklanym kloszem w zbrojowni. Tkanina jest sztywna, tak zbrązowiała,

że prawie czarna, tylko z wyjątkiem kilku zielonych smug.

Czasem tam chodzę i przyglądam mu się, próbując w tych plamach zaschniętej krwi wypatrzeć moich rodziców. Chciałabym coś poczuć, coś więcej niż tylko lekkie mdlenie. Chcę poczuć więcej, ale za każdym razem, kiedy patrzę, czuję coraz mniej.

Myślę sobie, żeby właśnie teraz pójść do zbrojowni, ale nie idę. Staję przy oknie i wyobrażam sobie, że jestem nieulekłym rycerzem albo czarownicą, która skryła swoje serce w palcu, a potem go sobie odcięła.

— Jestem taka zmęczona – mówię na głos. – Tak strasznie zmęczona.

Siedzę tam długo, patrzę, jak wschodzące słońce rozświeca złotem niebo, nasłuchuję fal przypływu, aż tu nadlatuje jakieś stworzenie, które siada na parapecie. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to sowa, ale stwór ma oczy chochlika.

– Czymże to jesteś taka zmęczona, słodziaczku? – pyta.

Wzdycham i dla odmiany odpowiadam zgodnie z prawdą:

– Bezsilnością.

Chochlik przypatruje mi się przez chwilę, potem odlatuje w noc.



Przesypiam cały dzień i budzę się, zdezorientowana, potem przedzieram się przez długie zasłony rozwieszane wokół mojego łóża. Ślina zaschła mi na policzku.

Kąpiel już na mnie czeka, nawet zdążyła wystygnąć. To znaczy, że służba pojawiła się, a potem sobie poszła. Nieważne, i tak wchodzę do wody, opłukuję twarz. Kiedy mieszka się w Elysium, nie sposób nie zauważyć, że wszyscy inni pachną werbeną albo sosnowym igliwem, zakrzepłą krwią czy trojeścią. Ja zaś cuchnę potem spod pach i mam nieświeży oddech – chyba że wymyję się do czysta i wyszczotkuję zęby.

Kiedy pojawia się Strzępka, żeby pozapalać lampy, już przygotowuję się do lekcji, które zaczynają się późnym popołudniem i czasami ciągną aż do późnego wieczora. Mam na sobie szare skórzane buty i tunikę z herbem Madoka – sztylet, półksiężyc odwrócony tak, że wygląda jak czasza kielicha oraz kropelka krwi w jednym z jego końców, wszystko to wyhaftowane

jedwabną nicią.

Na dole zastaję Taryn u bankietowego stołu, samą. Trzyma w dłoniach kubek herbaty z pokrzyw i skubie podpłomyk. Dzisiaj jakoś nie próbuje mi wmówić, że będziemy się świetnie bawić.

Madok uparł się – może powodowany poczuciem winy albo wstydem – żebyśmy były traktowane tak samo jak elfowe dzieci. Mamy uczyć się tego samego, dostawać to co one. Rzecz w tym, że podmieńcy nie raz już się pojawiali na dworze Najwyższego Króla, ale nigdy nie wychowywano ich jak elfy wysokiego rodu.

Madok po prostu nie zdaje sobie sprawy, jak potwornie nas za to nienawidzą.

Nie znaczy to, że nie jestem mu wdzięczna. Chodzę na te lekcje. Udzielanie trafnych i błyskotliwych odpowiedzi to coś, czego nikt nie zdoła mi odebrać, chociaż nauczyciele niekiedy udają, że jest inaczej. Potrafię docenić zdawkowe skinienie głową zamiast wylewnych pochwał. To mi wystarczy, bo oznacza, że mam prawo tam być, czy im się to podoba, czy nie.

Vivi kiedyś chodziła z nami, ale z czasem jej się odechciało, lekcje zaczęły ją nudzić. Madok się wściekał, ale ponieważ jej podoba się wszystko, co budzi jego dezaprobatę, uparła się jeszcze bardziej i wtedy już naprawdę nie było żadnego sposobu, żeby kiedykolwiek zmieniła zdanie. Nas też próbowała namawiać, żebyśmy zostały z nią w domu, ale przecież jeśli Taryn i ja nie będziemy potrafiły poradzić sobie z intrygami elfowej złotej młodzieży w szkole, gdybyśmy uciekały z płaczem albo biegały na skargę do Madoka, to jak przetrwamy w dorosłym życiu na dworze, gdzie intrygi będą takie same, ale na znacznie większą i śmiertelnie niebezpieczną skalę?

Wyruszamy więc, Taryn i ja, wymachując koszyczkami. Aby dotrzeć do pałacu Najwyższego Króla, nie musimy opuszczać Insmire, natomiast widzimy po drodze brzegi Insmoor, wyspy kamienia oraz Insweal, wyspy niedoli. Połączone są ze sobą znajdującymi się tuż pod powierzchnią wody kamiennymi przejściami, tak że skacząc ze skały na skałę, można bez trudu przejść z jednej wysepki na drugą. Stado jeleni płynie w stronę Insmoor w poszukiwaniu lepszych pastwisk. Mijamy Jezioro Masek, po czym wchodzimy do Mleczlasu, brniemy pośród srebrzystych pni i zwiędłych, wyblakłych liści. Widać stąd syreny i wodników wygrzewających się na słońcu opodal jaskiń o stromych skałach. Ich łuski lśnią w bursztynowym

blasku późnego popołudnia.

Wszystkie dzieci szlachetnie urodzonych elfów, i te najmłodsze, i te starsze, pobierają nauki u preceptorów przybyłych z całego królestwa, a dzieje się to na terenach przynależnych do pałacu królewskiego. Bywa, że mościmy się na szmaragdowym mchu w kępie drzew, a czasem spędzamy wieczory usadowieni wysoko na gałęziach. Uczymy się o ruchach konstelacji na niebie, medycznych i magicznych właściwościach ziół, poznajemy języki ptaków, kwiatów oraz ludzi, a także mowę elfów (choć przy niej czasem płacze mi się język), układania zagadek i tego, jak stąpać po liściach czy chruście, nie pozostawiając śladów i nie wydając najmniejszego dźwięku. Wykładają nam subtelności gry na harfie i lutni, władania łukiem i ostrzem. Taryn i ja przyglądamy się, jak inni ćwiczą rzucanie zaklęć. Potem, dla odpoczynku, na zielonej łące otoczonej szerokim zakolem drzew wszyscy bawimy się w wojnę.

Dzięki Madokowi jestem naprawdę groźnym szermierzem, nawet gdy mam w ręce tylko drewniany miecz. Taryn też nieźle sobie radzi, ale już nie chce jej się ćwiczyć. Letni Turniej za pasem, dzieli nas od niego już zaledwie kilka dni – wówczas nasza wojna na niby rozegra się przed obliczami królewskiej rodziny. Gdyby Madok udzielił mi zezwolenia, któreś z książąt mogłoby pasować mnie na rycerza i przyjąć do swojej osobistej gwardii. To byłoby już coś, jakiś rodzaj ochrony i pewien zakres władzy.

Dzięki której mogłabym też chronić Taryn.

Przybывamy do szkoły. Książę Cardan, Loki, Valerian i Nicassia rozłożyli się już na trawie, towarzyszy im jeszcze kilka elfów. Dziewczyna o jelenich rogach – Poesy – chichocze, Cardan musiał powiedzieć jej coś śmiesznego. Nie zwracają na nas uwagi; gdy rozkładamy nasz koc, a potem wyjmujemy notesy, gęsie pióra i kałamarze, ledwo raczą na nas spojrzeć. Stwierdzam to z niekłamaną ulgą.

Nasza dzisiejsza lekcja dotyczy dziejów trudnych rokowań, które doprowadziły do zawarcia pokoju między Orlagh, królową Toni, oraz rozlicznymi elfowymi królami i królowymi panującymi na lądzie. Nicassia jest córką Orlagh, przysłano ją na Dwór Najwyższego Króla. Skomponowano niejedną odę poświęconą urodzie królowej głębin, ale jeśli w jakimś stopniu podobna jest do córki, to charakter jej nie jest godzien pochwały.

Nicassia prostuje się dumnie, gdy mowa o potędze jej rodu, ale potem nauczyciel przechodzi do lorda Roibena z Dworu Termitów, więc i mnie

przestaje ta opowieść interesować. Odpływam myślami, wizualizuję szermiercze sekwencje: cięcie, pchnięcie, zasłona, obejście, pchnięcie... Zdaję sobie sprawę, że trzymam pióro, jakby to była rękojeść miecza, zapomniałam, że powinnam notować.

Gdy słońce chyli się nisko nad horyzontem, Taryn i ja rozpakowujemy przyniesione z domu koszyki – są w nich chleb, masło, ser i śliwki. Jestem głodna, smaruję kromkę masłem. Cardan przechodzi obok nas i kopniakiem wzbija ziemię, tak że pełno jej ląduje na mojej pajdzie, jeszcze zanim zdążyłam zjeść chociaż jeden kęs. Inne elfy śmieją się.

Widzę, jak patrzy na mnie z okrutną rozkoszą niczym drapieżnik, który zastanawia się, czy warto pożreć tak małą myszkę. Ma na sobie tunikę z wysokim kołnierzem haftowaną w gałązki głogu, na palcach ciężkie pierścienie. Wyraz szyderstwa jakby przywarł mu do ust.

Zaciskam zęby. Powtarzam sobie, że jeśli nie pozwolę się sprowokować, straci zainteresowanie. Pójdzie sobie. Mogę to przez jakiś czas znosić, jeszcze kilka dni.

– Czyżby coś się stało? – pyta słodkim głosem Nicassia. Podchodzi do Cardana, przewiesza rękę przez jego ramię. – Ach, ziemia. Brud. Z niego się narodziłaś, śmiertelna. I już wkrótce do niego powrócisz. Pożyw się nim do syta.

– Spróbuj mnie zmusić – odpalam bez zastanowienia. Trudno to nazwać wyszukaną ripostą, ale dłonie zaczynają mi się pocić. Na twarzy Taryn widzę zaniepokojenie.

– No pewnie, jak mi się będzie chciało, to spróbuję – mówi tymczasem Cardan i uśmiecha się, tak jakby o niczym innym nie marzył. Moje serce bije szybciej. Gdybym nie miała na sobie tych koralików z jarzębiny, mógłby mnie zakląć – sprawić, żebym myślała, że ten brud to jakiś delikates, wyborny przysmak. Jedyne, co mogłoby go powstrzymać, to pozycja Madoka na dworze. Nie poruszam się, nie dotykam ukrytego pod tuniką jarzębinowego talizmanu, na którego moc liczę, aby powstrzymał działanie czarów. Przede wszystkim zaś liczę, że książę się nie zorientuje i nie zedrze go ze mnie.

Zerkam w stronę dzisiejszego wykładowcy, ale stary fukacz siedzi z nosem w książce.

Jako że Cardan jest księciem, najprawdopodobniej nigdy w jego życiu nikt nie zwrócił mu uwagi, nie mówiąc już o skarceniu. Nigdy nie wiadomo, jak daleko się posunie, i nie wiadomo, na co pozwolą mu preceptorzy.

– Nie lubisz tego, co? – pyta z udawanym współczuciem Valerian i teraz on kopniakiem wzbija ziemię, która sypie się na nasz posiłek. Nawet nie zauważyłam, kiedy podszedł. Kiedyś Valerian ukradł mi srebrne pióro, a wówczas Madok dał mi zamiast niego swoje własne, wysadzone rubinami. To wprawilo Valeriana w taką wściekłość, że trzasnął mnie w tył głowy drewnianym ćwiczebnym mieczem.

– Umówmy się, że będziemy dla was mili przez cały wieczór, ale pod warunkiem, że zjecie wszystko z koszyka do czysta, dobrze? – Fałszywy uśmiech od ucha do ucha. – Nie chcesz, żebyśmy byli waszymi przyjaciółmi?

Taryn spuszcza wzrok, a ja mam ochotę odparować: Nie. Nie chcemy takich przyjaciół.

Nie odpowiadam, ale też i nie odwracam wzroku. Spokojnie patrzę w oczy Cardana. Doskonale wiem, że w żaden sposób nie mogę ich powstrzymać. Nie mam tu żadnej władzy. Jednak dziś jakoś nie potrafię powstrzymać złości na własną bezsilność.

Nicassia wyciąga szpilkę z moich włosów, jeden z warkoczy opada mi na szyję. Odtrącam jej dłoń, ale poniewczasie.

– A to co takiego? – Przygląda się złotej szpili z główką w kształcie filigranowej kiści głogu. – Ukradłaś to? Myślałaś, że przez to staniesz się piękniejsza? A może ci się wydawało, że dzięki temu staniesz się taka jak my?

Przygryzam od środka policzek. Oczywiście, że chciałabym być taka jak oni. Są piękni jak klingi wykute w jakimś boskim ogniu. Będą żyć wiecznie. Włosy Valeriana lśnią jak polerowane złoto. Nogi i ramiona Nicassii są długie, mają doskonały kształt; jej usta są jak korale, a włosy barwy najchłodniejszych głębin oceanu. Loki o lisich oczach stoi za Valerianem i milczy; na jego twarzy widnieje wyraz wystudiowanej, uważnej obojętności, a podbródek ma równie spiczasty jak czubki uszu. Cardan zaś jest jeszcze piękniejszy niż pozostali. Jego czarne włosy lśnią jak skrzydło kruk, a kości policzkowe ma tak wyraźnie zarysowane, dość ostro, by rozciąć na pół serce dziewczyny. Jego nienawidzę bardziej niż pozostałych. Nienawidzę go tak strasznie, że czasem, gdy na niego patrzę, zapiera mi dech.

– Nigdy nam nie dorównacie – oznajmia Nicassia.

Przecież sama o tym dobrze wiem.

– Dajcie już spokój – wtrąca Loki, śmieje się beztrąsko, obejmuje ręką

kibić Nicassii. – Pozostawmy je w ich nędzy.

– Jude żałuje swoich słów – mówi szybko Taryn. – Obie bardzo przepraszamy.

– Niech pokaże, jak żałuje – rzuca Cardan. – Powiedz jej, że ma nie brać udziału w letnim turnieju.

– Boisz się, że wygram? – pytam, ale to nie był dobry pomysł.

– Ten turniej nie jest dla śmiertelników – powiadamia nas lodowatym głosem. – Wycofaj się, bo inaczej pożałujesz.

Otwieram usta, ale Taryn tym razem nie daje mi dojść do słowa.

– Przemówię jej do rozsądku. Przecież to tylko gra.

Nicassia uśmiecha się łaskawie do mojej siostry. Valerian bezwstydnie rozbiera ją wzrokiem.

– To wszystko jest tylko grą.

Znów napotykam spojrzenie Cardana i już wiem, że to jeszcze nie koniec, jeszcze mi pokaże, i to tak, że mi w pięty pójdzie.

– Po co im się tak stawiałaś? – pyta mnie Taryn, gdy już wracają do swojej radosnej biesiady rozłożonej na jedwabkach. – To po prostu głupota, tylko go prowokujesz.

Spróbuj mnie zmusić.

Boisz się, że wygram?

– Wiem – odpowiadam. – Będę trzymała buzię na kłódkę, tylko... No, wściekłam się.

– Lepiej, żebyś się bała zamiast się wściekać – poucza mnie siostra. Potem potrząsa głową i zgarnia zapaskudzone przez elfów jedzenie. Burczy mi w brzuchu, staram się to zignorować.

Wiem to doskonale, oni tego właśnie chcą. Pragną, żebym się bała. Podczas udawanej walki jeszcze tego samego popołudnia Valerian podstawi mi nogę, Cardan szepce mi szeptem do ucha. Wracam do domu z siniakami na skórze – od kopnięć i od upadków.

Oni natomiast nie zdają sobie sprawy z tego, że owszem, przerażają mnie, ale ja bałam się zawsze, odkąd się tu znalazłam, od pierwszego dnia. Dorastałam pod opieką potwora, który zamordował moich rodziców, a mnie porwał do tej potwornej krainy. Żyję z tym lękiem, nasiąkłam nim do szpiku kości – i mam to gdzieś. Gdybym nie udawała, że się nie boję, musiałabym na zawsze się schować pod pierzyną z sowiego puchu w siedzibie Madoka. Leżałabym i wrzeszczała, aż w końcu nic by ze mnie nie zostało. Na to nie

ma zgody. Niedoczekanie.

Nicassia myli się co do mnie. Nie pragnę dorównać im podczas tego turnieju, o tym pewnie marzyłyby tutejsze cudaki. Ja chcę zwyciężyć.

Nie, nie chcę być taka jak oni.

Chcę być od nich lepsza.

ROZDZIAŁ 5



Wdrodze do domu Taryn zatrzymuje się, bo nad brzegiem Jeziora Masek rosną czarne jagody. Siadam na kamieniu w księżycowej poświacie i pilnuję się, żeby nie patrzeć w wodę. To jezioro nie odbija twojej własnej twarzy – pokazuje ci kogoś innego, kto na nią patrzył albo kto na nią dopiero spojrzy. Kiedy byłam mała, całymi dniami przesiadywałam na brzegu jeziora w nadziei, że w końcu kiedyś zamiast elfowych grymasów wreszcie ujrzę twarz mojej matki.

To bolało tak bardzo, że w końcu przestałam próbować.

– Wycofasz się z turnieju? – pyta Taryn i wpycha do ust garść jagód. Jesteśmy głodnymi dziećmi. A przecież już jesteśmy wyższe od Vivi, mamy szersze biodra i cięższe piersi.

Otwieram koszyk, wyciągam brudną śliwkę. Ocieram ją o ubranie. Przecież nadal jest jadalna. Spożywam owoc bez pośpiechu.

– Co takiego? Niby z powodu Cardana i jego świty dupków?

Marszczy brwi, tak jak ja bym zmarszczyła swoje, gdyby to ona

powiedziała coś wyjątkowo głupiego.

– A wiesz, jak oni nas nazywają? „Stronictwo robaków”.

Rzucam pestkę do wody, patrzę na marszczące powierzchnię wody kręgi, dzięki którym nie może się ukazać żadne odbicie. Wykrzywiam usta.

– Zaśmiecasz magiczne jezioro – mówi mi siostra.

– Pestka zgnije – odpowiadam. – I my też. Pod tym względem tamci mają rację. Jesteśmy robakami, bo jesteśmy śmiertelne. Nie mamy całej wieczności, żeby czekać, aż nam pozwolą robić to, na co mamy ochotę. Mało mnie obchodzi, że nie życzą sobie mojego udziału w turnieju. Kiedy zostanę rycerzem, znajdę się poza ich zasięgiem.

– Myślisz, że Madok ci na to pozwoli? – pyta Taryn. Rezygnuje z jagód, bo pokaleczyła sobie palce cierniami. – Wtedy podlegałabyś komuś innemu niż on!

– Przecież właśnie do tego nas przygotowywał, tego nas uczył – mówię.

Bez słowa ruszamy w dalszą drogę do domu.

– Mnie to nie dotyczy – mówi Taryn, kręcąc głową. – Ja zamierzam się zakochać.

Jestem tak zaskoczona, że nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Ach, więc już postanowiłaś? Nie wiedziałam, że to tak działa. Wydawało mi się, że miłość przydarza się w najmniej oczekiwanym momencie, zupełnie jak guz na głowie.

– Owszem, taką powzięłam decyzję – oznajmia nadąsana.

Zastanawiam się przez chwilę, czyby nie przypomnieć jej o poprzednim postanowieniu, które nikomu nie wyszło na dobre – żeby dobrze się bawić podczas przyjęcia – ale to ją mogłoby tylko wkurzyć. Próbuję zamiast tego wyobrazić sobie kogoś, w kim mogłaby się zakochać. Może w jakimś wodniku? Otrzymałaby od niego dar oddychania pod wodą i perłową koronę i zabrałby ją do podwodnej łożnicy.

Prawdę mówiąc, brzmi to całkiem nieźle.

– Lubisz pływać? – pytam.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne.

Podejrzewa, że sobie z niej kpię, więc szturcha mnie łokciem.

Idziemy do Krzywolasu, gdzie rosną drzewa o powyginanych pniach, bo w Mleczlesie nocą jest zbyt niebezpiecznie. Musimy się zatrzymać, żeby przepuścić korowód maszerujących drzewołaków, mogłyby bowiem

rozdeptać którąś z nas, gdybyśmy znalazły się na ich drodze. Mech porasta ich barki aż do pokrytych korą policzków; wiatr świszczę w ich żebrach.

To piękny i wzniosły widok, gdy tak kroczą przed siebie.

– Jak jesteś taka pewna, że Madok wyrazi zgodę, to dlaczego go jeszcze nie poprosiłaś? – odzywa się szeptem Taryn. – Do turnieju zostały już tylko trzy dni.

W letnim turnieju walczyć może każdy, skoro jednak chcę zostać rycerzem, muszę to wszem i wobec oznajmić, przywdziewając zieloną szarfę. Jeśli Madok nie wyrazi na to zgody, na nic cała zręczność, bo nie będę kandydatką, więc nie zostanę wybrana.

Jestem zadowolona, że przemarsz drzewołaków daje mi wymówkę, żeby nie odpowiedzieć, bo oczywiście Taryn ma rację. Nie prosiłam jeszcze Madoka, bo obawiam się, że mi odmówi.

Gdy wracamy do domu, otwierają się wielkie drewniane okute żelazem wrota – słyszymy, jak na górze ktoś krzyczy, tak jakby stało się coś bardzo złego. Biegnę w stronę odgłosu z sercem na ramieniu, ale okazuje się, że to tylko Vivi, która odkryła w swoim pokoju rój żywiąt. Żywieta przemykają obok mnie jak eksplozja babiego lata i znikają w głębi korytarza, a Vivi zatrzaskuje księgę, którą zaganiała je do drzwi.

– Patrz! – woła do mnie, pokazując szafę. – Zobacz, co one narobiły.

Drzwi szafy są otwarte, widzę tam całe mnóstwo rzeczy skradzionych ze świata ludzi: zapalki, gazety, puste butelki, książki, polaroidy. Żywieta zrobiły sobie z pudełek od zapalek łóżka i stoły, podarły gazety na strzepy i wydrążyły książki, żeby wewnątrz nich urządzić sobie gniazdko. Prawdziwa inwazja.

Na mnie jednak o wiele większe wrażenie robi ta masa gratów znajdujących się w posiadaniu Vivi, najczęściej zresztą pozbawionych jakiegokolwiek wartości. Po prostu śmieci, śmieci ze śmiertelnego świata.

– A to co? – pyta Taryn, która właśnie weszła do pokoju. Pochyliła się, podnosi pasek zdjęć, które żywieta lekko tylko nadgryzły. Zdjęcia zrobione są jedno po drugim, pewnie w budce fotograficznej. Na zdjęciach jest Vivi, która obejmuje ramieniem roześmianą śmiertelną dziewczynę o różowych włosach.

Może nie tylko Taryn postanowiła się zakochać.



Podczas kolacji siedzimy przy wielkim stole rzeźbionym po bokach w fauny grające na fletach i tańczące chochliki. Grube świece stojące obok zdobionej kamiennej wazy pełnej szczawiu. Służące przynoszą srebrne talerze, na których piętrzy się jedzenie. Jemy fasolę, sarninę usianą nasionami granatu, brązowego pstrąga pieczonego na maśle, sałatę z leśnych ziół, a na deser ciasteczka z rodzynkami polane jabłkowym syropem. Madok i Oriana piją kanaryjskie wino; my, dzieci, rozcieńczamy je wodą.

Koło talerza mojego i Taryn stoi miseczka soli.

Vivi nacina swój kawałek sarniny, po czym oblizuje zakrwawiony nóż.

Dąb siedzi naprzeciwko niej, jest zachwycony i usiłuje ją naśladować, ale Oriana pospiesznie odbiera mu nóż, zanim dzieciak przetnie sobie język. Dąb śmieje się radośnie, łapie mięso w palce i rozszarpuje ostrymi zębami.

– Powinniście wiedzieć, że wkrótce król abdykuje, odstępując prawo do tronu jednemu ze swoich spadkobierców – powiadamia nas uroczyście Madok. – Prawdopodobnie wybierze księcia Daina.

To nie ma znaczenia, że Dain przyszedł na świat jako trzeci. Najwyższy władca wybiera sobie następcę wedle własnego uznania, w ten sposób zapewniając ciągłość panowania w Elfhame. Pierwsza najwyższa władczyni, czyli Mab, poleciła swojemu złotnikowi, by wykuł dla niej koronę. Wieść niesie, iż tym kowalem czy złotnikiem był stwór imieniem Grimsen, który umiał z metalu wykonać wszystko – śpiewające na całe gardło ptaki i naszyjniki, które potrafiły poderżnąć gardło; jego dziełem są także dwa miecze noszące imiona Heartseeker i Heartsworn, których cios nigdy nie chybia. Korona królowej Mab została magicznie i czarownie wykuta w taki sposób, że przejść może tylko do osoby spokrewnionej, ciągłość przekazu nie może zostać przerwana. Wraz z koroną na następcę tronu przechodzą też przysięgi złożone przez poprzedników, natomiast przy okazji każdej kolejnej koronacji gromadzą się wasale, by odnowić swój hołd wiernopoddańczy.

– Dlaczego abdykuje? – pyta Taryn.

Uśmiezek Vivi staje się naprawdę złośliwy.

– Jego dzieci się niecierpliwia, bo za długo żyje.

Przez twarz Madoka przemyka gniewny wyraz. Taryn i ja nie śmiemy tak

się z nim drażnić, obawiamy się, że mogłoby mu nie starczyć cierpliwości, natomiast Vivi wręcz przeciwnie, korzysta z każdej okazji, by mu dokuczyć. Widać, że kiedy jej odpowiada, z trudem panuje nad sobą:

– Niewielu królów rządziło tak długo jak Eldred. Nadszedł jednak czas, by ruszył na poszukiwanie Obiecanej Krainy.

O ile mogę się zorientować, Obiecana Kraina to eufemizm oznaczający po prostu śmierć, chociaż żaden z nich tego nie przyzna. Powiadają, iż jest to świat, z którego elfowie przybywają i do którego w końcu powracają.

– Chcesz powiedzieć, że rezygnuje z tronu, bo jest stary? – pytam, choć nie jestem pewna, czy nie popełniam ten sposób nietaktu. Są chochliki, które już się rodzą z pomarszczonymi twarzami bezwłosych kotów, ale też i długonogie wodnice, których prawdziwego wieku można się domyślać tylko po znużonym spojrzeniu ich cudnych oczu. Sądziłam, że czas nie ma dla nich znaczenia.

Oriana nie sprawia wrażenia zachwyconej, ale też mnie nie karci, więc może to nie było aż tak strasznie niegrzeczne. A może po prostu nie spodziewa się dobrych manier po kimś takim jak ja.

– Co prawda nie umieramy ze starości, ale z wiekiem ogarnia nas zmęczenie – wyjaśnia Madok i wzdycha. – Prowadziłem w imieniu Eldreda wiele wojen. Obalałem dwory, które nie złożyły mu wasalnego hołdu. Dowodziłem jego wojskami nawet podczas zmagania z siłami królowej Toni. Teraz jednak Eldred stracił upodobanie do rozlewu krwi. Pozwala, by pod jego sztandarami wzniecały się większe czy drobniejsze rokosze, podczas gdy inne dwory nie chcą już nam podlegać. Czas znowu stanąć do bitwy. Pora więc też na nowego monarchę, żadnego władcy.

Oriana lekko marszczy czoło.

– Twój bliscy woleliby, abyś trzymał się z daleka od niebezpieczeństw.

– Na co zda się wódz, kiedy nie ma wojny? – Madok unosi kielich i wypija łąpczywie potężny łyk wina. Ja tymczasem się zastanawiam, jak często musi nurzać swój kaptur we krwi. – Koronacja nowego króla odbędzie się podczas letniego przesilenia. Nie lękajcie się. Mam plan, jak zapewnić naszą przyszłość. Martwcie się tylko tym, że czeka was wiele tańców.

Ciekawa jestem tego planu, ale Taryn kopie mnie pod stołem. Kiedy spoglądam na nią, unosi obie brwi. „Poproś go” – nakazuje mi bezgłośnie.

Madok widzi to.

– Tak?

– Jude chce cię o coś poprosić – oznajmia Taryn. Najgorsze jest to, że w swoim mniemaniu wyświadcza mi przysługę.

Biorę głęboki wdech. Cóż, chyba przynajmniej jest w dobrym humorze.

– Myślałam o turnieju. – Już tyle razy wyobrażałam sobie, jak to mówię, ale kiedy wreszcie wypowiadam przygotowane słowa, brzmią zupełnie inaczej, niż zamierzałam. – Nieźle sobie radzę z mieczem.

– Zbytek skromności – odpowiada Madok. – Radzisz z nim sobie wyśmienicie.

To brzmi zachęcająco. Zerkam na Taryn, która jakby wstrzymuje oddech. Wszyscy przy stole ucichli, nie licząc Dęba, który stuka szklanką o talerz. – Będę walczyć w letnim turnieju. Chciałabym zadeklarować gotowość i chęć, by wybrano mnie do pasowania na rycerza.

Brwi Madoka się unoszą.

– Tego właśnie pragniesz? To niebezpieczny fach.

Przytakuję skinieniem głowy i dodaję:

– Nie boję się.

– Kto by przypuszczał – mówi.

Serce łomocze mi piersi. Przemyślałam swój plan pod każdym względem, pomijając tylko możliwość, że Madok się nie zgodzi.

– Chcę zdobyć sobie pozycję na dworze – mówię.

– Nie jesteś zabójcą – odpowiada.

Kurczę się w sobie. Madok spogląda na mnie spokojnie złotymi, kocimi oczami.

– Mogę się nim stać – nie daję za wygraną. – Ćwiczę od dziesięciu lat.

Odkąd mnie zabrałeś – tego nie mówię, ale na pewno widać to w moich oczach.

Kręci głową jakby ze smutkiem.

– Cecha, której ci brak, nie ma nic wspólnego z doświadczeniem.

– Nie, ale... – zaczynam.

– Ani słowa. Podjąłem decyzję – przerywa mi, podnosząc nieco głos. Po chwili milczenia lekko się uśmiecha, żeby złagodzić odmowę. – Jeżeli chcesz walczyć w turnieju, nie mam nic przeciwko temu, ale nie przywdziejesz zielonej wstęgi. Nie jesteś gotowa na to, żeby zostać rycerzem. Po koronacji możesz spytać mnie znowu, jeśli nadal takie będzie twoje życzenie. Jeśli zaś to tylko przelotny kaprys, upłynie dość czasu, żeby minął.

– To nie żaden kaprys!

Nie cierpię tej desperacji, którą słyszę w moim głosie. Liczyłam dni dzielące mnie od turnieju. Myśl, że trzeba będzie czekać jeszcze długie miesiące, a nie da się przy tym wykluczyć, że Madok znowu odmówi, napętnia mnie wściekłą rozpaczą.

Madok rzuca mi nieprzeniknione spojrzenie.

– Po koronacji – powtarza.

Miałabym ochotę wyrzeszczyć do niego: A czy wiesz, jak to trudno wciąż chodzić ze spuszczoną głową? Wciąż przełykać obelgi i nie reagować na otwarte pogrożki, a na tym przecież upływa całe moje życie. Wydawało mi się, że już w ten sposób czegoś dowiodłam. Jestem twarda. Sądziłam, że gdybyś zauważył, jak potrafię przyjąć, co mi się przytrafia, i nadal mieć uśmiech na twarzy, dostrzegłbyś, że jestem godna, by poddać się tej próbie.

Nie jesteś zabójcą.

Skąd on może wiedzieć, kim jestem?

Chociaż z drugiej strony, może i ja sama tego nie wiem. Może nie pozwalam sobie samej poznać samej siebie?

– Księżę Dain będzie wspaniałym królem – stwierdza Oriana, chcąc zmienić tok rozmowy i przywołując przyjemniejszy temat. – Koronacja oznacza bale przez cały długi miesiąc. Potrzebne nam będą nowe suknie. – Tak jakby w swej łaskawości uznała, że może to dotyczyć również Taryn i mnie. – Muszą być szczególnie wykwintne.

Madok kiwa głową, uśmiecha się swoim zębatym uśmiechem.

– Tak, tak, ile tylko zechcesz. Najpiękniejsze suknie i tańce do utraty tchu.

Staram się oddychać powoli, skupić się na jednym. Ziarna granatu na moim talerzu lśnią jak rubiny, są mokre od sarniej krwi.

Po koronacji – tak powiedział Madok. Tego muszę się trzymać. Tylko że to za bardzo brzmi jak „nigdy”.

Chciałabym mieć dworską suknię, podobną do jednej z tych, które widziałam w garderobie Oriany, z bogatymi haftami na złotogłowiach i srebrzystych tkaninach, wszystkie piękne jak poranek o świcie. I na tym też koncentruję swoje myśli.

Potem jednak wędruję w nich jeszcze dalej i wyobrażam sobie, jak w takiej sukni, z mieczem u boku, przeistoczona, przystaję do doborowego grona królewskich dworzan jako rycerz z Kręgu Sokołów. A Cardan spogląda na mnie z drugiego końca sali, stoi obok króla i drwi sobie z moich ambicji. Śmieje się ze mnie, bo wie, że to fantazja, która nigdy się nie spełni.

Szczypię się mocno w nogę, aż ból wszystko przesłania.

– Musicie zedrzyć w tańcu podeszwy, tak jak i my wszyscy – mówi Vivi do mnie i do Taryn. – Oriana się niepokoi, bo Madok powiedział, że macie tańczyć, i kto wie, czy będzie można was zatrzymać. Gorzej, może się okazać, że będziecie się przy tym dobrze bawić.

Oriana zaciska wargi.

– To nieprawda, niczego podobnego nie miałam na myśli.

Vivi wzdycha zniecierpliwiona.

– Gdyby to nie była prawda, nie mogłabym tego powiedzieć.

– Dostyc tego! – Madok mocno wali dłońią w stół. – Koronacja to czas, w którym wiele może się wydarzyć. Nadchodzi zmiana. I nie jest mądrym posunięciem, by mi się sprzeciwiać.

Trudno powiedzieć, czy ma na myśli księcia Daina, czy krnąbrne córki, czy i to, i to.

– Obawiasz się, że ktoś inny mógłby ubiegać się o tron? – pyta Taryn. Podobnie jak ja wychowała się, wciąż słysząc o strategiach, posunięciach i kontrposunięciach, zasadzkach i podstępach. Za to w przeciwieństwie do mnie, a podobnie jak Oriana, posiadała umiejętność zadawania pytań, które kierują konwersację ku mniej skalistym wybrzeżom.

– Tego niech się lęka ród Kolcowojów, ja nie mam czego się obawiać – odpowiada Madok, ale wygląda na zadowolonego z pytania. – Bez wątpienia niektórzy z ich poddanych życzyliby sobie, żeby nie było żadnej korony krwi i żadnego Najwyższego Króla. Spadkobiercy Eldreda powinni szczególnie zatroszczyć się o to, żeby zadowolone były elfowe armie. A dobry strateg czeka na właściwą sposobność.

– Tylko ktoś, kto nie ma nic do stracenia, porwałby się na tron, którego ty bronisz – oznajmia dumnie Oriana.

– Każdy zawsze ma coś do stracenia – mówi na to Vivi, po czym krzywi się paskudnie do Dęba. Dąb chichocze.

Oriana wyciąga rękę w jego stronę, ale się powstrzymuje. Przecież nie dzieje się nic złego. A jednak w kocich oczach Vivi widzę dziwny błysk i wcale nie jestem pewna, czy niepokój Oriany nie jest przypadkiem uzasadniony.

Vivi pragnęłaby ukarać Madoka, ale może mu tylko dokuczać, nic więcej. Między innymi w taki sposób, że drażni Oriane, zwracając uwagę na Dęba. Wiem, że Vivi kocha go, przecież w końcu jest naszym braciszkiem, ale to

nie znaczy, że miałyby się powstrzymywać przed nauczeniem go złych rzeczy.

Madok uśmiecha się, jest teraz w wybornym nastroju. Kiedyś mi się wydawało, że po prostu nie dostrzega napięć pojawiających się w jego rodzinie, ale z wiekiem zrozumiałam, że nabrzmiewające konflikty wcale go nie trapią. Przeciwnie, to mu się podoba, tak samo jak otwarta wojna.

– Być może nasi wrogowie nie są zbyt dobrymi strategami – mówi.

– Miejmy taką nadzieję – mówi Oriana z roztargnieniem, wciąż spoglądając na Dęba; unosi przy tym kielich kanaryjskiego wina.

– W rzeczy samej – podejmuje Madok. – Wzniesmy toast za nieudolność naszych przeciwników.

Sięgam po kielich i trącam nim kielich Taryn, a potem opróżniam do ostatniej kropelki.



Każdy ma coś do stracenia.

Myślę o tym przed świtem, rozważam na wszystkie sposoby. Wreszcie, kiedy dość już mam przewracania się z boku na bok, wkładam szlafrok na nocną koszulę i wychodzę na poranne słońce. Jaśniej jak rozpalone złoto, aż bolą mnie oczy, gdy siadam w koniczynie opodal stajni i patrzę w kierunku domu.

To wszystko, zanim należało do Oriany, było własnością mojej matki. Wtedy mama z pewnością była młoda i zakochana w Madoku. Chciałabym wiedzieć, jak to było, co wtedy czuła. Czy spodziewała się, że będzie szczęśliwa.

I kiedy zrozumiała, że jednak nie będzie.

Słyszałam plotki. To nie byle co, wprowadzić w błąd wodza naczelnego wojsk Najwyższego Króla, wykraść się z Elysium z dziecieniem w łonie i ukrywać się przez prawie dziesięć lat. Pośród zgliszcz zostawiła spalone szczątki innej kobiety. Nikt nie może powiedzieć, że nie była z niej twarda sztuka. Gdyby tylko szczęście jej sprzyjało trochę bardziej, Madok nigdy by się nie zorientował, że żyje nadal.

Pewnie miała wiele do stracenia.
Ja też pewnie mam sporo.
Tylko co z tego?



– Odpuśćmy sobie dzisiaj lekcje – mówię do Taryn po południu tego dnia. Wcześniej się ubrałam. Choć nie spałam, wcale nie czuję się zmęczona. – Zostańmy w domu.

Spogląda na mnie z głęboką troską, a tymczasem młody chochlik, który całkiem niedawno zadłużył się u Madoka, splata jej kasztanowe włosy w koronę. Moja siostra siedzi wyprostowana przed toaletką, cała w brązach i złocie.

– Jeżeli mówisz, żebym nie szła, to znaczy, że powinnam iść. Cokolwiek zamierzasz, daj sobie spokój. Wiem, że jesteś rozczarowana w związku z turniejem...

– To bez znaczenia – mówię, chociaż oczywiście to ma znaczenie. Nawet tak wielkie, że teraz, kiedy straciłam nadzieję na status rycerza, czuję, jakby rozwarła się podę mną otchłań i jakbym w nią spadała.

– Madok może zmienić zdanie. – Schodzi za mną po schodach, chwytając nasze koszyki, zanim zdążyłam to zrobić. – A teraz przynajmniej nie będziesz musiała rzucać wyzwania Cardanowi.

Odwracam się gwałtownie w jej stronę, chociaż w tym wszystkim nie ma za grosz jej winy.

– Wiesz, dlaczego Madok nie pozwala mi ubiegać się o pasowanie na rycerza? Bo myśli, że jestem słaba.

– Jude... – odzywa się moja siostra ostrzegawczym tonem.

– Sądziłam, że wystarczy, jeżeli jestem grzeczna i postępuję zgodnie z zasadami – mówię dalej. – Ale koniec z tym, koniec ze słabością. Koniec z byciem grzeczną dziewczynką. Chyba zostanę kimś zupełnie innym.

– Tylko idioci nie boją się tego, co jest niebezpieczne – mówi Taryn i z pewnością ma rację, ale tym mnie nie przekona.

– Nie idźmy dziś na lekcje – namawiam ją znowu, ale Taryn nie chce o tym słyszeć, więc idziemy razem do szkoły.

Taryn przygląda mi się z zatroskaniem, gdy rozmawiam z przywódczynią tej wojny na niby, czyli z Fand, nimfą o skórze koloru bławatków. Błękitnoskóra przypomina mi, że jutro czeka nas powtórka przed turniejem.

Kiwam głową w milczeniu. Nikt nie musi wiedzieć, że moje nadzieje legły w gruzach. Nikt nie powinien nawet się domyślać, że kiedykolwiek miałam jakieś nadzieje.

Potem, gdy Cardan, Loki, Nicassia i Valerian zasiadają do posiłku, muszą wszystko w wielkim pośpiechu wypluć, a dławią się przy tym i krztuszą, że aż strach. Wokół nich mniej obmierzłe elfowe dzieci zajadają się chlebem z miodem, wypiekami i pieczonymi gołąbkami, konfiturami z kwiatów dzikiego bzu, herbatnikami, serem i obfitymi winnymi gronami, natomiast wszystko, wszyścusięńko w koszykach moich wrogów zostało sowicie posolone.

Napotykam spojrzenie Cardana i nie mogę powstrzymać wrednego uśmiechu, który unosi kąciki moich ust. Jego oczy lśnią jak rozżarzone węgle, jego nienawiść jest jak żywy stwór przywołany z piekła, drga w powietrzu między nami jak powietrze nad czarną skałą w upalny letni dzień.

– Czyś ty zupełnie rozum postradała? – pyta mnie Taryn, szarpiąc za ramię, tak żebym musiała się do niej odwrócić. – W co ty się pakujesz? Nikt bez powodu im się nie stawia.

– Wiem – mówię cicho, wciąż nie mogąc powstrzymać tego upartego uśmiechu. – Jest nawet mnóstwo powodów.

Ma rację, że się niepokoi. Właśnie wypowiedziałam wojnę.

ROZDZIAŁ

6



Wszystko opowiedziałam nie tak. Powinnam najpierw wyjaśnić to i owo, żeby można było pojąć, jak to jest dorastać w Krainie Elfów. Pomięłam w mojej opowieści kilka istotnych spraw, głównie z powodu swojego tchórzostwa. Z zasady nawet nie pozwalałam sobie o nich myśleć. Może jednak, kiedy przybliżę kilka istotnych szczegółów z mojej przeszłości, łatwiej będzie pojąć, dlaczego jestem taka a nie inna, jak strach wsączył się i przesiąkł aż do szpiku moich kości. Jak nauczyłam się udawać, że go nie ma.

Krótko mówiąc, dotąd tego nie zrobiłam, a powinnam od razu opowiedzieć wam o trzech rzeczach. Oto one.

1. Kiedy miałam dziewięć lat, jeden z gwardzistów Madoka odgryzł czubek serdecznego palca mojej lewej dłoni. Byliśmy na dworze, a kiedy podniosłam wrzask, pchnął mnie tak mocno, że uderzyłam głową o drewniany słup w stajni. Potem kazał mi tam stać, podczas gdy

przeżuwał swój odgryziony przysmak. Obwieścił mi przy tym swoją nienawiść do śmiertelnych. Krwawiłam tak mocno – nigdy byście się nie domyślili, że z palca może polecieć tyle krwi. Gdy już pożarł, co miał pożreć, wyjaśnił, że dla własnego dobra mam milczeć, bo jeśli się wygada, pożre całą resztę mnie. A więc, rzecz jasna, nikomu o tym nie powiedziałam. Aż do dziś. Teraz wam to mówię.

2. Kiedy miałam jedenaście lat, pewien szczególnie znudzony przedstawiciel szlachetnie urodzonych elfów wypatrył mnie pod stołem podczas bankietu. Wywlekł mnie za nogę, choć kopałam i wyrywałam się. Chyba nie wiedział, kim jestem – przynajmniej staram się w to wierzyć. Tak czy inaczej, zmusił mnie do picia – więc piłam. Zielone wino elfów spływało jak nektar do mojego gardła. Potem wziął mnie w tan wokół wzgórza. Z początku była to nawet niezła zabawa, co prawda z gatunku tych, kiedy człowiek wrzeszczy, żeby go postawić na ziemi, bo mu się kręci w głowie i jest niedobrze. Potem jednak zabawa się skończyła, a ja nadal nie mogłam przestać, i to już było naprawdę straszne. Okazało się natomiast, że równie mocno bawi go moje przerażenie. Księżniczka Elowyn znalazła mnie pod koniec balu, rzygałam i płakałam. Nie spytała, w jaki sposób doprowadziłam się do takiego stanu, po prostu przekazała mnie Orianie jak pozostawiony gdzieś w roztargnieniu fragment ubioru. Nie powiedziałyśmy o tym Madokowi. Niby po co? Wszyscy, którzy mnie widzieli, prawdopodobnie sądzili, że wybornie się bawię.

3. Kiedy miałam czternaście lat, a Dąb cztery, rzucił na mnie urok. Niechący, a właściwie po prostu jeszcze nie rozumiał, że tego nie wolno robić. Nie miałam na sobie ochronnych amuletów, bo właśnie wyszłam z kąpieli. Dąb nie chciał iść do łóżka. Kazał mi bawić się ze sobą lalkami, więc się bawiliśmy. Kazał mi bawić się w berka, więc goniłam go po korytarzach. Potem wpadł na pomysł, żeby kazać mi się policzkować, bo to było bardzo śmieszne. Minęło parę godzin, nim na tej zabawie zastała nas Strzępka. Zobaczyła, jakie mam czerwone policzki, dostrzegła łzy w moich oczach, więc pobiegła po Oriane. Potem przez długie tygodnie rozbawiony Dąb usiłował rzucić na mnie kolejny urok – zmusić mnie do dawania mu słodczy albo żebym go

podniosła wysoko, najwyżej, jak tylko potrafię, albo żebym naplula na stół przy kolacji. Choć już nigdy więcej mu się to nie udało, bo potem już zawsze miałam na sobie korale jarzębiny, zdolna byłam tylko do tego, żeby nie cisnąć nim o podłogę. Oriana nigdy mi nie wybaczyła tego panowania nad sobą, bo jest przekonana, że skoro jeszcze się na nim nie zemściłam, to zamierzam zrobić to w przyszłości.

Oto dlaczego nie lubię tych historii: ukazują, jaka jestem bezbronna. Choćbym nie wiem jak się starała, zawsze w końcu popełnię kolejny błąd. Jestem słaba. Bezbronna. Śmiertelna.

To jest najgorsze ze wszystkiego.

Nawet gdybym jakimś cudem zdołała ich przewyższyć, nigdy nie będę jedną z nich.

ROZDZIAŁ 7



Nie zwlekają z odwetem.

Przez resztę popołudnia i wczesny wieczór wysłuchujemy lekcji historii. Goblin o kociej głowie imieniem Yarrow recytuje ballady i zadaje pytania. Im więcej udzielam prawidłowych odpowiedzi, tym większy wzbudzam gniew Cardana. Nie ukrywa swojego niezadowolenia, sarka głośno, zwracając się do Lokiego – narzeka, jakie to nudy na tej lekcji, po czym rzuca nauczycielowi pogardliwe spojrzenia.

Akurat tym razem skończyliśmy przed zapadnięciem zmroku. Taryn i ja ruszamy w drogę do domu, moja siostra spogląda na mnie z niepokojem. Blask zachodzącego słońca sączy się przez drzewa, oddycham głęboko, rozkoszując się aromatem sosnowych igieł. Czuję w sobie dziwny spokój, chociaż zrobiłam coś naprawdę głupiego.

– To nie w twoim stylu – odzywa się wreszcie Taryn. – Zazwyczaj nie wdajesz się w bójki.

– Nie ma sensu im ustępować – mówię i kopię kamienie. – Im więcej im

uchodzi na sucho, na tym więcej sobie będą pozwalać.

– To co, nauczysz ich moresu? – pyta Taryn i wzdycha. – Prawda, że ktoś powinien to zrobić, ale dlaczego akurat ty?

Ma rację, oczywiście, że ma rację, dobrze o tym wiem. Ślepa furia przeminie, a ja pożałuję tego, co zrobiłam. Pewnie kiedy porządnie się wyśpię, będę tak samo przerażona jak teraz Taryn. Wpakowałam się tylko w jeszcze gorsze kłopoty, chociaż zemsta sprawiła mi niemałą rozkosz.

Nie jesteś zabójcą.

Cecha, której ci brak, nie ma nic wspólnego z doświadczeniem.

Jednak w tej chwili niczego nie żałuję. Postąpiłam krok w kierunku przepaści i teraz pragnę tylko jednego – runąć w nią.

Mam się odezwać, kiedy czyjaś dłoń zasłania mi usta. Palce wpijają się w moją twarz. Walę na oślep, odwracam się gwałtownie i widzę, jak Loki chwyta Taryn za kibić. Ktoś trzyma mnie za rękę. Udaje mi się oswobodzić usta, więc krzyczę, ale krzyki w Krainie Elfów to jak śpiew ptaków, coś tak powszechnego, że nie zwraca niczyjej uwagi.

Ze śmiechem wloką nas pośród leśnej gęstwiny. Któryś z chłopaków wydaje okrzyk i chyba Loki mówi coś, że zaraz będzie po hecy, ale jego słowa giną w odgłosach ogólnej wesołości.

Potem mocne pchnięcie i okropny wstrząs, gdy zamyka się nade mną tafla lodowatej wody. Pluję, usiłuję łapać powietrze. W ustach mam smak błota i wodorostów. Dźwigam się na nogi. Taryn i ja stoimy po pas w rzece, a prąd spycha nas na głębiej, gdzie jest o wiele mocniejszy. Wbijam stopy w grząskie dno, żeby woda mnie nie porwała. Taryn trzyma się głazu, ma mokre włosy. Też musiała wpaść do wody z głową.

– W tej rzece są utopce – oznajmia Valerian. – Jeśli nie wyjdziecie, zanim was zwąchają, podpłyną do was pod wodą i przytrzymają. Ich ostre zęby wbijają się w waszą skórę.

Kłapie szczęką, jakby coś gryzł.

Stoją wszyscy na brzegu. Cardan najbliżej, Valerian obok niego. Loki muska dłońią pałki wodne i sitowie. Teraz już nie jest miły. Raczej znudzony zarówno swoimi przyjaciółmi, jak i nami.

– Utopce nic na to nie poradzą, że są takie – dodaje słodkim głosem Nicassia. Kopnięciem wzbija wodę, ochlapując mi twarz. – Tak samo jak i wy nic na to nie poradzicie, że utoniecie.

Zapieram się jeszcze mocniej w błocie. Przemoknięte buty są ciężkie,

trudno poruszyć nogą, ale dzięki temu łatwiej mi stać w miejscu. Nie wiem tylko, jak uda mi się dotrzeć do Taryn.

Valerian wysypuje zawartość naszych szkolnych tobołków na brzeg. Potem razem z Nicassią i Lokim wrzucają to wszystko do wody. Moje oprawne w skórę notesy. Zwoje papierów, które rozwijają się, tonąc w wodzie. Z pluskiem wpadają do rzeki zbiory ballad i opowieści, grzęzną między dwoma kamieniami i nieruchomieją. Moje drogocenne pióro i stalówki lśnią na dnie. Mój kałamarz rozbija się o kamienie, woda zabarwia się cynobrem.

Cardan przygląda mi się. Co prawda nawet nie kiwnął palcem, ale doskonale zdają sobie sprawę, że to jego dzieło. W jego oczach widzę cały bezmiar obłąkania złością.

– I co, dobrze się bawicie? – wołam w jego stronę. Ogarnia mnie taka furia, że zapominam się bać. – Podoba wam się taka zabawa?

– Ogromnie – odpowiada Cardan. Potem zerka w stronę, gdzie pod powierzchnią wody widać podłużne cienie. Czy to utopce? Trudno powiedzieć. Z wolna, uparcie, brnę w stronę Taryn.

– Tak, to wszystko tylko zabawa – powiada Nicassia. – Czasami tylko bawimy się za bardzo i od tego psują się zabawki, i wtedy już po nich.

– Ale przecież to nie my was potopimy – zastrzega Valerian.

Moja stopa ślizga się na kamieniu, w jednej chwili znajduję się pod powierzchnią wody. Porywa mnie prąd. Krztuszę się mętną wodą, w panice łapię powietrze. Chwytam dłonią korzeń drzewa. Udaje mi się odzyskać równowagę, kaszlę i pluję, dysząc ciężko.

Nicassia i Valerian śmieją się w głos. Wyraz twarzy Lokiego jest nieprzenikniony. Cardan stoi jedną nogą w trzcinach, żeby lepiej widzieć. Jestem wściekła i przemoczona, ale w końcu udaje mi się dobrnąć do Taryn. Moja siostra wychodzi mi na spotkanie, chwyta za dłoń i mocno ją ściska.

– Myślałam, że się utopisz – mówi, w jej głosie drży histeria.

– Nic nam nie będzie – zapewniam ją. Zapieram się znów stopami w mule, sięgam w dół. Udaje mi się znaleźć spory kamulec, oślizgły i porośnięty algami. – Jeżeli któryś utopiec spróbuje się do nas dobrać, tym go załatwię.

– Poddaj się – mówi Cardan. Patrzy prosto na mnie, na Taryn nawet nie raczy zerknąć. – Nie powinno było dojść do tego, że pobieracie nauki razem z nami. Porzuć myśl o turnieju. Powiedz Madokowi, że nie należycie do naszej sfery, bo jesteście niższymi istotami. Zrób to, a ja cię uratuję.

Wpatruję się w niego.

– Wystarczy, że się poddasz – mówi. – To łatwe.

Patrzę na siostrę. To moja wina, że jest przemoczona i przerażona. Pomimo letniego skwaru woda w rzece jest bardzo zimna, a prąd bardzo silny. – Taryn też wyratujesz?

– Ach, więc dla niej byś to zrobiła? – Cardan wpatruje się we mnie łapczywie, łakomie. – Czyż to nie szlachetne uczucie? – Urywa, w ciszy słyszę tylko płytki oddech Taryn. – Szlachetne czy nie?

Cały czas mam na oku utopców – pilnuję, czy któryś się nie poruszy.

– Nie będziesz mi mówił, jak powinnam się czuć.

– Ciekawa rzecz – mówi. Zbliża się jeszcze o krok, kuca. Teraz jego oczy są na tym samym poziomie co nasze. – W naszej krainie jest mało dzieci, a już nigdy nie widziałem bliźniaczek. Jak to jest, czy czujesz się podwójna, czy raczej to tak, jakby ktoś przeciął jedną osobę na pół?

Nie odpowiadam.

Widzę, jak za jego plecami Nicassia bierze Lokiego pod ramię i coś do niego szepcze. Odpowiada jej mrocznym spojrzeniem, ona robi nadąsaną minę. Pewnie złości ich, że nikt nas jeszcze nie zaczął zjadać.

– Siostra bliźniaczka – mówi Cardan ze zmarszczonym czołem. Teraz już spogląda na Taryn. Na jego ustach znów pojawia się uśmiech, co znaczy, że wpadł na kolejny okrutny pomysł, który go zachwycił. – A ty, czy byłabyś gotowa ponieść podobną ofiarę? Zaraz to sprawdzimy. Mam dla ciebie wspaniałomyślną propozycję. Wyjdź na brzeg i pocałuj mnie w oba policzki. Kiedy to zrobisz, o ile nie będziesz bronić swojej siostry słowem ani uczynkiem, nie będę cię obciążał winą za jej zuchwałość. Czyż to nie korzystna oferta? Najpierw jednak musisz przyjść do nas i zostawić ją, niech tonie. Pokaż jej, że zawsze będzie sama.

Przez chwilę Taryn stoi bez ruchu, jakby ją zamienili w kamień.

– Idź – ponaglę ją. – Ja sobie poradzę.

A jednak trochę mi przykro, kiedy wdrapuje się na brzeg. Ale to jasne, że powinna iść. Będzie bezpieczna, cena nie gra roli.

Jeden z ciemnych kształtów oddziela się od pozostałych i płynie w jej stronę, ale mój cień na wodzie sprawia, że się waha. Zamach kamieniem – wtedy się cofa. Utopce wolą łatwy łup.

Valerian podaje Taryn rękę, pomaga jej wyjść z wody, jakby była wielką damą. Jej suknia ocieka jak stroje menad i nimf wodnych. Dotyka zsiniałymi

wargami policzków Cardana, z jednej strony, z drugiej. Robi to z zamkniętymi oczami, ale on nie opuszcza powiek, cały czas mi się przygląda.

– Powiedz: wyrzekam się mojej siostry Jude – nakazuje jej Nicassia. – Nie udzielę jej pomocy. Wcale jej nie lubię.

Taryn zerka w moją stronę, przelotnie i przeprasza.

– Nie muszę. Tego nie było w umowie.

Tamci się śmieją.

Wysoki but Cardana rozchyła nadrzeczne zarośla. Loki otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Cardan nie dopuszcza go do głosu.

– Twoja siostra się ciebie wyrzekła. Widzisz, czego możemy dokonać za pomocą paru słów? A może być jeszcze dużo gorzej. Możemy cię zakląć, żebyś biegała na czworakach i szczekała jak pies. Możemy cię z czarować tak, że będziesz wędła z tęsknoty za pieśnią, której już nigdy nie usłyszysz, albo za dobrym słowem z moich ust. My nie jesteśmy śmiertelnikami. Złamiemy cię bez trudu. Jesteś bezbronną istotką, nawet nie musimy się wysilać. Poddaj się.

– Nigdy – odpowiadam.

Uśmiecha się chytrze.

– Nigdy? „Nigdy” to tak jak „zawsze” – coś nie do pojęcia dla ograniczonych umysłów śmiertelników.

Sylwetka pod wodą nie porusza się, prawdopodobnie prymitywna istota przypuszcza, że Cardan i pozostali to moi przyjaciele, którzy będą mnie bronić, jeśli zostanę zaatakowana. Czekam na następne posunięcie Cardana, obserwuję go uważnie. Mam nadzieję, że nadal wyglądam zuchwale i wyzywająco. Przygląda mi się przez długą, straszną chwilę.

– Myśl o nas, pamiętaj – odzywa się do mnie. – Pamiętaj o nas przez całą długą, przemoczoną i haniebną drogę do domu. Przemyśl swoją odpowiedź. Tylko tyle możemy dla ciebie zrobić.

Po tych słowach odwraca się, chwilę później odwracają się też pozostali. Oddala się, a w ślad za nim wszyscy pozostali.

Kiedy znikają mi z oczu, wydostaję się na brzeg, padam na plecy w błoto obok Taryn. Oddycham głęboko, głęboko. Utopce zaczynają się wynurzać, przyglądają się nam przez trzciny wygłodniałymi, opalizującymi ślepiami. Jeden zaczyna wypełzać na ląd.

Ciskam w niego kamieniem. Chybiam, ale plusk wystarcza, żeby go

onieśmielić. Nieruchomieje.

Stękam i zmuszam się do podniesienia i ruszenia przed siebie. Przez całą drogę, podczas gdy Taryn cicho pochlipuje, faktycznie myślę o nich – o tym, jak potwornie ich nienawidzę i jak nienawidzę samej siebie. A potem nie mogę już myśleć o niczym innym, tylko o tym, że dźwigam przemoczone buty, krok za krokiem, brnąc przez wrzosa i krzaki barwiących usta na czerwono jagód, przez berberysy i damaszki, przez pędy młodych paproci, przez wiązowy gaj, mijając leśne żywłta, które gniezdzą się w krzakach głogu, włokę się do kąpieli i łóżka w tym świecie, który nie jest mój i nigdy mój nie będzie.

ROZDZIAŁ

8



Głowa mi pęka, kiedy Vivienne bezceremonialnie mnie budzi. Wskakuje na łóżko, nogą zrzuca kołdrę, aż drewniana rama głucho skrzypi. Przyciskam poduszkę do twarzy i zwijam się w kłębek na boku, próbuję ją ignorować, marząc o powrocie do snu pozbawionego marzeń.

– Wstawaj, śpiochu – woła i ciągnie za prześcieradło. – Jedziemy do centrum handlowego.

Wydaję zduszony odgłos i macham ręką, żeby dała mi spokój.

– No, i już! – nakazuje, znów skacze.

– Nnnie – stękam, usiłując się zagrzebać w resztkach pościeli. – Muszę iść na powtórkę przed turniejem.

Vivi przestaje skakać, a ja zdaję sobie sprawę, że to, co powiedziałam, właśnie poprzedniego dnia przestało być prawdą. Nie muszę walczyć w turnieju. W każdym razie nie musiałabym, gdybym nie powiedziała głupio Cardanowi, że nigdy się nie poddam.

Co z kolei przypomina mi rzekę, utopców i Taryn.

I że ona miała rację, a ja spektakularnie i brawurowo, z wielkim rozmachem się myliłam.

– Jak będziemy na miejscu, postawię ci kawę. Słyszysz? Kawę z czekoladą i bitą śmietanką. – Vivi jest bezlitosna. – No, już, już, już! Taryn na nas czeka.

Gramolę się z łóżka. Wstaję, drapię się po biodrze. Gapię się na Vivi, która uśmiecha się do mnie najczarowniejszym ze swoich uśmiechów, a moja niechęć do całego świata mimo woli zaczyna zanikać. Vivi często postępuje samolubnie, ale robi to z takim radosnym wdziękiem, zachęcając przy tym wszystkich innych do wesołego samolubstwa, że czas w jej towarzystwie zawsze miło upływa.

Ubieram się szybko w najmodniejsze ciuchy, które trzymam w tyle szafy – dzinsy, workowaty szary sweter z czarną gwiazdą i parę srebrnych converse'ów do kostek. Włosy chowam pod wypchaną wełnianą czapkę i kiedy rzucam okiem na swoje odbicie w wysokim lustrze (oprawione w drewno, po obu stronach rzeźbione fauny gapią się szyderczo na człowieka), spogląda na mnie zupełnie inna osoba.

Pewnie taka, jaką bym była, gdyby mnie wychowano na człowieka.

Cokolwiek to znaczy.

Kiedy byłyśmy małe, wciąż rozprawiałyśmy o powrocie do świata ludzi. Vivi ciągle powtarzała, że gdy tylko nauczy się jeszcze trochę magii, będziemy mogły uciec. Znajdziemy sobie opuszczony dom, a ona zaczaruje ptaki, żeby się nami zaopiekowały. Będą nam kupować pizzę i cukierki, a do szkoły będziemy chodzić tylko wtedy, kiedy przyjdzie nam na to ochota.

Kiedy Vivi nauczyła się przechodzić do ludzkiego świata, rzeczywistość skorygowała nasze plany. Okazało się na przykład, że nawet zaczarowane ptaki nie są w stanie kupować pizzy.

Siostry czekały na mnie przy stajniach Madoka, gdzie podkute srebrnymi podkówkami rumaki sąsiadują z wielgachnymi ropuchami gotowymi do osiodłania i założenia wędzidła oraz z reniferami o szerokich porożach, na których wiszą dzwoneczki. Vivi ma na sobie czarne dzinsy i białą bluzkę, oczy schowała za lustrzanymi okularami słonecznymi. Taryn włożyła różowe legginsy, puszysty kardigan i wysokie buty.

Próbujemy naśladować dziewczyny widywane w ludzkim świecie i modelki z magazynów, i te, które widzujemy na ekranach klimatyzowanych

sal kinowych, gdy oglądamy filmy, zjadając słodczy tak słodkie, że aż bołą od nich zęby. Nie wiem, co myślą ludzie, którzy nas widzą. Dla mnie te ubrania są kostiumami, w których odgrywam cudzą rolę. Bawię się w te przebieranki na chybił trafił. Nie wiem, jakie skojarzenia wywołują u osób postronnych takie błyszczące, srebrne buty – tak samo jak dziecko przebrane za smoka nie ma najmniejszego pojęcia, co prawdziwy smok pomyślałby o kolorze jego łusek.

Vivi buszuje pośród krwawników, szukając odpowiednich łądyg. Kiedy je znajduje, podnosi jedną z nich do ust, dmucha i mówi:

– Wierzchowcu, powstań, by ponieść nas tam, gdzie ja ci każę.

Gdy wybrzmiewają te słowa, rzuca łądygę na ziemię, a krwawnik zmienia się w grubokościstego żółtego kuca o szmaragdowych oczach i grzywie przypominającej koronkowe listowie. Kucyk rzy dziwnym głosem. Vivi rzuca pozostałe łądygi i w chwilę potem już trzy kuce parskają, wciągają w chrapy powietrze i postukują kopytkami. Trochę przypominają małe konie morskie, mogą przemierzać zarówno ziemię, jak i powietrze, zależnie od tego, co rozkaże im Vivi. Zachowują swój czworonożny kształt przez cztery godziny, aby potem znów przekształcić się w łądygi.

Okazało się już dawno, że przebycie granicy między światem elfów i światem śmiertelnych nie jest takie znowu trudne. Elfowie żyją obok śmiertelników i pod nimi, w cieniu ich miast, a także w ich przesiąkniętych zepsuciem, zdezelowanych i przezartych przez robaki śródmieściach. Elfowie mieszkają na wzgórzach, w dolinach i kurhanach, alejach i opustoszałych ludzkich siedzibach. Vivi nie jest jedyną elfką z naszych wysp, która przekrada się na drugą stronę; zazwyczaj jednak przed spotkaniem ludzkich istot przywdziewają ludzkie stroje. Niecały miesiąc temu Valerian przechwalał się, że razem z przyjaciółmi za pomocą czarów nakłonili biwakujących turystów, żeby żarli suche liście przekonani, iż pałaszują największe smakołyki.

Dosiadam mojego krwawnikowego wierzchowca, obejmuję rękami jego szyję. Jest coś niesamowitego w tym, że kiedy ruszamy, dzieje się to wbrew jakimkolwiek zasadom obowiązującej mnie fizyki. Kuce uderzają kopytami o ziemię i wzbijają się w powietrze, ziemia i kobierzec wspaniałego lasu umykają w dół – zawsze szczerzę się wtedy od ucha do ucha, to silniejsze ode mnie: przyływ czystej adrenaliny!

Mam ochotę wydać dziki wrzask, ale zostało mi dość rozsądku, żeby się

powstrzymać.

Pędzimy nad klifem, a potem nad morzem; widzimy menady igrające w labiryncie spienionych fal i selkie unoszące się na przyboju. Przebywamy strefę mgły otaczającej wyspy i odgraniczającej je od śmiertelników oraz zasłaniającej wyspę przed ludzkimi oczami. Potem już zaraz jest drugi brzeg, a na nim park narodowy, dalej tereny golfowe i lotnisko dla prywatnych odrzutowców. Lądujemy w lasku po drugiej stronie szosy, naprzeciwko centrum handlowego Maine. Koszula Vivi trzepoce na wietrze podczas tego lądowania. Taryn i ja zsiadamy na ziemię. Vivi rzuca kilka słów, kucyki znów zmieniają się w trochę już przywiędłe łodyżki krwawnika.

– Musimy zapamiętać, gdzie zaparkowałyśmy – powiada Taryn, uśmiechając się łobuzersko. Ruszamy do centrum.

Vivi uwielbia to miejsce. Po prostu kocha sączyć koktajle z mango, przymierzać kapelusze i kupować, co jej w ręce wpadnie, za żółędzie, które przemienia w pieniądze. Taryn aż tak strasznie tego nie lubi, ale też się dobrze bawi, natomiast ja czuję się tutaj jak duch.

Kroczymy godnie przez JCPenney, tak jakby świat do nas należał (a nie należy), ale kiedy widzę zgromadzone do kupy ludzkie rodziny, zwłaszcza takie z rozwrzeszczanymi, rozchichotanymi dzieciakami, ogarnia mnie uczucie, które mi się nie podoba.

Złość.

Nie potrafię sobie wyobrazić powrotu do takiego życia, za to jak najbardziej snuję fantazje, że kiedyś się tu pojawię i tak ich wystraszę, że będą krzyczeć.

Oczywiście, tak naprawdę nigdy bym tego nie zrobiła.

To znaczy tak mi się wydaje, że tego bym nie zrobiła.

Taryn chyba widzi, jak patrzę na rozwrzeszczanego dzieciaka. W przeciwieństwie do mnie, Taryn posiada zdolność przystosowania się do okoliczności. Zawsze wie, co w danej chwili należy powiedzieć. Dałaby sobie radę, gdyby ktoś ją przeflancował z powrotem do tego świata, czuje się jak ryba w wodzie. Wkrótce się zakocha, tak jak mówiła. Przeistoczy się w żonę lub towarzyszkę życia i wychowa elfowe dzieci, które będą ją uwielbiać i przeżyją wiele stuleci. Jediną przeszkodą na drodze do jej szczęścia jestem tylko ja.

Naprawdę, lepiej dla wszystkich, że nie umie czytać w moich myślach.

– Słuchajcie – odzywa się Vivi. – Jesteśmy tutaj, bo wy obie potrzebujecie

się odprężyć, rozerwać i poprawić sobie humor. Może więc postarajcie się być w lepszym humorze.

Patrzę na Taryn, biorę wdech, gotowa ją przeprosić. Nie wiem, czy Vivi właśnie o to chodziło, ale odkąd wstałam, wiem, że powinnam to zrobić.

– Wybacz – udaje mi się wybełkotać.

– Pewnie jesteś na mnie wściekła – mówi jednocześnie Taryn.

– Na ciebie? – Dziwię się.

Taryn ma markotną minę.

– Przysięgam Cardanowi, że ci nie pomogę, a przecież tego dnia poszłam z tobą, żeby ci pomóc, jakby co.

– Naprawdę, Taryn, przede wszystkim to ty masz prawo się na mnie wściekać, bo przecież przeze mnie wylądowałaś w tej wodzie. Postąpiłaś rozsądnie, tak, jak należało postąpić. W życiu bym ci czegoś takiego nie miała za złe.

– Och – mówi. – No dobra.

— Taryn opowiedziała mi, jak załatwiłaś księcia – mówi Vivi. Widzę w jej okularach przeciwśłonecznych swoje odbicie, podwójne, a właściwie poczwórne, bo za mną stoi Taryn. – Całkiem nieźle, ale musisz go jeszcze gorzej urządzić, dużo gorzej. Mam kilka pomysłów.

– Nie! – wtrąca gwałtownie Taryn. – Jude niczego nie musi robić. Było jej tylko przykro z powodu Madoka i turnieju. Jeżeli przestaniemy na nich zwracać uwagę, oni znów będą ją ignorować. Może nie od razu, ale w końcu – tak.

Przygryzam wargę, bo coś mi się zdaje, że nie jest to prawda.

– Zapomnij o Madoku. Poza tym całe takie rycerstwo to straszne nudy – stwierdza Vivi, kilkoma słowami zbywając coś, do czego dążyłam przez lata. Wzdycham. Wkurza mnie to, ale z drugiej strony, trochę podnosi na duchu fakt, że jej zdaniem to nic takiego, chociaż ja czuję się przytłoczona rozmiarami klęski.

– Powiedz lepiej, co chcesz zrobić? – pytam Vivi, żeby skończyć rozmowę na ten temat. – Idziemy na film? Chcesz wypróbować szminki? Nie zapomnij, że obiecałaś mi kawę.

– Chcę, żebyście poznały moją dziewczynę – mówi na to Vivi. Przypominam sobie dziewczynę o różowych włosach, tę ze zdjęć. – Zaproponowała, żebym się do niej przeprowadziła.

– Tutaj? – pytam, jakby mogło chodzić o jakieś inne miejsce.

– Masz na myśli centrum handlowe? – Vivi śmieje się, widząc nasze zdumienie. – Tutaj się spotkamy dzisiaj, ale zamieszkamy chyba jednak gdzie indziej. Heather nie wie, że istnieje coś takiego jak elfowie, więc się nie wygadajcie, dobra?

Kiedy Taryn i ja miałyśmy po dziesięć lat, Vivi wreszcie się nauczyła, jak wyczarowywać konie z krwawnika. Kilka dni potem uciekłyśmy od Madoka. Na stacji benzynowej Vivi rzuciła urok na jakąś przypadkową kobietę, żeby nas zabrała ze sobą do domu.

Nadal pamiętam otumanioną, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz tamtej istoty siedzącej za kierownicą. Chciałam, żeby się uśmiechnęła, więc się wygłupiałam, jak mogłam, ale na jej obliczu nie drgnął nawet jeden mięsień. Noc spędziłyśmy u niej w domu; pochorowałyśmy się, bo na kolację zjadłyśmy tylko mnóstwo lodów. Usnęłam, zapłakana, wtulona w chlipiącą Taryn.

Potem Vivi znalazła dla nas pokoik z wnęką kuchenną w jakimś motelu, nauczyłyśmy się przyrządzać gotowy makaron z serem. Parzyłyśmy kawę w dzbanku, pamiętałyśmy ten zapach z naszego dawnego domu. Oglądałyśmy telewizję i kąpałyśmy się w basenie z innymi dziećmi z motelu.

Było okropnie.

Wytrzymałyśmy w ten sposób dwa tygodnie, aż wreszcie Taryn i ja zaczęłyśmy błagać Vivi, żeby zabrała nas do domu, z powrotem do Krainy Elfów. Tęskniłyśmy za naszymi łóżkami, za jedzeniem, do którego przywykłyśmy, za magicznym światem.

Myślę, że Vivi była zrozpaczona, ale zrobiła to. I została z nami. Cokolwiek by o niej powiedzieć, kiedy sprawy przybierały niepokojący obrót, można było na nią liczyć.

Pewnie nie powinnam się dziwić – to zrozumiałe, że nie zamierzała na zawsze z nami zostać.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? – pyta Taryn.

– Przecież właśnie wam powiedziałam – odpowiada Vivi.

Wędrujemy za nią wzdłuż wystaw sklepowych; na ekranach migają zapętlone sceny z gier, dalej można podziwiać manekiny w bikini, potem wieczorowe suknie do ziemi, stoisko z preclami, za nim wielki sklep z ładami, na których piętrzą się stopy kryształowych serduszek gwarantujących szczęście w miłości. Mijają nas ludzie, grupki chłopaków

w dresach, jacyś starsi państwo trzymający się za ręce.

– Ale dlaczego wcześniej nie powiedziałaś? – upiera się Taryn.

– Posłuchajcie, jaki mam pomysł, żeby poprawić wam nastrój – opowiada Vivi. – Przeprowadźmy się do ludzkiego świata. Zamieszkamy u Heather. Jude nie musi się przejmować, że nie wolno jej być rycerzem, a Taryn nie musi rzucać się w ramiona jakiegoś głupiego golfowego gówniarza.

– A czy wtajemniczyłaś w ten plan Heather? – pyta sceptycznym tonem Taryn.

Vivi z uśmiechem kręci głową.

– Pewnie – wtrącam, próbując wszystko obrócić w żart. – Kłopot w tym, że nie posiadam żadnych przydatnych na tutejszym rynku pracy kwalifikacji. No, chyba że weźmiemy pod uwagę szermierkę i układanie zagadek, ale obawiam się, że z tego kiepsko nam się będzie żyło.

— W tym świecie wyrosłyśmy – nalega Vivi; wskakuje na ławkę i idzie po niej, zachowuje się jak modelka na wybiegu. Zsuwa okulary na czoło. – Szybko znów się przyzwyczaiacie.

– W tym świecie to ty wyrosłaś, nie my.

Kiedy nas zabrano, miała już dziewięć lat, więc rzeczywiście pamięta dużo więcej z ludzkiego świata. To niesprawiedliwe, bo jednocześnie to właśnie ona posiada zdolności magiczne.

– Elfowie zawsze będą was traktować jak gówno – mówi Vivi, po czym zeskakuje z ławki, zastępując nam drogę, jej kocie oczy lśnią dziwnym blaskiem. Jakaś pani z wózkiem lawiruje, żeby nas wyminąć.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Nie patrzę w te jej oczy, koncentruję się na wzorze, w jaki układają się płytki podłogowe.

– Oriana zachowuje się tak, jakby to, że jesteście śmiertelniczkami, było jakąś zdumiewającą niespodzianką, która nieodmiennie zaskakuje ją każdego ranka – wyjaśnia Vivi. – A Madok zamordował naszych rodziców, to nie jest nic fajnego. No i jeszcze w szkole ta banda branzlerów, o których nie lubicie rozmawiać.

– Właśnie o nich mówiłam – mówię z naciskiem, żeby nie dać jej tej satysfakcji, że to, co powiedziała o naszych rodzicach, zrobiło na mnie wrażenie. Vivi zachowuje się tak, jakbyśmy tego nie pamiętały – jakbyśmy mogły kiedykolwiek o tym zapomnieć. To znaczy, jakby to była jej osobista tragedia i nie dotyczyła nikogo innego.

– Mówiłaś, ale niechętnie. – Vivi jest wyraźnie bardzo zadowolona z tej

akurat riposty. – Naprawdę myślałaś, że gdybyś została rycerzem, twoja sytuacja by się poprawiła?

– Nie wiem – przyznaję.

Vivi odwraca się do Taryn.

– A ty?

– Obie znamy tylko Krainę Elfów – mówi Taryn i podnosi dłoń, żeby zamknąć już temat. – Tutaj nie mamy nic. Nie ma biesiad ani magii, ani...

– Ja tam wolę ten świat – ucina Vivi i rusza przed siebie, w stronę sklepu Apple'a.

Oczywiście już wielokrotnie o tym rozmawialiśmy i Vivi zawsze powtarzała, że to głupota z naszej strony – tak nie móc się oprzeć obfitości wrażeń, których dostarcza Kraina Elfów. Co to za pomysł, żeby obrać za swoją ojczyznę świat, w którym bezustannie grozi tak wiele niebezpieczeństw. Może to stąd, że tak się wychowałyśmy i to, co złe, wydaje nam się dobre. A może jesteśmy tak samo głupie jak każdy inny durny śmiertelnik, który gotów jest oddać życie za jeszcze jeden kęs goblinowego owocu. A może to wszystko jedno?

Przed wejściem stoi dziewczyna, bawi się telefonem. To ta – stwierdzam myśli. Heather jest drobna, ma blad różowe włosy i brązową skórę. Ma na sobie T-shirt z ręcznie namalowanym wzorkiem. Widzę plamy od tuszu na jej palcach. Nagle dociera do mnie, że może to artystka, że to ona narysowała komiksy, którymi zaczytuje się Vivi.

Już mam dygnąć, ale reflektuję się w ostatniej chwili i niezdarnym gestem wyciągam do niej rękę.

– Jestem Jude, siostra Vivi – odzywam się. – A to jest Taryn.

Dłoń dziewczyny jest wiotka i ciepła, uścisk właściwie nieodczuwalny.

Zabawne, że Vivienne, która ze wszystkich sił stara się nie być podobna do Madoka, zakochała się w śmiertelnicy. Tak właśnie jak on.

– Jestem Heather – przedstawia się dziewczyna. – Cieszę się, że mogłam was poznać. Vi prawie nigdy nie mówi o swojej rodzinie.

Spoglądamy z Taryn na siebie. Vi? Aha.

– Chcecie gdzieś usiąść czy coś? – pyta Heather, spoglądając w stronę dziedzińca z jedzeniem.

– Ktoś jest mi winny kawę – mówię z naciskiem, patrząc na Vivienne.

Zamawiamy, siadamy, pijemy. Heather opowiada nam o sobie. Studiuje sztuki piękne. Mówi, jakie lubi komiksy i jakiej muzyki słucha.

Odpowiadamy wymijająco na jej pytania. Kłamiemy. Kiedy Vivienne wstaje, żeby wrzucić rzeczy z tacy do śmietnika, Heather pyta nas, czy jest pierwszą dziewczyną Vivienne, którą poznałyśmy.

Taryn potwierdza i dodaje:

– To znaczy, że musi cię bardzo lubić.

– A czy to też znaczy, że będę mogła was odwiedzić? Moi starzy już wszystko przygotowali, żeby Vi się do mnie wprowadziła. A ja cały czas nie znam waszych rodziców, jak to się stało?

O mało nie parskam do kawy.

– A czy ona ci opowiadała w ogóle cokolwiek o naszej rodzinie?

Heather wzdycha.

– Nie.

– Bo widzisz, nasz tato jest naprawdę bardzo konserwatywny – mówię.

Jakiś chłopak – czarne włosy zlepione w kolce, łańcuch przy pasku – przechodzi obok nas, uśmiecha się w moją stronę. Nie mam pojęcia, czego chce. Może to jakiś znajomy Heather. Ona jednak nie zwraca na niego uwagi. Nie odwzajemniam jego uśmiechu.

– Czy on chociaż wie, że Vi jest bi? – pyta zdumiona Heather, ale tym momencie wraca już Vivi, więc nie musimy dalej zmyślać. Zabawne, bo akurat to, że Viki ma skłonności zarówno do dziewczyn, jak i do chłopców, jest z tego wszystkiego chyba jedyną rzeczą, za którą Madok by się na nią nie gniewał.

Potem łazimy sobie w czwórkę po centrum handlowym, próbujemy kolorowych szminek i objadamy się jabłuszkowymi lizakami w cukrze, od których zielenieje mi język. Od tej rozkosznej chemii dostojni panowie i damy dworu niewątpliwie dostaliby niestrawności.

Heather jest chyba fajna. Heather nie ma jednak pojęcia, w co się wpakowała. Koło Newbury Comix nadchodzi czas grzecznych pożegnań. Vivi obserwuje, jak trzy dzieciaki wybierają wodogłowe figurki z serii bobblehead. Powiedziałabym wręcz, że chłonie ten widok. Zawsze mnie zastanawiało, co myśli, gdy znajduje się wśród ludzi. W takich chwilach przypomina mi wilka, który próbuje przez obserwację poznać obyczaje owiec. Kiedy jednak całuje Heather, robi to absolutnie szczerze.

– Dziękuję, że dla mnie kłamałaś – mówi Vivi, gdy już wracamy.

– Kiedyś będziesz musiała jej wszystko powiedzieć – mówię. – Oczywiście o ile traktujesz ją poważnie. To znaczy jeżeli rzeczywiście

chcesz się przenieść do śmiertelnego świata i z nią być.

– Zresztą wtedy i tak będzie chciała poznać Madoka – stwierdza Taryn; obie doskonale wiemy, dlaczego Vivi chce za wszelką cenę się od tego wykręcić.

Vivi kręci głową.

– Miłość to szlachetna materia. Czy cokolwiek uczynione dla szlachetnej sprawy może być niewłaściwe?

Taryn przygryza wargę.

Przed odjazdem musimy jeszcze wpaść do CVS, gdzie kupuję tampony. Zawsze przy tej okazji uświadamiam sobie, że choć elfowie wyglądają jak my, są zupełnie odrębnym gatunkiem. Nawet Vivi. Dzielę zapas na pół, drugą porcję wręczam Taryn.

Wiem, co was ciekawi. Nie, elfki nie mają krwawienia co miesiąc, ale owszem, w ogóle mają. Raz w roku. No, czasami nawet rzadziej. A radzą sobie wtedy głównie za pomocą wpychania sobie bawełny... No i owszem, to nie jest najlepszy sposób. I owszem, wszystko to strasznie krępujące.

Idziemy przez parking w stronę naszych łodyg krwawnika, kiedy koleś mniej więcej w naszym wieku dotyka mojego ramienia. Ciepłe palce chwytają mnie za nadgarstek.

– Hej, laska. – Ogarniam wzrokiem jego postać: zbyt obszerna czarna koszulka, dzinsy, łańcuch przy pasku, zlepione czarne włosy. Błysk taniego noża w cholewie wysokiego buta. – Widziałem cię wcześniej, pomyślałem sobie...

Odwracam się w jego stronę i zanim cokolwiek myślę, moja pięść ląduje na jego szczęce. Kopię go z całej siły w brzuch, aż kuli się z bólu na chodniku. Nagle zdaję sobie sprawę, że stoję nad chłopakiem, który z trudem chwytając powietrze i zaraz podniesie wrzask. Podnoszę nogę, żeby kopnąć go w gardło i zmiażdżyć mu krtań. Śmiertelnicy wokół patrzą na mnie ze zgrozą. Nerwy mam rozedrgane, ale to miłe rozedrganie. Gotowa jestem na więcej.

Obawiam się, że ktoś próbował mnie poderwać.

Nawet nie pamiętam, w której chwili podjęłam decyzję, żeby uderzyć.

– No, chodź! – Taryn szarpie mnie za ramię, potem wszystkie trzy biegniemy. Słysząc jakieś krzyki.

Spoglądam za siebie. Kumpel chłopaka rzucił się w pogoń za nami.

– Ty kurwo! – woła. – Pierdolnięta kurwo! Milo krwawi!

Vivi rzuca szeptem kilka słów, macha ręką za siebie. Nagle chwasty

wydają się dużo wyższe i gęstsze, ich korzenie rozpychają szczeliny w asfalcie. Chłopak staje jak wyryty, jakiś samochód mija go pędem, a on jest już zupełnie otumaniony. Jakby ktoś na niego rzucił urok, tak się to określa. Idzie między zaparkowanymi samochodami i nie ma pojęcia dokąd i po co. Jeśli nie wywróci swojego ubrania na nice, a raczej nie należy się spodziewać, żeby znał tę sztuczkę, nigdy nas nie wytropi. Stoimy na skraju parkingu, Vivi jest bardzo rozbawiona.

– Madok byłby taki dumny. Jego mała dziewczynka dobrze się sprawia, widać, że nauki nie poszły na marne – mówi. – Bohatersko odparła potworną próbę podrywu.

Wciąż jestem zbyt ogłupiała, żeby coś powiedzieć. Przywalenie temu koleśowi było jedną z najuczciwszych rzeczy, jakie ostatnio zrobiłam. Czuję się lepiej niż świetnie. Przejawia się to w taki sposób, że nie czuję nic, tylko wspaniałą pustkę.

– Sama widzisz – zwracam się do Vivi. – Nie mogę wrócić do tego świata. Sama widzisz, co bym z nim zrobiła.

I na to Vivi nie ma odpowiedzi.



Przez całą drogę do domu i później, w szkole, myślę o tym, co się stało. Nauczyciel z nadbrzeżnego dworu wyjaśnia nam, jak wszystko śmiertelne więdnie i umiera. Cardan rzuca mi znaczące spojrzenie, gdy wykładowca tłumaczy, co to jest rozkład, gnicie. Ja natomiast myślę o tym spokoju, który mnie ogarnął, kiedy uderzyłam tamtego chłopaka, i o letnim turnieju.

Marzyłam, że będzie to mój teren. Żadne pogróżki Cardana nie zdołałyby mnie powstrzymać przed włożeniem złotego warkocza i walką z całych sił. Teraz te pogróżki stały się jedynym powodem, żeby jednak wziąć udział w walce, wyłącznie dla perwersyjnej satysfakcji, że się nie wycofałam.

W czasie przerwy na posiłek Taryn i ja wspinamy się na drzewo, aby pożywić się serem i ciasteczkami owsianymi posmarowanymi dżemem z czeremchy.

Fand woła mnie z dołu; chce wiedzieć, dlaczego nie stawiałam się na próbie generalnej przed udawaną wojną.

– Bo zapomniałam – wołam do niej. Nie jest to zbyt wiarygodne, ale co mnie to obchodzi.

– Ale jutro będziesz? – pyta Fand. Gdybym się wycofała, trzeba by przeorganizować drużyny.

Taryn spogląda na mnie z nadzieją, że może jakimś cudem odzyskałam zdrowy rozsądek.

– Pewnie, że będę – odpowiadam spokojnie. Zmusza mnie do tego moja duma.

Lekcje już prawie się kończą, kiedy dostrzegam Taryn stojącą obok Cardana w pobliżu głogów. Płacze. To znaczy, że nie dość uważałam, że byłam zbyt zajęta pakowaniem naszych książek i innych rzeczy. Nawet nie widziałam, jak Cardan bierze moją siostrę na bok. Wiem, nie musiał jej namawiać, wystarczył byle pretekst – bo ona wciąż wierzy, że kiedy będziemy robić, co oni zechcą, znudzą się i zostawią nas w spokoju. Może zresztą ma rację, ale mało mnie to obchodzi.

Łzy płyną po jej policzkach.

A we mnie rozwiera się otchłań wściekłości.

Nie jesteś zabójcą.

Na pewno?

Rzucam książki i ruszam do nich przez wysoką trawę. Cardan na pół odwraca się w moją stronę, a ja popycham go tak mocno, że uderza plecami o drzewo. Widzę, jak jego oczy rozwierają się szeroko.

– Nie wiem, co jej powiedziałaś, ale nie waż się zbliżyć do mojej siostry – mówię, wciąż trzymając rękę na jego aksamitnej kamizelce. – Dałeś jej słowo.

Czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Wstrzymany oddech.

Przez chwilę Cardan tylko się na mnie gapi z głupim wyrazem kruczycy oczu, potem unosi się kącik jego ust.

– No – mówi. – Tego to naprawdę pożałujesz.

Chyba nie zdaje sobie sprawy z mojej wściekłości ani jakie to rozkoszne, kiedy człowiek przestaje czegokolwiek żałować.

ROZDZIAŁ 9



Taryn nadal nie chce mi powiedzieć, co takiego usłyszała od księcia Cardana. Powtarza tylko w kółko, że to nie miało nic wspólnego z mną, że wcale nie złamał obietnicy, bo nie obarczał jej winą za moje postęпки, no i żebym zapomniała o niej i martwiła się swoimi sprawami.

– Jude, odpuść sobie.

Siedzi w swoim pokoju przed kominkiem, pije pokrzywowy napar z kubka w kształcie zwiniętego węża, z którego ogona wykonana jest rączka. Ma na sobie szlafrok, szkarłatny, dopasowany kolorem do migoczących płomieni. Czasem, gdy na nią patrzę, wydaje mi się niemożliwe, że ta twarz jest także moją twarzą. Ona jest delikatna, śliczna jak jakaś dziewczyna z obrazka. Jak dziewczyna, która dobrze się czuje we własnej skórze.

– Wystarczy, że mi zdradzisz, co powiedział – nalegam.

– Nie ma nic do opowiadania – odpowiada Taryn. – A poza tym wiem, co robię.

– A co niby robisz? – pytam z uniesionymi brwiami, ale ona tylko

wzdycha.

Przechodzimy to już trzeci raz. Ja wciąż myślę o tym, jak Cardan leniwie zamrugnął węgielkami swoich oczu i wyglądał na zachwyconego, jakby właśnie życzył sobie dokładnie tego, co się stało. Gdybym go uderzyła, zrobiłabym to dlatego, że mnie zmusił.

– Nie dam ci spokoju w dzień ani w nocy, od szczytów gór po morskie dno – mówię i trącam ją w ramię. – Będę cię ścigać po tych wyspach, aż wreszcie coś mi powiesz.

– Myślę, że obie byśmy lepiej na tym wyszły, gdyby nikt inny nie widział – mówi i upija spory łyk pokrzyw.

– Co? – zaskakuje mnie, nie wiem, co odpowiedzieć. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chodzi mi o to, że może jakoś bym to zniosła, dokuczanie i to, że się rozpląkałam, gdybyś ty o tym nie wiedziała. – Rzuca mi uważne spojrzenie, jakby chciała sprawdzić, ile prawdy można mi powiedzieć. – Nie mogę udawać, że miałam miły dzień, skoro ty byłaś świadkiem, co się naprawdę stało. Czasem za to cię nie lubię.

– Jesteś niesprawiedliwa! – wołam.

Macha ręką.

– Wiem. Właśnie dlatego to mówię. Ale nieważne, co Cardan powiedział. Ja chcę udawać, że tego wcale nie było, więc chcę, żebyś ty też udawała. Żadnego przypominania, żadnych pytań, żadnych połajanek.

Ubodła mnie do żywego. Podchodzę do gzymsu kominka, opieram głowę o rzeźbiony kamień. Nie zliczę, ile razy mówiła, że szukanie zwady z Cardanem i jego przyjaciółmi to głupota. Tymczasem, wnioskując z tego, co mówi, jej płacz dziś po południu nie ma nic wspólnego ze mną. A to znaczy, że wpakowała się w jakieś kłopoty na swój własny rachunek.

Taryn lubi dawać rady, tylko nie jestem pewna, czy sama się do nich stosuje.

– To czego chcesz? Co mam zrobić? – pytam.

– Chcę, żebyś ułożyła sobie z nim stosunki – odpowiada mi na to. – Po stronie księcia Cardana jest władza. Nie możesz z nim wygrać. Choćbyś była nie wiem jak dzielna, bystra czy nawet okrutna. Skończ z tym, Jude, zanim on cię naprawdę skrzywdzi.

Patrzę na moją siostrę i nie rozumiem. Czy do niej nie dociera, że teraz już się nie da uniknąć gniewu Cardana? Kości zostały rzucone, mosty spalone.

– Nie mogę – odpowiadam.

– Słyszałaś, co ksiązę Cardan powiedział wtedy, nad rzeką. On tylko chce, żebyś się poddała. To, że się go nie boisz, uwłacza jego godności, podważa jego pozycję. – Chwyta mnie za nadgarstek, przyciąga do siebie. Czuję w jej oddechu ostry zapach ziół. – Powiedz mu, że wygrał, a ty przegrałaś. To tylko słowa. Nie musisz tego mówić szczerze.

Kręcę głową.

– Nie walcz z nim jutro – nalega.

– Nie mam zamiaru wycofać się z turnieju.

– Nawet jeśli możesz wygrać tylko jeszcze więcej trosk? – dopytuje się Taryn.

– Nawet.

– Zrób coś innego – powiada wtedy Taryn. – Znajdź jakiś sposób. Ułóż się z nim, zanim będzie za późno.

Myślę o tym, czego nie chce mi powiedzieć, i bardzo żałuję, że tego nie wiem. Ale skoro ona chce, żebym udawała, że niby wszystko jest w porządku, mogę tylko sobie połknąć swoje pytania jak gorzką pigułkę i zostawić ją sam na sam z ogniem.



W mojej komnacie czeka na mnie rozłożony na łóżku strój turniejowy, upchniony werbeną i lawendą.

Jest to lekko pikowana tunika wyszyta metalową nicią. Widnieje na niej sierp księżycy przechylony w taki sposób, że tworzy jakby czasę pucharu; u jego krańca opada czerwona kropelka, pod tym sztylet. Herb Madoka.

Nie mogę włożyć tuniki i zawieść, przyniosłabym hańbę mojemu rodowi. Co prawda, ze względu na Madoka mogłoby mi to sprawić jakąś przewrotną przyjemność, byłaby to taka moja drobna zemsta za to, że zabronił mi ubiegać się o pasowanie – tylko że wtedy przyniosłabym straszny wstyd także samej sobie.

Wiem, jak powinnam się zachować. Nie wychylać się. Walczyć na odpowiednim poziomie, ale bez brawury i wyczynów. Niech popisują się Cardan i jego przydupasy. Ja powinnam zachować swoje umiejętności

w ukryciu, żeby zaskoczyć Dwór, kiedy Madok wyrazi zgodę, żebym się ubiegała o pasowanie na rycerza. Jeśli kiedykolwiek tę zgodę wyrazi.

No, a poza tym, to, że wiem, co powinnam, nie znaczy, że tak zrobię.

Zrzucam tunikę na podłogę i wsuwam się pod kołdrę, naciągam ją na głowę, aż się troszeczkę duszę – wdycham swój własny ciepły oddech. I tak usypiam.

Po południu, kiedy wstaję, strój jest pognieciony i mogę mieć o to pretensje tylko do siebie samej.

– Głupie z ciebie dziecko – oznajmia Strzępka, splatając moje włosy w ciasne warkocze wojowniczkki. – Żeby być aż tak roztrzepaną!

Po drodze do kuchni mijam w sieni Madoka. W zielonej szacie, z gniewnie ściśniętymi ustami.

– Zatrzymaj się na chwilę – rozkazuje.

A więc staję.

Marszczy brwi.

– Wiem, jak to jest być młodym i żądnym chwały.

Nie odzywam się. Nie zadał mi zresztą żadnego pytania. Stoimy więc i patrzymy na siebie. Jego kocie oczy zwięzają się. Jest między nami tyle niewypowiedzianych rzeczy – tak wiele powodów, dla których możemy być tylko tak jakby ojcem i córką, ale nigdy nie staniemy się nimi naprawdę.

– Z czasem zrozumiesz, że tak jest najlepiej – mówi w końcu. – Niech ta bitwa sprawi ci radość.

Kłaniam się nisko i ruszam do wyjścia, już nie chce mi się iść do kuchni. Pragnę jedynie wydostać się z tego domu, bo i tutaj wszystko mi przypomina, że nie ma dla mnie miejsca ani na monarszym dworze, ani w całej Krainie Elfów.

Ponoć brak mi czegoś, co nie ma nic wspólnego z doświadczeniem.



Letni turniej odbywa się na skraju nadbrzeżnego urwiska Insweal, Wyspy Trosk.

Na tyle daleko, że biorę wierzchowca, bladosiwą klacz, która ma swój boks obok ropuchy. Wielki płaz przygląda mi się złotymi ślepiami, kiedy

siodłam klacz i wskakuję na jej grzbiet. Na teren turnieju przybywam w kiepskim nastroju i trochę spóźniona, zdenerwowana i wygłodniała.

Tłum już się gromadzi wokół rozpiętego baldachimu, pod którym zasiadać będzie Najwyższy Król Eldred oraz pozostałe osobistości królewskiej krwi. W powietrzu powiewają podłużne chorągwie kremowej barwy ozdobione herbem Eldreda – drzewem w połowie ukwieconym na biało, a w połowie pokrytym kolcami, sięgającym korzeniami w dół i zwieńczonym koroną. Ma to oznaczać zjednoczenie pod jednym berłem cnych dworów, niecnych dworów oraz elfów samotników. Mówiąc inaczej, marzenie rodu Kolcowojów pieczętującego się Kolcoroślem.

Rozpustny najstarszy królewicz, książę Balekin, rozwalił się na rzeźbionym krześle, wokół niego widać trzech rękodajnych. Jego siostra, księżniczka Rhyia, łowczyni, siedzi obok. Nie spuszcza z oka uczestników turnieju przygotowujących się do zmagania.

Ogarniają mnie panika i frustracja, gdy widzę, z jaką uwagą nas obserwuje. Tak bardzo chciałam, żeby to ona mnie wybrała jako jednego ze swoich rycerzy. Sprawy ułożyły się nie po mojej myśli, ale i tak nagle się przeraziłam, że nie wywrę na niej korzystnego wrażenia. Kto wie, czy Madok nie miał racji. Może rzeczywiście brak mi instynktu zadawania śmierci.

Jeśli nie będę się dziś zbytnio starać, przynajmniej nie zawiodę siebie samej, zawsze będę sobie mogła powiedzieć, że stać mnie było na więcej – a nie, że dałam z siebie wszystko i nie podołałam wyzwaniu.

Nasza grupa rozpoczyna turniej, bo jesteśmy najmłodszy. Wciąż jeszcze się szkolimy, posługujemy się więc drewnianymi mieczami zamiast płytkiej stali – w przeciwieństwie do tych, którzy walczą zaraz po nas. Zmagania trwać będą przez cały dzień, w przerwach grać będą bardowie, odbędą się pokazy magii, łucznictwa oraz innych rzemiosł. Czuję zapach korzennego wina, któremu jeszcze nie towarzyszy ten drugi specyficzny dla szrank aromat – świeżej krwi.

Fand ustawia nas w szeregi, rozdaje srebrne i złote opaski na ramiona. Jej niebieska skóra w blasku słońca jest jeszcze bardziej olśniewająco błękitna. Również jej strój utrzymany jest w różnych odcieniach błękitu, od oceanicznego po leśną jagodę, jej pierś przecina zielona wstęga. Czy sprawi się dobrze, czy źle, i tak będzie się rzucać w oczy; podejmuje to ryzyko świadomie. Jeśli wykaże się zręcznością, widownia z pewnością to spostrzeże. Jednak lepiej dla niej, żeby nie powinęła jej się noga, bo i to

wszyscy zauważą.

Moi towarzysze broni rozmawiają ze sobą przyciszonymi głosami, raz po raz słyszę swoje imię. Rozglądam się i wtedy sobie uświadamiam, że jakoś inaczej na mnie patrzą. Rzecz jasna, ja i Taryn zawsze się wyróżnialiśmy jako śmiertelniczki, ale właśnie przez to nie byliśmy godne uwagi. Dziś natomiast jest inaczej. Elfowe dzieci na nasz widok wstrzymują oddech, już nie mogą się doczekać, by ujrzeć, w jaki sposób zostaną ukarana za to, że śmiałam dzień wcześniej podnieść rękę na Cardana. Oraz żeby przekonać się, co ja wtedy zrobię.

Spoglądam w stronę Cardana i jego zauszników, którzy są w srebrnej drużynie. Cardan nosi też srebro na piersi, to polerowana stal – niby napierśnik, ale to raczej ozdoba niż ochrona przed ciosem. Valerian uśmiecha się do mnie szyderczo. Nie daję mu satysfakcji i nie zwracam na to uwagi.

Fand wręcza mi złotą opaskę i wyznacza miejsce w szeregu. W tej wojnie na niby zmagają się dwie strony i rozgrywają się trzy rundy. Każda ze stron ma za zadanie bronić zwierzęcej skóry – my złotego jelenia, nasi przeciwnicy za sztandar mają futro srebrnego lisa.

Piję z cynowej karafki nieco przygotowanej dla uczestników wody, zaczynam rozgrzewkę. Żołądek mi się ściska, ale nie z głodu. Jest mi niedobrze ze zdenerwowania. Staram się nie myśleć o niczym innym, tylko o ćwiczeniach, które kolejno wykonuję, by pobudzić mięśnie.

A potem już pora, by zacząć. Ustawiamy się na polu marsowym i pozdrawiamy tron Najwyższego Króla, choć Eldred jeszcze nie przybył. Widzów jest mniej, niż będzie, kiedy zaczną się zmierzchać. Są jednak książę Dain, a obok niego Madok. Zadumana księżniczka Elowyn brzdąka w struny lutni. Vivi i Taryn przyszły sobie popatrzeć, natomiast nie widzę ani Oriany, ani Dęba. Vivi wznosi jak puchar pęk lśniących owoców, co sprawia, że księżniczka Rhyia się śmieje.

Taryn wpatruje się we mnie intensywnie i znacząco, jakby chciała mnie ostrzec i napomnieć.

Złatw to jakoś.

Podczas pierwszej bitwy walczę defensywnie. Unikam Cardana. Nie zbliżam się do Nicassii, Valeriana ani Lokiego, nawet kiedy Valerian powala Fand na ziemię. Nawet kiedy Valerian rozdziera naszą jelenią skórę.

Ciągle nic nie robię.

A potem przyzywają nas na pole, by odbyła się następna bitwa.

Cardan idzie za mną.

– Potulna dziś jesteś. Czy siostra cię pouczyła, jak masz się zachowywać? Bardzo jej zależy, by nam się przypodobać. – Jednym z buciorów daje kopniaka w kępę koniczyny, gruda ziemi wzbija się w powietrze. – Sądzę, że gdybym sobie tego zażyczył, tarzałaby się ze mną w trawie, aż jej biała suknia by się wysmotruchała na zielono. I potem jeszcze by mi podziękowała za moją łaskawość. – Uśmiecha się zabójczym uśmiechem, pochyła w moją stronę, jakby zdradzał mi tajemnicę: – Zresztą i tak bym nie był pierwszy, który ją tak wysmotruchał.

Ulatniają się w niebyt moje dobre chęci. Krew we mnie płonie, gotuje się w moich żyłach. Niewielką mam władzę, ale pewien atut jednak mam – mogę Cardana do czegoś zmusić. Jasne, że Cardan chce mnie skrzywdzić, ale ja mogę sprawić, żeby chciał mnie skrzywdzić jeszcze bardziej. Mamy bawić się w wojnę. A więc, gdy stajemy w szeregu, zaczynam się bawić. Bawić się tak paskudnie, jak tylko mogę. Mój ćwiczebny miecz wali z trzaskiem w ten żaloszny napierśnik Cardana. Moje ramię tak mocno uderza w ramię Valeriana, że ten cofa się i chwiejnie zatacza. Atakuję i atakuję, powalam każdego, kto ma na ramieniu srebrzystą opaskę. Gdy kończy się ta wojna na niby, mam podbite oko i oba kolana zdarte do krwi, ale złoci zwyciężyli w drugiej i trzeciej bitwie.

Madok powiada, że nie jestem zabójcą.

Ale w tej chwili czuję, że mogłabym zabijać.

Rozlegają się oklaski, a ja jakbym nagle obudziła się ze snu. Zapomniałam o nich wszystkich. Jakaś pixie obsypuje nas płatkami kwiatów. Na trybunie Vivi pozdrawia mnie, wznosząc w toaście kubek czy coś w tym rodzaju, a księżniczka Rhyia uprzejmie bije brawo. Madoka nie ma już w królewskiej łoży. Balekin też znikł. Siedzi natomiast na tronie Najwyższy Król Eldred; rozmawia z Dainem, ma nieobecny wyraz twarzy.

Zaczyna mnie telepać, to efekt adrenaliny. Dworzanie, czekając na lepsze potyczki, oceniają moje rany i komentują wyczyny. Chyba nie zrobiłam na nikim szczególnego wrażenia. Starłam się, jak mogłam, walczyłam z całych sił, lecz było tego za mało. Madok nawet nie został do końca.

Opada mnie przygnębienie.

Gorzej, bo kiedy schodzę z pola, Cardan już na mnie czeka. Nagle uświadamiam sobie, jaki jest wysoki, dostrzegam też arogancki wyraz pogardy, który nosi niczym koronę. Wyglądałby jak księżę nawet

w łańchmanach. Cardan chwytając mnie za twarz, jego palce wpijają mi się w szyję. Czuję jego oddech na policzku. Drugą ręką łapie mnie za włosy i skręca je w sznur.

– Wiesz, co to znaczy, kiedy ktoś jest śmiertelny? Że urodził się, aby umrzeć. To znaczy, że zasługuje na śmierć. Właśnie tym jesteś, to cię określa – umieranie. A jednak stawiasz mi się, sprzeciwiasz, chociaż gnijesz od środka, ty psująca się, rozkładająca się kreaturo. Powiedz mi, naprawdę myślisz, że mnie zwyciężysz? Że wygrasz z księciem elfów?

Z trudem przełykam ślinę.

– Nie – mówię.

W jego czarnych oczach lśni gniew.

– A więc nie jesteś całkiem pozbawiona tej odrobiny zwierzęcego sprytu. To dobrze. A teraz błagaj mnie o przebaczenie.

Robię krok w tył i szarpnię się, próbując uwolnić się od jego uchwytu. Trzyma mnie mocno za warkocz, wpatruje się w moją twarz głodnymi oczami z okropnym uśmiechem na ustach. Potem otwiera dłoń i uwalnia mnie. Nie mogę się nie zachwiać. Kosmyki moich włosów powiewają na wietrze.

Kątem oka dostrzegam Taryn stojącą razem z Lokim w pobliżu miejsca, gdzie rycerze przyodziewają zbroje. Patrzy na mnie błagalnie, jakby to ona potrzebowała ratunku.

– Ukłęknij przede mną – rozkazuje Cardan, nieznośnie zachwycony sobą. Jego furia przerodziła się w lubieżną rozkosz triumfu. – Masz błagać o łaskę. Postaraj się. To ma być kwieciste, wyszukane. Godne mnie.

Inni potomkowie wysokich rodów stoją wokół nas w swoich pikowanych tunikach, z ćwiczebnymi mieczami i patrzą. Liczą, że mój upadek będzie czymś zabawnym. Wreszcie nastąpił spektakl, którego oczekiwali, odkąd postawiłam się księciu. Ta wojna nie jest na niby, to dzieje się naprawdę.

– Błagać? – powtarzam bezmyślnie.

To go na chwilę zaskoczyło, ale zaraz potem puszy się jeszcze bardziej. Cedzi:

– Rzuciłaś mi wyzwanie. Więcej niż raz. Twoją jedyną nadzieją jest błagać mnie o litość, przy wszystkich. Zrób to albo będę cię ranił, dopóki nie będzie już nic do zranienia.

Przypominają mi się cienie utopców w rzece i chłopiec podczas uczt wyjący z bólu, gdy mu rozdarł skrzydło. Przypomina mi się zalana łzami

twarzyczka Taryn. Myślę o tym, że Rhyia i tak przecież nigdy mnie nie wybierze do swojej straży, a Madok nawet nie raczył zaczekać do rozstrzygnięcia bitwy.

Poddać się to żaden wstyd. Tak jak powiedziała Taryn, to są tylko słowa. Nie muszę ich wypowiedzieć szczerze. Mogę przecież skłamać. Powoli przyklękam na ziemi. Zaraz będzie po wszystkim, chociaż każde słowo będzie miało smak żółci. Ale zaraz będzie po wszystkim.

Kiedy jednak otwieram usta, nie jestem w stanie wydobyć dźwięku.

Po prostu nie mogę.

Potrząsam głową, nawet nie przecząco, bardziej w reakcji na dreszcz, jaki mnie przechodzi, bo to, co zaraz zrobię, jest czystym obłędem. Dreszcz, jaki człowiek czuje, gdy ma skończyć po ciemku w pustkę, nie widząc dna przepaści. Na chwilę, zanim zda sobie sprawę, że to się nazywa spadaniem.

– Myślisz, że jak mnie upokorzysz, zyskasz nade mną władzę? – Mówię, patrząc w te jego czarne oczy. – Cóż, moim zdaniem, jesteś zwykłym głupcem. Odkąd zaczęliśmy razem pobierać lekcje, wyłaziłeś ze skóry, żebym poczuła się czymś gorszym od ciebie. Aby ugłaskać twoją pychę, tak właśnie się zachowywałam, jak jakaś istota niższego rzędu. Robiłam się malutka, schodziłam ci z drogi. To ci jednak nie wystarczyło, żeby zostawić Taryn i mnie w spokoju, a skoro tak, to więcej tego robić nie będę. Koniec. Teraz dopiero zobaczysz. Będę cię ośmieszać i hańbić. Przypominasz mi, że jestem tylko śmiertelną istotą, a ty wielkim księciem elfów. No, to teraz ja ci przypomnę, co z tego wynika. Otóż ty masz naprawdę dużo do stracenia. A ja nic. Może w końcu zwyciężysz, może uda ci się mnie zczarować i upokorzyć, i zranić, ale przy okazji już ja się postaram, żebyś i ty podczas tej zabawy stracił tak wiele, jak tylko zdołam ci odebrać. To ci obiecuję – mówię i rzucam mu w twarz jego własne słowa: – I tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Cardan patrzy na mnie, jakby nigdy mnie przedtem nie widział. Tak jakby nikt nigdy do niego w taki sposób się nie odezwał. Cóż, pewnie rzeczywiście nikt nigdy tak do niego nie przemawiał.

Odwracam się i odchodzę. Nie zdziwiłabym się, gdyby Cardan chwycił mnie za ramię i powalił na ziemię, zerwał jarzębinowy naszyjnik i wypowiedział słowa, które by mnie zmusiły, żebym pełzała przed nim i błagała – i tyle będzie z całego mojego gadania. Ale nie, nie mówi nic. Czuję na plecach jego spojrzenie, aż dreszcz przechodzi mi po karku. Teraz

jedyne, co mogę zrobić, to powstrzymać przemożną chęć ucieczki, bo tak naprawdę mam ochotę ruszyć biegiem.

Nie mam śmiałości spojrzeć w stronę Taryn i Lokiego, ale kątem oka dostrzegam Nicassię gapiącą się na mnie z rozdziawioną gębą. I Valeriana – jest wściekły, zaciska pięści w niemej furii.

Wlokę się pośród turniejowych namiotów do kamiennej studni, ochlapuję twarz wodą. Schylam się, żeby otrzepać żwir z kolan. Mam sztywne nogi, jestem roztrzęsiona.

– Wszystko w porządku? – pyta Loki. Spogląda na mnie z góry piwnymi i lisimi oczami. Nawet nie słyszałam, jak podszedł. – Dobrze się czujesz?

No, najlepiej się nie czuję.

Nic nie jest w porządku, ale on nie ma prawa tego wiedzieć i nie powinien o to pytać.

– To cię obchodzi? – rzucam, gniewnie wypluwając słowa. Patrzy na mnie tak, że czuję się jeszcze żałośniej niż kiedykolwiek.

Opiera się o studnię, pozwala sobie na leniwy uśmieszek.

– To zabawne.

– Zabawne? – powtarzam i znowu ogarnia mnie wściekłość. – Uważasz, że to było zabawne, tak?

Potrząsa głową, nadal się uśmiecha.

– Nie to. Zabawne jest to, jak mu zalazła za skórę.

Początkowo wydaje mi się, że źle usłyszałam. Już mam go spytać, o kim mówi, bo jakoś nie może do mnie dotrzeć, że zdaniem jakiegokolwiek elfa coś mogło w najmniejszym choćby stopniu dotknąć Cardana – i to ze strony nędznej śmiertelnej istoty.

– W sensie, jak drzazga? – pytam, żeby się upewnić.

– I to żelazna. Nikt inny nie zaprzęta jego myśli tak jak ty.

Trzyma ręcznik, moczy go w wodzie, potem przyklęka obok mnie i starannie ociera mi twarz. Wciągam gwałtownie powietrze, kiedy zimna tkanina dotyka opuchniętej powieki, ale tak naprawdę obchodzi się ze mną delikatniej, niżbym sama to zrobiła. Jest poważny, skupiony na tej czynności. Jakby nie widział, że mu się przyglądam – obserwuję jego pociągłą twarz i ostry podbródek, pukle czerwonobrazowych włosów, światło załamujące się w jego rzęsach.

Potem jednak zauważa. Patrzy na mnie, a ja na niego, i to strasznie dziwne, bo zawsze myślałam, że Loki nigdy by nie zauważył kogoś takiego jak ja.

A jednak, a jednak zauważa. Uśmiecha się tak samo jak wtedy, tamtej nocy podczas dworskiego balu, tak jakbyśmy wspólnie dzielili jakiś sekret. A teraz – jakbyśmy dzielili kolejny.

– Nie przestawaj – mówi.

Rozważam sens jego słów. Czyżby mówił poważnie?

Wracam do sióstr, a chociaż nadal myślę o osłupieniu malującym się na twarzy Cardana, nie mogę też przestać się zastanawiać nad uśmiechem Lokiego. Nie mam wcale pewności, co jest bardziej ekscytujące, a co niebezpieczne.

ROZDZIAŁ 10



Dalszy ciąg letniego turnieju oglądam jak przez mgłę. Szermierze potykają się jeden na jednego, walcząc o honor spodobania się Najwyższemu Królowi i jego dworzanom. Ogry i lisołaki, gobliny i gwylyiony płasają w śmiertelnym bitewnym tańcu.

Po kilku starciach Vivi chce przepchnąć się, ma ochotę kupić sobie więcej owoców nadzianych na szpikulec. Próbuję pochwycić spojrzenie Taryn, ale siostra odwraca wzrok. Chcę wiedzieć, czy się gniewa, i mam ochotę spytać, co powiedział jej Loki, kiedy stali razem – chociaż może właśnie tego pytania nie wolno mi zadać.

Ale ta rozmowa ze Lokim raczej nie była upokarzającym przeżyciem, czymś, o czym chciałaby nie pamiętać, bo to chyba niemożliwe. Przecież Loki, praktycznie rzecz biorąc, wyznał mi, iż cieszy go to, jak przyprawiam Cardana o ból głowy. A w ten sposób dochodzimy do kolejnego pytania, którego nie mogę zadać Taryn.

Cardan powiedział, że nie byłby pierwszym, który ją wysmotoruchał

w trawie. Elfowie nie są w stanie kłamać. Cardan nie mógłby tak powiedzieć, gdyby nie był przekonany, że to prawda – pytanie więc, co tak naprawdę wiedział.

Vivi trąca kubkiem mój kubek, sprowadzając mnie na ziemię.

– Zdrowie naszej bystrej Jude, która przypomniała elfom, dlaczego kryją się na wzgórzach i w kurhanach – bo lękają się gwałtowności śmiertelników.

Wysoki mężczyzna z kłapciatymi uszami królika i kasztanową grzywą spogląda na nią spode łba, Vivi odpowiada mu radosnym uśmiechem. Potrząsam głową, jej toast sprawia mi przyjemność, nawet jeśli to gruba przesada. Nawet jeśli zrobiłam wrażenie tylko na niej, na nikim innym.

– A czy ta Jude nie mogłaby być trochę mniej bystra – komentuje półgłosem Taryn.

Odwracam się do niej, ale zdążyła już odejść.

Tymczasem do wyjścia w szranki przygotowuje się księżniczka Rhyia. W dłoni dzierży cienki miecz, właściwie szpadę przypominającą długą szpilę i dźga nią powietrze. Obaj jej kochankowie wykrzykują słowa zachęty.

W królewskiej loży pojawia się Cardan. Ma na sobie powłóczystą lnianą szatę, a na włosach wieniec z samych róż. Ignoruje Najwyższego Króla i księcia Daina, siada ciężko na krześle obok Balekina, z którym wymienia kilka ostrych słów, a ja bardzo bym pragnęła te słowa usłyszeć. Zjawia się też księżniczka Caelia, by obejrzeć popisy swojej siostry, z ożywieniem klaszcze w dłonie, gdy Rhyia wychodzi przed trybunę.

Madok nie wraca.



Jadę samotnie do domu. Vivi, gdy Rhyia odniosła zwycięstwo w swoim pojedynku, wybrała się z nią na polowanie w okoliczne lasy. Taryn zgodziła się im towarzyszyć, ale ja jestem zbyt zmęczona, obolała i zbyt zdenerwowana.

W kuchni domostwa Madoka przypiekam ser nad ogniem, rozsmarowuję go na pajdzie chleba. Siedząc na ganku, zjadam, popijam herbatą i patrzę, jak słońce chyli się ku zachodowi.

Kucharz, troll imieniem Watel, wcale nie zwraca na mnie uwagi, zajmuje

się zaklinaniem pasternaku, żeby sam się posiekał.

Po posiłku ocieram okruszki z ust, a potem idę do swojej komnaty.

Gnarbon, sługa o długachnych uszach i ogonie, który wlecze się za nim po ziemi, na mój widok zatrzymuje się pośrodku sieni. W pazurzastych łapskach niesie tacę, na której stoją żółdziowe kubeczki wielkości naparstka i srebrna karafka, z której dochodzi aromat jakby wina z czarnej porzeczeki. Liberię ma za ciasną, w przerwach między guzikami widać futro.

– Ach, więc jesteś w domu – powiada głosem gardłowym i bulgotliwym, co zawsze brzmi jak warkot bestii, choćby nie wiem jak niewinne słowa wypowiadał. Mimo woli przypomina mi się ten strażnik, który odgryzł czubek mojego palca. Zębiska Gnarbona mogłyby na raz chapnąć całą rękę.

Kiwam głową.

– Księżę jest na dole i chce, żebyś przyszła.

Cardan, tutaj? Serce bije mi mocniej. W głowie mam pustkę.

– Ale gdzie?

Gnarbon dziwi się, że wiadomość robi na mnie takie wrażenie.

– W gabinecie Madoka. Właśnie miałem mu to zanieść...

Porywam tacę i ruszam po schodach w dół, zamierzając pozbyć się Cardana najprędzej, jak się da, w każdy możliwy sposób. Tego by tylko brakowało, żeby poskarżył się Madokowi, a ojczym, dowiedziawszy się o moim zachowaniu, uznał, że nie nadaję się na Dwór. Bądź co bądź jest lennikiem rodu Kolcowojów i jak wszyscy inni wasale przysięgał im wierność. Na pewno by sobie nie życzył, żebym podpadła choćby najmniej znaczącemu z królewiczów.

Zbiegam po schodach i kopniakiem otwieram drzwi do gabinetu Madoka. Mosiężna gałka uderza o półkę z książkami, gdy wpadam do komnaty. Stawiam tacę z takim impetem, że aż chwieją się żółdne kubeczki.

Przed księciem Dainem stojącym przed bibliotecznym stołem leży kilka otwartych książek. Złociste pukle opadają mu na oczy, rozpięty kołnierz bladobłękitnego kaftana ukazuje ciężki srebrny torkwes na szyi. Staję jak wryta, bo natychmiast uświadamiam sobie, jaką monstrualną gafę właśnie popełniłam.

Dain unosi brwi.

– Nie oczekiwałem, że zjawisz się w aż takim pośpiechu, Jude.

Gnę się w niskim pokłonie; liczę na to, że po prostu wydałam mu się niezadana. Z nagłą ogarnia mnie lęk. Czyżby to Cardan go posłał? Czy Dain

przybył, aby mnie ukarać za krnąbrność? Nie potrafię wyobrazić sobie innego powodu, dla którego wielmożny i jaśnie oświecony książę Dain, wkrótce władca Krainy Elfów, chciałby mnie widzieć.

– E... — odzywam się, panika płacze mi język. Nagle z ulgą przypominam sobie o tacy, wskazuję karafkę. – Proszę. To dla ciebie, panie.

Sięga po kubeczek, wlewa kilka kropel gęstego czarnego płynu.

– Napijesz się ze mną?

Kręcę głową kompletnie już zdezorientowana.

– Nie, poszłoby mi prosto do głowy.

Śmieje się.

– W takim razie zechciej mi przez jakiś czas dotrzymać towarzystwa.

– Będę zaszczycona.

Rzecz jasna, nie mogę odmówić. Przesiadam na poręczu jednego z wielkich foteli obitych skórą, czuję, jak serce mi łomocze w piersi.

– Czy mogę czymś jeszcze służyć? – pytam, bo naprawdę nie wiem, co dalej robić.

Unosi żółedny kubeczek jakby w pozdrowieniu.

– To mi wystarczy za poczęstunek. Życzę sobie natomiast rozmowy z tobą. Może na początek zechcesz mi wyjawić, dlaczego wpadłaś tu jak burza. Myślałaś, że kto tu jest?

– Nic nie myślałam – odpowiadam natychmiast. Kciukiem pocieram czubek serdecznego palca, gładką skórę tam, gdzie kiedyś był opuszek.

Prostuje się, jakbym nagle wzbudziła jego zaciekawienie.

– Myślałem, że może dokucza ci jeden z moich braci.

Kręcę głową.

– Nic podobnego, panie.

– Wstrząsające – mówi, jakby obdarzał mnie nie lada komplementem. – Wiem, że ludzie potrafią kłamać, ale być przy tym i słyszeć to na własne uszy... to nie do wiary. Poproszę jeszcze.

Czuję, że twarz mi płonie.

– Ale ja... Nie...

– Poproszę jeszcze – powtarza łagodnym głosem. – Nie obawiaj się.

Tylko głupiec by się nie obawiał. Książę Dain przyszedł, kiedy Madoka nie było w domu. Chciał się widzieć właśnie ze mną. Dał do zrozumienia, że wie o Cardanie – może nawet widział, jak zaraz po wojnie na niby Cardan szarpał mnie za warkocz. Dobrze, tylko czego Dain może chcieć?

Oddycham zbyt płytko, zbyt szybko. Dain, który wkrótce ma zostać ukoronowany jako najwyższy władca, posiada władzę mogącą zapewnić mi miejsce na dworze, jego słowo mogłoby przeważać nad słowem Madoka i sprawić, że zostałabym rycerzem. Jeśli tylko zdołam wyrzucić na nim wrażenie, mogę dostać, cokolwiek zechcę. Wszystko, co już wydawało mi się stracone.

Prostuję się i spoglądam w srebrzystą szarość jego oczu.

– Nazywam się Jude Duarte. Urodziłam się trzynastego listopada dwa tysiące pierwszego roku. Mój ulubiony kolor to zielony. Lubię mgłę i smutne ballady, i rodzynki w czekoladzie. Nie umiem pływać. A teraz powiedz mi, panie, co z tego było kłamstwem? A może wcale nie kłamałam? Albowiem istotą kłamstwa jest to, że się go nie rozpoznaje.

Nagle zdaję sobie sprawę, że po takim pokazie może nie potraktować poważnie żadnej mojej przysięgi. Wygląda jednak na zadowolonego, uśmiecha się łaskawie, jakby znalazł w kurzu nieoszlifowany rubin.

– A teraz powiedz mi – odzywa się – w jaki sposób twój ojciec wykorzystuje ten talent swojej podopiecznej?

Mrugam powiekami zdezorientowana.

– Doprawdy? W żaden sposób? Jaka szkoda. – Królewicz przechyla na bok głowę, przyglądając mi się uważnie. – Powiedz mi, o czym marzysz, Jude Duarte, jeśli naprawdę tak się nazywasz. Powiedz mi, czego pragniesz.

Serce łomocze mi z piersi, czuję lekki zawrót głowy, jestem trochę oszołomiona. Nie, to nie może być takie proste. Co się dzieje? Księżę Dain, który już wkrótce będzie Najwyższym Królem królestwa Krainy Elfów, pyta mnie, czego pragnę. Nie śmiem odpowiedzieć, a przecież muszę.

– Ja... Chcę być twoim rycerzem, panie – udaje mi się wreszcie wyjąkać.

Jego brwi wędrują w górę.

– Hm, nieoczekiwane – stwierdza. – Ale miło mi to słyszeć. A co jeszcze?

– Nie rozumiem, panie.

Splatom palce obu dłoni, żeby nie widział, jak się trzęsą.

– Pragnienie jest dziwaczną sprawą. Gdy tylko zostaje zaspokojone, zaraz się przeistacza. Gdy otrzymamy złotą nić, chcemy mieć złotą igłę. Tak więc, Jude Duarte, pytam cię, czego byś chciała później, po tym jak zostaniesz wliczona w poczet moich dworzan.

– Służyć – odpowiadam, wciąż zdezorientowana. – Oddać mój miecz na usługi korony.

Macha niecierpliwie ręką.

– Nie, powiedz mi, czego chcesz. Poproś mnie o coś. O coś, o co jeszcze nigdy nikogo nie prosiłaś.

Spraw, żebym przestała być śmiertelniczką – przemyka mi przez myśl, a w następnej chwili ogarnia mnie zgroza wobec samej siebie. Nie chcę tego chcieć, zwłaszcza że nie ma sposobu, by takie życzenie spełnić. Nigdy nie będę jedną z nich.

Biorę głęboki wdech. Gdybym mogła go poprosić o jakiegokolwiek dobrodziejstwo, jakie by ono było? Rzecz jasna, zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Kiedy mu wyjawię, czego pragnę, będzie się ze mną układał, a układy z elfami rzadko są korzystne dla śmiertelników. Mimo to pojawia się na horyzoncie możliwość uzyskania władzy...

Myśli moje wędrują ku jarzębinowej kolii na szyi, przypomina mi się pieczenie policzków, któremu towarzyszył odgłos śmiechu Dęba.

Myślę też o Cardanie.

Widzisz, czego możemy dokonać za pomocą paru słów? A może być jeszcze dużo gorzej. Możemy cię zakląć, żebyś biegała na czworakach i szczekała jak pies. Możemy cię zaczarować, tak że będziesz więdła z tęsknoty za pieśnią, której już nigdy nie usłyszysz albo za dobrym słowem z moich ust.

– Odporności na czary – mówię, usiłując się zmusić do zachowania spokoju. Starając się nie drzeć. Chciałabym wyglądać jak poważna osoba, która wysuwa poważne żądania.

Spogląda na mnie spokojnie.

– Już posiadasz dar prawdziwego widzenia, otrzymałaś go jako dziecko. Nie wątpię, że dzięki niemu potrafisz nas przejrzeć. Wiesz, jak radzić sobie z urokami. Wystarczy posolić nasze jedzenie, a udaremnisz wszelką próbę jego zaczarowania. Wywróć pończochy na lewą stronę, a nigdy nie zostaniesz zwiedziona na manowce. Trzymaj w kieszeniach pełno suszonych owoców jarzębiny, a nikt nie zapanuje nad twoim umysłem.

Przez te kilka minionych dni właśnie sobie uświadomiłam, jak niewiele mogą znaczyć takie sposoby ochrony.

– Lecz co się stanie, gdy ktoś wynicuje moje kieszenie? Co będzie, gdy rozedrą moje pończochy? Co będzie ze mną, kiedy rozsypią sól?

Spogląda na mnie w zamyśleniu.

– Podejdź bliżej, dziecko – rozkazuje.

Waham się. Z tego, co zdołałam zaobserwować, księżę Dain zawsze

zachowywał się honorowo. Kłopot w tym, że niewiele miałam okazji do jego obserwowania.

– Chodź. Jeśli chcesz mi służyć, musisz mi zaufać.

Pochyliła się w fotelu. Dostrzegam maleńkie różki tuż nad jego czołem, maleńkie różki rozdzielające włosy po obu stronach królewskiego oblicza. Dostrzegam moc w jego ramionach i na dłoni o długich palcach lśniący sygnet ozdobiony herbem rodu Kolcowojów.

Zsuwam się z poręczy fotela, podchodzę do królewicza. Zmuszam się, by powiedzieć:

– Wiem, że to zbyt śmiałość...

Dotyka zadrapania na moim policzku, nawet nie wiedziałam, że je mam. Odruchowo krzywię się, lecz nie cofam się.

– Cardan to rozpuszczony nicpoń. Wszystkim na dworze wiadomo, że trwoni czas i dziedzictwo na pijaństwo oraz małostkowe intrygi. Nie, nie zadawaj sobie trudu i nie zaprzeczaj.

Więc nie robię tego. Zastanawiam się natomiast, czy Gnarbon przypadkiem tylko powiedział mi tyle, ile powiedział – że w gabinecie Madoka czeka na mnie książę, a nie raczył dodać, jaki mianowicie książę. Przypuszczam, że Dain właśnie taką wiadomość polecił mi przekazać. Rozsądny strateg czeka na stosowną okoliczność.

– Jesteśmy co prawda braćmi, ale bardzo się od siebie różnimy. Nigdy nie będę wobec ciebie okrutny tylko po to, by delektować się samym okrucieństwem. Jeśli złożysz przysięgę i wstąpisz na moją służbę, zostaniesz wynagrodzona. Jednak ja chcę dla ciebie czegoś innego, nie rycerskiego stanu.

Z euforii popadam w czarną rozpacz. Jak mogłam przypuszczać, że książę elfów wpadł do mojego domostwa, aby akurat spełnić moje najskrytsze marzenia. Cóż, miło było przez chwilę w to wierzyć.

– Czego w takim razie sobie ode mnie życzysz, panie?

– Niczego ponad to, co już mi oferowałaś. Chciałaś złożyć przysięgę i oddać miecz na moje usługi. Przyjmuję. Potrzebny mi ktoś, kto potrafi kłamać. Kto ma wielkie ambicje. Szpieguj dla mnie. Przystąp do mojego Dworu Cieni. Mogę obdarzyć cię władzą, o jakiej nawet nie śniłaś. Ludziom niełatwo jest przebywać tu z nami. Ja jednak mogę ci to ułatwić.

Pozwalam sobie sięść na skrawku fotela. Czuję się poniekąd tak, jakbym się spodziewała oświadczyn, a tymczasem zaproponowano mi rolę metresy.

Szpieg. Skryty, podstępny kłamca i złodziej. Oczywiście, tak właśnie myśli o mnie i w ogóle o śmiertelnikach. Oczywiście. Jego zdaniem do tego się właśnie nadaję.

Przypominam sobie szpiegów, których zdarzyło mi się widzieć, tego małego garbusa z nosem jak pietruszka, który czasami donosi Madokowi, albo tamten cień zawsze okryty szarym płaszczem, którego twarzy nigdy nie udało mi się zobaczyć. Pewnie wszyscy członkowie królewskiej rodziny mają takich na swoje usługi, ale są niewidoczni, w końcu na tym właśnie polega ich zawód.

Ja też byłabym niewidoczna, i to jak jeszcze! Kto by przypuszczał, że ktoś tak wyróżniający się jak ja może kryć tego rodzaju sekret.

– Domyślam się, że nie o takiej przyszłości dla siebie marzyłaś – odzywa się znowu książę Dain. – Bez lśniącej zbroi i bitewnego zgiełku... Jednak obiecuję ci, że kiedy zostanę najwyższym królem, jeśli będziesz mi dobrze służyć, spełni się niejedno twoje życzenie, bo któż ośmieli się sprzeciwić słowom najwyższego władcy? Ja zaś nałożę na ciebie géis, który zabezpieczy cię przed czarami, urokami i magią.

Nieruchomieję. Géis dawany śmiertelnikowi w zamian za jego usługi zapewnia wielką moc, ale kryje się w nim mały haczyk, który w najmniej odpowiednim momencie trafia cię jak cegłą w mordę. Na przykład tego rodzaju, że człowiek jest nie do tknięcia, że śmierć można mu zadać tylko strzałą zrobioną z pnia głogu. Tylko tak się jakoś głupio składa, że właśnie takie strzały szczególnie sobie upodobał twój najgorszy wróg. Albo że wygrasz każdą bitwę, w której weźmiesz udział, jednak nie wolno ci odmówić zaproszenia na ucztę – więc jeżeli ktoś tuż przed bitwą na ucztę cię zaprosi, nie możesz wziąć udziału w walce. Krótko mówiąc, jak prawie wszystko w Krainie Elfów, géis jest czymś fantastycznym, a zarazem wyjątkowo do dupy. No i właśnie coś takiego mi zaproponowano.

– Géis – powtarzam.

Uśmiecha się szerzej, w następnej chwili już wiem dlaczego. Nie odmówiłam. Nie powiedziałam „nie”, a to znaczy, że rozważam odpowiedź „tak”.

– Żaden géis cię nie uchroni przed działaniem naszych owoców i trucizn. Zastanów się, rozważ wszystko spokojnie. Mógłbym ci zamiast tego dać moc uwiedzenia każdego, kto by na ciebie spojrzeł. Tutaj pojawiłby się maleńki punkcik – dotyka mojego czoła. – Każdy, kto by go zobaczył, musiałby

oszaleć z miłości. Mógłbym ci dać magiczną klingę rozcinającą światło gwiazd.

– Nie chcę, żeby ktoś nade mną sprawował władzę – mówię ochrypłym szeptem. Nie do wiary, że jestem w stanie powiedzieć to na głos, do niego. Nie wierzę, że to robię. – To znaczy za pomocą magii. Jeśli mi to dasz, z resztą sobie poradzę.

Skinienie głową.

– A więc zgadzasz się.

To przerażające, mieć przed sobą taki wybór – wybór, który nieodwołalnie odmienia wszystkie przyszłe wybory.

Tak bardzo pragnę mocy. Tak bardzo pragnę coś znaczyć w tym świecie. Oto nadarza się okazja, przerażająca i nieco obraźliwa. Tak, ale to również bardzo intrygujące: czy byłby ze mnie dobry rycerz? Tego już pewnie nigdy się nie dowiem.

Kto wie, może nienawidziłabym tego blichtru, obnoszenia się ze zbroją i spełniania bzdurnych misji. Może wtedy musiałabym walczyć z kimś, kogo wcale bym nie chciała zabić?

Kiwam więc głową – w nadziei, że będzie ze mnie przynajmniej dobry szpieg.

Książę Dain wstaje, dotyka mojego ramienia. Czuję, jakby z jego ręki przeszedł prąd, jakby iskra.

– Jude Duarte, powstała z gliny, od tego dnia po sam koniec dni twoich żaden elfowy czar nie znajdzie dostępu do twojego umysłu. Żadne zaklęcie nie poruszy twoim ciałem wbrew twojej woli. Żadne oprócz rzuconego przez twórcę zaklęcia. Teraz już nikt nie będzie mógł sprawować nad tobą władzy – powiada, a po chwili dodaje: – Nikt poza mną.

Głęboki wdech. Jasne, wiadomo było, że w tym układzie jest hak. Nawet nie mogę mieć mu tego za złe, mogłam się domyślić.

Jednak to fantastyczne uczucie, gdy ma się jakąkolwiek ochronę. Królewicz Dain to tylko jeden z elfów, który w dodatku dostrzegł coś we mnie – coś, czego Madok nie widzi, a tak bardzo pragnęłam, aby ktoś mnie docenił.

Tak więc tu i teraz przyklękam na prawe kolano i składam przysięgę księciu Dainowi.

ROZDZIAŁ

II



Przez cały wieczór, gdy siedzimy przy kolacji, ciąży mi ten sekret. Cięży? Jak nigdy dotąd w całym życiu mam poczucie, że dysponuję jakąś mocą, której Madok nie może mi w każdej chwili odebrać. Nawet gdy powtarzam sobie w myśli te słowa – że jestem szpiegiem, szpiegiem księcia Daina! – przechodzi mnie dreszcz.

Na kolację zjadamy małe ptaszki nadziewane jęczmieniem i dzikim czosnkiem; ich skórki chrupią od tłuszczu i miodu. Oriana delikatnie rozbiera je na talerzu. Dąb zjada same skórki. Madok nie zawraca sobie głowy oddzielaniem mięsa od kości, pożera je całe. Ja tymczasem dziobię widelcem potrawkę z pasternaku. Taryn siedzi przy stole, ale Vivi jeszcze nie wróciła. Domyślam się, że polowanie z Rhyią było tylko wykrętem, że pod tym pretekstem wymknęła się do świata śmiertelników, najwyżej dla zachowania pozorów odbyła krótką przejażdżkę po lasach. Chciałabym wiedzieć, czy je w tej chwili kolację w towarzystwie rodziny Heather.

– Nieźle się sprawiłaś podczas turnieju – chwali mnie Madok między

jednym a drugim kęsem.

Nie ma sensu wypominać mu, że wyszedł przed końcem. Nie sądzę, żeby istotnie był pod wrażeniem. Właściwie nawet nie wiem, ile naprawdę widział.

– Czy to znaczy, że zmieniłeś zdanie?

Coś w moim głosie sprawia, że przestaje przeżuwać, spogląda na mnie spod przymrużonych powiek.

– Co do twojego pasowania na rycerza? – pyta. – Nie. Dopiero gdy w pałacu na tronie zasiądzie nowy Najwyższy Król, porozmawiamy o twojej przyszłości.

Uśmiecham się lekko.

– Wedle twojego życzenia.

Po przeciwnej stronie stołu Taryn przygląda się Orianie, próbuje naśladować sposób, w jaki żona Madoka spożywa szpaki. W moją stronę ani spojrzy, nawet kiedy prosi, żeby podać jej karafkę z wodą.

Jednak po kolacji nie może mi zabronić pójścia za sobą do pokoju.

– Posłuchaj – mówię do niej na schodach. – Próbowałam zrobić to, czego chciałaś, ale nie jestem w stanie i nie chcę, żebyś mnie za to nienawidziła. To moje życie.

Odwraca się.

– Twoje życie i możesz je sobie sama zmarnować?

– Tak – odpowiadam. Jesteśmy na podeście. Nie mogę jej powiedzieć o spotkaniu z królewiczem Dainem, a nawet gdybym mogła, na nic by się to nie zdało. – Nie mamy nic, tylko właśnie nasze życie. Jak jedną, jedyną monetę. Chodzi o to, żeby za nią kupić to, czego chcemy.

Taryn gniewnie prychna i odpowiada kwaśnym tonem:

– Pięknie powiedziane, nie ma co. Sama to wymyśliłaś?

– O co ci chodzi?

Potrząsa głową.

– O nic, o nic. Może byłoby lepiej, gdybym myślała tak samo jak ty. Nieważne, Jude. Naprawdę nieźle dawałaś sobie radę w bitwie.

– Dzięki – odpowiadam. Nic już nie rozumiem. I znowu przypomina mi się, co mówił o niej Cardan, ale przecież nie chcę jej sprawić przykrości, więc tego nie powtórzę. – No i co, zdążyłaś już się zakochać? – pytam zamiast tego.

Dziwnie na mnie patrzy.

– Nie wybieram się dzisiaj na lekcje, zostaję w domu – mówi Taryn. – Jasne, że wolno ci roztrwonić swoje życie, ale ja nie mam obowiązku na to patrzeć.



Powłóczę nogami jakby były z ołowiu. Idąc do pałacu, ciężko stąpam po ziemi usianej jabłkami, które wiatr rozrzucił z drzew; w powietrzu czuć ich złocisty aromat. Mam na sobie długą czarną suknię ze złocistymi mankietami i zieloną koronką, ulubioną i bardzo wygodną.

Nade mną rozlegają się ptasie trele, przywołując uśmiech na moją twarz. Pozwalam sobie na przelotną fantazję o tym, jak to podczas koronacji księcia Daina tańczę z rozpromienionym Lokim, natomiast księcia Cardana straż wywleka z komnaty, by go cisnąć do ciemnego lochu.

Z tych myśli budzi mnie olśniewająca biel. To jeleń – biały jeleń stojący niespełna dziesięć stóp ode mnie. Na jego rogach powiewają niteczki pajęczyn, a sierść ma tak białą, że w świetle popołudniowego słońca wydaje się ze srebra. Patrzymy na siebie przez długą chwilę, nim rusza pędem w stronę pałacu, a ja oddycham głębiej.

Postanawiam uznać to za dobry omen.

I rzeczywiście, z początku lekcja przebiega względnie pomyślnie. Nogal, nasz dzisiejszy preceptor, poczciwy, choć zdziwaczały stary firdaryg z północy, ma krzaczaste brwi, a w długą brodę czasem wtyka pióra czy skrawki papieru, poza tym lubi się rozwódzić na temat takich zjawisk jak burze meteorów i ich znaczenia. Gdy popołudnie przeradza się w wieczór, każe nam liczyć spadające gwiazdy, co jest zajęciem nudnym, lecz odprężającym. Leżę na kocu i patrzę w nocne niebo.

Jedyny kłopot w tym, że w ciemności trudno mi zapisywać liczby. Zazwyczaj nasze lekcje rozświetlają jarzące się kule zawieszane na konarach czy rojne chmury świetlików. Zawsze mam przy sobie kilka ogarków, na wypadek gdyby zrobiło się zbyt ciemno, bo ludzki wzrok o wiele mniej sprawdza się w mroku, kiedy jednak obserwujemy gwiazdy, nie wolno mi ich zapalić. Próbuję pisać czytelnie i nie upaprać palców inkaustem.

– Pamiętajcie – mówi Nogal – że niezwykle wydarzenia na niebie często

zapowiadają ważne przemiany polityczne, skoro więc na horyzoncie pojawia się nowy król, powinniśmy uważnie wypatrywać znaków.

W ciemnościach słyhać czyjś chichot.

– Nicassia – odzywa się preceptor – czy czegoś nie rozumiesz?

– Ależ nie, nic podobnego – odzywa się jej wyniosły głos, nie ma zamiaru za nic przeproszać.

– Powiedz mi w takim razie, co wiesz o spadających gwiazdach? Co znaczy rój meteorów w ostatniej godzinie nocy?

– Tuzin narodzin – odpowiada Nicassia, co jest taką bzdurą, że odruchowo się krzywię.

– Trupów... – mówię pod nosem.

Niestety, Nogal mnie słyszy.

– Doskonale, Jude. Cieszę się, że ktoś jednak uważał. Powiedz mi w takim razie, kiedy do tych zgonów najprawdopodobniej dojdzie?

Teraz już nie ma co robić z siebie szarej myszy. I tak przecież zapowiedziałam Cardanowi, że nie będę się kryć czy usuwać w cień. Jak się popisywać, to na całego.

– To zależy od konstelacji, przez które przeszły, i tego, w którym kierunku zmierzały – wyjaśniam. W połowie odpowiedzi czuję, że coś ściska mnie w gardle. Nagle cieszę się z ciemności, bo nie muszę widzieć wyrazu twarzy Cardana. Ani nadobnego oblicza Nicassii.

– Doskonale – chwali mnie Nogal. – Właśnie dlatego wszystko trzeba skrzętnie notować. Mów dalej!

– Nudziarstwo – słyszę głos Valeriana. – Przewidywanie przyszłości jest dla czarownic i małego ludku. Nam przystoi wysłuchiwać opowieści o szlachetniejszych sprawach. Skoro już mam spędzić ten wieczór na plecach i w mroku, życzę sobie nauk o miłości.

Śmiech jeszcze kilkorga z nich.

– Doskonale – powiada Nogal. – Powiedz mi zatem, jaki znak zapowiadać może powodzenie w miłości?

– Kiedy dziewczyna zdejmuje suknie – odpowiada Valerian, wywołując jeszcze większe rozbawienie.

– Elga? – odzywa się Nogal do dziewczyny o srebrnych włosach i śmiechu, jakby ktoś tłuł szkło. – Możesz odpowiedzieć za niego? Być może on tak niewiele tego szczęścia zaznał, że naprawdę nie wie.

Elga jąka się i mówi coś niewyraźnie. Pewnie zna odpowiedź, ale nie chce

narazić się Valerianowi.

– Czy mam znowu spytać Jude? – pyta surowym głosem Nogal. – Ale nie, może Cardan. Powiesz nam?

– Nie – brzmi odpowiedź.

– Co to ma znaczyć? – zapytuje Nogal.

Gdy znów odzywa się Cardan, jego głos pobrzmiwa złowróżbną pewnością siebie.

– Valerian ma rację. To nudna lekcja. Proszę zapalić lampy i rozpocząć inną, bardziej godną szlachetnie urodzonych.

Nogal przez dłuższą chwilę milczy.

– Tak, najjaśniejszy panie – mówi w końcu i orby na powrót rozbłyskują światłem. Mrugam, zanim moje oczy przywykną do blasku. Czy kiedykolwiek Cardan zrobił coś, na co nie miał ochoty? Przysypia podczas lekcji i nic w tym dziwnego. Przecież kiedyś, kompletnie pijany, wjechał konno w sam środek grupki uczniów siedzących na trawie podczas zajęć, stratował koce i książki, a wszyscy umykali, byle tylko zejść mu z drogi. Na jego życzenie w jednej chwili zmienia się program lekcji. Czy ktoś taki cofnie się przed czymkolwiek?

– Biedaczka, ledwo co widzi – stwierdza Nicassia. Orientuję się, że stoi nade mną. Trzyma w rękach mój zeszyt, przerzuca kartki tak, że wszyscy mogą widzieć moje bazgroły. – Nieszczęsna Jude. Tak trudno sobie poradzić z tyloma upośledzeniami.

Na palcach i złotych mankietach sukni widnieją plamy atramentu.

Po drugiej stronie polany Cardan rozmawia z Valerianem. Przygląda nam się tylko Loki, trochę zaniepokojony. Nogal przerzuca grube zakurzone księgi, pewnie próbuje wymyślić, czym by tu zainteresować Cardana.

– Przykro mi, że tak słabo umiesz czytać moje pismo – odpowiadam i chwytam zeszyt. Strona się rozdziera, większość moich notatek z tego wieczora idzie w strzępy. – Jednak to niezupełnie moje upośledzenie.

Nicassia wymierza mi policzek tak mocno, że się chwieję. Przyklękam na jedno kolano, o mało się nie przewracam, w ostatniej chwili łapię równowagę. Policzek mnie pali i piecze. W głowie mi huczy.

– Nie wolno ci tego robić – mówię do niej, zupełnie bez sensu.

Sądziłam, że wiem, na czym polega ta gra. Źle sądziłam.

– Wolno mi robić, cokolwiek zechcę – oznajmia mi, nadal wyniosłym tonem.

Inni przyglądają się... Elga smukłą dłonią zasłania usta. Cardan spogląda również ku mnie i widać, że wyczyn Nicassii nie przypadł mu do gustu, więc na jej twarzy pojawia się zmieszanie.

Odkąd przebywam pośród nich, zawsze istniały granice, których nie przekraczali. Kiedy zostałyśmy z siostrą wepchnięte do rzeki, działało się to bez świadków. Na dobre i na złe należę do dworu generała i jestem pod jego opieką. Cardan mógłby się powazyć na cokolwiek, ale dotąd wydawało mi się, że inni, jeśli uderzą, to potajemnie.

Wygląda na to, że ostatnio niechcący bardzo naraziłam się Nicassii.

Otrzenię kolano.

– Czy rzucasz mi wyzwanie? Jeśli tak, mam prawo wybrać czas i broń.

Och, jak bym chciała powalić ją na ziemię i skopać.

Dociera do niej, że moje pytanie wymaga odpowiedzi. Być może jestem istotą stojącą w hierarchii niżej niż robak, lecz to nie zwalnia jej z nakazów kodeksu honorowego.

Widzę kątem oka, że zbliża się do nas Cardan. Robi mi się słabo, już wiem, że jest źle. Z drugiej strony mocno trąca mnie ramieniem Valerian. Cofam się o krok, nie dość jednak prędko, by nie ogarnął mnie zapach przejrzalego owocu.

Przez kopułę czarnego nieboskłonu przelatuje siedem spadających gwiazd, potem zaś gasną. Odruchowo spoglądam w górę, zbyt późno, żeby dokładnie dojrzeć, jaką trasę przebyły.

– Czy ktokolwiek to odnotował? – woła głośno Nogal, grzebie w brodzie, szukając pióra. – To jest właśnie astrologiczne wydarzenie, na które czekaliśmy! Na pewno ktoś widział, w którym punkcie zabłyśły. Prędko! Skupcie się, przypomnijcie sobie.

Wtedy właśnie, gdy znów spoglądam w gwiazdy, Valerian wpycha mi do ust coś miękkiego. To jabłko, słodkie i zarazem zgniłe, miodowy sok spływa po moim języku, wypełnia mnie słonecznym blaskiem i upajającym, bezmyślnym uszczęśliwieniem. Elfowy owoc, który doszczętnie mąci umysł, którego ludzkie istoty, raz skosztowawszy, pożądają do tego stopnia, że gotowe się na śmierć zagłodzić, byle skosztować jeszcze chociaż jeden kęs. Pod jego wpływem stajemy się potulni, posłuszni i śmieszni.

Geis królewicza Daina chroni mnie przed czarami, przed tym, żeby ktoś przejął władzę nad moim umysłem, ale pod wpływem elfowego owocu człowiek sam traci władzę nad sobą.

Och, nie. Och, nie, nie, nie, nie, nie.

Wypluwam to. Jabłko upada na ziemię, ale ja już czuję jego działanie.

Sól – przypominam sobie. Rozglądam się desperacko za moim koszykiem. Trzeba mi soli. Sól jest jedynym antidotum. Przepędzi mgłę z mojego umysłu.

Nicassia orientuje się, czego szukam, chwyta mój koszyk i oddala się tanecznym krokiem, tymczasem Valerian mnie przewraca. Próbuję odpełznąć, ale przyszpila mnie łokciami, wpycha zgniłe jabłko w twarz.

– Niechże posłodzę ten twój kąśliwy język – syczy, przyciska, miąższ wypełnia moje usta i nos.

Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać.

Mam otwarte oczy, widzę twarz Valeriana. Duszę się. Valerian przygląda mi się z nikłym zainteresowaniem, tak jakby ciekaw był, co nastąpi dalej.

Ciemność zaczyna mi przesłaniać widok. Za chwilę zadławię się na śmierć.

Najgorsza jest ogarniająca mnie wewnętrzna rozkosz przysłaniająca śmiertelny strach. Wszystko jest piękne. Wszystko tańczy i płynie. Wyciągam rękę, żeby wbić Valerianowi pazury w oczy, ale jestem zbyt oszołomiona, by go dosięgnąć. W następnej chwili to już nie ma znaczenia. Nie chcę skrzywdzić nikogo, nawet jego, skoro jestem taka szczęśliwa.

– Niech ktoś coś zrobi! – słyszę czyjś głos. W tym opętaniu nie potrafię określić kto to.

Nagle ktoś kopniakiem zrzuca ze mnie Valeriana. Przewracam się na bok, kaszlę. Nade mną stoi Cardan. Po mojej twarzy płyną łzy i smarki, jestem tylko w stanie leżeć i wypluwać kawałki słodkiego, soczystego miąższu. Nie mam pojęcia, dlaczego płaczę.

– Dosyc – stwierdza Cardan. Jego twarz ma dziwny wyraz, wściekły jak nigdy.

Zaczynam się śmiać.

Valerian się złości.

– Musisz mi psuć zabawę?

Przez chwilę wydaje mi się, że się pobiją, chociaż nie wiem z jakiego powodu. Potem widzę, co Cardan trzyma w dłoni. To sól z mojego koszyka. Antidotum. Po co mi to – zastanawiam się, teraz już nie mogę pojąć, dlaczego chciałam odtrutki. Cardan rzuca ją z uśmiechem na wiatr. Potem spogląda na Valeriana, krzywi się z niesmakiem.

– Czyś ty zgłupiał? Jak ona umrze, będzie po zabawie, i to zanim na dobre zaczęliśmy się bawić.

– Ja nie umrę – mówię, bo nie chcę, żeby się o mnie martwili. Czuję się dobrze. Właściwie czuję się lepiej niż kiedykolwiek w całym życiu. Dobrze się stało, że nie zażyłam antidotum i że już go nie ma.

– Księżę Cardanie – odzywa się Nogal. – Powinno się ją zabrać do domu.

– Ależ wy wszyscy jesteście nudziarze – rzuca Cardan, a przecież nie brzmi to wcale, jakby był znudzony. Raczej jakby z najwyższym trudem nad sobą panował.

– Ależ skąd, Nogalu, ona przecież jeszcze wcale nie chce iść. – Nicassia podchodzi do mnie, głaszcze mnie po policzku. – Chcesz nas zostawić, moje śliczne maleństwo?

Moje usta przepełnia sycący smak miodu. Czuję się lekko jak wiaterek. Jak chorągiew powiewająca w powietrzu.

– Chcę zostać – mówię, bo tu jest tak pięknie, a ona taka cudowna.

Nie jestem pewna, czy się czuję dobrze, ale na pewno czuję się wspaniale.

Wszystko jest cudowne. Nawet Cardan. Przedtem go nie lubiłam, ale wiem, że to była głupota. Uśmiecham się do niego serdecznie, szeroko i choć on nie odpowiada mi uśmiechem, nie mam mu tego za złe.

Nogal odwraca się na pięcie i odchodzi, mruczy coś pod nosem na temat generała, głupoty i że polecą księżęce głowy. Cardan spogląda w ślad za nim, zaciskając pięści.

Wokół mnie na mchu rozsiada się grupka dziewcząt. Śmieją się, więc śmieję się także.

– Jeszcze nigdy nie widziałam śmiertelnika, który najadłby się elfowych owoców – mówi jedna z nich, to Agerata. – Będzie to potem pamiętać?

– Owszem, o ile ktoś nie rzuci na nią czaru zapomnienia – wyjaśnia Loki; stoi gdzieś za mną, ale w jego głosie nie słyszę gniewu jak u Cardana. Jego głos ma miłe brzmienie. Odwracam się do niego, dotyka mojego ramienia. Lgnę do ciepła jego skóry.

Nicassia śmieje się.

– Ona by nie chciała zapomnieć. Chciałaby za to jeszcze kęs jabłka.

Na to wspomnienie ślina napływa mi do ust. Przypominam sobie setki jabłek leżących obok ścieżki, lśniących i złocistych, i przeklinam swoją głupotę, przecież mogłam się zatrzymać, najeść ich do syta.

– To co, możemy jej rozkazywać? – chce wiedzieć inna dziewczyna,

Moragna. – Albo zadawać krępujące pytania, a ona odpowie?

– Dlaczego miałyby uznać jakiegokolwiek pytanie za krępujące, skoro jest pośród przyjaciół? – mówi Nicassia, mrużąc oczy. Wygląda jak kot, który wyjadł całą śmietankę i jest gotowy do drzemki na słońcu.

– Kogo z nas najbardziej byś chciała pocałować? – pyta Agerata, podchodzi bliżej. Dotąd ledwo się do mnie odzywała, więc tym bardziej się cieszę, że chce się ze mną zaprzyjaźnić.

– Chcę pocałować was wszystkich – odpowiadam, na co odpowiada wybuch głośnego śmiechu. Ja szczerzę zęby do gwiazd.

– Masz na sobie za dużo ubrań – stwierdza Nicassia, krytycznie przyglądając się mojemu strojowi. – Poza tym wybrudziłaś się. Powinnaś to zdjąć.

Nagle czuję, jak ciąży mi moja suknia. Wyobrażam sobie siebie nagą w świetle księżycy, o skórze tak srebrzystej jak te liście nad nami.

Stoję. Wszystko jakby rozgrywało się gdzieś obok mnie. Zaczynam się rozbierać.

– Miałaś rację – mówię zachwycona. Suknia opada na ziemię u moich stóp. Pod spodem mam bieliznę śmiertelniczek – majtki i stanik. Miętowozielone w czarne grochy.

Dziwnie się na mnie patrzą, tak jakby zastanawiali się, co to za dziwaczny strój. Wszyscy zaś są tak piękni, że nie mogę zbyt długo na nich spoglądać, bo od zachwyty aż boli mnie głowa.

Jestem świadoma miękkości mojego ciała, nagniotków na skórze i ciężaru moich piersi. Jestem świadoma zwiewności muskających moje łydki pędów trawy i ciepłej ziemi pod stopami.

– Czy jestem taka piękna jak ty? – pytam Nicassię, naprawdę mnie to ciekawi.

– Nie – mówi, rzucając spojrzenie Valerianowi. Podnosi coś z ziemi. – Pod żadnym względem nie jesteś taka jak my.

Przykro mi to słyszeć, ale nie jestem zaskoczona. Wobec nich każdy inny byłby tylko cieniem, mglistym odbiciem odbicia.

Valerian wskazuje palcem jarzębinowy naszyjnik, suszone czerwone jagódki na długim srebrnym łańcuszku.

– To też powinnaś zdjąć.

Kiwam konspiracyjnie głową, przytakuję.

– Masz rację – mówię. – Już mi tego nie potrzeba.

Nicassia uśmiecha się do mnie, unosi dłoń, na której widać jakąś złotą miazgę. To te parszywe resztki przeżutego jabłka.

– Chodź, wyliż mi dłonie. Z chęcią to zrobisz, prawda? Ale w tym celu musisz uklęknąć.

Jak powiew wiatru pośród moich towarzyszy nauki przemyka szmer westchnień i chichotów. Oni chcą, żebym to zrobiła. A ja przecież chcę ich uszczęśliwić. Niech wszyscy będą tak samo szczęśliwi jak ja. W dodatku chciałabym jeszcze posmakować tego owocu. Zaczynam pełznąć w stronę Nicassii.

– Nie – mówi Cardan, zastępuje mi drogę. Głos ma dźwięczny, choć trochę drżący. Tamci cofają się, rozstępują, tworzą wokół niego miejsce. Zrzuca miękki skórzany trzewik i stawia przede mną bladą stopę. – Jude zbliży się i ucałuje moją stopę. Przecież chciała nas całować, a w końcu to ja jestem jej księciem.

Znowu się śmieję. Doprawdy, nie wiem już, dlaczego w moim dotychczasowym życiu śmiałam się tak rzadko. Przecież wszystko jest takie cudowne i zabawne.

Kiedy jednak patrzę na Cardana, orientuję się, że coś jest nie tak. W jego oczach lśni furia, żądza i może nawet wstyd. Chwilę później mruga i pozostaje już tylko sama zimna arogancja.

– No? Pospiesz się – mówi niecierpliwie. – Ucałuj moją stopę i powiedz, jaki jestem nadzwyczajny. Powiedz, jak bardzo mnie uwielbiasz.

– Dosyć – przerywa mu Loki. Oстрыm tonem. Chwyta mnie za ramiona i dźwiga na nogi. – Zaprowadzę ją do domu.

– Naprawdę zaprowadzisz? – pyta go Cardan, unosząc brwi. – Dziwną chwilę sobie wybrałeś. Uważasz, że nieco upokorzenia nie zaszkodzi, ale co za dużo, to niezdrowo, tak?

– Raczej nie cierpię, kiedy taki się robisz – mówi do niego Loki.

Cardan wyciąga z kłapy kaftana szpilkę, lśniący filigran o główce w kształcie miniaturowego żółędzia na liściu dębu. Przez obłąkańczą chwilę wydaje mi się, że podaruje ją Lokiemu w zamian za to, żeby mnie tu zostawił. Jednak nawet mojemu oszalałemu umysłowi wydaje się to niemożliwe.

Potem jednak Cardan bierze mnie za rękę, co jest już zupełnym nieprawdopodobieństwem. Czuję ciepło jego palców na swojej skórze. Wbija ostrze szpili w mój kciuk.

– Au – mówię, cofam się, wkładam zraniony palec do ust. Czuję metaliczny smak własnej krwi na języku.

– Miłego spaceru do domu – mówi Cardan.

Loki odprowadza mnie, po drodze zgarnia czyjś koc, który zarzuca mi na ramiona; zataczam się, on mnie podtrzymuje. Kilkoro preceptorów, których widzę, nie śmie spojrzeć mi w oczy.

Wysysam krew ze skaleczonego palca, czuję się dziwacznie, ale już tak bardzo nie kręci mi się w głowie. Coś poszło nie tak. Chwilę potem już rozumiem. W mojej ludzkiej krwi jest sól.

Robi mi się niedobrze.

Odwracam się, patrzę na Cardana, który śmieje się razem z Valerianem i Nicassią. Moragna opiera się o jego ramię. Następna preceptorka, zwiewna elfka pochodząca ze wschodniej wyspy, próbuje rozpocząć wykład.

Nienawidzę ich. Tak strasznie ich nienawidzę. Przez chwilę jest tylko to, palący żar wściekłości spopielający wszystkie inne myśli. Ręce mi się trzęsą, gdy owijam się mocniej kocem i daję się prowadzić Lokiemu.

– Mam wobec ciebie dług – po jakimś czasie jestem już wstanie wykrztusić chociaż tyle. – Za to, że mnie stamtąd zabrałeś.

Przygląda mi się uważnie. Znów ze wzmożoną intensywnością dostrzegam, jaki jest przystojny, jak pięknie miękkie pukle okalają jego twarz. Straszne, jestem z nim sam na sam i zdaję sobie sprawę, że przed chwilą widział mnie w samej bieliźnie, jak pełzałam. Jednak jestem zbyt wściekła, żeby czuć wstyd.

Potrząsa głową.

– Nie masz długu wobec nikogo, Jude. Szczególnie dzisiaj.

– Jak możesz z nimi wytrzymać? – pytam. Ze złości napadam na niego, chociaż na niego jednego wściekła nie jestem. – Przecież oni są straszni. To potwory.

Nie odpowiada. Idziemy dalej, a kiedy znajdujemy się tam, gdzie ziemia jest usiana jabłkami, kopię jedno z nich, aż odbija się rykoszetem od pnia wiązu.

– Przebywanie z nimi daje pewną przyjemność – mówi. – Bierzymy sobie, co zechcemy, pozwalamy sobie na wszelkie okropności. Bycie strasznym daje poczucie bezpieczeństwa.

– Dlatego że przynajmniej nie są wredni wobec ciebie? – próbuję się dopytać, ale znowu mi nie odpowiada.

Gdy zbliżamy się do dworu Madoka, zatrzymuję się.

– Dalej powinnam pójść sama – mówię i uśmiecham się do niego, pewnie dość blado to wypada. Niełatwo mi utrzymać ten uśmiech na twarzy dłużej niż przez chwilę.

– Zaczekaj – mówi i podchodzi jeszcze krok w moją stronę. – Chcę się znowu z tobą zobaczyć.

Stękam głucho, jestem zbyt wykończona na takie niespodzianki. Stoję przed nim w pożyczonym kocu, butach i bieliźnie z supermarketu. Wysmarowana jestem błotem i właśnie zrobiłam z siebie durnia.

– Po co? Dlaczego?

Patrzy na mnie, jakby widział we mnie jednak coś zupełnie innego. W tym spojrzeniu jest jakaś intensywność, która sprawia, że mimo wszystko nieco się prostuję.

– Dlatego że jesteś jak historia, która jeszcze się nie wydarzyła. Dlatego że chcę zobaczyć, co zrobisz. Chcę uczestniczyć w perypetiach tej opowieści.

Nie bardzo się orientuję, czy ma mi to pochlebiać, czy nie, ale chyba może być.

Bierze mnie za rękę – tę samą dłoń, którą Cardan ukłuł szpilą – i całuje koniuszki moich palców.

– Do jutra – mówi i kłania się.

A ja, okryta pożyczonym kocem, w wysokich butach i bieliźnie z supermarketu, idę sama do domu.



– Powiedz mi, kto to zrobił – nalega Madok raz za razem, ale nie wyjawię mu tego. Przechadza się tam i z powrotem, łomocąc buciorami, i szczegółowo opowiada, w jaki sposób sam się tego dowie, a następnie rozprawi się z winnymi. Wyrwie im serca z piersi. Oderżnie głowy i zatknie na dachu naszego domu jako przestrożę dla innych.

Wiem, że to nie do mnie skierowane są te groźby, ale wrzeszczy w końcu na mnie.

Kiedy się boję, to choćby jak najlepiej odgrywał rolę ojca, nie potrafię zapomnieć, że na zawsze będzie też mordercą mojego ojca.

Nie mówię nic. Pamiętam doskonale, jak Oriana lękała się, że Taryn czy ja zachowamy się niestosownie na dworskim przyjęciu, przez co przyniesiemy ujmę Madokowi. Teraz rozumiem, że prawdopodobnie bardziej obawiała się jego zachowania, gdyby do czegoś takiego doszło. A więc ścięcie głów Valerianowi oraz Nicassii to z politycznego punktu widzenia nie jest najlepszy pomysł. Gdyby się porwał na Cardana, oznaczałoby to zdradę stanu.

– Sama to zrobiłam – mówię wreszcie, żeby już przestał. – Zobaczyłam owoce, wyglądały tak smakowicie, że nie mogłam się powstrzymać.

– Jak mogłaś być taka głupia – woła Oriana, odwracając się na pięcie w moją stronę. Nie jest zaskoczona, raczej właśnie tego się po mnie spodziewała, a ja tylko potwierdziłam jej najgorsze przypuszczenia. – Jude, przecież wiesz, że nie powinnaś.

– Chciałam, żeby było przyjemnie, bo słyszałam, że to niesamowita rozkosz – odpowiadam, odgrywając krnąbrną córeczkę na tyle dobrze, na ile potrafię. – I to było rozkoszne. Jak przepiękny sen...

– Milczeć! – wydziera się Madok na cały głos, aż drętwiejemy ze strachu. – Cicho bądźcie, jedna z drugą!

Mimo woli kurczę się w sobie.

– Jude, przestań drażnić się z Orianą – mówi do mnie, rzucając mi zdesperowane spojrzenie, jakiego chyba nigdy przedtem nie doświadczyłam, natomiast często patrzył tak na Vivi.

Wie, że kłamię.

– A ty, Oriano, nie bądź taka łatwowierna.

Kiedy Oriana zdaje sobie sprawę, co to znaczy, unosi drobną, delikatną dłoń i zasłania nią usta.

– Kiedy wywiem się, kogo osłaniasz – mówi do mnie Madok – winni pożąłują, że się urodzili.

– To mi w niczym nie pomoże – odpowiadam.

Kłęka przede mną, ujmuje moją dłoń rosochatymi zielonymi palcami. Na pewno czuje, że drzę na całym ciele. Wzdycha głęboko, zapewne dławiąc dalsze groźby.

– W takim razie powiedz, co ci pomoże, a ja to zrobię.

Myślę sobie, co by się zdarzyło, gdybym wyjawiała krótko i węzłowato: Nicassia mnie upokorzyła, a Valerian próbował zamordować. Zrobili to, żeby przypodobać się księciu Cardanowi, który mnie nienawidzi. Boję się ich.

Boję się ich bardziej niż ciebie, a przecież ciebie boję się strasznie. Zrób coś. Spraw, żeby zostawili mnie w spokoju.

I tego właśnie nie powiem. Gniew Madoka jest niepowstrzymany. Widziałam ten gniew we krwi mojej matki na kuchennej podłodze. Gdy raz się go przyzwie, nie da się go odwołać.

Co by się stało, gdyby zamordował Cardana? Gdyby zabił ich wszystkich? Rozlew krwi jest jego odpowiedzią na tak wiele problemów. W razie ich śmierci rodziny zażądają satysfakcji. Gniew Najwyższego Króla spadnie na głowę Madoka. Moja sytuacja byłaby o wiele gorsza niż obecnie, a Madoka prawdopodobnie spotkałaby śmierć.

– Ucz mnie dalej i więcej – mówię więc. – Więcej strategii, więcej szermierki. Naucz mnie wszystkiego, co sam umiesz.

Mogę sobie być szpiegiem królewicza Daina, ale to nie znaczy, że nie zamierzam nosić miecza u boku.

Madok jest pod wrażeniem, a Oriana – wręcz przeciwnie. Domyślam się: jej zdaniem to manipulacja z mojej strony, w dodatku na tyle sprytnie przeprowadzona, że nie da się mnie zdemaskować.

– Cóż, niech i tak będzie – powiada Madok i wzdycha jeszcze raz. – Strzępka przyniesie ci kolację, chyba że czujesz się na siłach, żeby zjeść z nami przy stole. A od jutra zaczniemy intensywniejszą naukę.

– Zjem na górze – mówię, po czym udaję się do swojej komnaty, wciąż owinięta w czyjś koc. Po drodze mijam zamknięte drzwi komnaty Taryn. Jakaś część mnie chciałaby tam wejść, zwalić jej się na łóżko i rozpłakać. I żeby mnie uściskała, i żeby powiedziała, że nie mogłam inaczej postąpić. Żeby mi powiedziała, jaka jestem dzielna i że mnie kocha.

Ponieważ jednak wcale nie jestem pewna, czy właśnie to bym od niej usłyszała, idę dalej.

Pod moją nieobecność pokój został wysprzątny, łożo zaścielone, a okno otwarte, by wpuścić nocne powietrze. W stopach łoża leży poskładana samodziałowa sukienka z królewskim herbem, zwykły strój służących na dworach książąt i księżniczek. Na balkonie siedzi chochlik o sowej twarzy.

Stroszy piórka, czyści je dziobem.

– A więc to ty – mówię. – Ty jesteś jego...

– Udasz się jutro do Próżnego Dworu, cukiereczku – skrzeczy, przerywając mi w pół zdania. – Znajdź dla nas sekret, który nie spodoba się królowi. Znajdź zdradę.

Próżny Dwór to siedziba Balekina, najstarszego z książąt.
Otrzymałam właśnie pierwsze zadanie od Dworu Cieni.

ROZDZIAŁ 12



Idę spać wcześniej, a kiedy się budzę, jest już zupełnie ciemno. Boli mnie głowa, może od tego, że za długo spałam, i boli mnie całe ciało. Musiałam spać z napiętymi mięśniami.

Nauki już się zaczęły, ale to nieważne. Dzisiaj się nie wybieram.

Strzępka zostawiła mi tacę z kawą doprawioną cynamonem, goździkami oraz odrobiną pieprzu. Nalewam sobie filiżankę. Napój jest letni, co znaczy, że czekał na mnie już od jakiegoś czasu. Jest też grzanka, którą da się zmiękczyć, maczając w kawie.

Opłukuję twarz, która wciąż jeszcze lepi się od mięszu, a potem myję się cała. Czeszę pospiesznie włosy, spinam je w kok, owijając wokół patyczka.

Nie zamierzam roztrząsać tego, co zdarzyło się dzień wcześniej. Nie zamierzam myśleć o niczym innym, jak tylko o dniu dzisiejszym i misji, którą spełnię dla królewicza Daina.

Udasz się jutro do Próżnego Dworu. Znajdź dla nas sekret, który nie spodoba się królowi. Znajdź zradę.

A więc mam pomóc księciu się upewnić, że Balekin nie został wybrany na następnego króla. Eldred może na swojego następcę wyznaczyć któregokolwiek z potomków, natomiast jego faworytami jest troje najstarszych: Balekin, Dain i księżniczka Elowyn – a z nich najbardziej Dain. Ciekawe, czy dzieje się tak między innymi dzięki działalności szpiegów.

Jeśli sprostam zadaniu, zyskam władzę, kiedy Dain wstąpi na tron. Po dniu wczorajszym łaknę jej. Pożądam tak, jak przez tamte upiorne chwile pożądałam smaku elfowego owocu.

Wkładam na siebie suknię służącej, pilnując się, żeby nie założyć tym razem bielizny rodem z supermarketu, wszystko musi być tak autentyczne, jak to tylko możliwe. Na stopy wkładam stare skórzane kapcie, które od dawna leżały na dnie szafy. Podziurawiły się, więc rok temu próbowałam je naprawić, ale szyję kiepsko, dlatego naprawa wyszła nietęgo. Są na mnie dobre, a za to w przeciwieństwie do wszystkich moich pięknych butów nie prezentują się zbyt wyjściowo.

W posiadłości Madoka nie mamy wśród służby śmiertelników, ale widuje się ich w innych częściach Elysium. Ludzkie akuszerki pomagają przychodzić na świat dzieciom zrodzonym ze śmiertelnych kobiet. Śmiertelni rzemieślnicy, przekłęci czy też pobłogosławieni szczególnymi zdolnościami. Ludzkie mamki, które karmią cherlawe elfięta. Ludzkie podmieńce wychowane w Krainie Elfów, choć nie są edukowane pośród szlachetnie urodzonych, jak nam się to przytrafiło.

Radośni entuzjaści magii i miecza, którzy nie boją się ciężkiej harówki w zamian za spełnienie tego czy tamtego życzenia. Gdy nasze drogi się krzyżują, próbuję z nimi rozmawiać. Niektórzy chcą nawiązać kontakt, inni go unikają. Ci, którzy nie są rzemieślnikami, najczęściej zostają poddani działaniu łagodnych uroków i nie całkiem zdają sobie sprawę, gdzie się znajdują – sądzą, że to jakiś szpital albo dom kogoś bogatego. Kiedy wracają – Madok zapewniał mnie, że oczywiście, są zwracani swojemu światu – otrzymują godziwą zapłatę, a nawet specjalne dary, takie jak szczęście i powodzenie albo bujne, lśniące włosy, albo talent do odgadywania wygrywających numerów na loterii.

Wiem jednak, że są też ludzie, którzy przez chciwość lub po prostu głupotę nie wyszli dobrze na układach z elfami albo też obrazili jakąś szczególnie mściwą istotę – ci nie są już tak dobrze traktowani. Taryn i ja słyszymy niejedno, chociaż najczęściej te informacje nie są przeznaczone dla naszych

uszu – opowieści o ludziach, którzy śpią na kamieniu i jedzą śmieci, przekonani, że spoczywają na puchowych łożach i opływają w łakocie. O ludziach, którzy postradali zmysły, nieustannie karmieni tutejszymi owocami. Plotka głosi, że właśnie tacy źle traktowani nieszczęśnicy służą Balekinowi. Wzdrygam się na tę myśl. Jednak zdaję sobie przy tym sprawę, że śmiertelnik to dobry materiał na szpiega, pomijając nawet umiejętność kłamania. Śmiertelnik może dostać się niepostrzeżenie na samo dno i na samą górę. Dopóki mamy harfę w dłoni, jesteśmy bardami i obracamy się wśród najwyższych sfer; w gospodarstwie jesteśmy służbą. W pięknych sukniach jesteśmy żonami, a suknie tych czepiają się kwilące goblinowe dzieciaki.

Wygląda więc na to, że przynależność do niższej kategorii ma swoje zalety.

Do skórzanej torby pakuję przebranie i nóż, na ramiona narzucam grubą aksamitną pelerynę. Schodzę po schodach. Od kawy burczy mi w brzuchu. Dochodzę już do drzwi, kiedy nagle dostrzegam Vivi siedzącą na pokrytej tapiserią podokiennej ławie.

– O, nie śpisz – stwierdza i wstaje. – Fajnie. Chcesz ze mną zapolować? Mam strzały.

– Może później. – Jestem szczelnie owinięta peleryną, próbuję więc przemknąć obok niej, zachowując beztroski wyraz twarzy.

Nic z tego. Zagrada mi drogę ręką.

– Taryn powiedziała mi, jak się odezwałaś do księcia podczas turnieju – mówi. – A od Oriany wiem, w jakim stanie przyszłaś wczoraj do domu. Reszty mogę się domyślić.

– Nie trzeba mi kolejnego kazania – odpowiadam.

Tylko ta misja od Daina trzyma mnie przy życiu, inaczej rozpamiętywałamby w kółko wydarzenia poprzedniego dnia. Nie zamierzam się rozpraszać. I boję się, że gdybym sobie na takie rozważania pozwoliła, stracę panowanie nad sobą.

– Taryn okropnie się czuje – mówi Vivi.

– Tak, wiem – odpowiadam. – Czasami chujowo jest mieć rację.

– Przestań. – Chwyta mnie za ramię, patrzy mi w oczy kocimi źrenicami. – Ze mną możesz porozmawiać. Możesz mi zaufać. Co się dzieje?

– Nic – mówię. – Popełniłam błąd. Wściekłam się. Chciałam czegoś dowieść. To była głupota.

– Czy to z powodu tego, co powiedziałam? – Jej palce mocno wbijają się

w moje ramię. – Że elfowie zawsze was będą traktować jak gówno?

– Vivi, wyluzuj. Jeżeli narobiłam sobie kłopotów, to na pewno nie z twojej winy – zapewniam ją. – Ale jeszcze pożałują, że mi podskoczyli.

– Zaraz, o czym ty mówisz? – pyta zaniepokojona Vivi.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Wyrywam się i idę do drzwi. Tym razem nie próbuje mnie zatrzymać. Gdy znajduję się na zewnątrz, biegnę przez trawnik do stajni.

Wiem, że to nie fair wobec Vivi, która niczego złego mi nie zrobiła. Przeciwnie, chciała pomóc.

Może już nie potrafię być dobrą siostrą.

W stajni muszę odetchnąć, opieram się o ścianę. Przez ponad połowę mojego życia muszę walczyć z obezwładniającym mnie przerażeniem. Nie wiem, czy to zdrowe na nerwy, kiedy takie roztrzęsienie staje się normą, a nawet koniecznością. Jednak teraz już nie potrafiłabym bez tego żyć.

Najważniejsze, żeby wywrzeć odpowiednie wrażenie na księciu Dainie. Nie pozwolę, żeby Cardan i jego koleżkowie mi to odebrali.

Postanawiam wybrać się do Próżnego Dworu na grzbiecie ropuchy, bo tylko szlachetnie urodzeni dosiadają srebrzystych rumaków. Co prawda służba najczęściej i tak porusza się pieszo, ale ropucha przynajmniej mniej się rzuca w oczy.

To prawda, w Krainie Elfów gigantyczna ropucha jest najmniej rzucającym się w oczy środkiem transportu.

Wybieram nakrapianą bestię, siodłam ją i zakładam uzdę. Wyprowadzam wierzchowca na zewnątrz; nagle długi jęzor wystrzeliwuje z jej pyska, sięgając złotego ślepią – aż odruchowo cofam się o krok.

Wsuwam stopę w strzemień, dosiadam płaza. Jedną dłonią ściągam wodze, drugą klepię miękką, chłodną skórę na jej zadzie. Ropucha daje takiego susa, że muszę się mocno trzymać.

Próżny Dwór to kamienna siedziba z wysoką krzywą wieżą, porośnięta bluszczem i winoroślą. Na piętrze jest balkon o balustradzie nie z kutego żelaza, lecz z grubych korzeni. Zwisają z nich długie pędy niczym niechlujna gęsta broda. Domostwo jest jakieś nieforemne, niby powinna to być uroczą siedziba, a wygląda złowrogo.

Przywiązuję ropuchę, wpycham płaszcz do sakwy przy siodle i kieruję się na tyły dworu, gdzie, jak sądzę, znajdować się będzie wejście dla służby. Po drodze zbieram grzyby, żeby móc wyjaśnić, co robiłam w lesie.

Gdy się zbliżam, serce znów zaczyna mi walić. Powtarzam sobie, że Balekin nie zrobi mi krzywdy. Nawet jeżeli zostanie zdemaskowana, po prostu odeśle mnie do Madoka. Nic złego się nie stanie.

Nie jestem całkiem pewna, czy to prawda, udaje mi się jednak na tyle uspokoić samą siebie, że wślizguję się do środka przez drzwi dla służby.

Znajduję się w korytarzu wiodącym do kuchni; na jakimś stole kładę grzyby obok leżących już tu kilku zakrwawionych królików, pasztetu z gołębi, pęków czosnku i rozmarynu, kilku ciemnych śliwek oraz stojących tuzinów butelek wina. Tłusty troll coś miesza w wielkim kotle, obok niego dostrzegam skrzydlatą pixie. Warzywa siekają dwie ludzkie istoty o zapadłych policzkach, chłopak i dziewczyna, oboje z bezmyślnymi uśmiezkami na twarzach, z zamglonym wzrokiem. Nawet nie patrzą na swoje ręce, dziwne, że nie poodcinają sobie palców. Obawiam się zresztą, że gdyby nawet do tego doszło, nawet by nie zauważyli.

Przypominam sobie, jak czułam się poprzedniego dnia, przypomina mi się też smak owocu. Robi mi się niedobrze, przyspieszam kroku, idę dalej korytarzem.

Nagle zatrzymuje mnie elf o bladych oczach. Chwyta mnie za ramię. Spoglądam na niego, mając nadzieję, że udało mi się przywołać na twarz taki sam pusty wyraz rozmarzonego zachwyty jak u śmiertelników w kuchni.

– Nie widziałem cię wcześniej – rzuca oskarżycielskim tonem.

– Jakie piękne – mówię, starając się, by w moim głosie pobrzmiwało oczarowanie i pomieszanie. – Oczy jak zwierciadła.

Prycha pogardliwie, z czego wnioskuję, że przekonująco udaję ogłupiałą ludzką istotę, chociaż tak naprawdę czuję się bardzo dziwnie i jestem kompletnie roztrzęsiona. Myślałam, że improwizacja przyjdzie mi z większą łatwością.

– Nowa jesteś? – pyta, powoli wymawiając słowa.

– Nowa? – powtarzam, gorączkowo próbując wymyślić, co może mieć do powiedzenia ktoś sprowadzony podstępem i oszołomiony. Ciągłe mi się przypomina ten mdlący smak, ale przez to, zamiast wczuć się w rolę, tylko coraz bardziej chce mi się rzygać. – Przedtem byłam gdzie indziej – odpowiadam – ale teraz muszę szorować sień, żeby lśniła w każdym calu.

– Aha. No to jazda, szoruj – mówi i puszcza mnie.

Próbuję opanować narastające pod skórą drżenie. Nie próbuję sobie pochlebiać – to nie moje aktorstwo go przekonało, tylko fakt, że jestem

ludzką istotą. W jego pojęciu ludzie są służącymi. Jeszcze raz dociera do mnie, dlaczego ksiązę Dain uznał, że mogę mu się przydać. Skoro strażnik dał sobie ze mną spokój, mogę już względnie łatwo poruszać się po Próżnym Dworze. Krążą po nim dziesiątki śmiertelnych ludzkich istot, w rozmarzeniu oddających się różnym domowym pracom. Nucą sobie coś pod nosem, mówią do siebie głośnym szeptem, prowadząc wyimaginowane rozmowy. Oczy zgaszone, usta otwarte.

Nic dziwnego, że strażnik uznał mnie za nową.

Oprócz służących są też jednak i elfowie. Goście z jakiegoś przyjęcia, które raczej wygasło, niż się skończyło. Śpią w różnych stadiach neglizżu, ułożeni na kanapach i na dywanach alkowy. Ich usta poplamione są złotym proszkiem nevermore, który elfów pozbawia przytomności, a śmiertelnikom daje moc rzucania czarów. Przewrócone kubki, strużki pitnego miodu widoczne na nierównej podłodze, przypominające dopływy wielkich miodowych jezior. Niektórzy leżą zupełnie nieruchomo, aż strach, czy nie zaćpali się na śmierć.

– Przepraszam – odzywam się do dziewczyny w mniej więcej moim wieku, która niesie cynowe wiadro. Mija mnie, nawet nie usłyszała, że do niej przemówiłam.

Nie mając pomysłu, co mogę zrobić, postanawiam iść za nią. Wspinamy się po szerokich schodach bez poręczy. Trzech elfów leży bezwładnie na podłodze, obok maleńka jak naparstek buteleczka napoju. Gdzieś w drugim końcu korytarza rozlega się okrzyk jakby bólu. Coś ciężkiego pada na ziemię. Usiłuję utrzymać na twarzy wyraz rozmarzonej obojętności, lecz nie jest to łatwe. Moje serce tłucze się w piersi jak ptak w potrzasku.

Dziewczyna otwiera drzwi do apartamentów sypialnych, wkradam się za nią.

Ściany są z surowego kamienia, nie ma na nich malowideł czy tapiserii. W pierwszej komnacie większość miejsca zajmuje potężne łoże, na którego wezgłowie wyrzeźbiono zwierzęta o kobiecych głowach i nagich piersiach – sowy, węże i lisy – pogrążone w jakimś dziwnym tańcu.

Chyba nie powinno mnie to dziwić, przecież Balekin przewodzi rozpustnemu Kręgowi Wilg.

Rozpoznaję książki piętrzące się na drewnianym biurku – z takich samych uczymy się ja i Taryn. Są rozrzucone, między nimi kartki papieru, otwarty kałamarz. Na marginesie jednej z książek widnieją staranne notatki, inna jest

poplamiona kleksami. Leży na nich złamane pióro, chyba ktoś musiał je złamać umyślnie, nie potrafię sobie wyobrazić, żeby to mogło stać się przypadkiem.

Nie widać niczego, co by dowodziło zdrady.

Książę Dain dostarczył mi to przebranie, bo wiedział, że dzięki niemu bez trudu dostanę się do siedziby brata. Co do reszty, liczył na moją umiejętność kłamania. Skoro już znalazłam się wewnątrz, mam nadzieję, że znajdę coś godnego uwagi.

A to znaczy, że nieważne, jak bardzo się boję, muszę mieć oczy otwarte.

Na półkach inne książki, niektóre kojarzę z biblioteki Madoka. Przyklękam, bo coś przykuwa moją uwagę: w kącie wetknięty jest egzemplarz książki, której nie spodziewałabym się tutaj znaleźć: *Przygody Alicji w Krainie Czarów i O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra* w jednym tomie. Dawno temu w świecie śmiertelników mama czytała nam tę opowieść z bardzo podobnej książeczki.

Widzę znajome ilustracje, trafiam na zapamiętane słowa:

– *Ale ja nie chcę przebywać wśród obłąkanych – zauważyła Alicja.*

– *Och, temu nie zaradzisz – powiedział Kot – wszyscy tu jesteśmy obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.*

– *Skąd wiesz, że jestem obłąkana? – powiedziała Alicja.*

– *Na pewno jesteś – powiedział Kot – inaczej nie znalazłabyś się tutaj.**

Gula przerażonego śmiechu wznosi się ku mojej krtani, muszę przygryźć policzek, aby ją powstrzymać.

Śmiertelna dziewczyna klęczy przy wielkim kominku i wymiata popiół. Ruszt kominka wykuty został na kształt ogromnych wijących się węży, są po obu jej bokach, ich szkliste oczy gotowe są załsnąć od płomieni.

Chociaż to śmieszne, nie mogę zdobyć się na to, żeby książkę po prostu odłożyć. To nie jest ta sama, którą spakowała Vivi i której nie widziałam, odkąd mama ją nam czytała na dobranoc. Wsuwam *Alicję* pod suknię.

Potem idę do garderoby, otwieram ją, szukając jakichś śladów, jakichś cennych strzępów informacji. Kiedy jednak zaglądam do środka, ogarnia mnie dzikie przerażenie. Nagle już wiem, w którym pokoju się znalazłam. Widzę ekstrawaganckie kaftany księcia Cardana, jego bryczesy, pretensjonalne, obszyte futrem pelerynki i koszule z jedwabiu cienkiego jak

pajęczyna.

Dziewczyna tymczasem wymiotła popiół i układa na ruszcie świeże bierwiona, wieńcząc piramidę aromatycznym sosnowym igliwem.

Mam ochotę przemknąć obok niej i uciec z Próżnego Dworu. Zakładałam dotąd, że Cardan mieszka w pałacu ojca, Najwyższego Króla. Nie przyszło mi do głowy, że może mieszkać u któregoś z braci. Nagle przypominam sobie, że podczas ostatniej dworskiej biesiady Dain i Balekin pili razem. Mogę tylko mieć rozpaczliwą nadzieję, że nie jest to diaboliczny plan mający na celu kolejne upokorzenie mnie i dostarczenie Cardanowi pretekstu – lub gorzej, sposobności – żeby znów mnie ukarać.

Nie, nie uwierzę w to. Książę Dain, który wkrótce ma zostać koronowany na Najwyższego Króla, nie zawracałby sobie głowy takimi błahostkami – miałyby udawać, że bierze mnie na służbę tylko po to, aby zaspokoić zachciankę rozbisurmanionego braciszka? Nie nałożyłyby na mnie géisu, nie układałyby się ze mną dla tak błahego powodu. Muszę w to wierzyć, bo alternatywa jest zbyt potworna.

Po prostu, poruszając się po tym domu, muszę uważać i unikać nie tylko księcia Balekina, ale również Cardana. Obaj mogliby mnie przecież rozpoznać, gdyby tylko dostrzegli moją twarz. Muszę więc zadbać, żeby nie mieli po temu okazji.

A zresztą nazbyt uważnie raczej przyglądać mi się nie będą. Kto by tam się przyglądał służącej?

Uświadamiam sobie, że w sumie tak bardzo się od tej dziewczyny nie różnię, więc zaczynam ją uważnie obserwować – dostrzegam pieprzyki na jej ludzkiej skórze, rozdwajające się końcówki blond włosów i poobijane kolana. Przyglądam się, jak nieco chwiejnie dźwiga się na nogi; jej ciało jest ogromnie zmęczone, chociaż umysł nic o tym nie wie.

Chcę ją zapamiętać, rozpoznać, jeśli kiedyś znów ją zobaczę.

Tylko co z tego, uroku z niej nie zdejmę. Ona tymczasem z tym samym upiornym, grzecznym, błogim uśmiechem robi swoje. Kiedy opuszcza komnaty Cardana, wychodzę za nią i ruszam w przeciwnym kierunku. Muszę odnaleźć prywatne komnaty Balekina, odkryć jego tajemnice, a potem wiać.

Otwieram ostrożnie drzwi, zaglądam. Widzę dwie sypialnie, wszystko jest pokryte grubą warstwą kurzu, na jednym łóżu pod pajęczystym całunem spoczywa jakaś postać. Zastanawiam się przez chwilę, czy to jakaś rzeźba, czy trup, a może nawet żywa istota, ale kiedy uświadamiam sobie, że nie ma

to nic wspólnego z moją misją, szybko się wycofuję. Otwieram następne drzwi. Widzę dwóch objętych elfów pogrążonych we śnie. Jeden z nich podnosi głowę i leniwie puszcza do mnie oko. Nieruchomieję, ale jego głowa w tej samej chwili ciężko opada na poduszki.

Kolejne drzwi prowadzą do sieni, skąd kręte schody prowadzą wysoko, wysoko na górę. Niewątpliwie wieża. Wbiegam pospiesznie, dzięki skórzanym trzewikom bezgłośnie pokonując stopnie.

Znajduję się w okrągłej komnacie; jest tutaj mnóstwo regałów, na nich książki, rękopisy, zwoje, złote sztylety, smukłe szklane fiolki pełne płynów mieniących się barwami szlachetnych kamieni, a także czaszka jakiegoś podobnego do jelenia zwierzęcia o potężnym porożu, na którego rozgałęzieniach ustawiono cienkie woskowe świece. Obok jedynego okna stoją dwa wielkie fotele. Pośrodku pomieszczenia stoi ogromny stół, a na nim leżą mapy, których rogi przyciśnięto szklenicami i metalowymi przedmiotami. A także listy. Przerzucam je, aż trafiam na coś takiego:

Znam pochodzenie grzybu rumienia, skoro pytasz, jednak twoje poczynania nie mogą zostać powiązane ze mną. Uważam, że po tym dług zostanie spleacony. Niech moje imię zejdzie z twych ust.

List nie jest podpisany, pismo eleganckie, kobiece. Wygląda na coś ważnego. Czyżby to dowód, którego szuka Dain? Czy jest to coś na tyle przydatnego, żeby zadowolić przyszłego władcę? Tak czy inaczej, nie mogę tego listu zabrać. Przecież jeśli zginie, Balekin od razu będzie wiedział, że ktoś tutaj był. Znajduję czystą bibułkę, kładę na liście i kopiuję go, starając się jak najwierniej oddać charakter pisma.

Prawie już kończę, kiedy słyszę kroki. Ktoś wchodzi po schodach.

Ogarnia mnie panika. Tutaj nie ma gdzie się schować. W tej komnacie właściwie nie ma niczego poza otwartą przestrzenią i półkami. Zgniatam notatkę, chociaż jest niedokończona i wiem, że świeży atrament się rozmaże.

Najszybciej, jak tylko mogę, kulę się za oparciem jednego z foteli. Żałuję, że nie zostawiłam tej durnej książki tam, gdzie leżała, bo teraz wbija mi się w pachę. Co ja sobie wyobrażałam? Że jestem taka sprytna, że mogę być szpiegiem w Krainie Elfów?

Odruchowo zaciskam powieki, tak jakby to, że nie będę widzieć, mogło mnie uchronić przed byciem zauważoną.

– Mam nadzieję, że ćwicyłeś – słyszę głos Balekina.

Unoszę nieco powieki. Przez szparki widzę stojącego przy półkach z książkami Cardana, a obok niego mężczyznę o tępej twarzy; służący trzyma w dłoni krótki miecz ze złotym graverunkiem na rękojeści i stalowym jelcem w kształcie skrzydeł. Muszę się ugryźć w język, żeby nawet nie pisnąć.

– Czy to naprawdę konieczne? – odzywa się Cardan znużonym głosem.

– Pokaż, czego się nauczyłeś. – Balekin sięga do kosza stojącego za biurkiem, wyciąga z niego dębową laskę. – Wystarczy, że chociaż raz mnie trafisz. Chociaż raz, braciszku.

Cardan stoi bez ruchu.

– Weź miecz do ręki! – Widać, że cierpliwość Balekina jest na wyczerpaniu.

Cardan wzdycha ciężko, przeciągle, potem unosi klingę. Ma fatalną postawę. Dobrze rozumiem irytację Balekina. Z całą pewnością Cardan, odkąd był na tyle duży, żeby mógł utrzymać w ręku patyk, miał szansę pobierać nauki u najlepszych mistrzów. Mnie uczono fechtunku, odkąd tylko przybyłam do Krainy Elfów, Cardan teoretycznie powinien mieć nade mną lata przewagi. Natomiast pierwszą rzeczą, której się uczyłam, to jak stawiać stopy...

Balekin podnosi laskę.

– No, już. Atakuj!

Przez długą chwilę stoją bez ruchu, spoglądają na siebie. Cardan macha mieczem byle jak, a Balekin wali go laską w bok głowy. Aż krzywię się, słysząc głuchy odgłos drewna uderzającego w czaszkę. Cardan chwieje się, szczyrzy zęby. Na jego policzku wykwita czerwona pręga wiodąca dalej przez ucho.

– Przecież to żalosne – mówi Cardan, spluwając na podłogę. – Dlaczego musimy za każdym razem przez to przechodzić? No, chyba że to dla twojej przyjemności, co? Powiedz, czy o to chodzi? Czy to cię po prostu bawi?

– Szermierka nie jest zabawą.

Balekin uderza znowu. Cardan próbuje odskoczyć w tył, ale laska uderza go w udo.

Cardan krzywi się, zasłania mieczem.

– A więc po co się tak brzydko bawisz?

Twarz Balekina ciemnieje, mocniej zaciska palce na drewnie laski. Tym razem Cardan otrzymuje nagłe, błyskawiczne pchnięcie w brzuch – tak

mocne, że pada ciężko na podłogę.

– Próbowałem coś z ciebie zrobić, ale ty trwonisz czas na pijaństwo w świetle księżyca, bezmyślne intrygi i żalodne umizgi...

W tym momencie Cardan zrywa się na nogi i rzuca w stronę brata, wściekle wymachując mieczem. Tak jakby miał w ręku maczugę. Balekin musi się jednak cofnąć przed samym impetem tego ataku.

Wreszcie widać, że Cardan mimo wszystko coś umie. Działa rozważnie, próbuje niespodziewanie zmienić kierunek. Podczas lekcji nigdy specjalnie się nie interesował fechtunkiem; niewątpliwie zna podstawy, ale chyba wcale nie ćwiczy, bo Balekin bez trudu go rozbraja. Miecz wypada z dłoni Cardana, leci w moją stronę i z trzaskiem spada na podłogę.

Kurczę się jeszcze bardziej w cieniu fotela. Przez chwilę jestem pewna, że zostanę przyłapaną, ale broń podnosi służący o szklanym, niewidzącym spojrzeniu.

Balekin z całej siły wali Cardana po nogach, znów powalając go na ziemię. Jestem zachwycona. Żałuję tylko, że to nie ja mam w dłoni tę laskę.

– Nie fatyguj się, możesz nie wstawać. – Balekin rozpina pas i wręcza go służce. Mężczyzna owija go dwukrotnie wokół dłoni. – Znów nie przeszedłeś próby. Który to już raz?

Cardan nie odzywa się. W jego oczach widzę dobrze mi znaną furję, która chociaż raz nie jest skierowana przeciwko mnie. Klęczy, ale wcale nie wygląda na zastraszonego.

– Powiedz mi – głos Balekina staje się jedwabisty, kiedy królewicz staje nad młodszym bratem – kiedy przestaniesz być takim nieudacznikiem?

– Może wtedy, gdy przestaniesz udawać, że nie robisz tego dla przyjemności – odpowiada Cardan. – Jeżeli chcesz mi sprawić ból, oszczędziłbyś nam obu mnóstwo czasu, gdybyś od razu przeszedł do...

– Ojciec był już stary, a jego nasienie mizerne, kiedy cię począł. Dlatego i ty jesteś słaby. – Balekin kładzie dłoń na karku brata. W pierwszej chwili wygląda to na czuły gest, po chwili jednak widzę, że Cardan ma wykrzywione usta i traci równowagę. Uświadamiam sobie, że Balekin przygniata go, wbija w podłogę. – A teraz zdejmij koszulę i przyjmij karę.

Cardan posłusznie obnaża tors, ukazując skórę bladą jak księżyc i plecy pokryte plecionką śladów po poprzedniej chłości.

Ściska mnie w żołądku. Będą go bili.

Powinam być zachwycona, widząc Cardana w tej sytuacji. Powinam się

cieszyć, że ma podłe życie, może nawet gorsze od mojego – chociaż jest wielkim księciem elfów i strasznym dupkiem, który przypuszczalnie ma przed sobą wieczne życie. Gdyby ktoś mi powiedział, że będę miała okazję coś takiego zobaczyć, co najwyżej bym się spodziewała, że trzeba będzie się przy tym powstrzymać od klaskania w dłonie. Teraz jednak, kiedy na to patrzę, nie mogę nie dostrzec skrytego pod arogancją lęku. Wiem, jak to jest układać piękne słówka, żeby nikt się nie zorientował, że dławi nas strach. Nie, to nie sprawi, że go polubię, ale pierwszy raz jest dla mnie kimś prawdziwym. Dobrym na pewno nie, ale prawdziwym.

Skinienie głowy Balekina. Sługa uderza dwukrotnie, w ciszy pokoju głośno rozlega się świst skórzanego pasa i odgłosy uderzeń.

– Nie powzięłem tego postanowienia w gniewie, braciszku – powiada Balekin, a mnie aż ciarki przechodzą. – Robię to z miłości do ciebie. A także z miłości do naszego rodu.

Gdy sługa ponosi rękę, aby uderzyć trzeci raz, Cardan chwytą nagle miecz leżący na stole. Przez chwilę wydaje mi się, że przebije nim służącego na wskroś.

Ten jednak nie wydaje okrzyku, nie cofa się. Pewnie tak samo jak służki jest omamiony urokiem. Niewykluczone, że Cardan mógłby mu wrazić żelazo prosto w serce, a on nawet nie próbowałby się bronić.

– Ależ proszę, proszę – rzuca znudzony Balekin. Ruchem głowy wskazuje sługę. – Zabij go. Pokaż mi, że nie boisz się rozlewu krwi. Udowodnij, że jesteś w stanie kogoś pokonać, choćby otumanionego, żalosego niewolnika. Dobre i to.

– Nie jestem mordercą – odparowuje Cardan, co dla mnie jest zaskoczeniem. Nigdy bym nie pomyślała, że jest to coś, z czego można być dumnym w Krainie Elfów.

Balekin dwoma szybkimi krokami podchodzi do brata. Są tacy podobni, gdy stają naprzeciwko siebie. Takie same atramentowe włosy, ten sam wyraz wzgardy na twarzy, to samo świdrujące spojrzenie. Tyle że Balekin ma za sobą dziesięciolecia doświadczenia, więc bez trudu wytrąca miecz z ręki Cardana i kolejnym uderzeniem powala go na podłogę.

– W takim razie przyjmij karę, jak przystało na żalosego kreaturę, którą jesteś.

Balekin kiwa głową na sługę, ten budzi się z letargu.

Widzę każde uderzenie, każdy grymas bólu. Niewielki mam wybór.

Mogłabym zamknąć oczy, ale odgłos jest równie okropny. A najgorsza ze wszystkiego jest pusta twarz Cardana, jego oczy bez wyrazu, jakby z ołowiu.

Teraz widzę, że okrucieństwa nauczył się pod troskliwą pieczę braciszka Balekina. Wychował się w horrorze, poznał na własnej skórze jego arkana i subtelności. Cardan już jest straszny, ale nagle zaczynam uświadamiać sobie, jaki może się stać. I to dopiero jest przerażające.

ROZDZIAŁ 13



To aż niepokojące, ale w stroju służącej do pałacu Elfhame jeszcze łatwiej się dostać niż do domostwa Balekina. Nikt, począwszy od zwykłych goblinów, aż po elfy wysokiego rodu oraz samego seneszala i królewskiego nadwornego poetę (który jest śmiertelnikiem) – nikt nie raczy nawet przelotnie na mnie spojrzeć.

Niepowstrzymana przemierzam więc niezdarnym krokiem labirynt korytarzy. Jestem nikim, niczym, posłańcem niewartym większej uwagi. Dobroduszny, głupkowaty wyraz twarzy i niepewne człapanie prowadzą mnie bez najmniejszych przeszkód do komnat księcia Daina. Nikt mnie nie zatrzymuje, chociaż dwa razy mylę drogę i muszę zawracać.

Stukam do jego drzwi. Ku mojej uldze otwiera książę we własnej osobie. Unosi wysoko brwi, widząc mnie w tym stroju. Dygam grzecznie, jak przystało na służącą. Nie zmieniam wyrazu twarzy, przecież może nie być sam.

– Tak? – odzywa się.

– Mam wiadomość dla waszej wysokości – mówię bezbarwnym głosem; mam nadzieję, że z odpowiednią dozą wiernopoddańczej pokory. – Błagam o chwilę czasu waszej wysokości.

– Co za talent – mówi i uśmiecha się. – Proszę, wejdz.

Ulga, mogę rozluźnić twarz. Pozbyć się głupawego uśmiechu, kiedy podążam za królewiczem do jego gabinetu.

Wnętrze bogato zdobione jest aksamitami, jedwabiami i brokatami w odcieniach szkarłatu, głębokich błękitów i zieleni, a wszystko bogate i ciemne niczym przejrzałe owoce. Wzory na tkaninach są takie, do jakich przywykłam – skomplikowane płataniny pnączy z liśćmi, które okazują się pajakami, jeśli spojrzeć na nie z innej strony, a także sceny myśliwskie mające to do siebie, że trudno określić, która istota poluje na którą.

Wzdycham, siadam na wskazanym krześle, sięgam do kieszeni.

– Proszę – mówię, wyciągam poskładaną notkę i wyglądam ją na blacie zgrabnego stolika wspartego na ptasich nóżkach. – Akurat się pojawił, kiedy robiłam kopię, więc tak sobie to wygląda.

Skradzioną książkę pozostawiłam w sakwie przy siodle ropuchy. Za żadne skarby książkę Dain nie może się dowiedzieć, że wzięłam cokolwiek dla siebie.

Dain mruży powieki, starając się rozpoznać zamazane kształty liter.

– Ale cię nie zobaczył?

– Był zajęty czym innym – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Schowałam się.

Skinienie głową. Królewicz uderza w mały dzwoneczek, pewnie by przyzwać sługę. Mam nadzieję, że nie będzie to kolejny otumaniony urokiem zombie.

– Świetnie. Dobrze się bawiłaś?

Nie mam pojęcia, jak mam rozumieć to pytanie. Jak na nie odpowiedzieć? W zasadzie przez cały czas strasznie się bałam, trudno więc powiedzieć, żeby to była dobra zabawa. Jednak im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że w pewnym sensie miałam niezły ubaw. Większość mojego życia sprowadza się do lękliwego wyczekiwania, aż coś mi się zwali na głowę – w domu, podczas lekcji, na dworze królewskim. Natomiast obawa, że zostanę przyłapaną na szpiegowaniu, stanowi zupełnie nowe odczucie. Tam przynajmniej dokładnie wiedziałam, czego się lękam. I wiedziałam, jaki przyświeca mi cel. Zakraść się do domu Balekina było

mniej przerażające niż niejeden dworski bal.

No, przynajmniej do chłosty wymierzonej Cardanowi. Wtedy bowiem poczułam coś, nad czym na razie wolę się za bardzo nie zastanawiać.

– Spodobało mi się, że mogłam dobrze wykonać zadanie – odpowiadam, znalazłszy wreszcie szczerą i rzetelną odpowiedź.

Znów skinienie głową Daina. Ma coś jeszcze powiedzieć, kiedy do komnaty wchodzi goblin. Płci męskiej, o pokrytej szramami zielonej skórze. Ma długi, zakrzywiony nos, którego czubek jak ostrze sierpa dotyka dolnej wargi. Na czubku głowy ma czarną kępkę kłaków. Wyraz oczu nieprzenikniony. Mruga kilkakrotnie, jakby nie mógł skupić na mnie wzroku.

– Mówią na mnie Karakan – odzywa się melodyjnym, zupełnie niepasującym do jego twarzy głosem. Kłania się, a potem zerka w stronę Daina. – Na jego usługach. Jak i ty, o ile się nie mylę. Bo ty jesteś ta nowa, tak?

Przytakuję skinieniem głowy.

– Mam powiedzieć, jak się naprawdę nazywam, czy wymyślić coś zabawnego?

Karakan obdarza mnie uśmiechem, co sprawia, że cała jego twarz wykrzywia się, stając się jeszcze bardziej obmierzła.

– Mam cię zapoznać z resztą załogi. A jak na ciebie będziemy mówić, to już niech cię o to głowa nie boli. Myślisz, że ktokolwiek zdrowy na umyśle chciałby być nazywany karakanem?

– No to świetnie – mówię, wzdychając.

Przygląda mi się przeciągle.

– Ta-ak. Teraz widzę, że to prawdziwy talent. Żeby nie musieć powiedzieć, co się myśli...

Ubrany jest w imitację dworskiego kaftana, tylko że jego kaftan zszyty jest ze strzępów skóry. Zastanawiam się, co by powiedział Madok, gdyby wiedział, gdzie jestem i w którym towarzystwie przebywam. Coś mi mówi, że nie byłby zachwycony.

Myślę, że nie przypadłoby mu do gustu nic z tego, co dzisiaj zrobiłam. Żołnierzy cechuje swoiste poczucie honoru, nawet tych, którzy lubią nurzać kaptur we krwi wrogów. Zakradanie się do cudzego domu i kradzież papierów nie całkiem się z nim zgadza. Owszem, Madok ma własnych szpiegów, ale nie przypuszczam, żeby o takiej karierze dla mnie myślał.

– A więc Balekin szantażuje królową Orlagh – odzywa się Dain. Karakan

i ja patrzemy na niego.

Książę Dain ze zmarszczonymi brwiami przygląda się listowi. Już rozumiem – rozpoznał w mojej kopii charakter pisma. Znaczy to, że matka Nicassii, królowa Orlagh, zdobyła dla Balekina truciznę. Napisała, że spłaca w ten sposób dług, ale znam Nicassię, nie przypuszczam więc, żeby jej mamusię nękały przy tym jakieś straszne wyrzuty sumienia. Tak, tylko że królestwo władczyni Toni jest rozległe i potężne. Trudno sobie wyobrazić, żeby Balekin miał na nią haka.

Dain wręcza mój list Karakanowi.

– A więc uważasz, że tym się posłużą przed koronacją?

Nos goblina marszczy się.

– Inaczej by było głupio. Gdy korona przyozdobi twoją szanowną głowę, już tak łatwo nie da się jej zdjąć.

Do tej chwili nie wiedziałam, dla kogo ma być przeznaczona trucizna. Otwieram usta, a zaraz po tym przygryzam policzek od środka, żeby nie palnąć czegoś głupiego. Oczywiście, nie ma innej możliwości: dla królewicza Daina. Kogóż innego miałby się pozbyć Balekin za pomocą jakiejś specjalnej trucizny? Gdyby miał załatwić kogoś zwyczajnego, wystarczyłaby mu tania, pospolita trutka.

Dain dostrzega moje zdumienie.

– Nigdy z bratem nie żyliśmy w przyjaźni. Był nazbyt ambitny. A mimo to miałem nadzieję... – Machnięcie ręką, by dać do zrozumienia, że coś, na co liczył, właśnie liczyć się przestało. – Powiadają, że trucizna to broń tchórzów, ale zarazem jest to broń nadzwyczaj skuteczna.

– A co z księżniczką Elowyn? – pytam i natychmiast żałuję, że otworzyłam usta, bo przecież to chyba oczywiste. Trucizna jest też dla niej, to najprawdopodobniejsze. Królowa Orlagh z pewnością ma pod dostatkiem rumianego grzyba.

Tym razem to nie Dain odpowiada.

– Być może Balekin zamierza pojąć ją za żonę – ku zaskoczeniu nas obojga wtrąca Karakan. Na widok naszych min wzrusza ramionami. – A co? Jeżeli się nie będzie maskował, to jako następny skończy z nożem w plecach. A nie byłby przecież pierwszym elfem wysokiego rodu, który ożenił się z siostrą.

– Jeżeli spróbuje się z nią ożenić – mówi Dain, uśmiechając się po raz pierwszy podczas tej rozmowy – to dostanie od niej nożem w serce.

No proszę, a zawsze mi się wydawało, że Elowyn to grzeczna siostrzyczka. Znów zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem o świecie, w którym próbuję zaistnieć.

– Chodź – mówi Karakan i kiwa na mnie ręką. Wstaję. – Pora, żebyś poznała pozostałych.

Rzucam Dainowi błagalne spojrzenie. Nie chcę nigdzie iść z Karakanem, którego dopiero co poznałam, i wcale nie jestem pewna, czy mogę mu zaufać. Nawet ja, która wychowałam się w domu czerwonego kaptura, obawiam się goblinów.

– Zanim odejdziesz. – Dain staje tuż przede mną. – Obiecałem, że nikt prócz mnie nie zdoła rzucić na ciebie czaru. Obawiam się, że muszę teraz użyć tej mocy. Jude Duarte, zabraniam ci mówić na głos komukolwiek o tym, że mi służysz. Nie zdradzisz tego na piśmie ani w pieśni. Nikt od ciebie nie dowie się niczego o Karakanie. Nikt nie dowie się od ciebie o żadnym z moich szpiegów. Nigdy nie zdradzisz ich sekretów, miejsca spotkania, miejsca schronienia. Dopóki żyję, będziesz temu posłuszna.

Mam na szyi swoje jarzębinki, ale nie dają one żadnej ochrony przed magią géisu. To nie jest zwykle rzucanie zaklęcia, to nie są pospolite czary.

Przygniata mnie ciężar géisu i wiem, że gdybym próbowała zdradzić, usta nie będą w stanie wypowiedzieć zakazanych słów. Nie cierpię czegoś takiego. To okropne poczucie bezsilności. Od razu zachodzę w głowę, jak mogłabym obejść te zakazy, ale dobrze wiem, że nie ma sposobu.

Przypomina mi się, jak jechałyśmy pierwszy raz do Elysium – przy wtórze zawrota Taryn i Vivi. Przypomina mi się ponury wyraz twarzy Madoka, jego zaciśnięte szczęki. Z pewnością nieczęsto miewał do czynienia z dziećmi, zwłaszcza ludzkimi. Musiało mu dosłownie dzwonić w uszach. Z pewnością wolałby, żebyśmy się przymknęły. Oczywiście, trudno pomyśleć o nim cokolwiek dobrego w tamtej sytuacji, miał wtedy, i to dosłownie, krew naszych rodziców na rękach, a jednak muszę przyznać, że nie próbował rzucić na nas czaru, otepić naszej rozpacz, odebrać nam głosów. Nie uciekł się do żadnego z wielu sposobów, za pomocą których mógł ułatwić sobie tę podróż.

Próbuję przekonać samą siebie, że książę Dain postępuje rozsądnie, że to konieczne ze względów bezpieczeństwa, że dzięki temu nie będę musiała się tak bardzo pilnować. Nic z tego, przechodzą mnie dreszcze.

Przez chwilę wręcz żałuję mojej decyzji, by mu służyć.

– Aha, jeszcze jedno – mówi Dain, kiedy już zwracam się do wyjścia. – Czy wiesz, co to jest mitrydatyzm?

Potrząsam głową, nie jestem pewna, czy mam w tej chwili ochotę wysłuchiwać jego nauk.

– Dowiedz się. – Po czym dodaje z uśmiechem: – To nie jest rozkaz, tylko podpowiedź.

Idę za Karakanem korytarzami pałacu, trzymając się od niego w pewnym oddaleniu, żeby nikt się nie domyślił, że jesteśmy razem. Mijamy jednego z dowódców, znajomego Madoka. Pochylam głowę. Wątpię, żeby chciał się przyglądać służącej, ale nigdy nic nie wiadomo.

Po kilku minutach pytam szeptem:

– Dokąd idziemy?

– Już niedaleko – odpowiada mrukliwie, po czym otwiera szafę i wchodzi do niej. W ciemnościach jego oczy odbijają światło na pomarańczowo, jak u niedźwiedzia. – No, na co czekasz? Wchodź i zamknij za sobą drzwi.

– Nie widzę w ciemnościach – przypominam, bo jest to jedna z wielu rzeczy, o której mieszkańcy Krainy Elfów wiecznie zapominają, jeśli chodzi o ludzkie przywary i słabości.

Mruczy gniewnie.

Wchodzę, staram się nawet o niego nie otrzeć, choć szafa jest ciasna, następnie zaś zamykam drzwi. Słyszę skrzypienie drewna i czuję powiew zimnego, wilgotnego powietrza, zapach mokrych kamieni.

Dotyka mojej dłoni delikatnie, ale czuję jego pazury. Pozwalam się prowadzić, pozwalam mu dotykać mojej głowy, kiedy jest zbyt nisko i trzeba się schylić. Kiedy się wreszcie prostuję, znajdujemy się na wąskim podeście, chyba nad winnymi piwnicami królewskiej siedziby.

Moje oczy wciąż jeszcze przyzwyczajają się do światła, ale z tego, co widzę, pod pałacem istnieje cała sieć krętych korytarzy. Ciekawe, kto o nich wie. Uśmiecham się na myśl, że posiadam tajemnicę dotyczącą tego miejsca. I to kto, taka zwykła ja.

Ciekawa jestem, czy Madok ją zna.

Bo założę się, że Cardan nie wie.

Uśmiecham się na tę myśl.

– Nagapiłaś się już? – odzywa się Karakan. – Bo jak nie, to mogę jeszcze poczekać.

– Czy jesteś gotów, żeby mi coś powiedzieć? – odpowiadam pytaniem. –

Na przykład dokąd idziemy albo co się stanie, gdy już tam dotrzemy?

– Spróbuj się domyślić – odpowiada mrukliwie. – No?

– Powiedziałeś, że mam poznać pozostałych – mówię, zaczynając od tego, co wiem, potem próbując wyciągać wnioski, ale pilnując się, aby nie wejść na niepewny grunt. – Do tego książę Dain wymógł na mnie obietnicę, że nie zdradzę żadnych kryjówek, więc bez wątpienia idziemy właśnie do twojej kryjówki. Z tego jednak nie sposób wnioskować, co będziemy tam robić.

– Może nauczymy cię tajnych sposobów podawania dłoni – powiada Karakan. Coś robi, ale nie widzę co, a w następnej chwili słyszę cichy zgrzyt, jakby otwieranego zamka albo rozbrajanej pułapki. Lekkie pchnięcie w plecy i oto znów idę korytarzem, o ile to możliwe, jeszcze ciemniejszym.

Orientuję się, że dochodzimy do drzwi, gdy walę w nie głową, co bardzo rozbawia Karakana.

– Ho, ho! Ty naprawdę nie widzisz – woła.

Rozcieram czoło.

– Przecież ci mówiłam!

– Tak, ale ty jesteś kłamczuchą – przypomina. – Mam nie wierzyć w nic, co powiesz.

– Dlaczego miałabym kłamać, gdy chodzi o coś takiego? – pytam, wciąż jeszcze zła na niego.

Nie raczy odpowiedzieć na moje pytanie. Zresztą odpowiedź jest przecież oczywista – gdybym widziała, mogłabym zapamiętać drogę. Gdybym widziała, mogłabym przypadkowo zobaczyć coś, czego by mi pokazać nie chciał. Gdyby nabrał przekonania, że widzę, mógłby stracić czujność.

Naprawdę muszę przestać zadawać głupie pytania.

Chociaż, patrząc na to z innej strony, mógłby nie ulegać paranoi, przecież Dain nałożył na mnie géis, więc gdybym nawet chciała zdradzić, nie będę w stanie.

Karakan otwiera drzwi, korytarz zalewa światło, a ja gwałtownie zasłaniam oczy ręką. Mrużę powieki i widzę już tajną kryjówkę szpiegów księcia Daina.

Gliniane ściany, beczkowate sklepienie. Pośrodku komnaty wielki stół, a przy nim dwoje elfów, których nigdy wcześniej nie widziałam.

– Witaj – mówi do mnie Karakan. – Witaj w siedzibie Dworu Cieni.

ROZDZIAŁ 14



Dwoje pozostałych agentów Daina również nosi pseudonimy. Przystojny, smukły elf, który wygląda, jakby w jego żyłach płynęło trochę ludzkiej krwi, puszcza do mnie oko i przedstawia się jako Duch. Ma piaskowego koloru włosy, co jest rzeczą zwyczajną u śmiertelników, natomiast nietypową u elfów, poza tym spiczastość uszu jest ledwie dostrzegalna.

Obok niego siedzi drobna, delikatna dziewczyna, ma skórę w płowym odcieniu i burzę śnieżnobiałych włosów, a na plecach maleńkie szarobłękitne skrzydła motylka – z pewnością miała pośród przodków jakąś pixie, a może nawet skrzatkę.

Teraz ją rozpoznaję, widziałam ją podczas ostatniej biesiady u Najwyższego Króla podczas pełni księżyca. To ta sama, która skradła ogrowi pas z mieczem i sakiewkę.

– Jestem Bomba – przedstawia się. – Bo lubię wybuchy.

Kwituję to kiwnięciem głowy. Rzadko się zdarza, żeby ktoś w Krainie

Elfów wyrażał w tak prosty sposób, co ma do powiedzenia. Co prawda niewykluczone, że ponieważ obracam się pośród istot związanych z dworem, przywykłam do ich barokowej etykiety.

Nie miałam natomiast okazji poznać elfów samotników i trochę nie wiem, jak z nimi rozmawiać.

– A więc jest was tylko troje?

– Teraz już czworo – poprawia mnie Karakan. – Nasze zadanie polega na tym, żeby utrzymać księcia Daina przy życiu oraz dostarczać mu informacje o tym, co dzieje się na dworze. Zakradamy się, szpiegujemy, kradniemy i oszukujemy, by zapewnić mu koronację. Kiedy zaś już zostanie królem, będziemy się zakradać i szpiegować, i kraść, aby zachował tron.

Znów kiwam głową. Kiedy już przekonałam się, jaki naprawdę jest Balekin, zdecydowanie bardziej niż kiedykolwiek pragnę, by na tronie zasiadł Dain. Madok znajdzie się u jego boku, a jeśli okaże się wystarczająco przydatna, być może nie będę musiała się obawiać pozostałych elfów wysokiego rodu.

– Posiadasz dwie zalety, których nam, niestety, brak – zagaja Karakan. – Pierwsza z nich polega na tym, że z łatwością możesz wmieszać się pomiędzy śmiertelnych służących. Po drugie, masz swobodny dostęp do szlachetnie urodzonych. Nauczymy cię też kilku innych sztuczek. Dopóki księżę nie powierzy ci kolejnej misji, ja określam, na czym polegają twoje obowiązki.

Znów kiwam głową. Właśnie czegoś takiego się spodziewałam.

– Nie zawsze mogę się wyrwać. Dzisiaj opuściłam lekcje, ale nie mogę tego robić nazbyt często, bo ktoś zauważy i zacznie się dopytywać, gdzie byłam. Poza tym Madok wymaga, żebym była obecna podczas wspólnej kolacji z nim i z Orianą, no i z resztą rodziny, czyli około północy.

Karakan zerka na Ducha i wzrusza ramionami.

– Zawsze ten sam problem, kiedy chodzi o prowadzenie działań na dworze. Mnóstwo czasu marnuje się przez etykietę. A kiedy możesz się urwać?

– Później, kiedy w zasadzie powinnam być w łóżku – odpowiadam.

– To wystarczy – kwituje Karakan. – Któreś z nas będzie się z tobą spotykać w pobliżu domu i albo cię będziemy szkolić, albo przekazywać zadania. Niekoniecznie musisz zawsze przychodzić tutaj, do gniazda.

Duch potakuje, jakby to wszystko było całkiem rozsądne, a moje problemy

zupełnie zrozumiałe. Ja jednak czuję się głupio – bo to przecież dziecinne problemy.

– A więc dokonajmy inicjacji – mówi Bomba i podchodzi do mnie.

Wstrzymuję oddech. Cokolwiek się zdarzy, jakoś to zniosę. Zniosłam już o wiele więcej, niż mogą przypuszczać.

Ale Bomba tylko się śmieje, a Karakan lekko ją popycha, udając zagniewanego.

Duch spogląda na mnie i potrząsa głową. Dostrzegam, że oczy ma orzechowej barwy.

– Skoro księżę Dain mówi, że należysz do Dworu Cieni, to znaczy, że należysz. Postaraj się nie zawieść, a zawsze będziesz mogła na nas liczyć.

Oddycham z ulgą, ale swoją drogą wcale nie jestem pewna, czy nie wolałabym przejść jakiejś próby, choćby po to, żeby się wykazać.

Bomba robi kapryśną minkę.

– Dobra, dobra, ale tak naprawdę jedną z nas staniesz się dopiero wtedy, gdy otrzymasz swoje własne imię. I nie myśl sobie, że to będzie tak od razu.

Duch podchodzi do szafki, wyciąga z niej do połowy opróżnioną butelkę bladezielonego trunku, nalewa do czterech wyslizganych żółdziowych kubeczków.

– Napij się. Bez obaw, to ci nie zamąci w głowie bardziej niż inne napoje.

Kręcę głową, doskonale pamiętam, jak się czułam, kiedy mi wciśnięto w twarz gnijący elfowy owoc. Nigdy więcej nie chcę w taki sposób stracić panowania nad sobą.

– Nie, dziękuję.

Karakan wypija i krzywi się paskudnie, jakby likwor palił go w gardło żywym ogniem.

Duch wypija duszkiem i nawet nie mrugnie. Bomba popija ze swojego żółdzia małutkimi łyčzkami i sądząc po wyrazie jej twarzyczki, postąpiłam nad wyraz słusznie, rezygnując z tego poczęstunku.

– Będą kłopoty z Balekinem – stwierdza Karakan i opowiada o moim znalezisku.

Bomba odstawia kubeczek.

– Bardzo mi to się nie podoba, i to pod każdym względem. Gdyby zamierzał pozbyć się Eldreda, dawno już by to zrobił.

Nawet nie brałam pod uwagę, że mógłby otruć swojego ojca.

Duch przeciąga smukłe ciało, wstaje.

– Robi się późno. Trzeba odprowadzić dziewczynę do domu.

– Na imię mam Jude – przypominam.

Uśmiecha się.

– Znam pewien skrót.

Znów wędrowka przez tunele. Nadążać za Duchem to prawdziwe wyzwanie, bo zgodnie ze swoim imieniem porusza się niemal bezszelestnie. Kilkakrotnie wydaje mi się, że mnie porzucił pośrodku labiryntu, ale kiedy już, już mam się zatrzymać i wołać o pomoc, dochodzi mnie szelest oddechu czy odgłos stopy muskającej pył, po którym stąpamy, więc idę dalej w ślad za nim.

Czas dłuży mi się nieznośnie, aż wreszcie otwierają się drzwi, stoi w nich Duch, a za nim widzę królewskie piwnice winne. Kłania się niczym artysta po występie.

– A więc to jest twój skrót?

Mruga do mnie porozumiewawczo.

– Cóż, jeśli po drodze wpadnie do mojej sakwy kilka buteleczek, to przecież nie moja wina, prawda?

Zmuszam się do śmiechu, który w moich uszach brzmi piskliwie i fałszywie. Nie przywykłam, by elfowie żartowali w rozmowach ze mną – poza Vivi. Chciałabym móc o sobie powiedzieć, że poruszam się swobodnie w ich świecie, i uwierzyć, że chociaż zaledwie dzień wcześniej zostałam otruta i mało brakowało, a Valerian by mnie po prostu udusił, to dzisiaj mam to już za sobą i nic mi nie będzie. Wszystko jest w porządku.

Ale skoro nie jestem w stanie się normalnie śmiać, to chyba nie jest.



W lesie, już na ziemiach należących do Madoka, przebieram się w niebieską suknię, którą przezornie zabrałam ze sobą. Jestem tak skonana, że bolą mnie ręce i nogi. Nie wiem, czy elfowie bywają kiedykolwiek aż tak zmęczeni, czy im także może dać się we znaki zbyt długi wieczór. Ropucha również wygląda na zmęczoną, chociaż może po prostu zbyt się nażarła. O ile wiem, przez większość czasu tylko chwytiała językiem przylatujące motylki oraz myszy uwijające się w poszyciu.

Kiedy wracam do domu, jest już zupełnie ciemno. Na drzewach świecą błędne ogniki, w ich blasku widzę rozchichotanego Dęba, a gonią go Vivi, Taryn i – o cholera – Loki. Dziwnie jest go tutaj widzieć, w tak zupełnie innym kontekście. Czyżby przyszedł z mojego powodu?

Dąb z wrzaskiem wypada wprost na mnie, wdrapuje się po sakwach i siada mi na kolanach.

– Goń mnie! – drze się do utraty tchu w rozedrganej, wijącej się ekstazie dzieciństwa.

Nawet elfowie bywają dziećmi.

Wiedziona impulsem, przytulam go do piersi. Jest ciepły, pachnie trawą i lasem. Przez chwilę pozwala się przytulać, jego rączki obejmują mnie, a rogata główka dotyka mojego biustu. A potem ze śmiechem ucieka, zerkając przez ramię, czy będę go gonić.

Czy wychowując się w Krainie Elfów, nabierze elfowej wzgardy dla śmiertelników? Czy i mną będzie pogardzał, szczególnie zaś wtedy, kiedy ja już będę stara, a on wciąż młody? Czy stanie się okrutnikiem jak Cardan? Czy zabijaką jak Madok?

Nie sposób odgadnąć.

Złazę z ropuchy z nogą w strzemieniu, nie chce mi się zeskakiwać. Klepię ją po pysku, złote ślepia się zamykają. Wygląda, jakby natychmiast miała zasnąć, więc ciągnę za lejce i prowadzę ją w stronę stajni.

– Witaj – woła Loki, podbiegając do mnie. – Gdzie to się podziewałaś?

– Nie twoja to sprawa – odpowiadam śpiewnie, ale do opryskliwych słów bezwiednie dodaję uśmiech.

– Aha, tajemnicza dama. Przepadam za takimi.

Ubrany jest w zielony kaftan z rozcięciem, przez które widać jedwabną koszulę. Jego lisie oczy lśnią. Wygląda jak elfowy kochanek prosto z ballady: *Jeśli pójdziesz z nim, dziewczyno, odurzy cię jak mocne wino i wiedz, że od niego nie czeka cię nic dobrego...*

– Mam nadzieję, że zechcesz jutro pojawić się na lekcjach – mówi.

Vivi dalej goni Dęba, ale Taryn stoi opodal wielkiego wiązu. Wpatruje się we mnie z tym samym wyrazem twarzy jak podczas turnieju, jakby chciała powstrzymać mnie siłą woli, bylebym tylko nie obraziła Lokiego.

– Żeby twoi przyjaciele dowiedzieli się, że nie zdołali mnie spłoszyć, co? – odpowiadam. – Jakie to ma znaczenie?

Spogląda na mnie jakoś dziwnie.

– Rozgrywasz grę, nieprawdaż? Wielką grę królów i książąt, królowych i koron. Oczywiście, że to ma znaczenie. Wszystko ma znaczenie.

Nie bardzo wiem, jak rozumieć jego słowa. Nie wydawało mi się, żebym grała w jakąś grę tego rodzaju. Moje zagrywki jak dotąd polegały raczej na tym, żeby dawać się we znaki półgłówkom, którzy i tak mnie nienawidzą – a następnie przełykać tego konsekwencje.

– Wróć. Ty i Taryn, obie powinnyście wrócić. Już jej to mówiłem.

Odwracam głowę, żeby spojrzeć na moją siostrę bliźniaczkę, lecz pod więzami już jej nie ma. Vivi i Dąb znikają za pagórkiem. Może jest z nimi.

Wchodzimy do stajni, prowadzę ropuchę do jej boksu. Ze stojącej pośrodku beczki dolewam wody do jej poidła, pojawia się mgiełka, która zwilża jej miękką skórę. Konie parskają, stukają kopytami. Loki w milczeniu przygląda się moim czynnościom.

Potem patrzy w stronę rezydencji Madoka i przerywa milczenie:

– Mogę cię spytać o coś innego?

– Oczywiście.

– Dlaczego nie powiedziałaś ojcu, co się dzieje?

Stajnie Madoka naprawdę robią wrażenie. Może to ich widok przypomnieli Lokiemu, jak potężną osobistością jest generał, jaką ma władzę i wpływy. Tylko że ja tej władzy nie dziedziczę. Może Loki powinien też sobie przypomnieć, że jestem jedynie przygarniętym dzieciakiem niewiernej żony Madoka, śmiertelniczki. Gdyby nie Madok i jego poczucie honoru, zostałabym bez opieki.

– Po co? Żeby wpaść na lekcję z mieczem i pościnał wszystkim głowy? – pytam zamiast udzielać wyjaśnień co do mojej życiowej pozycji.

Loki otwiera szeroko oczy. Chyba nie o to mu chodziło.

– Myślałem, że ojciec by cię wtedy zabrał ze szkoły, a ty nie mówisz mu o niczym, bo jednak chcesz zostać.

Śmieję się krótko.

– Otóż tak akurat by nie postąpił. Madok nie jest zwolennikiem poddawania się.

W chłodnym mroku, pośród parskania elfowych rumaków, chwytam moje ręce.

– Bez ciebie już tam nie będzie tak samo.

Wcale nie zamierzam zrezygnować z lekcji, ale jest mi miło, że ktoś stara się namówić mnie do pozostania. A patrzy na mnie przy tym w taki sposób,

tak intensywnie, że sprawia mi to przyjemność, choć zarazem czuję się niezręcznie. Jeszcze nigdy nikt na mnie tak nie patrzył.

Czuję żar na policzkach i zastanawiam się, czy ciemności go skrywają. Wydaje mi się, że Loki wszystko widzi, wszystkie nadzieje mojego serca, wszystkie zabłąkane myśli, które mnie nawiedzały każdego ranka przed zapadnięciem w sen.

Unosi jedną z moich dłoni do ust, przeciska do niej wargi. Spinam się cała. Nagle jest za gorąco. Czuję miękkie pulsowanie jego oddechu na skórze. Lekko pociąga mnie w swoją stronę. Obejmuje ramieniem. Nachyla się do pocałunku. Moje myśli odpływają.

To nie może się dziać naprawdę.

– Jude? – slysze rozlegający się nieopodal głos Taryn, odsuwam się od Lokiego. Trochę kręci mi się w głowie. – Jude, jesteś jeszcze w stajni?

– Tutaj jestem – mówię, a twarz mi płonie. Wychodzimy w noc. Oriana stoi na schodach, próbując zaciągnąć Dęba do domu. Vivi macha do niego ręką, a on wyrywa się, jak może, z matczynych objęć. Taryn wzięła się pod boki.

– Oriana woła wszystkich na kolację – informuje nas łaskawie Taryn. – Prosi, żeby Loki też został i zjadł z nami.

Loki kłania się dwornie.

– Zechciej powiadomić panią matkę, że choć zasiadać u jej stołu to dla mnie zaszczyt, nie jest moim życzeniem, by się narzucać. Chciałem tylko zamienić z wami obiema kilka słów. Pozwolę sobie jednak was jeszcze odwiedzić, tego możecie być pewne.

– Rozmawiałeś z Jude o szkole?

W głosie Taryn slysze drzenie. Chciałabym wiedzieć, o czym oni rozmawiali, zanim się pojawiłam. Czy zdołał ją namówić, żeby znów zaczęła chodzić na lekcje, a jeżeli tak, to w jaki sposób tego dokonał.

– Do jutra – rzuca Loki.

Patrzę, jak się oddala, wciąż niczego nie rozumiem. Nie śmiem spojrzeć na Taryn, bo boję się, że wyczyta wszystko z mojej twarzy – wydarzenia całego dnia i ten prawie pocałunek. Nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać, więc tym razem to ja jej unikam. Wbiegam po schodach z całą nonszalancją, na jaką mnie stać.



Już zapomniałam, że prosiłam Madoka, by uczył mnie szermierki i strategii, tymczasem on po kolacji wręcza mi stos książek o historii wojskowości, wszystkie z jego prywatnej biblioteki.

– Kiedy je przeczytasz, porozmawiamy – powiadamia mnie. – Będę ci dawał zadania, a ty będziesz mi mówić, w jaki sposób można je rozwiązać, wykorzystując podane przeze mnie atuty.

Pewnie się spodziewa, że zaprotestuję, że będę chciała uczyć się fechtunku, ja jednak jestem zbyt zmęczona, żeby choćby o tym myśleć.

Godzinę później padam na łóżko, nawet nie chce mi się zdjąć jedwabnej niebieskiej sukni, którą mam na sobie. Moje włosy nadal są w nieładzie, chociaż próbowałam je naprędce zdyscyplinować za pomocą kilku ozdobnych spinek. Mówię sobie, że przynajmniej ich powinnam się pozbyć, ale jakoś ręce nie chcą mnie słuchać.

Drzwi się otwierają, wchodzi Taryn i wskazuje mi do łóżka.

– No dobra. – Szturcha mnie w bok. – Czego chciał Loki? Mówił, że musi z tobą porozmawiać.

– Jest miły – mówię, przewracam się na bok, podkładam ręce pod głowę i gapię się na baldachim. – Przynajmniej nie jest marionetką Cardana jak cała reszta.

Wyraz twarzy Taryn jest dziwny, tak jakby chciała się ze mną spierać, ale w porę ugryzła się w język.

– E tam. Gadaj.

– O Lokim? – upewniam się.

Przewraca oczami zniecierpliwiona.

– O tym, co się stało – z nim i z jego przyjaciółmi.

– Nigdy nie będą mnie szanować, jeżeli nie będę się bronić – odpowiadam.

Wzdycha ciężko.

– Tak czy inaczej, nigdy nie będą cię szanować.

Przypominam sobie, jak pełzałam na czworakach w trawie i smak zgniłego owocu w ustach. Pamiętam go aż nazbyt dobrze, jak zapełniał pustkę, z której przedtem nawet nie zdawałam sobie sprawy, dawał obietnicę delirycznej rozkoszy.

Taryn nalega:

– Przyszłaś wczoraj do domu prawie goła, w dodatku wysmarowana elfowymi owocami. Czy może być gorzej? W ogóle się tym nie przejmujesz?

Taryn opiera się całym ciężarem o słup podtrzymujący baldachim.

– Dostyc mam przejmowania się. Niby po co? Dlaczego miałabym się nimi przejmować?

– Dlatego, że mogą cię zabić!

– To niech zabiją – odpowiadam. – To jedyny sposób, żeby się mnie pozbyć.

– Masz jakiś plan, jak się przed nimi bronić? Mówiłaś, że będziesz rzucać Cardanowi wyzwanie przez to, że jesteś sobą, a jak on cię spróbuje pograżyć, to siebie też pograży. Jak to chcesz zrobić?

– Tak dokładnie jeszcze nie wiem – przyznaję.

Rozkłada ręce w geście bezradności.

– Nie, nie rozumiesz – mówię. – Każdy dzień, w którym nie błagam Cardana o wybaczenie, to dzień mojego zwycięstwa. Przypominam, wybaczenie za zwadę, którą to on wszczął, nie ja. Może mnie upokorzyć, ale za każdym razem, kiedy to robi, traci przewagę. No bo jak to, uderza z całą siłą, jaką dysponuje, w kogoś tak nic nieznaczącego jak ja – i ponosi klęskę, bo nie udaje mu się mnie złamać.

Taryn wzdycha, przysuwa się do mnie, kładzie głowę na mojej piersi, obejmuje ramionami. Szepce mi w ramię:

– Ty jesteś hubką, on krzesiwem.

Odwzajemniam uścisk, ale niczego nie zamierzam obiecywać.

Trwamy tak przez dłuższą chwilę.

– Czy Loki ci groził? – pyta cicho Taryn. – To strasznie dziwne, że przyszedł, żeby z tobą porozmawiać. A potem miałaś taką dziwną minę, kiedy wyszliście ze stajni.

– Nie, nic złego się nie stało. Nie bardzo wiem, po co tu przyszedł, ale pocałował mnie w rękę. To było miłe, trochę jak w jakiejś balladzie.

– Ballady źle się kończą – zauważa Taryn. – A jeżeli się kończą dobrze, to i tak potem kończą się źle. Inaczej nikt by nie chciał słuchać takich pieśni.

– Wiem, że to głupie, myśleć dobrze o kimś z otoczenia Cardana, ale on naprawdę mi pomógł. Postawił się Cardanowi. Ale pomówmy raczej o tobie. Masz kogoś, prawda? Kiedy mówiłaś, że zamierzasz się zakochać, miałaś już na myśli kogoś konkretnego.

Nie byłbym pierwszym, który ją tak wysmotruchał – oto słowa Cardana.

– Jest taki jeden chłopak – mówi cichutko Taryn. – Ma mi się oświadczyć na koronacji księcia Daina. Poprosi Madoka o moją rękę i potem w moim życiu wszystko się zmieni.

Pamiętam, jak płakała, bo Cardan coś jej powiedział. Jak wściekała się na mnie o to, że się z nim nie chcę pogodzić. Pamiętam i na to wspomnienie przechodzi mnie paskudny, zimny dreszcz.

– Kto to jest? – pytam.

Błagam, niech to nie będzie Cardan. Ktokolwiek, byle nie Cardan.

– Obiecałam, że nikomu nie powiem – odpowiada. – Nawet tobie.

– Nasze obietnice nie mają znaczenia – mówię, bo dopiero co ksiązę Dain związał mi język zaklęciem; elfowie nie mają do kłamliwych śmiertelników najmniejszego zaufania. – Nikt nie oczekuje od nas słowności. Wszyscy wiedzą, że potrafimy kłamać.

Patrzy na mnie surowo i z dezaprobatą.

– To jest elfowe ślubowanie. Gdybym je złamała, dowiedziałaby się o tym. Muszę mu udowodnić, że potrafię zachować się jak elfowie.

– Aha... No, niech ci będzie – odpowiadam.

– Powinnaś się cieszyć, że mi się powiodło – mówi, a ja czuję się, jakby ktoś mi wbił sztylet w serce. Znalazła swoje miejsce w Krainie Elfów. Ja niby też, ale jakoś trudno mi się z tego cieszyć.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi coś o nim. Na przykład że jest miły i dobry. Że go kochasz, a on obiecał być dla ciebie dobry. No, powiedz.

– Wiesz, jest elfem – odpowiada moja siostra. – Oni nie kochają tak jak my. Myślę zresztą, że byś go polubiła – tyle ci mogę powiedzieć.

Chyba jednak nie chodzi o Cardana, którego z całego serca nienawidzę. Nie jestem jednak pewna, czy to wystarczy, żebym cieszyła się jej szczęściem.

Co to znaczy, że bym go polubiła? A więc go nie znam? I co to ma znaczyć, że on nie kocha tak jak my?

– Pewnie, że się cieszę. Słowo – mówię, chociaż bardziej się jednak martwię. – Niesamowite. Fantastyczna wiadomość. Kiedy zjawi się mistrzyni krawiecka Oriany, musimy dopilnować, żeby uszyła ci najpiękniejszą suknię na świecie.

Taryn rozluźnia się wreszcie.

– Ja tylko chcę, żeby było lepiej i mnie, i tobie też.

Sięgam po leżącą na nocnym stoliku książkę skradzioną z Próżnego Dworu.– Zobacz, pamiętasz? – pytam i pokazuję *Alicję w Krainie Czarów*. Wypada z niej poskładana kartka papieru, która ląduje na podłodze.

– Tak, no jasne! Ojej, czytałyśmy to, jak byłyśmy małe! – woła i wrywa mi książkę. – Skąd ją masz?

– Znalazłam – mówię, bo nawet gdybym chciała, nie byłabym w stanie jej wyjawić, z czyjej półki pochodzi ani tego, dlaczego w ogóle znalazłam się w Próżnym Dworze. Aby jednak przetestować géis, próbuję dodać: „podczas szpiegowania dla księcia Daina”. I nic tego, usta się nie poruszają, język ani drgnie. Ogarnia mnie przerażenie, ale odpycham je na bok. To niska cena za to, co otrzymałam w zamian.

Taryn więcej się nie dopytuje. Od razu zajęła się książką, przerzuca jej stronicę, czyta fragmenty na głos. Prawie już nie pamiętam brzmienia głosu matki i nagle teraz słyszę go w jej głosie.

Bo tu, jak widzisz, trzeba biec tak szybko, jak się potrafi, żeby zostać w tym samym miejscu. Jeżeli chcesz się znaleźć w innym miejscu, trzeba biec co najmniej dwa razy szybciej!

Ukradkiem sięgam pod łóżko, podnoszę kartkę i wsuwam ją pod poduszkę. Sprawdzę, co to takiego, kiedy Taryn wróci do siebie. Zamiast tego usypiam jednak, ukołyszana na jej głosie.



Budzę się o świcie, sama, chce mi się sikać. Człapię do toaletki, gdzie przysiadam na przeznaczonym do tego celu miedzianym nocniku. To chyba najbardziej upokarzający aspekt człowieczeństwa. Wiem, że elfowie nie są bogami – chyba akurat ja wiem to lepiej niż większość śmiertelników – ale nigdy jeszcze nie widziałam, żeby któryś musiał skorzystać z nocnika.

Wracam do łóżka, odsuwam zasłonę, wpuszczając do środka blask słońca mocniejszy niż jakakolwiek lampa. Wyjmuję spod poduszki złożony papier.

Rozkładałam i rozpoznaję wściekle, agresywne pismo Cardana; litery zajmują całą powierzchnię kartki, czasami tak mocno naciskał stalówkę, że rozdarł papier.

ROZDZIAŁ 15



Krawczyni pojawia się wczesnym popołudniem następnego dnia; to długopalca elfka imieniem Brambleweft. Jej stopy skierowane są w tył, przez co dziwnie chodzi. Ma oczy kozy, brązowe z kreską czerni pośrodku. Odziana jest w suknię własnej roboty, tkaną i wyszywaną w biegnące od góry do samego dołu gałązki ciernia.

Przyniosła ze sobą próbki materiałów, niektóre dosłownie sztywne od złota, a jedna z tkanin mieni się kolorami jak opalizujące skrzydła żuków. Sporządzono ją, jak nam zdradza krawczyni, z nici pajęczego jedwabiu tak cienkiej, że trzykrotnie można ją przewlec przez ucho igielne, a jednak tak mocnej, że ciąć ją trzeba srebrnymi nożycami zaczarowanymi w ten sposób, że nigdy się nie tępią. Inny materiał jest fioletowy, przesywany złotem i srebrem tak lśniącym, że zdaje się, jakby księżycowa poświata zaległa na poduszkach.

Wszystkie materiały leżą udrapowane na sofie, abyśmy mogły je podziwiać. Nawet Vivi nie może się powstrzymać, dotyka ich i uśmiecha się

mimowolnie. Wie, że w śmiertelnym świecie nic takiego po prostu nie istnieje.

Nowa pokojówka Oriany, włochata i pokryta zmarszczkami istota imieniem Ropunka, przynosi herbatę i ciastka, mięso i dzemy, wszystko to na wielkiej srebrnej tacy. Nalewam sobie herbaty, piję ją bez śmietanki – mam nadzieję, że dobrze mi zrobi na żołądek. Groza ostatnich dni czai się u moich pięt, co jakiś czas, niespodziewanie, wstrząsa mną dreszcz. Wciąż mnie prześladowuje wspomnienie smaku złotego jabłka, nie mogę zapomnieć widoku splekanych warg służącej w pałacu Balekina ani odgłosu skórzanego pasa katującego nagie plecy księcia Cardana.

Mam też w pamięci widok mojego własnego imienia zapisywanego obsesyjnie. Myślałam, że wiem, jak bardzo Cardan mnie nienawidzi, ale kiedy zobaczyłam ten papier, nagle zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nic nie wiedziałam. Nienawidziłby mnie jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że widziałam go na kolanach, chłostanego przez służbę. Przez śmiertelnika. Dla jeszcze większego upokorzenia, żeby wzbudzić jeszcze większą bezsilną złość.

– Jude – odzywa się Oriana. Uświadamiam sobie, że gapię się w kierunku okna, na gasnący blask dnia.

– Tak? – przywołuję na twarz promienny, fałszywy uśmiech.

Taryn i Vivienne śmieją się ze mnie.

– O kim to rozmyślasz z tak rozmarzona miną? – pyta Oriana, co u Vivi wywołuje jeszcze większe rozbawienie. Taryn już się nie śmieje, pewnie dlatego, że uważa mnie za idiotkę.

Zaprzeczam ruchem głowy, mam nadzieję, że się nie zaczerwieniłam.

– Nic podobnego, o niczym takim nie myślałam. Ja tylko... A zresztą nie wiem. Nieważne. O czym to była mowa?

– Mistrzynie chce najpierw zmierzyć właśnie ciebie – informuje mnie Oriana. – Dlatego że jesteś najmłodsza.

Spoglądam na Brambleweft, która trzyma w rękach napięty sznurek. Wskakuję na skrzynkę, którą ustawiła przed sobą, rozpościeram ramiona. Dzisiaj jestem grzeczną córeczką. Dostanę za to ładną sukienkę. Będę tańczyć na koronacji księcia Daina, aż zedrę stopy do krwi.

– Nie patrz na mnie tak spode łba – ruga mnie mistrzyni. Zanim uda mi się wykrztusić choć słowo przeprosin, mówi dalej, ale już przyciszonym głosem:

– Kazano mi uszyć tę suknię z kieszeniami, żebyś mogła ukryć broń

i truciznę, i inne potrzebne drobiazgi. Dołożymy starań, żeby przy tym ukazywała cię w jak najkorzystniejszym świetle.

Omam nie spadam ze skrzynki, taka jestem zaskoczona.

– Cudownie – odpowiadam, też szeptem. Wiem doskonale, że nie ma co jej dziękować. Wśród elfów nie uznaje się wyrażania wdzięczności pustymi słowami. Tutaj rządzi zasada długów wdzięczności. Należy je spłacać, a zresztą osoba, której zamierzam zawdzięczać najwięcej, jest nieobecna. To książę Dain, który oczekuje, że swój dług spłacę.

Brambleweft uśmiecha się, w ustach ma szpilki. Uśmiecham się do niej. Odplacę mu, chociaż wygląda na to, że będę musiała mu się odwdzięczyć za bardzo wiele rzeczy. Postaram się, żeby był ze mnie dumny. A wszystkim innym dołożę tak, że będą żałować. I to bardzo.

Gdy podnoszę wzrok, widzę, że Vivi przygląda się nam podejrzliwie. Po mnie kolej na zmierzenie Taryn. Wchodzi na skrzynkę, a ja dolewam sobie herbaty. Potem zjadam trzy słodkie ciasteczka i plasterek szynki.

– Gdzie byłeś tamtego dnia? – chce wiedzieć Vivi, podczas gdy pochłaniam mięso łapczywie jak sęp. Nagle obudził się we mnie wilczy głód.

Wymigałam się od rozmowy z nią, bo mi się spieszyło do Próżnego Dworu. Trudno temu zaprzeczyć, ale jeszcze trudniej byłoby cokolwiek wyjaśnić, zwłaszcza że mam związany język. Wzruszam więc tylko ramieniem.

– Dowiedziałam się od innych wysoko urodzonych, co się zdarzyło podczas lekcji – nie daje za wygraną Vivi. – Mogłaś umrzeć. Żyjesz tylko dlatego, że dalej chcą się tobą zabawiać.

– Już tacy oni są – przypominam jej. – I takie jest życie. Chciałabyś, żeby świat był inny, niż jest? Bo tylko taki świat mamy, Vivi.

– Nieprawda, nie tylko – sprzeciwia się półgłosem. – Jest też inny.

– Ale mój świat jest tutaj – odpowiadam. Serce łomocze mi w piersi. Wstaję, nie dając jej czasu na dalszy spór. Moje ręce jednak drżą, dłonie się pocą, kiedy podchodzę, żeby dotknąć tkanin. Jak dotąd usiłowałam udawać przed samą sobą, że niczego nie czuję. Teraz boję się, że jeżeli zacznę coś odczuwać, nie będę już umiała tego znieść. Boję się, że uczucia będą jak fala, która mnie wessie.

To nie jedyna rzecz, którą zniosłam i zepchnęłam w głębinę swojego umysłu. Tak właśnie sobie radzę, innego i lepszego sposobu nie ma, a przynajmniej ja go nie znam.

Skupiam uwagę na strojach, dzięki czemu znów mogę oddychać równo i po chwili przerażenie ustępuje. Widzę błękitnozielony aksamit, który przypomina mi jezioro o zmroku. Dostrzegam przepiękny, fantastyczny materiał haftowany w ćmy, motyle, paprocie i kwiaty. Biorę go do ręki, a pod spodem widzę następną tkaninę, szarą jak mgła, zwiewną jak dym. Są takie piękne. Jak dla księżniczki z bajki.

Rzecz jasna Taryn ma rację, jeżeli chodzi o baśnie i ballady. Księżniczki z baśni spotyka marny los. Zostają przebite cierniami, otrute jabłkami, ożenione z własnymi ojcami. Odcina się im ręce, ich braci przemienia się w łabędzie, kochanków ćwiartuje i zakopuje w donicach z bazylią. Wymiotują diamentami. Gdy chodzą, to jak po ostrzach noży.

A i tak wyglądają pięknie.

– Ja chcę taką – mówi Taryn, pokazuje próbkę materiału, którą trzymam w palcach, tego z haftem. Taryn została już zmierzona. Teraz na podium wstępuje Vivi. Rozkłada ręce i patrzy na mnie w ten swój denerwujący sposób, jakby umiała czytać w moich myślach.

– Twoja siostra pierwsza go znalazła – powiada Oriana.

– Ojej, prooooooszę... – mówi do mnie Taryn, przekrzywia głowę i spogląda na mnie, trzepocząc rzęsami. Niby żartuje, ale nie całkiem. Ona musi wyglądać ładnie dla chłopaka, który podczas koronacji ma się jej oświadczyć. Nie rozumie, po co mi piękna suknia, mam przecież te swoje awersje i nienawiść.

Uśmiecham się nieznacznie, wypuszczam z rąk materiał.

– Ależ jasne. Jest twój.

Taryn całuje mnie w policzek. Chyba między nami wszystko powróciło do normy. Gdyby inne sporne kwestie w moim życiu dało się tak łatwo rozwiązać.

Wybieram dla siebie inny materiał, ciemnobłękitny aksamit. Vivienne decyduje się na fiolet, który mieni się srebrzystą szarością, kiedy unosi go nad głowę. Oriana – na barwę różaną dla siebie i pasikonikową zieleń dla Dęba. Brambleweft zaczyna szkicować – bufiaste spódnice, zgrabne pelerynki, gorsety spinane agrafami w kształcie fantastycznych stworzeń. Lśniące motyle wzdłuż rękawów oraz wyszukane nakrycia głowy. Jestem urzeczona bajkową wizją siebie samej – na moim gorsecie widnieć będą dwa złote żuki, tworząc jakby napierśnik, do tego herb Madoka z sierpem księżycy oraz skomplikowana plecionka ze lśniących nici na przodzie, do

tego jeszcze opadające z ramion złote rękawki.

Dzięki herbowi nikt nie będzie miał wątpliwości, do którego dworu należą.

Wprowadzamy jeszcze kilka drobnych poprawek, kiedy nagle wbiega Dąb, a za nim Gnarbon, który go goni. Dąb pędzi prosto w moją stronę, wdrapuje mi się na kolana, obejmuje za szyję i lekko gryzie w ramię.

— Aua! – wołam, bo mnie zaskoczył, a on się śmieje, więc i ja też się śmieję. Dziwny z niego dzieciak, może dlatego, że jest elfem, a może po prostu dlatego, że wszystkie dzieciaki, elfowe czy ludzkie, są tak samo trochę zwariowane.

– Czy mam ci opowiedzieć bajkę o chłopczyku, który ugryzł kamień i stracił swoje zębki białe jak perełki? – pytam go, niby z pogroźką w głosie, a jednocześnie wsuwam mu palce pod pachy, żeby go połaskotać.

– Tak! – odpowiada natychmiast, wijąc się przy tym i chichocząc.

Oriana podchodzi do nas szybkim krokiem, z zatroskaną twarzą.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, ale czas już się przebrać do kolacji.

– Po czym zdejmuję go z moich kolan, bierze na ręce. Dąb podnosi wrzask, wyrывa się i kopie ją po nogach. Jeden z kopniaków niechcący trafia mnie w brzuch, na tyle mocno, że na pewno będzie siniak, ale nic nie mówię.

– Bajka! – krzyczy dzieciak. – Ja chcę bajkę!

– Jude jest teraz zajęta – odpowiada jego matka i niesie wijące się ciało do drzwi, gdzie czeka Gnarbon, aby zabrać go z powrotem do pokoju dziecinnego.

– Dlaczego nigdy mi nie zaufasz, nie pozwalasz mi go wziąć na ręce? – wołam. Oriana odwraca się gwałtownie, wstrząśnięta tym, że powiedziałam coś, czego się nie mówi. Sama jestem wstrząśnięta, ale nie mogę się powstrzymać. – Nie jestem jakimś potworem! Nie zrobiłam nic złego ani jemu, ani tobie.

– Ja chcę bajkę...! – zawodzi Dąb, trochę zdezorientowany.

– Dostyc tego! – oznajmia surowym tonem Oriana, tak jakbyśmy wszyscy się kłócili. – Porozmawiamy o tym później z twoim ojcem.

To rzekłszy, godnie wymaszerowuje z komnaty.

– Nie wiem, o jakim ojcu mówisz, bo mojego ojca ktoś zabił! – wołam za nią.

Oczy Taryn stają się wielkie jak spodki. Vivi uśmiecha się leciutko. Upija łyżeczek herbaty, a potem unosi filiżankę w moją stronę jak w toaście. Krawczyni patrzy gdzieś w inną stronę, nie wtrącając się w żadnym razie

w nasze prywatne, rodzinne sprawy.

Wyraźnie nie udaje mi się wcisnąć z powrotem w powierzchowność potulnej dziewczynki.

Co się spruło, to się nie naprawi. Nie da się cofnąć czasu.



Następnego dnia idziemy znów do szkoły, Taryn kroczy obok mnie, wymachując koszykiem. Głowę trzymam wysoko, zaciskam szczęki. Mam przy sobie mój ulubiony nóż, zimną stal ukrytą w kieszeni spódnicy, i więcej soli, niż mogłabym potrzebować. Mam nawet nowy naszyjnik z jarzębiny sporządzony przez Strzępkę – nie mogę jej przecież wyjawić, że już go nie potrzebuję.

Daję nura do pałacowego ogrodu, żeby skubnąć to i owo.

– Wolno ci to zbierać? – pyta Taryn.

Nie odpowiadam.

Wykład odbywa się w wysokiej wieży, a dotyczy ptasiego śpiewu. Za każdym razem, gdy opuszcza mnie odwaga, dotykam palcem chłodnego metalu klingi.

Loki rozgląda się i uśmiecha na mój widok porozumiewawczo.

W przeciwnej stronie sali Cardan siedzi naburmuszony, patrząc spode łba na nauczyciela, ale się nie odzywa. Wiem, jak bardzo ma pokiereszowane plecy, jak musi go to boleć. Jednak tylko porusza się trochę sztywniej niż zwykle, poza tym w jego zachowaniu nie widać żadnej różnicy.

Musi mieć wprawę w skrywaniu cierpienia.

Myślę o znalezionej kartce, o stalówce tak mocno wbijającej się w papier, że atrament aż pryska, gdy pisze moje imię. Na tyle mocno, żeby przebić papier, pewnie też porysować stół, na którym to leżała kartka.

Skoro w taki sposób potraktował papier, z drżeniem muszę myśleć o tym, co chciałby zrobić ze mną.



Po szkole ćwiczę z Madokiem. Pokazuje mi wyjątkowo wredną zasłonę. Ćwiczę ją i ćwiczę, coraz lepiej i szybciej, tak że zaskakuję nawet jego. Kiedy wracam, mokra od potu, widzę Dęba, który dokądś biegnie, ciągnąc za sobą na brudnym sznurku mojego pluszowego węża. Bez dwóch zdań ukradł go z mojego pokoju.

Wołam go, ale nie zwraca na mnie uwagi. Wbiega po schodach i znika.

Moczę się w wannie, a potem w samotni mojej komnaty rozpakowuję szkolną torbę. Wydobywam wciśnięty na samo dno, zawinięty w kawałek papieru robaczywy elfowy owoc, który zgarnęłam w drodze powrotnej. Kładę go na tacy, wkładam skórzane rękawice. Wyjmuję nóż i tnę owoc na kawałki. Cieniutkie plasterki rozmiękłego mięszu.

Wiedzę o elfowych truciznach czerpałam z zakurzonych, ręcznie spisanych ksiąg, które znalazłam w bibliotece Madoka. Czytałam o grzybie rumianu, który w rzeczywistości jest trupio blady, tylko na jego kwiatach pojawiają się kropelki czerwonej cieczy, która łudząco przypomina krew. W małych dawkach powoduje paraliż, większe są zabójcze nawet dla elfów wysokiego rodu. Jest jeszcze śmierciosłód, który wywołuje sen trwający sto lat. I gniewgrona, od których krew przyspiesza tak bardzo, że w końcu pęka serce. No i oczywiście elfowy owoc, nazwany w jednej z ksiąg prajabłkiem.

Wyciągam butelkę likworu sosnowego, którą gwizdnęłam z kuchni, lepkiego i gęstego jak żywica. Wrzucam do niego owoce, żeby się nie zepsuły.

Ręce mi się trzęsą.

Został kawałek, przytykam go do języka. Wali potężnie, zaciskałam na nim zęby. Potem, dopóki czuję się wystarczająco oszołomiona, wyjmuję inne rzeczy. Liść gniewgrona z pałacowego ogrodu. Płatek urwany z kwiatu śmierciosłodu. Zaschnięta kropelka soku z grzyba rumianu. Z każdego odcinam najdrobniejszą odrobinę. Połykam.

To się nazywa mitrydatyzm. Śmieszna nazwa, co nie? Chodzi o to, żeby zażywać truciznę w małych dawkach i w ten sposób uodparniać się na jej działanie. Jeśli od tego nie umrę, trudniej potem będzie mnie zabić.



Nie jestem w stanie zejść na kolację. Zbyt jestem zajęta rzyganiem, drgawkami i zalewaniem się potem.



Zasnęłam na podłodze we wnęce toaletowej w swojej komnacie. Tam znajduje mnie Duch. Budzi mnie, trącając w brzuch czubkiem buta. Nie krzyczę tylko dlatego, że zanadto jestem zmulona.

– Wstawaj, Jude – mówi Duch. – Karakan chce, żebyś dzisiaj poćwiczyła.

Dźwigam się z trudem, ale jestem zbyt wykończona, żeby protestować. Na zewnątrz, pośród pokrytych rosą traw, w pierwszych promieniach słońca wdrapującego się po niebie Duch uczy mnie, jak bezszelestnie wspinać się na drzewa. Jak stawiać stopy, żeby nie złamać ani gałązki, żeby nie zaszeleścił suchy liść. Sądziłam, że nauczyli mnie tego w szkole pałacowej, ale Duch pokazuje mi błędy, których moim nauczycielom nie chciało się poprawiać. Próbuję i próbuję, staram się. Najczęściej mi się nie udaje.

– Dobrze – mówi, kiedy już zupełnie przestaje dawać radę. Mówił tak mało, że przestraszyłam się, słysząc jego głos. Łatwiej mógłby udawać człowieka niż Vivi, ma mniej spiczaste uszy, jasnobrązowe włosy i orzechowe oczy. A jednak dla mnie jest niepojętym stworem, dużo spokojniejszym i chłodniejszym niż ona. Słońce już niemal wzeszło. Liście zaczynają się złocić.

– Ćwicz. Podchodź swoje siostry.

Gdy się uśmiecha, jego twarz w cieniu opadających piaskowych włosów wydaje się młodsza. Sprawia wrażenie młodszego ode mnie, ale z pewnością nie jest.

A kiedy odchodzi, robi to tak, jakby zniknął. Wracam do domu i posługuję się właśnie nabytymi umiejętnościami, żeby minąć niepostrzeżenie wszystkich uwijających się na schodach służących. Wracam do swojej sypialni i tym razem, nim padnę bez czucia, udaje mi się dotrzeć do łóżka.

A następnego dnia wstaję i wszystko zaczyna się od nowa.

ROZDZIAŁ

16



Na lekcjach jest jeszcze trudniej niż dotąd. Czuję się parszywie, bo moje ciało bezustannie walczy z objawami zatrucia – ciągle wmuszam w siebie elfowy owoc i inne trucizny. Poza tym jestem zmęczona po ćwiczeniach z Madokiem i wykończona po treningach Dainowego Dworu Cieni. Madok daje mi zadania-zagadki, na przykład: dwunastu goblinowych rycerzy chce zdobyć fortecę, broni jej dziewięciu niewyszkolonych elfów wysokiego rodu – a potem co wieczór po kolacji mnie przepytuje. Karakan każe ćwiczyć przemykanie w dworskim tłumie, tak aby móc niepostrzeżenie podsłuchiwać, łowić słowa, na pozór nie okazując zainteresowania. Bomba uczy, jak znajdować słabe punkty budowli i vitalne punkty na ciele. Duch uczy, jak zwisać z belek stropowych, pozostając niewidzialną, jak mierzyć i trafiać z kuszy, jak opanować drzenie dłoni.

Otrzymuję jeszcze dwie misje wywiadowcze. Najpierw z biurka pewnego rycerza w pałacu kradnę list adresowany do Elowyn. Potem, przebrana za elfową pannę młodą, muszę wmieszać się w tłum na przyjęciu i przeniknąć

do prywatnych komnat uroczej Taracandy, jednej z małżonek księcia Balekina, skąd zabieram pewien pierścień. Nie zostaję jednak poinformowana, jakie znaczenie mają skradzione przeze mnie przedmioty.

Uczęszczam na lekcje razem z Cardanem, Nicassią, Valerianem oraz z pozostałymi szlachetnie urodzonymi, którzy śmiali się z mojego upokorzenia. Nie daję im tej satysfakcji, żeby zrezygnować, jednak od incydentu z elfowym owocem nie dochodzi do następnych. Czekam spokojnie i pewnie się nie mylę, zakładając, że oni robią to samo. Nie jestem aż tak głupia, by się łudzić, że nasz spór wygaś.

Loki nadal ze mną flirtuje. Podczas posiłku siedzi z nami na rozłożonym kocu, razem patrzymy na zachód słońca. Niekiedy odprowadza mnie do domu przez las i zatrzymuje się, żeby mnie pocałować w jodłowym zagajniku na granicy włości Madoka. Mam nadzieję, że nie czuje goryczy trucizn na moich wargach.

Nie rozumiem, dlaczego mu się podobam, ale to ekscytujące – podobać się komuś.

Taryn też raczej tego nie rozumie. Spogląda na Lokiego podejrzliwie. Może chodzi o to, że ja się niepokoję jej tajemniczym romanssem, więc dla równowagi ona też ma zastrzeżenia do mojego? Któregoś razu, kiedy Loki dosiada się do swoich przyjaciół, słyszę, jak Nicassia go pyta:

– Dobrze się bawisz? Cardan nie wybaczy ci tego, co z nią robisz.

Zamieram w bezruchu, nie jestem w stanie odpuścić sobie jego odpowiedzi.

Loki odpowiada śmiechem. A potem mówi:

– Bardziej się wścieka, że ty wolałaś mnie od niego, czy że ja zamiast ciebie wybrałem śmiertelniczkę?

Szczęka mi opada, nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam.

Nicassia już ma coś odpowiedzieć, ale jej wzrok spotyka mój i tylko się krzywi:

– Uważaj, myszeczko – powiada. – Nie wierz jego słodkim słówkom.

Karakan załamałby ręce, gdyby mógł widzieć, jak fatalnie się spisałam. Nie zrobiłam żadnej z rzeczy, których mnie uczył – ani się nie zamaskowałam, ani nie wmieszałam w tłum, ani nie udawałam, że jestem niezwykle zajęta czymś zupełnie innym. Cóż, przynajmniej dzięki temu nikt nie będzie mnie podejrzewał o jakiegokolwiek szpiegowskie umiejętności.

– I jak, czy Cardan ci wybaczył? – pytam, bardzo zadowolona z jej

wyraźnego przygnębienia. – Nie? Jaka szkoda. Podobno łaska takiego księcia to nie byle co.

– Co mi po książętach? – odpowiada. – Moja matka jest królową!

Akurat sporo mogłabym powiedzieć o jej matce, królowej Orlagh, która planuje skrytobójcze otrucie, ale tego akurat powiedzieć nie mogę. Nie mówię tedy nic, bo po co? Wracam sobie do Taryn, obawiam się jednak, że na moich ustach można by się dopatrzeć cienia uśmiechu pełnego satysfakcji.



Mijają tygodnie, aż wreszcie już tylko kilka dni dzieli nas od koronacji. Jestem tak strasznie zmęczona, że usypiam, gdzie tylko złożę głowę.

Usypiam nawet w wieży podczas pokazu przyzywania ciem. Chyba ukołysał mnie szelest ich skrzydeł. Niewiele mi potrzeba.

Budzę się na kamiennej podłodze. Dzwoni mi w głowie, usiłuję namacać nóż. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem, potem domyślam się, że spadłam z krzesła. Jeszcze przez ułamek chwili przychodzi mi do głowy, że jestem paranoiczką i przesadzam, ale potem widzę wyszczerzonego Valeriana. Zepchnął mnie z krzesła, zdradza to wyraz jego twarzy.

To znaczy, że wcale nie przesadzam i jestem paranoiczką w jeszcze niewystarczającym stopniu.

Z zewnątrz dochodzą głosy, reszta pożywia się na polanie. Słyszę krzyki najmłodszych, pewnie ganiają się po trawie. Zapada zmierzch.

– Gdzie jest Taryn? – pytam, bo to nie w jej stylu, żeby mnie nie obudzić.

– Nie pamiętasz? Obiecała, że nie będzie ci pomagać. – Złote włosy Valeriana opadają na jedno z jego oczu. Jak zwykle ubrany jest od stóp do głów na czerwono, w tak ciemnym tonie, że na pierwszy rzut oka wygląda to jak czerni. – Ani słowem, ani czynem.

Jasne. Ale jestem głupia. Jak mogłam zapomnieć, że mogę liczyć tylko na siebie.

Wstaję, widzę przy tym siniaka na łydce. Nie wiem, jak długo spałam. Otrzepuję tunikę i spodnie.

– Czego ode mnie chcesz?

– Jestem rozczarowany – mówi kapiącym ironią głosem. – Tak się

przechwalałaś, że wykażesz swoją wyższość nad Cardanem, a tu nic, wystarczył jeden żarcik, żebyś się przestraszyła.

Odruchowo sięgam do rękojeści noża.

Valerian wyciąga z kieszeni mój jarzębinowy naszyjnik, uśmiecha się przebiegle. Musiał go przeciąć, kiedy spałam. Wzdrygam się na myśl, że był tak blisko mnie, mógł przecież zamiast nici przeciąć mi skórę.

– A teraz zrobisz, co ci każę. – Po prostu czuję w powietrzu smród zaklęcia, Valerian w słowa wplata czar. – Zawołaj Cardana, jest na dole. Powiedz mu, że zwyciężył. A potem skocz z wieży. Przecież skoro ktoś urodził się śmiertelnikiem, to jakby urodził się już martwy.

Wstrząsająca jest jego nieskomplikowana bezwzględność. Po prostu skocz i już. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej po prostu bym to zrobiła. Wypowiedziałabym nakazane słowa, a potem dałabym susa w przepaść. Gdyby nie mój układ z Dainem, już za chwilę bym nie żyła.

Niewykluczone, że Valerian planował morderstwo od dawna, miał już taki zamiar w dniu, kiedy mnie dusił. Dobrze pamiętam, jak wtedy błyszczały mu oczy, z jaką lubością patrzył na mnie walczącą o życie. Taryn ostrzegła, że mnie zabiją, a ja się przechwalałam, że jestem na to gotowa. Otóż nie jestem.

– Czy ja wiem? Chyba wolę zejść po schodach – informuję Valeriana. Staram się zachować kamienny wyraz twarzy, żeby nie widział, jak mnie przeraził. A potem, jak gdyby nigdy nic, idę, mijam go.

Przez chwilę jest zdezorientowany, ale szybko przeradza się to we wściekłość. Zagradza mi drogę, staje przed wejściem na schody.

– Wydałem ci rozkaz. Dlaczego nie jesteś mi posłuszna?

Patrzę mu prosto w twarz, zmuszam się do uśmiechu.

– Dwukrotnie miałeś nade mną przewagę i dwukrotnie jej nie wykorzystałeś. Nie licz, że takie szczęście przydarzy ci się po raz trzeci.

Aż kipi z wściekłości.

– Jesteś niczym. Rodzaj ludzki uważa, że jest taki wytrzymały. Życie śmiertelnika to jedna wielka gra pozorów. Gdybyście nie potrafili oszukiwać samych siebie, poderznięlibyście sobie gardła, żeby położyć kres nędznemu życiu.

Uderza mnie słowo „rodzaj”, bo to znaczy, że on uważa mnie za istotę zupełnie innego gatunku, coś jakby mrówkę, psa czy nosorożca. Kto wie, może nawet ma rację, ale nie przypada mi do gustu jego podejście.

– Nie czuję się w tej chwili jakoś szczególnie godna pożalowania.

Byle tylko nie okazać strachu.

Jego usta wykrzywiają się w ohydny grymasie.

– Jakie to szczęście możesz zyskać? Tylko ruja i poróbstwo, i rozmnażanie. Oszalałabyś, gdyby dotarło do twojego tępego umysłu, czym naprawdę jesteś. Bo jesteś niczym. Właściwie to ciebie prawie nie ma. Istniejesz tylko po to, żeby przed bezsensowną i bolesną śmiercią stworzyć następne istoty swojego gatunku!

Patrzę mu w oczy.

– Jeszcze coś?

Chyba zrobiłam na nim wrażenie, chociaż pogardliwy wyraz nie opuszcza jego twarzy.

– No bo co z tego? Wiadomo, że kiedyś tam umrę. I że jestem straszną kłamczuchą. A co z tego konkretnie?

Popycha mnie gwałtownie, przygniata do ściany. Mocno.

– To, że już po tobie. Przyznaj, że przegrałaś.

Próbuję go odepchnąć, ale łapie mnie za gardło, palce wbijają mi się w krtań na tyle mocno, że nie mogę oddychać.

– Mogę cię zabić tu i teraz – mówi. – Wszyscy o tobie zapomną. Tak jakbyś się nigdy nie urodziła.

Nie mam wątpliwości, że mówi to poważnie. Żadnych wątpliwości. Wyciągam więc nóż z kieszonki i wbijam w jego bok. Dokładnie między żebrami. Gdyby ostrze było dłuższe, przekłułabym mu płuco.

W jego oczach widać niebotyczne, przerażone zdumienie. Uchwyt zelżał... Wiem, co by powiedział Madok. Pchnij wyżej, przerwij arterię, uderz w serce. Jasne, że mogę to zrobić, tylko wtedy zostałabym morderczynią jednego z elfów wysokiego rodu. Trudno odgadnąć, jaka czekałaby mnie za to kara.

Nie jesteś zabójcą.

Cofam się, wyciągam nóż z rany, po czym biegnę do wyjścia. Chowam zakrwawione ostrze do kieszeni, słyszę tupot swoich butów na kamiennej posadzce, gdy zmierzam ku schodom.

Odwracam się, widzę go – klęczy, przyciska dłoń, by powstrzymać upływ krwi. Syczy z bólu, co mi przypomina, że ugodziłam go ostrzem z płytkiej stali. Płytką stal sprawia elfom nadzwyczajny ból.

Jak miło.

I jak to jednak zawsze warto mieć coś takiego pod ręką.

Jestem na dole, wybiegam i omal nie wpadam na Taryn.

– Jude! – krzyczy. – Co się stało?

– Spokój – mówię do niej, ciągnę ją w stronę pozostałych uczniów elfowej szkoły. Mam krew na dłoni, na palcach – ale nie tak dużo. Wycieram dłonie o tunikę.

– Co on ci zrobił? – krzyczy Taryn, kiedy wlokę ją za sobą.

Powtarzam sobie, że nic się nie stało, nie winię jej, że zostawiła mnie samą. Nie ma obowiązku nade mną czuwać, zwłaszcza odkąd oficjalnie stwierdziła, że nie zamierza angażować się w moje konflikty i w ogóle moje sprawy. Tylko że jest we mnie coś, zdradziecki kawałek serca, który cholernie się wścieka i martwi, i przykro mu, że po prostu nie dała mi kopa, żeby mnie obudzić, bo w końcu co by się stało? Jasne, jasne. Co prawda, nawet ja nie przypuszczałam, do czego posunie się Valerian. I to tak od razu.

Idziemy przez polanę; Cardan zmierza w naszym kierunku. Ma na sobie luźny strój, w ręce ćwiczebny miecz.

Na widok krwi mruży powieki, wyciąga w moją stronę drewniany kij.

– Chyba się skaleczyłaś.

Czyżby dziwiło go, że jeszcze żyję? Pewnie przez całą przerwę uważnie obserwował wieżę i czekał na to jakże zajmujące widowisko – kiedy skoczę i zabiję się.

Wyciągam spod tuniki nóż i pokazuję zakrwawione ostrze. Uśmiecham się.

– Ciebie też mogę skaleczyć.

– Jude! – wykrzykuje Taryn. Wyraźnie jest w szoku z powodu mojego zachowania. Nic dziwnego, zachowuję się szokująco.

– Och, odczep się wreszcie – mówi do niej Cardan, machając na nią ręką. – Przestań zanudzać nas oboje.

Taryn cofa się o krok. Ja też jestem zaskoczona. Czy to część tej gry?

– Czy twój brudny nóż i jeszcze brudniejszy strój ma coś oznaczać? – cedzi beztrąsko, choć wyniośle. Patrzy na mnie jak na osobę nieokrzesaną, bo śmiem wymachiwać mu przed nosem bronią – chociaż jego przydupas właśnie usiłował mnie zgładzić. Powtórnie. Spogląda wyczekująco, jakby oczekiwał kąśliwej odpowiedzi, ja natomiast nie wiem, co mam myśleć.

Naprawdę? Nie niepokoi go, co mogłam zrobić Valerianowi?

Bo chyba niemożliwe, żeby nie wiedział o zamierzonej przez Valeriana napaści.

Taryn zauważa Lokiego i biegiem rusza w jego stronę. Przez chwilę rozmawiają, potem Taryn się oddala. Cardan widzi, że to widzę. Pociąga nosem, jakby sam mój zapach raził jego powonienie.

Tymczasem Loki idzie ku nam, wyluzowany, oczy mu lśnią. Macha do mnie. Przez krótką chwilę czuję się prawie bezpiecznie. Jestem niezmiernie wdzięczna Taryn, że go przysłała. Jestem niezmiernie wdzięczna Lokiemu, że przyszedł.

– Uważasz, że na niego nie zasługuję – mówię do Cardana.

Powoli na jego twarzy pojawia się uśmiech jak odbicie księżyca kołyszące się między falami jeziora.

– Och, nie. Myślę, że doskonale do siebie pasujecie.

Po kilku chwilach Loki obejmuje mnie ramieniem.

– Chodź – mówi. – Idziemy stąd.

Nie patrząc ani razu za siebie, to właśnie robimy – idziemy stąd.



Idziemy przez Krzywolas, gdzie wszystkie drzewa pochylają się w tym samym kierunku, tak jakby dawno temu, kiedy były jeszcze młodzieńcem zagajnikiem, potężny wiatr bezustannie przegina je do ziemi. Zatrzymuję się, żeby zerwać kilka jagód z kolczastych krzaków. Zanim wezmę którąś do ust, muszę zdmuchnąć maleńkie cukrowe mrówki.

Częstuję jagodami Lokiego, ale on odmawia.

– A więc, krótko mówiąc, Valerian usiłował mnie zabić – kończę swoją opowieść. – A ja go pchnęłam nożem.

Spogląda na mnie nieruchomo lisimi oczami.

– Dźgnęłaś Valeriana nożem.

– Właśnie. Mogą być kłopoty.

Kręci głową.

– Valerian nikomu się nie przyzna, że pokonała go śmiertelna dziewczyna.

– A co z Cardanem? Nie będzie zawiedziony, że jego plan się nie powiódł?

– Patrę na morze prześwitujące między pniami drzew. Zdaje się nie mieć końca.

– Wątpię, żeby Cardan o tym wiedział – mówi Loki i uśmiecha się, widząc

zaskoczenie na mojej twarzy. – Bo widzisz, on by chciał, żebyś go uważała za naszego przywódcę, ale jest raczej tak, że to Nicassia lubi władzę, ja lubię, gdy coś się dzieje, a Valerian lubi przemoc. Cardan zapewnia nam to wszystko, a przynajmniej preteksty do tego wszystkiego.

– Co to znaczy, że coś się dzieje?

– Lubię, kiedy zdarzają się historie, kiedy rozwija się akcja. A jeżeli nie trafi się dobra opowieść, to sam ją tworzę. – Rzeczywiście, w tej chwili w każdym calu wygląda na trikstera. – Wiem, że słyszałaś, jak Nicassia mówiła o tym, co było między nami. Miała Cardana, ale dopiero wtedy, gdy rzuciła go dla mnie, zdobyła nad nim władzę.

Rozmyślam nad jego słowami przez chwilę, a jednocześnie uświadamiam sobie, że zamiast zdążać zwykłą drogą ku siedzibie Madoka, Loki prowadzi mnie jakąś inną ścieżką.

– Dokąd idziemy?

– Na moje włości – odpowiada, szczerząc się w uśmiechu, zadowolony, że dopiero teraz się zorientowałam. – To niedaleko. Myślę, że ci się spodoba mój ogrodowy labirynt.

Oprócz Próżnego Dworu nie widziałam żadnej z ich siedzib. W ludzkim świecie my, dzieciaki, ciągle przebywałyśmy na podwórkach u sąsiadów, huśtałyśmy się, pływałyśmy, skakałyśmy, ale tutaj obowiązują zupełnie inne zasady. Większość dzieci na dworze Najwyższego Króla jest także królewskiego rodu, władcy pomniejszych dworów przysyłają je, aby pozyskały wpływy u królewiczów i królewien, co jest na tyle absorbujące, że nie pozostawia czasu na nic innego.

W śmiertelnym świecie, rzecz jasna, jest coś takiego jak podwórka. Tutaj są las i morze, skały i labirynt, a kwiaty kwitną na czerwono tylko wtedy, kiedy podleje się je świeżą krwią. Nie bardzo uśmiecha mi się pomysł błędzenia po ogrodowym labiryncie – i żeby jeszcze zapuścić się do niego z własnej, nieprzymuszonej woli – ale uśmiecham się, jakbym była zachwycona. Nie chcę go zawieść.

– A potem będzie spotkanie – mówi dalej Loki. – Powinnaś zostać. Obiecuję, że będzie zabawnie.

Ściska mnie w dołku. Przecież jeśli robi imprezę, to będą tam jego przyjaciele.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – zauważam, żeby nie odmówić wprost.

– Twój ojciec nie lubi, kiedy późno wracasz? – Loki patrzy na mnie ze współczuciem.

Wiem, że to prosta sztuczka, że chce mnie w ten sposób podejść, żebym zapragnęła udowodnić, że jestem dorosła i samodzielna, podczas gdy doskonale wie, dlaczego mnie tam być nie powinno. Chociaż jednak zdaję sobie z tego doskonale sprawę, sposób i tak zadziałał.

Siedziba Lokiego jest skromniejsza od zamku Madoka i nie tak mocno ufortyfikowana. Między drzewami wznoszą się wieżyce kryte dachówką z pokrytej mchem kory. Ściany są zielone od wijących się pnączy bluszczu i wiciokrzewu.

– Ho, ho – odzywam się. Przejeżdżałam kiedyś tamtędy i widziałam iglice wież, ale nie wiedziałam, do kogo należy ten dom. – Pięknie.

Rzuca mi uśmiech.

– Chodźmy do środka.

Chociaż od frontu jest ozdobne wejście, prowadzi mnie na tyły, ku drzwiczkom prowadzącym bezpośrednio do kuchni. Na stole leży świeży bochenek chleba, są także jabłka, porzeczki i miękki ser, nie widzę natomiast nikogo ze służby.

Mimo woli myślę o dziewczynie, która czyściła kominek w Próżnym Dworze. Ciekawe, co myślą jej bliscy – że wyjechała za granicę? Ciekawe, jak zawarła układ ze swoimi pracodawcami. Jeszcze jedno mnie ciekawi: jak mało brakowało, żebym znalazła się w takiej samej sytuacji.

– Rodzina w domu? – pytam, odpędzając od siebie tę myśl.

– Nie mam rodziny – odpowiada. – Mój ojciec był zbyt dziki jak na dworskie obyczaje, lepiej się czuł w nieprzebytych leśnych ostępach niż pośród intryg. Oszedł więc, a potem moja matka umarła. Zostałem tylko ja jeden.

– To straszne – mówię. – Jesteś zupełnie sam.

Macha ręką.

– Straszna to jest historia twoich rodziców. To tragedia godna uwiecznienia w balladzie.

– To było dawno temu. – Nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać z nim o Madoku i morderstwach. – Co się stało twojej mamie?

Znów lekceważące machnięcie ręką.

– Zadawała się z Najwyższym Królem. Na tym dworze to wystarczy. Miało pojawić się dziecko – zapewne jego dziecko – a ktoś nie chciał, żeby

przyszło na świat. Grzyb rumianu. – Chociaż z początku mówił niedbałym tonem, ostatnie słowa już tak nie brzmiały.

Grzyb rumianu. Pamiętam ten list od królowej Orlagh, który znalazłam w domu Balekina. Próbuję przekonać samą siebie, że przecież chyba nie mógł dotyczyć otrucia matki Lokiego oraz że skoro Dain został prawie oficjalnie wybrany na następcę Najwyższego Króla, Balekin nie ma już motywu, żeby go otruć, a to wszystko tylko przypadkowe pozory. Jednak choć usiłuję wpoić sobie to przekonanie, nie mogę przestać myśleć, że mogła się wydarzyć rzecz tak straszna, że matka Nicassii przyczyniła się do śmierci matki Lokiego.

– Niepotrzebnie pytałam. Przepraszam, to było nietaktowne.

– Jesteśmy dziećmi tragedii. – Potrząsa głową, a potem się uśmiecha. – Nie tak chciałem zacząć. Zamierzałem poczęstować cię winem, owocami, serem. Chciałem ci powiedzieć, że twoje włosy są piękne jak dym ulatujący z ogniska, a oczy mają dokładnie taki sam kolor jak drzewo orzechowe. Myślę, że mógłbym napisać na ten temat odeę, tylko że kiepski ze mnie poeta.

Śmieję się, on chwyta się za serce, niby zraniony moim okrucieństwem.

– Zanim ci pokażę labirynt, chcę, żebyś zobaczyła coś jeszcze.

– Co takiego? – pytam zaciekawiona.

Bierze mnie za rękę.

– Chodź – woła psotnym tonem, prowadzi mnie przez dom. Dochodzimy do spiralnych schodów, a potem w górę i w górę, i w górę, i w górę.

Kręci mi się w głowie. Nie ma żadnych drzwi ani podestów. Tylko kamienie i stopnie, i moje serce mocno bijące w piersi. Tylko jego uśmieški i bursztynowe oczy. Staram się nie potknąć ani nie poślizgnąć. Za żadną cenę nie chcę zwolnić, choć wiruje mi w głowie.

Myślę o Valerianie.

Skocz z wieży...

Wspinamy się dalej, wzwyż i wzwyż, oddycham coraz szybciej.

Jesteś niczym. Właściwie to ciebie prawie nie ma.

Kiedy docieramy na szczyt, widzę drzwiczki – maleńkie, sięgają mi zaledwie do pasa.

Opieram się o ścianę, żeby uspokoić oszalały błędnik, patrzę, jak Loki manipuluje ozdobną srebrną klamką. Kuca i przechodzi przez otwór. Biorę się w garść, odpycham od ściany i idę za nim.

Aż mnie zatyka. Znajdujemy się na balkonie u samego szczytu najwyższej

wieży wznoszącej się wysoko ponad czubki drzew. W świetle gwiazd widzę labirynt i altanę pośrodku niego. Widzę w dali naziemną część pałacu Elfhame, zamek Madoka i Próżny Dwór Balekina. Widzę morze otaczające wyspę, a na przeciwległym brzegu przeświecające przez wieczystą mgłę jaskrawe światła ludzkich miast i miasteczek. Nigdy jeszcze nie patrzyłam na ich świat bezpośrednio z naszego świata.

Loki dotyka ręką moich pleców.

– Nocą ludzki świat wygląda, jakby był pełen gwiazd, które spadły z nieba.

Poddaję się temu dotykowi, ta okropna wspinaczka odchodzi w niepamięć, ale wciąż staram się nie podchodzić zbyt blisko do barierki.

– Byłeś tam kiedyś?

Przytakuje.

– Matka zabrała mnie tam, kiedy byłem dzieckiem. Mówiła, że nasz świat bez waszego pograżyłby się w stagnacji.

Mam ochotę powiedzieć, że to wcale nie mój świat, że tamtego świata w zasadzie nie rozumiem, ale wiem, co Loki chce przez to powiedzieć, a gdybym zaczęła mu to wszystko tłumaczyć, mógłby uznać, że go nie zrozumiałam. To ładnie ze strony jego matki, że tak mówiła, z pewnością była do naszego świata nastawiona życzliwiej niż większość elfów. Z pewnością była miłą osobą.

Loki odwraca mnie twarzą do siebie, a potem powoli zbliża swoje wargi do moich. Są miękkie, jego oddech jest ciepły. Czuję się tak odległa od swojego ciała jak te światła dalekiego miasta.

Wyciągam rękę, chwytam za poręcz. Trzymam się jej mocno, gdy Loki obejmuje mnie ramieniem w talii – potrzebuję czegoś chłodnego i stałego, żeby się zakorzenić i przekonać, że jestem tu i teraz, wysoko ponad wszystkim, naprawdę.

Odchyła się.

– Naprawdę jesteś piękna – mówi.

Nigdy dotąd tak mnie nie cieszyło, że elfowie nie mogą kłamać.

– To niewiarygodne – mówię, spoglądając w dół. – Wszystko jest takie małe jak na planszy stratega.

Loki śmieje się ze mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że na poważnie mam takie skojarzenia.

– Domyślam się, że sporo czasu spędzasz w gabinecie ojca?

– Wystarczająco – mówię. – Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, jakie

mam szansę wobec Cardana. Wobec Valeriana i Nicassii. Aha, i wobec ciebie.

Bierze mnie za rękę.

– Cardan to głupiec, a reszta z nas się nie liczy. – W jego uśmiechu jest gorycz. – Ale może to część twojego perfidnego planu – najpierw mnie namówiłaś, żebym cię zabrał do samego serca swojej twierdzy. Może teraz wyjawisz mi ten podstępny spisek i nagniesz do swojej woli. Na wszelki wypadek zaznaczam, że nagięcie mnie do twojej woli chyba nie będzie bardzo trudne.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Ty jesteś inny niż oni.

– Na pewno?

Długo mu się przyglądam.

– Nie wiem, czy na pewno. Czy zamierzasz rzucić na mnie urok, żebym rzuciła się z tego balkonu?

Unosi wysoko brwi.

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie jesteś inny niż oni – odpowiadam i otwartą dłonią uderzam go lekko w sam środek klatki piersiowej. Nie cofam dłoni, czuję jego ciepło. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak zmarzłam na wietrze.

– Jesteś inna, niż mówili, że będziesz – mówi, nachyla się i znów mnie całuje.

Nie chcę myśleć, co mu o mnie mówili. Nie teraz. Chcę jego ust na swoich wargach, nic innego się nie liczy.

Mija sporo czasu, nim zejdziemy z powrotem po tych schodach. Moje dłonie w jego włosach. Jego usta na moim karku. Plecami opieram się o prastarą kamienną ścianę. Wszystko dzieje się powoli, jest doskonałe i nie ma żadnego sensu. To nie może się dziać, nie w moim życiu. To nie przypomina niczego, co się w moim życiu przydarza.

Potem siedzimy przy długim pustym bankietowym stole, jemy ser i chleb. Pijemy bladozielone wino o ziołowym smaku z wielkich kubków, które Loki wyciągnął z głębi szafki. Były pokryte tak grubą warstwą kurzu, że musiał je umyć dwukrotnie, zanim można było się z nich napić.

Gdy zaspokajamy głód i pragnienie, przyciska mnie do stołu, podnosi tak, że siedzę na blacie, nasze torsy przylegają do siebie. Jest cudownie i strasznie, jak często bywa w Krainie Elfów.

Nie jestem pewna, czy dobrze się całuję. Czuję się niezręcznie, moje usta są niezręczne. Jestem nieśmiała. Jednocześnie pragnę przyciągnąć go do siebie i odepchnąć. Jeśli chodzi o skromność, elfowie raczej nie mają zahamowań, ale ja mam. Obawiam się, że moje śmiertelne ciało śmierdzi potem, rozkładem, strachem. Nie bardzo wiem, co zrobić z rękami, jak mocno uścisnąć, jak głęboko wbić paznokcie w jego ramiona. A chociaż wiem, co następuje po całowaniu, i wiem, co to znaczy, gdy przesuwam dłoń od posiniaczonej łydki ku górze, wzdłuż uda, nie mam pojęcia, jak ukryć mój brak doświadczenia.

Cofa się, żeby na mnie spojrzeć, staram się skryć panikę, która mnie ogarnia.

– Zostań na noc – mówi półgłosem.

Przez chwilę wydaje mi się, że chodzi mu o to, żebym została na noc z nim, bicie mego serca przyspiesza od pożądania i lęku. Potem nagle przypominam sobie, że zanoszę się na przyjęcie – i chodzi mu o to, żebym na nim została. Niewidoczni służący, gdziekolwiek się podziewają, uwijają się, przygotowując rezydencję. Wkrótce Valerian, mój niedoszły morderca, będzie tańczył w ogrodzie.

No, tańczyć to on nie będzie. Raczej wsparty sztywno o ścianę, z kubkiem trunku w ręce, mocno owinięty bandażami, będzie w swoim sercu snuł nowe plany, jak by tu mnie ukatrupić. Względnie będzie rozpamiętywać nowe rozkazy od Cardana – co na jedno wychodzi.

– Twoi przyjaciele nie będą zachwyceni – mówię, zsuwając się ze stołu.

– Prędko tak się upiją, że przestaną zwracać uwagę. Nie możesz spędzić całego życia zamknięta w przesławnych koszarach Madoka.

Próbuję oczarować mnie uśmiechem. Całkiem skutecznie. Myślę o tym, co mi proponował Dain, o znamieniu miłości na czole i zastanawiam się, czy przypadkiem Loki nie ma czegoś takiego, bo jego propozycja wydaje mi się kusząca.

– Nie mam odpowiedniego stroju – przypominam mu, bo istotnie, nadal jestem ubrana w tunikę poplamioną krwią Valeriana.

Przygląda mi się dłużej, niż wymagałoby tego ocena stanu mego odzienia.

– Znajdę dla ciebie suknię. Znajdę ci, cokolwiek zechcesz. Pytałaś mnie, jacy oni są – Cardan, Valerian i Nicassia. Teraz będziesz mogła ich zobaczyć poza lekcjami. Przekonasz się, co wyprawiają po pijanemu. Dostrzeżesz ich

słabości, luki w ich pancerzach. Jeśli masz ich pokonać, to musisz ich znać, czyż nie? Nie twierdzę, że ich polubisz, ale lubić ich przecież nie musisz.

– Ciebie za to lubię – mówię. – Lubię tę grę, którą prowadzimy.

– Grę? – powtarza, niepewny, czy go nie obrażam.

– Owszem, grę – potwierdzam, podchodzę do okna i wyglądam na zewnątrz. Księżycowa poświata rozświetla liściastą bramę labiryntu. W pobliżu płoną też pochodnie, ich płomienie migoczą i chwieją się na wietrze. – Oczywiście, że to gra. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, ale bardzo mi się to podoba.

Przygląda mi się uważnie, po czym rzuca konspiracyjnym szeptem:

– A więc koniecznie grajmy w nią dalej.

– Niech ci będzie – poddaję się. – Zostanę. Pójdę na twoje przyjęcie.

Jak dotąd tak mało się w życiu bawiłam. Trudno się oprzeć, gdy pojawia się na to szansa. Prowadzi mnie przez kolejne komnaty, aż dochodzimy do podwójnych wrót. Waha się przez chwilę, zerka na mnie. Potem jednym pchnięciem otwiera drzwi i oto znajdujemy się w ogromnej sypialni. Wszystko jest pokryte grubym kożuchem kurzu. Widać ślady stóp, dwie wydeptane ścieżki. A więc czasem tu przychodził, ale niezbyt często.

– Suknie, które znajdziesz w szafie, należały do mojej matki. Pożycz stamtąd sobie, co tylko zechcesz – mówi i bierze mnie za rękę.

Kiedy widzę tę nietkniętą od lat komnatę w samym sercu domu, rozumiem żalobę, która kazała mu ją zamknąć na tak długi czas. Pochlebia mi, że mnie tu wprowadził. Nie wiem, czy gdybym miała pokój pełen rzeczy po mojej matce, wpuściłabym tam kogokolwiek. Nawet nie wiem, czy sama bym się odważyła tam wejść.

Otwiera jedną z szaf. Większość strojów została przeżarta przez mole, ale widać, jakie kiedyś były. Spódnica ze wzorem z paciorków przedstawiającym owoce granatu oraz inna, która unosi się jak kurtyna, by ukazać scenę z mechanicznymi kukiełkami wysadzanymi drogimi kamieniami. Jest też taka z wyszytą sylwetką tańczącego fauna, sięgającą tak wysoko jak sama spódnica. Podziwiałam stroje Oriany za ich przepych, wspaniałość, te dla odmiany budzą we mnie pragnienie sukni, która byłaby oznaką przekory. Żałuję, że nie mogę zobaczyć matki Lokiego w którejś z nich. Patrząc na nie, domyślam się, że lubiła się śmiać.

– Mam wrażenie, że jeszcze nigdy nie widziałam takich strojów – odzywam się do Lokiego. – Jesteś pewien, że chcesz, żebym się w którąś

z nich przebrała?

Strzepuje dłonią rękaw.

– Chyba są już niemodne.

– Nie – oponuję. – Podobają mi się.

Ta z faunem jest w najlepszym stanie. Otrzeputuję ją z kurzu i przebieram się w nią za starym parawanem. Trochę muszę się namęczyć, bo to suknia tego rodzaju, że trudno jest ją włożyć bez pomocy Strzepki. Nie mam pojęcia, jak miałabym się do niej uczesać, więc włosy zostawiam, tak jak są – splecione w koronę wokół głowy. Kiedy przecieram ręką srebrne lustro i widzę siebie w stroju zmarłej elfki, przechodzi mnie dreszcz.

Nagle już nie wiem, dlaczego tu jestem. I wcale nie jestem pewna, jakie Loki ma zamiary. Odmawiam, kiedy chce mnie przystroić klejnotami swojej matki.

– Chodźmy do ogrodu – proponuję. Nie chcę już dłużej przebywać w tej pustej, pobrzmiwającej echem komnacie.

Loki odkłada długi naszyjnik ze szmaragdów. Gdy wychodzimy, spoglądam jeszcze na szafę pełną rozsypujących się ubrań. Choć czuję się nieswojo, jednocześnie nie potrafię się powstrzymać i wyobrażam sobie, jak by to było – zostać panią tego domu. Krajem rządzi ukoronowany książę Dain. Przyjmujemy gości przy tym długim stole, gdzie się całowaliśmy; wszyscy moi szkolni towarzysze piją bladozielone wino i udają, że nigdy nie próbowali mnie zamordować. Trzymamy się z Lokim za ręce.

A ja ich wszystkich szpieguję dla króla.



Żywopłot labiryntu jest wyższy od ogra, tworzą go gęste krzaki o lśniących głęboko zielonych liściach. Wygląda na to, że znajomi Cardana często się tu spotykają. Słyszę ich śmiech w labiryncie, gdy nadchodzimy wraz z Lokim, spóźnionym na własne przyjęcie. Powietrze przesyca aromat likworu sosnowego. Płomienie pochodni rzucają długie cienie, zabarwiając wszystko na szkarłatny kolor. Zwalniam kroku.

Sięgam do kieszeni pożyczonej sukni, żeby namacać nóż – wciąż poplamiony krwią Valeriana. Przy okazji natrafiam palcami na coś innego,

coś, co matka Lokiego pozostawiła w niej wiele lat wcześniej. To maskotka w kształcie złotego żołędzia. Nie wygląda jak wisiołek, bo nie ma łańcuszka – przypuszczalnie służy tylko do tego, że jest śliczny. Wrzucam go z powrotem do kieszeni.

Loki trzyma mnie za rękę, gdy pokonujemy kolejne zakręty ogrodowego labiryntu. Chyba nie ma ich tak wiele. Próbuję zapamiętać drogę – na wypadek gdybym musiała wracać sama. To, że labirynt jest taki prosty, raczej mnie niepokoi. W Elysium mało co jest tak naprawdę proste. Tymczasem w domu rodzina kończy kolację beze mnie. Taryn powiadomi szeptem Vivi, że poszłam gdzieś z Lokim. Madok gniewnie marszczy brwi i dźga nożem mięsiwo – niezadowolony, że opuszczam lekcję z nim.

Cóż, stawiałam czoło gorszym przeciwnościom.

W środku labiryntu fletnista gra porywającą, dziką melodię, w powietrzu fruwały białe płatki róż, zgromadzeni elfowie jedzą i piją przy długim stole, który zastawiony jest przede wszystkim różnymi trunkami – są tam kordiały, w których pływają korzenie mandragory, kwaśne śliwkowe wino, kryształowy napój, do którego wsypano całe garście czerwonych goździków. Ponadto fiołki złotego proszku nevermore.

Cardan leży na pledzie z głową odrzuconą w tył, w rozpiętej białej koszuli. Choć jest jeszcze wcześniej, jest już chyba bardzo pijany. Na jego ustach widać ślady złota. Rogata dziewczyna, której nie znam, całuje go po szyi, a inna, ta z włosami jak narcyzy, przyciska usta do jego łydki tuż nad cholewą buta.

Oddycham z ulgą, bo nie widzę nigdzie Valeriana. Mam nadzieję, że został w domu, by leczyć ranę, którą mu zadałam.

Loki podaje mi naparstek likworu, przez grzeczność upijam maleńki łyżeczek, ale natychmiast zaczynam się krztusić. Dokładnie w tej samej chwili spoczywa na mnie spojrzenie Cardana. Jego oczy są jak szparki, ale widzę ich lśnienie niczym błysk mokrej smoły. Przygląda mi się, gdy dziewczyna całuje go w usta, przygląda mi się, kiedy ona wsuwa dłoń pod tę jego głupią koszulę z żabotem.

Policzki mi płoną. Odwracam się i od razu złoszczę się na siebie, bo mógł się zorientować, że czuję się skrępowana jego widokiem.

– Widzę, że ktoś z Kręgu Robaków zechciał nas dziś zaszczyścić swoją obecnością – stwierdza Nicassia, która właśnie nadciągnęła ku nam w sukni mieniącej się wszystkimi kolorami zachodu słońca. Zagląda mi w twarz. –

Tylko która to z nich?

– Ta, której nie lubisz – wyjaśniam, ignorując jej zaczepkę.

Śmieje się, głośno i fałszywie.

– Och, zdziwiłabyś się, gdyby cię powiadomiono, co niektórzy w naszej sferze czują do was obu.

– Obiecałem ci dobrą zabawę, nie coś takiego – mówi oschle Loki, biorąc mnie za łokieć. Jestem mu wdzięczna, że prowadzi mnie do niskiego stołu, wokół którego rozrzucono poduchy, ale nie mogę się powstrzymać i macham na pożegnanie Nicassi, co wprawia ją we wściekłość. Kiedy Loki patrzy w inną stronę, wylewam zawartość kubeczka na trawę. Fletnista kończy swój występ, teraz pomalowany złotą farbą nagi chłopiec sięga po lirę, by zaintonować świńską piosenkę o złamanym sercu:

*O pani piękna i okrutna,
jak brak mi sukni twego płótna;
jak brak mi włosów twych i oczu,
ale najbardziej czegoś w kroczu.*

Loki całuje mnie przy ognisku. Wszyscy mogą to zobaczyć, ale nie wiem, czy patrzą, bo zaciskam powieki najmocniej, jak potrafię.

ROZDZIAŁ 17



Budzę się w domu Lokiego na łożu wysłanym tapiseriami. W ustach mam smak kwaśnych śliwek, moje wargi są spuchnięte od pocałunków. Loki leży obok mnie w tym samym ubraniu co na przyjęciu, ma zamknięte oczy. Już miałam wstać, ale nieruchomieję, żeby mu się przyjrzeć – jego spiczastym uszom i lisim włosom, miękkości jego ust, długim rękom i nogom rozłożonym we śnie. Głowę miast na poduszce oparłam na ściśniętej pięści.

Powracają wydarzenia tej nocy. Tańczyliśmy i goniliśmy się po labiryncie. Pamiętam, jak potknąwszy się, upadłam na ręce; ubrudziłam je sobie ziemią i śmiałam się, śmiałam się zupełnie jak nie ja. Rzeczywiście, gdy patrzę na pożyczoną suknię, widać na niej zielone plamy od trawy.

Nie byłym pierwszym, który ją tak wysmotruchał.

Książę Cardan obserwował mnie przez całą noc jak nieznający spoczynku rekin, który czeka na właściwą chwilę, by pochwyć ofiarę. Teraz też pamiętam czerń jego spojrzenia. Jeśli zaś śmiałam się głośniej, byle wprawić

go w złość, uśmiechałam się szerzej i dłużej całowałam z Lokim – była to ułuda, która wszak elfom nie jest obca.

Teraz jednak ta noc wydaje mi się długim i niemożliwym sennym marzeniem.

W sypialni Lokiego panuje nieład, książki i ubrania rozrzucone są wszędzie, na sofach i pufach. Wychodzę na palcach, człapię przez komnaty do zakurzonego pokoju jego matki, gdzie zdejmuję suknię i przebieram się we wczorajszy strój. Sięgam po nóż, a kiedy go wyciągam, wypada też złote cacko.

Odruchowo wsadzam żołędź razem z nożem do kieszeni tuniki. Mam ochotę zachować jakąś pamiątkę tej nocy, coś, co mi będzie o niej przypominać – na wypadek gdyby nic podobnego nie miało się już nigdy zdarzyć. Zresztą Loki powiedział, że mogę pożyczyć sobie z jej komnaty, co zechcę, więc pożyczam sobie ten drobiazg.

W drodze powrotnej mijam biesiadny stół. Siedzi przy nim Nicassia, małym nożykiem kroi jabłko.

– Twoje włosy wyglądają jak dzikie chaszczce – oznajmia i wsadza sobie do ust kawałek owocu.

Spoglądam w zawieszoną na ścianie srebrną patere, która ukazuje tylko zniekształcony, zamazany obraz, ale i tak widzę, że to prawda – czyli brązową aureolę wokół mojej głowy. Sięgam, aby rozpiąć warkocz, przeczesać włosy palcami.

– Loki jeszcze śpi – mówię, bo sądzę, że na niego czeka. Mogłabym uważać, że mam nad nią jakąś przewagę, bo w końcu to ja spędziłam noc w jego sypialni, ale tak naprawdę to czuję się poniekąd nie na swoim miejscu.

Nie wiem, jak to zrobić. Nie wiem, jak powinna się zachować dziewczyna, która budzi się w domu u chłopaka, i w jaki sposób ma rozmawiać z inną, z którą był przedtem. Właściwie jedno, co jest w tym wszystkim normalne, to że ta dziewczyna najprawdopodobniej życzy mi śmierci w męczarniach.

– Moja matka i brat sądzili, że się pobierzemy – mówi, jakby rozmawiała z powietrzem, a nie ze mną. – Miało to zaowocować pożytecznym aliansem.

– Z Lokim? – pytam zdziwiona.

Spogląda na mnie ze znużeniem, jakby to pytanie wybiło ją na chwilę z własnego świata.

– Ja i Cardan. Ale on wszystko psuje. To lubi najbardziej. Psuć.

To jasne, że Cardan uwielbia wszystko psuć. Zdumiewa mnie, że Nicassia dopiero teraz sobie z tego zdała sprawę. Z drugiej strony, sądziłam, że to raczej ich łączy, że jest ich wspólną cechą.

Zostawiam ją z tym jabłkiem oraz rozpamiętywaniem nieziszczonego romansu i aliansu. Ruszam w stronę pałacu. Spomiędzy drzew wieje chłodna bryza, rozwiewa moje rozpuszczone włosy, przynosi zapach sosen. W powietrzu słychać krzyki mew. Akurat dziś cieszę się z lekcji, bo nie muszę iść prosto do domu i wysłuchiwać, co Oriana ma mi do powiedzenia.

Dzisiejszy wykład odbywa się w wieży, to miejsce lubię najmniej. Wspinam się po schodach, znajduję sobie miejsce – spóźniłam się, ale w tyle sali jest niezajęta ławka. Taryn siedzi po przeciwnej stronie. Spogląda na mnie tylko raz, unosząc przy tym brwi. Obok niej siedzi Cardan, ubrany w zielony aksamit wyszywany w złote ciernie obramione błękitną nicią. Rozparł się wygodnie, niecierpliwie stuka długimi palcami o drewno ławy.

Kiedy na niego patrzę, ogarnia mnie nieokreślony niepokój.

Dobrze, że Valerian się nie pokazał. Nie ma co liczyć, że już nigdy się nie pojawi, ale przynajmniej dziś jeszcze mam spokój.

Preceptorka jest nowa – to rycerz imieniem Dulcamara. Opowiada o zasadach dziedziczenia tronu, bez wątpienia z okazji zbliżającej się koronacji.

Koronacji, dzięki której zyskam władzę – ja także. Kiedy księżę Dain zostanie Najwyższym Królem, jego szpiedzy lękać się będą musieli tylko samego władcy, nikt inny nie będzie nam rozkazywał.

– W niektórych z pomniejszych dworów morderca króla czy królowej może zasiąść na tronie – mówi Dulcamara. Potem wyjaśnia, że należy do Dworu Termitów, który jeszcze się nie zjednoczył z innymi pod sztandarem Eldreda.

Nie jest okryta zbroją, ale porusza się jak ktoś przyzwyczajony do jej ciężaru.

– Dlatego właśnie królowa Mab ułożyła się z elfem samotnikiem, mistrzem kowalskiej sztuki, aby sporządził noszoną przez króla Eldreda koronę, którą włożyć może tylko jego potomek. Niełatwo byłoby przejąć ją siłą – wyjaśnia i uśmiecha się jakoś dziwnie.

Gdyby Cardan próbował jej przerwać, prawdopodobnie pozałaby go żywcem i wyssała szpik z jego kości.

Dzieci elfów wysokiego rodu nie czują się swobodnie wobec Dulcamary.

Wieść niesie, że pan Roiben, jej król, ma przybyć na koronację, a następnie złożyć hołd lenny nowemu Najwyższemu Królowi, a towarzyszyć mu będzie cały jego dwór. Władca przez lata opierał się naporowi sił Madoka. Przystanie Roibena do grona wasali Najwyższego Dworu uważa się za majstersztyk dyplomacji, wynegocjowany przez księcia Daina wbrew radom Madoka. Zapewne Dulcamara przybyła do nas jako forpoczta poselstwa.

Larxper, zaliczający się do najmłodszych uczniów, chce wiedzieć:

– A co będzie, jeżeli zabraknie dzieci w rodzie Kolcowojów?

Na twarzy Dulcamary pojawia się teraz dobrotliwy uśmiech.

– Kiedy będzie mniej niż dwójka spadkobierców – potrzebny jest bowiem jeden, który przywdzieje koronę, i drugi, by założyć ją na głowę władcy – wówczas skończy się moc Najwyższej Korony. Wszyscy będą wolni od złożonych jej ślubowań. Potem zaś, kto wie, może nowy władca sporządzi nową koronę, a może znów rozpoczną się wojny między pomniejszych cnymi i niecnymi dworami. A może udacie się na południowy zachód, by walczyć pod naszymi sztandarami.

Z jej uśmiechu jasno wynika, która ewentualność najbardziej jej odpowiada.

Podnoszę rękę. Dulcamara kiwa głową.

– A co się stanie, jeżeli koronę spróbuje przejąć ktoś spoza spadkobierców króla Eldreda?

Cardan rzuca mi wściekłe spojrzenie. Chcę odpowiedzieć mu tym samym, ale jakoś nie mogę zapomnieć, jak leżał na ziemi z tamtymi dziewczynami. Policzki znów mi płoną, więc odwracam wzrok.

– Ciekawe pytanie – stwierdza Dulcamara. – Legenda głosi, że korona nie pozwoli umieścić się na głowie nikogo, kto nie jest potomkiem królowej Mab, należy jednak zdawać sobie sprawę, że są oni bardzo liczni. Jeśli więc koronę spróbują przejąć jej potomkowie, jest to wykonalne. W razie przewrotu największe niebezpieczeństwo polega na tym, że korona jest zaklęta – kto spowoduje śmierć prawowitego władcy, sam niechybnie zginie.

Przypomina mi się list znaleziony w domu Balekina i grzyb rumienia.

Po wykładzie ostrożnie schodzę schodami, które po zranieniu Valeriana pokonałam biegiem. Robi mi się ciemno przed oczami, przez chwilę kręci mi się w głowie, ale to zaraz mija. Taryn idzie tuż za mną, a gdy tylko znajdujemy się na zewnątrz, niemal przemocą wpycha mnie między drzewa.

– Przede wszystkim – mówi, ciągnąc mnie przez gąszcz młodych paproci –

nikt nie wie, że nie wróciłaś do domu na noc, to znaczy nikt poza Strzępką, ale podarowałam jej jeden z twoich najładniejszych pierścionków, żeby się nikomu nie wygadała. Musisz mi za to powiedzieć, gdzie byłaś.

– Loki urządził przyjęcie u siebie w domu – odpowiadam. – Zostałam na noc, ale wiesz, do niczego specjalnego nie doszło. Całowaliśmy się, nic więcej.

Gdy kręci głową, jej kasztanowe warkocze fruują w powietrzu.

– Nie jestem pewna, czy ci wierzę.

Wzdycham, może trochę zbyt teatralnie.

– Czemu miałabym cię okłamywać? To nie ja robię tajemnicę z tego, kto się do mnie zaleca.

Taryn marszczy brwi.

– Ja tylko uważam, że jeżeli śpisz w czyimś pokoju, w czyimś łóżku, to jest to coś więcej niż tylko całowanie.

Czerwienię się, bo doskonale pamiętam, co poczułam, gdy się obudziłam i ujrzałam go obok siebie. Aby zmienić temat, zaczynam jej dokuczać:

– Zaraz, zaraz. A może to księżę Balekin? Czy zostaniesz małżonką księcia Balekina? Tak, na pewno! Chyba że to Nogal i razem będziecie liczyć gwiazdy.

Uderza mnie w ramię, trochę zbyt mocno.

– Przestań – mówi. – Nie zgaduj. Przecież wiesz, że nie wolno mi powiedzieć.

– Ała. – Zrywam biały kwiatek firletki, zatykam go sobie za ucho.

– A więc on ci się podoba? – pyta moja siostra. – Naprawdę go lubisz?

– Lokiego? – dopytuję. – Oczywiście, że tak.

Patrzy na mnie dziwnie, teraz mi przykro, że się o mnie zamartwiała, kiedy nie wróciłam na noc.

– Natomiast Balekina lubię dużo mniej – dodaję, żeby wszystko było jasne, a Taryn przewraca oczami. Kiedy wracamy do zamku, okazuje się, że Madok zostawił dla mnie wiadomość – wróci późno. Skoro akurat wyjątkowo nie mam nic do roboty, szukam Taryn, jednak mimo że zaledwie parę minut wcześniej widziałam ją na górze, jej sypialnia jest pusta. Widzę tylko suknię na łóżku i otwartą szafę, kilka odwieszonych byle jak sukien, tak jakby przeglądała je, nim zdecydowała, że nie będą odpowiednie.

Czy wybrała się na spotkanie ze swoim lubym? Rozglądam się po jej pokoju, próbując coś wypatrzeć, jak przystało na szpiega, jednak żadnych

sekretów nie odkrywam, dostrzegam tylko kilka zwiędłych płatków różanych na jej toaletce.

Idę więc do swojej komnaty, kładę się na łóżku, aby uporządkować wspomnienia z minionej nocy. Sięgam do kieszeni i wyciągam nóż, żeby go wreszcie wyczyścić. Przy okazji znów natrafiam na złoty żołędź. Obracam go na otwartej dłoni.

To spory kawałek złota, ale przede wszystkim – piękny przedmiot. Początkowo widzę tylko tyle, ale po chwili zauważam też ledwo dostrzegalne linie, które przecinają jego powierzchnię, a to sugeruje ruchome części. To znaczy, że przedmiot kryje jakąś tajemnicę.

Próbuję na różne sposoby rozkręcić złote cacko, ale nic z tego. Innego pomysłu nie mam. Już zamierzam zrezygnować, kiedy dostrzegam maleńki otworek, tak mały, że prawie niewidoczny. Zeskakuję z łoża, przerzucam zawartość szuflady – szukam szpilki. Wpada mi w rękę taka z perłową główką. Próbuję wsunąć ją do otworu. Zajmuje mi to chwilę, ale w końcu napotykam opór, rozlega się cichy trzask i żołędź się otwiera.

W jego lśniącym wnętrzu widzę maleńkiego złotego ptaszka, który porusza dziobem i mówi krzykliwie:

Najdroższy przyjacielu, to są ostatnie słowa Liriope. Rozpuściłam trzy złote ptaszyny. Trzy, aby przynajmniej jedna do ciebie dotarła. Jest już o wiele za późno na jakiegokolwiek antidotum, więc jeśli to usłyszysz, pozostawiam ci brzemię moich sekretów i ostatnie życzenie serca: chroń go, zabierz go daleko z tego dworu. Zapewnij mu bezpieczeństwo i nigdy, przenigdy nie zdradź prawdy o tym, co ze mną się stało.

Do pokoju wchodzi Strzępka niosąca tacę z herbatą. Próbuje wypatrzeć, co robię, ale zakrywam żołędź dłonią.

Kiedy znów jestem sama, odkładam maskotkę i nalewam sobie herbatę do kubka, trzymam go obiema dłońmi, żeby je rozgrzać. Liriope to matka Lokiego. Wygląda na to, że dostałam wiadomość, w której prosi kogoś – swojego najdroższego przyjaciela – aby zabrał Lokiego gdzieś daleko, w bezpieczne miejsce. Mówi, że to jej ostatnie słowa, a więc już wie, że wkrótce umrze. Być może żołędzie przeznaczone były dla ojca Lokiego, może miała nadzieję, że Loki spędzi resztę swojego życia gdzieś w dzicy u jego boku, nie wplątując się w intrygi.

Ponieważ jednak Loki jest tutaj, to chyba znaczy, że żaden z trzech żołądź nie został znaleziony przez adresata. Być może żaden z nich nawet nie opuścił jej komnaty.

Powinam mu to oddać, niech on sam zdecyduje, co robić. Nie mogę jednak przestać myśleć o liście znalezionym na biurku Balekina, liście, który pozwala podejrzewać, że Balekin jest zamieszany w zamordowanie Liriope. Czy na pewno powinam o wszystkim powiedzieć Lokiemu?

Znam pochodzenie grzybu rumienia, skoro pytasz, jednak twoje poczynania nie mogą zostać powiązane ze mną.

Obracam w myślach te słowa tak samo, jak obracałam w palcach żołądź, i w nich również próbuję się doszukać czegoś ukrytego.

Niby w tym zdaniu nie ma nic szczególnego.

Zapisuję te słowa na kawałku papieru, żeby mieć pewność, że dobrze je zapamiętałam. Kiedy czytam je po raz pierwszy, wydaje się oczywiste, że królowa Orlagh po prostu znalazła dla Balekina tę śmiertelną truciznę. Rzecz w tym, że grzyb rumienia, choć nie jest rośliną często spotykaną, występuje nawet na naszej wyspie. Ja na przykład znalazłam go w Mleczlesie, wskazały mi go czarnocierne pszczoły, które budują swoje gniazda wysoko na drzewach i nim się właśnie żywią (jak wiem z moich ostatnich lektur, z ich miodu można sporządzić antidotum). Grzyb rumienia nie jest niebezpieczny, jeśli ktoś nie spożyje czerwonego soku.

A co, jeżeli królowa wcale nie miała na myśli tego, że znalazła grzyb rumienia i dostarczy go Balekinowi? W końcu pisze tylko, że zna jego pochodzenie, co znaczy, że po prostu wie, skąd się wziął ten a nie inny grzyb. Pisze przecież „twoje poczynania”, a to może równie dobrze dotyczyć nie samego grzyba, tylko kwestii wiedzy na temat jego pochodzenia i tego, co Balekin z tą wiedzą zrobi, nie z samym grzybami.

Co może znaczyć, że wcale nie zamierza otruć Daina.

Co również może znaczyć, że Balekin odkrył, kto jest winny śmierci matki Lokiego – jeśli dowiedział się, kto miał ten grzyb rumienia, który ją zabił. Odpowiedź mogła być tam, wśród innych papierów, i mogłam ją w pośpiechu przeoczyć.

Niestety, muszę tam wrócić. Jeszcze dzisiaj muszę wrócić do pokoju w wieży, bo dzień koronacji się zbliża. Być może Balekin wcale nie zamierza

podjąć próby zamordowania Daina, a Dwór Cieni się myli. Gorzej: być może wcale się nie myli, natomiast zamach nastąpi w jakiś inny sposób, nie za pomocą trucizny.

Dopijam herbatę, wyciągam z dna szafy suknię służącej. Upinam włosy i zaplatam je w niechlujny warkocz; takie noszą dziewczęta służebne w domu Balekina. Przymocowuję nóż do uda, do kieszeni wsypuję trochę soli. Potem narzucam pelerynę, wzuwam skórzane trzewiki i wychodzę. Moje dłonie zaczynają się pocić.

Od pierwszej wyprawy do Próżnego Dworu dużo się nauczyłam. Wystarczająco dużo, żeby lepiej rozumieć, na co się ważę. Nie mogę powiedzieć, żeby to uspokajało moje nerwy. Pamiętając o tym, co widziałam na własne oczy, czyli jak Balekin potraktował Cardana, nie mam pewności, czy zdołam wytrzymać to, co mi robi, jeżeli mnie przyłapie na szpiegowaniu.

Oddycham głęboko i napominam samą siebie, że najważniejsze to nie dać się złapać.

Karakan powtarza, że zadanie szpiega polega przede wszystkim na tym właśnie. Informacje zdobywa się albo nie, to sprawa wtórna. W naszej profesji najważniejsze jest, żeby nie dać się schwytać.

W sieni mijam Orianą. Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów. Muszę powstrzymać chęć, by jeszcze szczelniej owinać się peleryną. Oriana ubrana jest w suknię koloru dojrzałych owoców morwy, włosy ma zaczesane do tyłu i ciasno spięte. Na samych czubeczkach spiczastych uszu nosi lśniące kryształowe spinki. Przydałyby mi się takie, mogłabym za ich pomocą skryć krągłość moich ludzkich uszu.

– Doprawdy, późno wczoraj wróciłaś – napomina mnie, wyraźnie bardzo niezadowolona, co zdradza grymas jej ust. – Nie byłaś na kolacji, a ponadto twój ojciec spodziewał się, że odbędziesz z nim lekcję.

– Poprawię się – obiecuję, po czym natychmiast tego żałuję, bo pewnie dziś wieczorem też nie zdążę na kolację. – Od jutra. Od jutra się poprawię.

– Niewdzięczna istota – ocenia mnie Oriana, świdrując wzrokiem tak, jakby od tego wpatrywania się mogła poznać wszystkie moje tajemnice. – Ty coś knujesz.

Coraz bardziej męczy mnie ta jej podejrzliwość, okropnie męczy.

– Wiem, zawsze ci się tak wydaje – odpowiadam. – Chociaż wiesz? Akurat tym razem masz rację.

Niech się teraz zastanawia, co chciałam przez to powiedzieć. Schodzę na dół, wychodzę na zewnątrz. Na szczęście nie ma tu nikogo, kto chciałby mnie powstrzymać albo sprawić, żebym jeszcze raz się zastanowiła, co robię.

Tym razem jestem ostrożniejsza, nie biorę ze stajni ropuchy.

Gdy wędruję przez las, zauważam sowę zataczającą nade mną kręgi. Nasuwam kaptur na głowę, żeby zakryć twarz.

Przybywszy do Próżnego Dworu, upycham pelerynę za stosem drewna na opał i wchodzę przez kuchnię, gdzie trwają przygotowania do kolacji. Smarowana różową galaretką skórka młodziutkich pieczonych gołąbków wydaje tak smakowitą woń, że od razu ślinka napływa mi do ust i głód ściska mi żołądek.

Na chybił trafił otwieram jakąś szafkę, gdzie szczęśliwie znajduję tuzin świec, wszystkie w kolorze płowej bawolej skóry, z wytłoczonym na złoto osobistym herbem Balekina – trzema śmiejącymi się czarnymi ptakami. Biorę dziewięć świec, po czym, starając się poruszać jak otepiała, ruszam na pokoje. Gdy mijam strażników, jeden z nich zerka w moją stronę. Pewnie coś ze mną jest nie w porządku, ale akurat ten już widział moją twarz, poza tym teraz gram służącą o wiele lepiej.

Człapię więc dalej pewnym krokiem – pewnym przynajmniej do chwili, gdy widzę schodzącego po schodach Balekina.

Spogląda w moją stronę, a ja mogę tylko unikać jego spojrzenia, iść miarowo, spokojnie. Zanoszę świece do pierwszego lepszego pomieszczenia – okazuje się, że to biblioteka.

Ku mojej ogromnej uldze Balekin tak naprawdę mnie nie dostrzega, serce jednak wali mi jak oszalałe, oddycham płytko i szybko.

Służąca, która poprzednim razem czyściła kominek w pokoju Cardana, ospale odstawia książki na półki. Jest taka, jak ją zapamiętałam – wychudzona, spękane wargi, podkrążone oczy. Rusza się powoli, tak jakby powietrze miało gęstość wody. Rozglądam się, ale na półkach bibliotecznych nie widzę niczego przydatnego. Muszę wspiąć się na wieżę, przejrzeć całą korespondencję księcia Balekina, może uda mi się znaleźć coś dotyczącego matki Lokiego albo Daina, albo koronacji – coś, co uprzednio przegapiłam.

Na razie, dopóki Balekin znajduje się między mną a schodami, nie mogę nic zrobić.

Spoglądam jeszcze raz na dziewczynę. Chciałabym wiedzieć, jak wygląda jej życie w tym domu, co jej się śni. Czy istnieje jakakolwiek szansa, żeby

kiedykolwiek się stąd wyrwała? Cóż, jeśli Balekin mnie schwyta, przynajmniej dzięki géisowi nie taki spotka mnie los.

Czekam, liczę do tysiąca, powoli układając świece na krześle. Wyglądam na korytarz. Na szczęście Balekin już odszedł. Ruszam prędko w stronę schodów wiodących na wieżę. Wstrzymuję oddech, zbliżając się do drzwi komnat Cardana, ale szczęście nadal mi sprzyja, są zamknięte.

Wbiegam po schodach, jestem w gabinecie Balekina. Teraz już potrafię rozpoznać zioła w słoikach. Kilka z nich jest trujących, ale większość to tylko narkotyki. Grzybu rumienia nigdzie nie widzę. Podchodzę do stołu, ocieram dłonie o szorstką materię sukni, żeby nie zostawić śladów potu. Staram się wszystko dokładnie odkładać na miejsce.

Są tam dwa listy od Madoka, ale nie widzę w nich nic ciekawego, pisze o tym, którzy z rycerzy będą obecni podczas koronacji i jak mają być rozstawieni wokół tronu. Są też inne, na temat przydziałów, przyjęć, biesiad i zabaw. Nic na temat grzybów rumienia ani żadnych innych trucizn. Nic na temat morderstwa Liriope. Jedyna zaskakująca rzecz to błahostka, rymowanka miłosna spisana ręką księcia Daina – poświęcona jakiejś kobiecie niewymienionej z imienia, mowa jest tylko o jej „włosach jak wschód słońca” oraz oczach, „w które patrzeć można bez końca”.

Gorzej, bo żadna z tych rzeczy nie wskazuje na istnienie jakiegoś planu wymierzonego przeciwko księciu Dainowi. Jeśli Balekin zamierza zamordować brata, najwyraźniej ma dość rozumu, żeby nie zostawiać dowodów na wierzchu. Nawet tamten list od królowej Orlagh znikł.

Podjęłam więc ryzykowną wyprawę do Próżnego Dworu – na próżno.

Przez chwilę stoję, próbując pozbierać myśli. Teraz trzeba opuścić to miejsce, nie zwracając przy tym na siebie uwagi.

Posłaniec. Będę udawać posłańca. Posłańcy bezustannie krążą od posiadłości do posiadłości. Biorę pustą kartkę, piszę na niej *Madok*, potem składam i pieczętuję woskiem. Przez chwilę w powietrzu czuć siarkę z zapalniczki. Gdy zapach się rozwiewa, schodzę po schodach z fałszywą wiadomością w dłoni.

Gdy mijam bibliotekę, coś każe mi się zatrzymać. Dziewczyna wciąż tam jest, mechanicznymi ruchami bierze książki ze stosu i ustawia je na półkach. Będzie to robić, dopóki ktoś jej nie każe robić czego innego, dopóki nie zemdleje albo nie umrze, nie odejdzie w zapomnienie. Jakby była niczym.

Nie mogę jej tu zostawić.

Ja nie mam po co wracać do śmiertelnego świata, ale ona może mieć. Wiem, że zdradzam zaufanie pokładane we mnie przez księcia Daina i że dopuszczam się zdrady wobec Krainy Elfów. Wiem, wiem. Ale i tak nie mogę jej tu zostawić.

Uświadamiam to sobie z pewną ulgą. Wchodzę do biblioteki, kładę list na stole. Dziewczyna nie odwraca się, w ogóle nie reaguje. Sięgam do kieszeni po sól, podaję jej odtrutkę w zagłębieniu dłoni, tak jakbym częstowała konia kostką cukru.

– Zjedz to – mówię do niej półgłosem.

Odwraca się w moją stronę, choć nie skupia na mnie wzroku.

– Nie wolno mi – odpowiada głosem ochrypłym od długiego milczenia. – Sól jest zabroniona. Mamy obowiązek...

Zatykam jej usta dłonią, przyciskam. Trochę soli wysypuje się na ziemię, reszta jednak zostaje na jej ustach.

Jestem idiotką. Impulsywną kretynką.

Obejmuję ją ramieniem i wciągam głębiej do biblioteki. Ona na przemian próbuje krzyczeć lub ugryźć mnie, drapie, wbija paznokcie w moją skórę. Trzymam ją mocno, przygniatam do ściany, aż wreszcie wiotczeje, opuszcza ją wola walki.

– Przepraszam – szepczę, ale nadal ją trzymam. – Nie miałam lepszego pomysłu, jak to zrobić. Nie chcę cię skrzywdzić. Chcę cię uratować. Proszę, pozwól mi. Pozwól mi, to cię uratuję.

Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio próbowała się wydzierać, więc ryzykuję i zdejmuję dłoń z jej ust. Dyszy szybko. Nie krzyczy jednak, co może być dobrym znakiem.

– Wydostaniemy się stąd – mówię. – Możesz mi zaufać.

Patrzy na mnie pustym wzrokiem, nie rozumie.

– Zachowuj się normalnie, jak gdyby nigdy nic.

Stawiam ją na nogi i uświadamiam sobie, że żądam od niej czegoś niemożliwego. Jej gałki oczne szaleją jak u obłąkanego żrebaka. Nie mam pojęcia, ile czasu upłynie, nim kompletnie postrada zmysły.

Cóż, i tak nie mam już innego wyjścia, muszę ją jak najprędzej wyprowadzić z Próżnego Dworu. Wsuwam głowę do głównej komnaty. Nadal jest pusta, więc wyciągam dziewczynę z biblioteki. Rozgląda się, jakby pierwszy raz w życiu widziała te masywne drewniane schody i galerię, na którą prowadzą. Przypomina mi się, że na stole w bibliotece zostawiłam

falszywy list.

– Zaczekaj tu – mówię. – Muszę tam wrócić, żeby...

Dziewczyna wydaje płaczliwy odgłos i ciągnie mnie w przeciwną stronę. Jestem silniejsza, więc wciągam ją do środka i zgarniam list. Zgniatam go i wciskam do kieszeni. Teraz jest bezużyteczny. Strażnicy mogliby go zapamiętać i skojarzyć zniknięcie służącej z adresatem i osobą, która ją ukradła.

– Jak masz na imię?

Dziewczyna kręci głową.

– Musisz przecież pamiętać swoje imię – nalegam.

To okropne, że zamiast być dla niej dobra, muszę się na nią wściekać. Wyluzuj – nakazuję samej sobie. Do roboty.

– Sophie – mówi. Brzmi to jak pojedynczy szloch. Łzy zbierają się w jej oczach. Czuję się coraz gorzej na myśl o tym, jaka muszę być wobec niej bezwzględna.

– Nie wolno ci płakać – oznajmiam najsurowiej, jak tylko umiem. Liczę, że tym tonem ją zastraszę i zmuszę do posłuszeństwa. Usiłuję naśladować Madoka, jego głos nawykły do rozkazywania. – Zabraniam ci płakać. Jeśli będzie trzeba, to cię uderzę.

Kuli się, ale udało mi się ją w ten sposób uciszyć. Ocieram jej oczy wierzchem swojej dłoni.

– Już dobrze? – pytam.

Nie odpowiada, więc orientuję się, że nie ma co przedłużać rozmowy. Popycham ją w stronę kuchni. Musimy minąć strażników, innego wyjścia nie ma. Dziewczyna wykrzywia się w straszliwym uśmiechu. Dobrze i to, przynajmniej choć trochę panuje nad sobą. Bardziej mnie niepokoi to, że wciąż się rozgląda. Gdy mijamy strażników, nie jest w stanie ukryć żywości spojrzenia.

Improwizuję, staram się, żeby to brzmiało, jakbym recytowała wykutą na pamięć wiadomość, bez modelowania intonacji zdania.

– Książę Cardan kazał sobie posługiwać.

Strażnik mówi do drugiego:

– Balekinowi się to nie spodoba.

Staram się nie reagować, ale nie jest łatwo. Stoję i czekam. Jeżeli nie odpuści, będę musiała go zabić.

– Niech będzie – mówi pierwszy strażnik. – Idźcie, ale powiedzcie

Cardanowi, że jego brat każe mu, żeby tym razem odesłał was obie z powrotem.

Nie podoba mi się to, co słyszę.

Drugi strażnik przygląda się Sophie, jej oszalałym oczom.

– Co się tak gapisz?

Czuję jej drżenie, trzęsie się na całym ciele. Muszę szybko odpowiedzieć, zanim ona coś palnie.

– Książę Cardan kazał nam, żebyśmy nie były takie gapiowate – odzywam się, próbując zamącić mu w głowie, w nadziei, że dwuznaczne polecenie wystarczająco tłumaczy jej dziwaczne zachowanie.

Potem przechodzę z nią przez kuchnię, mijając po drodze innych ludzi, których nie uratuję. Nagle zdaję sobie sprawę z bezsensowności mojego uczynku. Co z tego, że ocalę jedną osobę, skoro jest ich tyle?

Kiedy posiądę władzę, znajdę jakiś sposób, żeby pomóc im wszystkim – obiecuję sobie. Kiedy Dain zasiądzie na tronie, zdobędę taką władzę.

Pilnuję się, żeby iść powoli. Oddycham głębiej dopiero wtedy, kiedy wychodzimy na zewnątrz.

Okazuje się, że przedwcześnie. Widzę Cardana jadącego w naszą stronę na nakrapianym szarym ogierze, a za nim dziewczynę na stępaku – Nicassię. Kiedy tylko znajdzie się wewnątrz, strażnicy spytają go o nas. Kiedy tylko znajdzie się wewnątrz, zorientuje się, że coś jest nie tak.

O ile nie zauważy mnie wcześniej i nie rozpozna.

Jaka może być kara za kradzież służącej księcia? Nie wiem. Pewnie klątwa, przemienią mnie w kruka, każą lecieć na północ i mieszkać przez siedem razy po siedem lat w lodowym pałacu – albo gorzej, nie żadna tam klątwa, tylko egzekucja.

Naprawdę potrzebuję całej siły swojej woli, żeby nie puścić się biegiem. Zresztą i tak raczej nie zdołałabym w porę schronić się w lesie, wcześniej stratowałyby nas.

– Przestań się rozglądać – syczę do Sophie, a zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałam. – Lepiej patrz pod nogi.

– Przestań ciągle mnie rugać – mówi, ale przynajmniej nie płacze. Idę ze spuszczoną głową, trzymając Sophie pod ramię. Kierujemy się w stronę tego lasu.

Kątem oka widzę, jak Cardan zeskakuje z siodła, wiatr rozwiewa mu włosy. Spogląda w moją stronę i na chwilę nieruchomieje. Wstrzymuję

oddech, ale nie biegnę.

Nie wolno mi biec.

Nie słychać tętentu kopyt, nikt nas nie ściga, by schwytać i ukarać. Ku mej niezmiernej uldze Cardan widzi tylko dwie służki, które zmierzają do lasu, pewnie by nazbierać chrustu, jagód albo czegoś tam.

Im bliżej lasu jesteśmy, tym trudniejszy staje się każdy krok.

Nagle Sophie pada na kolana, odwraca się, żeby spojrzeć na dwór Balekina. Z jej gardła wydobywa się lament.

– Nie – jęczy, kręcąc głową. – Nie, nie, nie, nie, nie. Nie. To nie jest prawda. To się nie wydarzyło.

Łapię ją pod pachą i szarpię, zmuszając do wstania.

– Rusz się – mówię. – Rusz się natychmiast, bo inaczej cię tu zostawię. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Zostawię cię tutaj, a księżę Cardan cię znajdzie i zawlecze z powrotem do środka.

Ukradkiem spoglądam za siebie i widzę go. Prowadzi konia do stajni. Nicassia jeszcze nie zsiadła, śmieje się, odchylając głowę do tyłu, na pewno powiedział coś śmiesznego. On też się uśmiecha, ale nie tak pogardliwie jak zwykle. Wcale nie wygląda jak czarny charakter ze złego snu, raczej przypomina młodego, przystojnego chłopaka, który co prawda nie jest człowiekiem, ale zabrał swoją przyjaciółkę na przejażdżkę w świetle księżyca.

Sophie chwieje się, jakby miała upaść na twarz. Nie możemy dać się złapać, nie teraz, przecież jesteśmy już tak blisko.

Kiedy wkraczamy do sosnowego lasu i stąpamy po kobiercu z suchych igieł, wreszcie mogę odetchnąć. Zmuszam ją, żeby szła dalej, aż docieramy do strumienia. Wchodzimy do niego, idziemy dalej, choć zimna woda i błoto utrudniają marsz. Nieważne, to idealny sposób, żeby zatrzeć ślady.

Wreszcie Sophie pada na brzeg, nie może już dłużej powstrzymać się od płaczu. Patrzę na nią i zastanawiam się co dalej. Szkoda, że nie jestem lepszą, sympatyczniejszą osobą – a tak to tylko się wściekam. I niepokoję się, bo nadal nie ma czasu do stracenia, nadal mogą nas schwytać. Siadam na resztkach pnia przeżartego przez termyty, żeby dać jej się wypłakać, ale widzę, że łzy płyną i płyną. Podchodzę, przyklękam w ubłoconej trawie.

– Chodź, do mojego domu już niedaleko – odzywam się, usiłując przybrać łagodny, perswazyjny ton. – Trzeba przejść jeszcze tylko kawałek.

– Zamknij się! – krzyczy na mnie, unosi rękę, żeby mnie odepchnąć.

Frustracja rośnie. Mam ochotę na nią nakrzyczeć. Potrząsnąć nią. Jednak siedzę cicho, zaciskam pięści, żeby nad sobą zapanować.

– Dobrze, już dobrze – mówię, biorąc głęboki oddech. – Ja wiem, że to wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Ale ja naprawdę chcę ci pomóc. Mogę cię wydostać z Krainy Elfów. Jeszcze tej nocy.

Dziewczyna znów potrząsa głową.

– Nie wiem – mówi. – Nie wiem. Byłam na festiwalu Burning Man, no i ten facet powiedział, że dostarcza przekąski dla bogatego dziwaka, który zajmuje jeden z klimatyzowanych namiotów, i że mnie wprowadzi na imprezę. Tylko niczego nie bierz – tak mi powiedział. Bo jak weźmiesz, będziesz musiała mi służyć przez tysiąc lat...

Jej głos cichnie, ale teraz już rozumiem, jak ją schwytano w pułapkę. Powiedział to takim tonem, jakby żartował. Pewnie się roześmiała, a on się uśmiechnął. A potem skubnęła coś z tacy, a może gwizdnęła srebrną łyżeczkę – na to samo wychodzi.

– Już dobrze – mówię, nie do końca zgodnie z prawdą. – Wszystko będzie dobrze.

Patrzy na mnie i chyba dopiero teraz naprawdę mnie widzi, dociera do niej, że jestem ubrana tak samo jak ona, jak służąca, więc tym bardziej niczego nie rozumie.

– Kim ty jesteś? Co to w ogóle jest za miejsce? Co się z nami stało?

Pytałam ją o imię, więc to chyba normalne, żebym i ja się jej przedstawiła.

– Nazywam się Jude. Ja się tutaj wychowałam. Moja siostra może cię zabrać za morze, do pobliskiego miasta. Tam zadzwonisz do kogoś, żeby po ciebie przyjechał, albo pójdziesz na policję, a oni znajdą twoją rodzinę. To już naprawdę prawie koniec.

Sophie potrzebuje chwili, żeby to do niej dotarło.

– Ale czy to jakiś... Co się stało? Pamiętam strasznie dziwne rzeczy, w ogóle niemożliwe. I że chciałam... Nie, nie mogłam tego chcieć, żeby...

Znów jej głos zamiera i już nie wiem, co mam powiedzieć. Nie mogę odgadnąć, jaki miał być koniec tego zdania.

– Proszę. Powiedz, że to nieprawda. Chyba nie będę mogła żyć, jeżeli coś z tego rzeczywiście się wydarzyło.

Rozgląda się po lesie. Myśli, że gdyby mogła udowodnić, że nie jest magiczny, to wszystko inne też magiczne nie jest. Ale to bzdura, każdy las jest magiczny.

– No, chodź – mówię, bo o ile nie podoba mi się to, co mówi, o tyle nie ma sensu jej okłamywać tylko po to, żeby poczuła się lepiej. Będzie musiała pogodzić się z tym, że została podstępem zwabiona do Krainy Elfów. Problem w tym, że nie dysponuję jakąś łodzią, którą mogłabym ją przetransportować za wielką wodę. Mogę liczyć tylko na Vivi i jej kucyki z krwawnika. – Mogłabyś teraz iść trochę szybciej?

Im prędzej znajdzie się w ludzkim świecie, tym lepiej.

Dopiero gdy jesteśmy już naprawdę blisko zamku Madoka, przypominam sobie, że mój płaszcz nadal zwinięty jest w kłęb i ukryty za stosem drewna na opał przy kuchennym wejściu do Próżnego Dworu. Przeklinam siebie samą raz i drugi. Prowadzę Sophie do stajni, sadzam ją w pustym boksie. Zwija się w kłębek na słomie. Widok wielkiej ropuchy sprawił chyba, że straciła resztki zaufania do mnie.

– No, jesteśmy na miejscu – oznajmiam fałszywie wesołym głosem. – Teraz pójde do domu po siostrę, a ty tutaj zaczekaj. Obiecuję, że nigdzie się stąd nie ruszysz.

– Nie mogę. Nie mogę. – Patrzy na mnie straszonym wzrokiem.

– Musisz. – Mój głos zabrzmiał ostrzej, niż chciałam. Zakradam się do domu i wbiegam po schodach najszybciej, jak mogę, licząc wbrew wszelkiej nadziei, że na nikogo nie natknę się po drodze. Otwieram drzwi pokoju Vivienne, nie zaprzatając sobie głowy pukaniem.

Vivi na szczęście jest u siebie, leży na łóżku i pisze zielonym inkaustem list, na marginesie widać narysowane serduszka, gwiazdki i buźki. Spogląda, kiedy wchodzę, odgarnia włosy do tyłu.

– Interesujący masz strój.

– Słuchaj, zrobiłam coś naprawdę głupiego – mówię zdyszana.

To sprawia, że podnosi się, zsuwa z łoża i staje przede mną.

– Co się stało?

– Ukradłam śmiertelną dziewczynę, służącą, dziewczynę, z pałacu księcia Balekina i potrzebuję twojej pomocy, żeby przenieść ją z powrotem do śmiertelnego świata. Wiesz, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Kiedy to mówię, jeszcze wyraźniej zdaję sobie sprawę, jakie to ryzykowne i beznadziejnie głupie. On przecież zaraz znajdzie sobie inną ludzką istotę, która chętnie da się nabrać na fałszywy układ.

Jednak Vivi ani myśli mnie besztać czy prawić morały.

– Dobra, tylko włożę jakieś buty. Już się bałam, że kogoś zabiłaś.

– Dlaczego tak myślałaś?

Odpowiada parsknięciem. Szuka butów, a kiedy zawiązuje sznurówki, napotykam jej spojrzenie.

– Przy Madoku zawsze masz miły uśmiech na podorędziu, za to na mnie tylko warczysz.

Nie bardzo wiem, co mam na to odpowiedzieć.

Wkłada długi zielony obszyty futerkiem płaszcz z zapinkami w kształcie żabek.

– Gdzie ta dziewczyna?

– W stajni – odpowiadam. – Zaprowadzę...

Vivi potrząsa głową.

– Nie ma mowy. Musisz wyskoczyć z tych ciuchów. Włóż normalną suknię i idź na kolację, i pilnuj się, żeby zachowywać się zupełnie normalnie. Jakby ktoś cię pytał, to mów, że przez cały czas byłaś w swoim pokoju.

– Ale nikt mnie nie widział!

Vivi spogląda na mnie z ukosa.

– Na pewno nikt? Pewna jesteś?

Przychodzi mi na myśl Cardan, który zajechał akurat w tym momencie, kiedy uciekałyśmy, i strażnicy, których okłamałam.

– Myślę, że nikt – poprawiam się. – Może ktoś widział, ale chyba nikt nie zauważył.

Bo gdyby Cardan mnie spostrzegł, na pewno nie pozwoliłby mi uciec. Na pewno nie zmarnowałyby szansy, by zyskać nade mną aż taką przewagę.

– No właśnie, tak myślałam – mówi Vivi, grożąc mi długim palcem. – To jest cholernie niebezpieczne, Jude.

– Idę – mówię posłusznie. – Dziewczyna ma na imię Sophie i odchodzi od zmysłów...

Vivi znowu parska.

– Nie dziwię się.

– Wiesz co, ja myślę, że ona z tobą nie pójdzie. Wyglądasz jak oni.

Ale tak naprawdę chyba najbardziej się boję tego, że to mnie zawiodą nerwy. Adrenalina ustępuje, za to coraz bardziej do mnie dociera, jakiego szaleństwa się dopuściłam. Biorąc jednak pod uwagę to, jak podejrzliwie Sophie odnosiła się do mnie, jestem przekonana, że kocie oczy Vivi mogą doprowadzić nieszczęsną do kompletnego szaleństwa.

– Bo wiesz, w końcu jesteś jedną z nich.

– Musisz mi o tym przypominać? – pyta Vivi.

– Słuchaj, to naprawdę nie ma sensu – mówię. – Idę z tobą. Nie ma czasu, żeby się spierać.

– Dobra, w takim razie chodźmy. – Tuż przy drzwiach Vivi łapie mnie za ramię. – Ale wiesz, że naszej matki nie uratujesz. Ona już nie żyje.

Czuję się, jakby mnie strzeliła w pysk.

– To nie...

– Na pewno nie? – przerywa mi. – Nie o to ci właśnie chodzi? Bo coś mi się wydaje, że ta twoja Sophie ma jednak coś wspólnego z mamą. Czy na pewno się mylę?

– Chcę po prostu pomóc biednej, oszalałej dziewczynie – odpowiadam i wrywam się jej. – Chcę pomóc Sophie, nikomu innemu.

Księżyc świeci wysoko na niebie, srebrząc liście swoją poświatą. Vivi pośpiesznie zbiera krwawniki.

– Gotowe. Chodźmy po tę twoją Sophie.

Szczęśliwie jest tam, gdzie ją zostawiłam – siedzi skulona na słomie, kołysze się, cichutko mówi coś do siebie. Dobrze przynajmniej, że nie zwała, że nie musimy szukać jej po lesie, nie mówiąc już o tym, że ktoś od Balekina mógłby ją wytropić i zabrać z powrotem.

– W porządku – mówię, siłąc się na pogodny ton. – Jesteśmy gotowe.

– Tak – mówi i wstaje. Ma ślady łez na twarzy, ale już nie płacze. Nadal jednak wygląda, jakby była w szoku.

– Wszystko będzie dobrze – mówię znowu. Nie odpowiada. W milczeniu idziemy za stajnie, gdzie Vivi już czeka wraz z dwoma grubokościstymi kucykami o zielonych ślepiach i koronkowych grzywach.

Sophie patrzy na nie, potem na Vivi. Cofa się, kręci głową. Chcę do niej podejść, ale ode mnie też się odsuwa.

– Nie, nie, nie – jęczy. – Proszę, nie. Nie chcę więcej. Nie.

– To jeszcze tylko troszeczkę magii. – Vivi próbuje przemówić jej do rozsądku, tylko że mówi to ktoś, kto ma spiczaste uszy i oczy świecące w ciemnościach złotym blaskiem. – Tylko troszeczkę, a potem już nigdy w życiu nie będziesz miała nic wspólnego z magią. Wrócisz do śmiertelnego świata, do dziennego, normalnego świata. Inaczej jednak tam się nie dostaniesz. Musimy polecieć.

– Nie – mówi Sophie łamiącym się głosem.

– Może przejdźmy się do brzegu – proponuję. – Stamtąd widać miasto,

może nawet jakieś łódzie. Poczujesz się pewniej, jak zobaczysz cel przed sobą.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – przypomina mi Vivi, rzucając znaczące spojrzenie.

– Przecież to blisko.

Nie wiem, co innego mogłybyśmy zrobić. Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to walnąć ją w głowę i pozbawić przytomności, albo poprosić Vivi, żeby ją zaczarowała. Oba rozwiązania są zbyt straszne.

Idziemy więc przez las, za nami stukają kopytami krwawnikowe koniki. Sophie już się nie opiera. Chyba to, że idziemy, uspokaja ją. Po drodze zbiera kamienie, gładkie kamienie, które ociera z pyłu i wsadza do kieszeni.

– Czy pamiętasz coś ze swojego życia? – pytam.

Kiwa głową, przez chwilę nic nie mówi, ale potem odwraca się do mnie. Śmieje się dziwnie, chrapliwie.

– Zawsze chciałam, żeby czary istniały – odpowiada. – Czy to nie śmieszne? Chciałam, żeby istniał Święty Mikołaj i wróżka Dzwoneczek, i krasnoludki.

– Wiem – odpowiadam. Naprawdę wiem. Przez te wszystkie lata marzyłam o wielu różnych rzeczach, ale pierwsze i najserdeczniejsze moje pragnienie było takie, żeby to wszystko okazało się nieprawdą.

Na skraju urwiska Vivi dosiada konika, sadza Sophie przed sobą. Wskakuję na grzbiet drugiego. Widzę, jak Sophie niepewnie patrzy za siebie, w las, a potem na mnie. Chyba już się nie boi. Wygląda, jakby wreszcie do niej dotarło, że najgorsze ma za sobą.

– Trzymaj się mocno – mówi Vivi, po czym jej wierzchołek wzbija się z klifu w powietrze. Mój za nim. Jak zwykle ogarnia mnie dzika radość z lotu, mimo woli się uśmiecham. Pod nami grzywy fal, przed nami lśniąca światła wielkiego miasta niczym tajemniczego lądu usianego gwiazdami. Spoglądam na Sophie, chcę podnieść ją na duchu spojrzeniem. W następnej chwili, akurat kiedy na nią spoglądam, przechyla się na bok, puszcza grzywę kucyka, zsuwa się i leci w dół. Vivi próbuje ją złapać, ale za późno. Sophie jak kamień spada przez noc na spotkanie lustrzanej morskiej czerni. Kiedy uderza o powierzchnię, słychać tylko nikły plusk.

Nie mogę wykrztusić ani słowa. Świat wokół jakby zwolnił tempo. Myślę o splekanych ustach Sophie, o tym, co mówiła: *Proszę. Powiedz, że to nieprawda. Chyba nie będę mogła żyć, jeżeli coś z tego rzeczywiście się*

wydarzyło.

Myślę o kamieniach, którymi zapełniała sobie kieszenie.

Nie słuchałam jej. Nie chciałam jej usłyszeć, chciałam tylko ją uratować.

A teraz przeze mnie nie żyje.

ROZDZIAŁ 18



Budzę się. Jestem nieprzytomna. Płakałam tak długo, aż zasnęłam ze zmęczenia. Oczy mam przekrwione i spuchnięte, głowa mi pęka. Ta noc wryła mi się w pamięć jak gorączkowy, potworny koszmar. Sama nie mogę uwierzyć, że zakradłam się do domostwa Balekina i ukradłam jedną z jego służących. Jeszcze mniej wiarygodne, że wołała się zabić niż żyć ze wspomnieniami o Krainie Elfów. Piję napar z kopru włoskiego i ubieram się w kaftan. W drzwiach staje Gnarbon.

– Za pozwoleniem – mówi i kłania się. – Jude musi natychmiast iść...

Strzępka macha na niego ręką.

– W tej chwili nie może się z nikim zobaczyć. Pójdzie, kiedy ją ubiorę.

– Księżę Dain czeka na nią w gabinecie jaśnie pana Madoka. Kazał ją przyprowadzić, nieważne, czy jest ubrana, czy nie. Kazał ją zanieść, jak będzie trzeba.

Gnarbon mówi to z niejakim ubolewaniem, ale nie ma żadnej wątpliwości, że rozkazy księcia krwi liczą się dla niego bardziej niż fochy Strzępki albo

moje.

Zimny strach ściska mnie w żołądku. Jak mogłam przypuszczać, że Dain się o tym nie dowie? Ma szpiegów, a ściany mają uszy. Ocieram spocone dłonie o aksamitny kaftan. Mimo jego rozkazów najpierw wciągam spodnie i buty, dopiero potem ruszam. Chwilę może przecież poczekać. I tak jestem zbyt łatwym celem, chcę zachować chociaż tę odrobinę godności.

Książę Dain stoi przy oknie, za biurkiem Madoka, plecami do mnie. Odruchowo spoglądam na wiszący u jego pasa miecz, widoczny pod ciężką wełnianą peleryną. Nie odwraca się, kiedy wchodzę.

– Postąpiłam źle – mówię. Jak na razie jestem zadowolona, że na mnie nie patrzy. Łatwiej mi wtedy mówić. – Przyjmę każdą pokutę, jaką...

Odwraca się gwałtownie, na jego twarzy maluje się wściekłość. Nagle widzę, jaki jest podobny do Cardana. Wali pięścią w biurko Madoka, aż wszystko podskakuje.

– Czy nie przyjąłem cię na służbę i nie obdarowałem godnie? Czy nie obiecałem ci miejsca na moim dworze? A ty... A ty posługujesz się tym, czego cię nauczyłem, aby zniweczyć moje plany.

Wbijam wzrok w podłogę. Może zrobić ze mną wszystko. Cokolwiek. Nawet Madok nie zdołałby go powstrzymać – sędzę zresztą, że nawet by nie próbował. Winna jestem nieposłuszeństwa, mało tego, dopuściłam się zdrady, oddając się w służbę czegoś zupełnie odrębnego, innego. Usiłowałam pomóc śmiertelnicy. Sama zachowałam się jak śmiertelniczka.

Przygryzam dolną wargę, powstrzymuję się, by nie błagać go o wybaczenie. Jedno słowo może mnie zgubić, pozostaje mi tylko milczeć.

– Ten chłopak jest poważnie ranny, a gdybyś miała odpowiedni nóż – po prostu dłuższy – rana byłaby śmiertelna. Nie myśl, że tego nie wiem, taki był twój zamiar.

Patrzę na niego zaskoczona, nie udaje mi się skryć zdumienia. Spoglądamy więc na siebie przez kilka wlokących się w nieskończoność chwil. Ja wpatruję się w srebrzystą szarość jego oczu, dostrzegam, jak jego brwi marszczą się, tworząc głębokie, gniewne linie. Zauważam to wszystko, żeby nie myśleć, jak omal nie przyznałam się do zbrodni dużo poważniejszej od tej, którą odkrył.

– I cóż? – pyta książę. – Nie masz przygotowanej odpowiedzi, na wypadek gdyby ktoś się dowiedział?

– Próbował mnie zaczarować, żebyśmy wyskoczyła przez okno wieży,

a potem udusić – mówię.

– Aha, czyli teraz już wie, że nie można cię z czarować. Coraz gorzej. – Obchodzi biurko, zbliża się. – Jude Duarte, przysięgłaś mi wierność i posłuszeństwo. Uderzysz tylko wtedy, kiedy ja ci każę uderzyć. Gdy nie masz rozkazu, wstrzymaj swoją dłoń. Rozumiesz to?

– Nie – odpowiadam odruchowo. Przecież żąda ode mnie rzeczy niemożliwej. – Miałam pozwolić, żeby mnie zabił?

Gdyby Dain wiedział o wszystkim, co zrobiłam, byłby jeszcze bardziej rozgniewany.

Książę rzuca sztylet na biurko Madoka.

– Weź go – mówi.

Czuję działanie rzuconego czaru. Moja dłoń sama wędruje, palce zaciskają się na rękojeści. Ogarnia mnie jakby mgła. Wiem, co robię, i zarazem nie wiem.

– Za chwilę poproszę cię, żebyś przebiła ostrzem swoją dłoń. Kiedy cię o to poproszę, masz pamiętać, gdzie są kości i żyły. Chcę, żebyś przebiła dłoń, czyniąc możliwie jak najmniej szkody.

Jego głos jest hipnotyzujący, wręcz kojący, ale moje serce i tak wali jak oszalałe.

Wbrew woli przykładam ostrą klingę do dłoni. Naciskam lekko, jestem gotowa.

Nienawidzę go, ale jestem gotowa. Nienawidzę jego i siebie.

– Teraz – mówi i działanie czaru nagle ustępuje. Cofam się o pół kroku.

Znów panuję nad sobą, ale nadal trzymam nóż. O mało nie zmusił mnie, żebym...

– Nie zawieź mnie – mówi książę Dain.

Natychmiast zdaję sobie sprawę, że wcale mi nie odpuścił. Nie po to mnie uwolnił, żeby mnie oszczędzić. Mógłby znów rzucić czar, ale nie robi tego, bo chce, żebym zraniła się z własnej woli. Chce, żebym dała dowód swojego oddania, przelała krew i przebiła ciało. Waham się. Jasne, że się waham. Przecież to absurd. Coś okropnego. Nie w taki sposób okazuje się lojalność. To jakaś cholerna, pieprzona bzdura.

– Jude – ponagla mnie. Nie jestem w stanie określić, czy to jest test, który powinnam zdać – czy nie. Myślę o Sophie na dnie morza i jej kieszeniach pełnych kamieni. Myślę o satysfakcji malującej się na twarzy Valeriana, kiedy kazał mi wyskoczyć przez okno. Myślę o oczach Cardana, kiedy

gromił mnie za to, że nie składam mu hołdu.

Próbowałam ich przewyższyć i poniosłam klęskę.

Kim mogłabym się stać, gdybym przestała lękać się śmierci, bólu i wszystkiego innego? Gdybym nie usiłowała za wszelką cenę znaleźć swojego miejsca?

Zamiast się bać, mogłabym stać się kimś, kogo inni by się bali.

Patrzę na niego i wbijam nóż w dłoń. Ból jest falą, która wznosi się i narasta, lecz nie opada. Wydaję cichy gardłowy odgłos. Może i nie zasługują na karę – nie za to. Ale za coś innego owszem.

Wyraz twarzy Daina jest dziwny, pusty. Cofa się, jakbym zrobiła coś wstrząsającego, a nie po prostu spełniła jego rozkaz. Kaszle nerwowo.

– Nie zdradzaj swojej zručności w posługiwaniu się żelazem. Nie zdradzaj swojego panowania nad czarem – mówi. – Nie zdradzaj wszystkiego, do czego jesteś zdolna. Gdy inni sądzą, że jesteś bezsilna, twoja przewaga rośnie. Tego mi od ciebie potrzeba: ukrytej mocy.

– Tak – mówię przez zaciśnięte zęby, wyszarpuję nóż. Krew zalewa biurko Madoka, jest jej więcej, niż oczekiwałam. Trochę kręci mi się w głowie.

– Wytrzymaj to – rozkazuje Dain. Zaciska szczękę. Jeśli jakoś go zaskoczyłam, to już minęło, pojawiło się coś innego.

Nie ma czym wytrzeć blatu, więc wycieram go rękawem kaftana.

– A teraz podaj mi rękę.

Z pewnym ociąganiem wyciągam dłoń, a on delikatnie ją ujmuje i owija wyjętym z kieszeni kawałkiem zielonej tkaniny. Próbuję zgnać palce i omal nie mdleję. Tkanina już ciemnieje.

– Kiedy odejdę, idź do kuchni i przyłóż mchu do rany.

Kiwam głową. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym przetworzyć moje myśli w słowa. Obawiam się, że nie wytrzymam dłużej, ściskam kolana, wlepiam wzrok w zagłębienie na blacie biurka, gdzie wbił się czubek ostrza, patrzę na resztki jaskrawej, lecz już czerniejącej czerwieni.

Drzwi gabinetu nagle się otwierają, zaskakując nas oboje. Księżę wypuszcza moją dłoń, chowam ją do kieszeni, co jest tak upiornie bolesne, że ciemno mi się robi przed oczami. W drzwiach stoi Oriana. Trzyma drewnianą tacę, na której stoją parujący dzbanek i trzy gliniane kubeczki. Ubrana jest w dzienną suknię w jaskrawym kolorze niedojrzałych persymon.

– Wasza wysokość, księżę Dainie – odzywa się, dwornie dygając. – Służba doniosła mi, że przebywasz tutaj w towarzystwie Jude, zrazu odrzekłam, że

zapewne się mylą. Doprawdy, gdy koronacja tak bliska, czas waszej wysokości jest zbyt cenny, by tyle go tracić dla głupiej dziewczyny. Czynisz jej wielki zaszczyt, panie, lecz zdaje mi się, że twoja łaskawość jest dla niej zbyt wielkim brzemieniem.

– Zapewne – mówi. Uśmiecha się do niej, zaciskając zęby. – Zabawiłem tu zbyt długo.

– Lecz proszę, zechciej napić się herbaty przed odejściem – mówi Oriana i stawia tacę na biurku Madoka. – Napijmy się i porozmawiajmy. Jeśli Jude w jakiś sposób uchybiła waszej wysokości...

– Proszę o wybaczenie – przerywa jej niezbyt uprzejmie. – Istotnie, obowiązki wzywają, więc na mnie już czas.

Wychodzi, niemal potrącając stojącą jak słup Oriane, w drzwiach jeszcze raz spogląda na mnie. Nadal nie mam pojęcia, czy pomyślnie przeszłam tę próbę. Tak czy inaczej, nie ufa mi już tak jak kiedyś. Zawiodłam go i zaprzepąściłam swoją szansę.

Ja także już tak bardzo mu nie ufam.

– Dziękuję – mówię do Oriany. Czuję, że drzę na całym ciele.

Choć raz mnie nie beszta. W ogóle nie mówi nic. Czuję jej dłonie na moich ramionach, tulę się do niej. Czuję zapach kruszonej werbeny. Zamykam oczy, upajam się nim. Potrzeba mi wszelkiego ukojenia, jakie mogę dostać. Jakiegokolwiek.



Nawet nie myślę o tym, żeby iść na lekcje. Trzęsę się, idę prosto do swojego pokoju i do łóżka. Strzępka lekko gładzi mnie po włosach jak śpiącego kota, a potem na nowo zajmuję się porządkowaniem moich strojów. Nowa suknia powinna zostać przysłana jeszcze dzisiaj, w końcu koronacja już jutro. Gdy Dain przybierze miano Najwyższego Króla, ucztę i biesiadę trwać będą przez cały miesiąc, dopóki księżyc nie skurczy się, a potem znów nie spuchnie.

Dłoń boli tak, że nie jestem w stanie przyłożyć do niej mchu. Przyciskam ją tylko do piersi.

Pulsujący ból jak drugie, urywane bicie serca. Nie jestem w stanie robić

nic innego, mogę tylko leżeć i czekać, aż zelżeje. W głowie mam mętlik.

Tymczasem na Najwyższy Dwór przybywają właśnie z dalekich krain władcy i władczynie, aby wkrótce złożyć hołd nowemu Najwyższemu Królowi. Dwory nocy i dwory światłości, wolne dwory i dzikie dwory. Lennicy Najwyższego Króla oraz dwory, z którymi tylko zawarto układy, choćby nawet niepewne. Nawet dwór Orlagh, królowej Toni, będzie obecny. Wielu z nich złoży przysięgę, iż wiernie przestrzegać będą rozkazów króla w zamian za jego mądrość i opiekę. Przysięgną go bronić i mścić, jeśli zajdzie taka potrzeba. A potem okażą swój szacunek, bawiąc się do upadłego.

Ode mnie oczekiwać się będzie tego samego, nieustannego udziału w przyjęciach. Przez cały miesiąc przyjęć, tańców i świętowania oraz picia na umór tudzież zadawania zagadek i rozgrywania krwawych pojedynków.

W związku z tym wszystkie moje najlepsze suknie trzeba odkurzyć, wyprasować i odświeżyć. Strzępka zszywa naddarte mankiety wyszywane łuskami sosnowych szyszek, naprawia wytarte rękawy. Drobne rozdarcia pokrywa haftem w kształcie liści, owoców granatu, a w jednym przypadku – brykającego lisa. Uszyła dla mnie dziesiątki par skórzanych trzewików. W końcu oczekuje się ode mnie, iż tańczyć będę tak ogniście, że każdej nocy zniszczę jedną parę.

Przynajmniej będzie Loki, przynajmniej będę miała z kim tańczyć. Żeby zapomnieć o bólu dłoni, próbuję się skupić na wspomnieniu jego bursztynowych oczu.

Strzępka krząta się po komnacie, przymykam powieki i zapadam w dziwny, życiodajny sen. Kiedy się budzę, jest środek nocy, jestem strasznie spocona, ale czuję dziwny spokój. Łzy i lęk, i ból dokądś odeszły. W dłoni czuję tylko pulsujące odrętwienie.

Strzępki nie ma. Za to na moim łóżu siedzi Vivi.

– Przyszłam sprawdzić, czy dobrze się czujesz – mówi. – No i okazuje się, że nie.

Zmuszam się, żeby sięść, ale podpieram się tylko jedną ręką.

– Bardzo przepraszam, że cię o to prosiłam. Nie wolno mi było tego robić. Naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

– Jestem twoją starszą siostrą – odpowiada. – Nie musisz czuć się odpowiedzialna za decyzje, które samodzielnie podejmuję.

Po tym jak Sophie spadła do wody, Vivi i ja przez długie godziny szukałyśmy jej. Aż po świt nurkowałyśmy w lodowatym morzu, wołałyśmy

Sophie, próbowaliśmy znaleźć jakiś ślad. Na nic. Pływałyśmy w czarnej wodzie, wykrzykiwałyśmy jej imię, aż obie ochryplyśmy.

– A jednak – mówię.

– Żadne jednak – oburza się. – Tak samo chciałam pomóc. Chciałam po prostu pomóc tej dziewczynie.

– Szkoda, że się nie udało. – Słowa grzęzną mi w gardle.

Vivienne macha niedbale ręką, co mi przypomina, że choć jest moją siostrą, tak bardzo się różnimy, że to aż nie do pojęcia.

– Byłaś dzielna. Bądź z tego dumna. Nie każdy umie być dzielny. Ja nie zawsze taka jestem.

– O czym mówisz? Czy przypadkiem nie o tej historii z Heather? Że wciąż jej nie wyjaśniłaś, o co chodzi?

Pokazuje mi język, ale zaraz potem uśmiecha się, wyraźnie wdzięczna, że poruszam jakiś przyjemniejszy temat – chociaż nasze myśli przeszły od jednej śmiertelniczki, już martwej, do drugiej, która jest jej ukochaną.

– Wiesz? Kilka dni temu leżałyśmy ze sobą w łóżku – opowiada mi Vivi. – Wodziła palcem po moim uchu. Myślałam, że zada jakieś pytanie, a to da mi pretekst, żeby zacząć wyjaśnienia. Ale nie. Powiedziała tylko, że moje ucho ma piękny kształt. Wiedziałaś, że są tacy śmiertelnicy, którzy przycinają sobie uszy, a potem zszywają, więc kiedy się zagoją, są spiczaste, jak moje?

Nie wiedziałam, ale wcale mnie to nie dziwi. Całkiem dobrze rozumiem, że ktoś może chcieć mieć takie same uszy jak ona. Na przykład ja przez pół życia o takich marzyłam, najchętniej z tym delikatnym puszkiem na czubku.

Mogłabym jej powiedzieć, ale nie powiem – że nikt nie może dotknąć jej uszu i uwierzyć, że nie zostały stworzone przez samą naturę. Heather okłamuje Vivi. No, chyba że Heather okłamuje samą siebie.

– Nie chcę, żeby się mnie bała, rozumiesz? – dodaje Vivi.

Myślę o Sophie i jestem pewna, że Vivi także o niej myśli. O kieszeniach pełnych kamieni. O Sophie spoczywającej gdzieś na dnie morza. Niewykłuczone, że Vivi nie jest aż tak wszystko jedno, jak próbuje udawać.

Słyszę dochodzący z parteru głos Taryn:

– Już są, już są! Są nasze suknie! Chodźcie zobaczyć!

Vivi zeskakuje z mojego łóżka, uśmiecha się.

– Przynajmniej przeżyłyśmy razem przygodę. A teraz czeka nas następna!

Puszczam ją przodem, bo muszę zakryć zabandażowaną dłoń rękawiczką. Potem idę za Vivi po schodach. Ranę zakryłam dużym guzikiem odciętym od

płaszcz, żeby ją ochronić przed urazami. Mam nadzieję, że nikt nie zauważy tego dziwnego wybrzuszenia.

Suknie rozłożono na krzesłach i sofie w salonie Oriany. Madok cierpliwie wysłuchuje jej zachwyty, bo nasza macocha niemal śpiewa hymny, wychwalając doskonałość strojów. Przeznaczona dla niej suknia balowa ma dokładnie ten sam odcień co jej oczy, w cieniach przechodzący w czerwień, i wydaje się, że sporządzono ją z wielkich, zachodzących na siebie płatków róży. Tkanina sukni Taryn jest przepyszna, krój mantylki i gorsetu niezrównany. Obok leży uroczy kostiumik dla Dęba, są też kaftan i płaszcz dla Madoka w ulubionym przez niego odcieniu zakrzepłej krwi. Vivi przykłada do swojej smukłej sylwetki srebrzystoszarą suknię o strzępiastych wyłogach.

Po przeciwnej stronie komnaty leży suknia dla mnie. Taryn aż się zachłystuje, kiedy ją podnoszę.

– Przecież nie taką zamawiałaś – mówi oskarżycielskim tonem, jakbym osobiście sprawiła jej przykrość. To prawda, że suknia trzymana przeze mnie nie przypomina w niczym tej, którą naszkicowała dla mnie Brambleweft. Jest zupełnie inna i trochę przywodzi mi na myśl te zdumiewające, szalone stroje z szafy po mamie Lokiego. Suknia balowa koloru przechodzącego od prawie bieli przy szyi, przez blady błękit, aż po głębię indygo przy stopach. Na tym tle sylwetki drzew, tak jak je widzę ze swojego okna, gdy zapada zmierzch. Krawczyni naszyła nawet kryształowe koraliki przedstawiające gwiazdy.

Nigdy sama bym takiej sukni nie wymyśliła, jest po prostu doskonała, do tego stopnia, że patrząc na nią, przez chwilę nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o tym, jaka jest piękna.

– Chyba... Chyba to nie moja – mówię. – Taryn ma rację, zupełnie nie przypomina tamtego szkicu.

– Ale i tak jest ładna – mówi Oriana pocieszającym tonem, tak jakby trzeba było mnie pocieszać. – I miała kartkę z Twoim imieniem.

Bardzo się cieszę, że nikt nie chce, żebym ją zwróciła. Nie wiem, dlaczego dostałam taki strój, ale jeśli tylko uda mi się w tę suknię wcisnąć, zamierzam mieć ją na sobie podczas koronacji.

Madok unosi brwi.

– Wszyscy będziemy pięknie się prezentować.

Kiedy przechodzi obok mnie, mierzwi moje włosy. W takich chwilach niemal zapominam, że dzieli nas wszystkich rzeka przelanej krwi.

Oriana klaszcze w dłonie.

– Dziewczęta, pozwólcie tu na chwilę. Zbliźcie się, proszę.

Siadamy więc wszystkie trzy obok niej na kanapie. Czekamy, zaciekawione.

– Jutro przebywać będziecie pośród szlachetnie urodzonych z wielu różnych dworów. Jesteście pod opieką Madoka, lecz większość przybyłych elfów nie będzie o tym wiedzieć. Nie wolno wam tedy dać się złapać na lep fałszywych układów i składać obietnic, które mogą zostać użyte przeciwko wam. Ponad wszystko zaś nie wolno wam nikogo urazić, bo mogłoby to stać się pretekstem do nadużycia gościnności. Bądźcie rozsądne, nie oddajcie się nikomu we władanie.

– My zawsze jesteśmy rozsądne – oświadcza Taryn, co jest kłamstwem w żywe oczy.

Oriana przybiera zboląły wyraz twarzy.

– Trzymałabym was z dala od biesiad, lecz Madok wyraźnie zażyczył sobie, żebyście brały w nich udział. Weźcie więc sobie do serca moje rady. Bądźcie ostrożne, a może uda wam się przypodobać lepszym od was.

Mogłam się tego spodziewać – znowu przestrogi, kolejne kazania. Cóż, skoro nie ufa, że potrafimy się zachować podczas zwykłego przyjęcia, co dopiero mówić o koronacji. Zostajemy wreszcie odprawione. Wstajemy, a na pożegnanie Oriana jeszcze muska chłodnymi wargami policzek każdej z nas. Mój pocałunek jest ostatni.

– Nie próbuj sięgać ponad swój stan – mówi do mnie półgłosem.

Przez chwilę nie rozumiem, dlaczego to mówi, a potem ogarnia mnie zgroza – nagle zrozumiałam. Po tym co widziała, myśli, że jestem kochanką księcia Daina.

– Nic podobnego nie robię – odparowuję.

Co prawda Cardan z pewnością stwierdziłby, że jakiegokolwiek aspiracje są ponad mój stan.

Oriana bierze mnie za rękę, a na jej obliczu maluje się współczucie.

– Ja tylko mam na względzie twoją przyszłość – mówi z prawdziwą troską w głosie. – Ci, którzy są zbyt blisko tronu, rzadko bliscy są komukolwiek innemu. A śmiertelniczka w takiej sytuacji będzie miała jeszcze mniej sprzymierzeńców.

Kiwam głową, jakbym z wdzięcznością przyjmowała jej mądrą radę. Skoro mi nie wierzy, to najprościej jest jej zwyczajnie przytakiwać. Zresztą

takie wyjaśnienie wizyty królewicza wydaje się bardziej prawdopodobne, niż gdyby jakimś cudem się dowiedziała prawdy – że jestem wybranką Daina jedynie pod tym względem, iż łaskawie przyjął mnie do doborowego grona swoich złodziei oraz szpiegów.

Coś sprawia, że nagle ujmuje mnie za obie ręce. Mimo woli krzywię się, bo dotyka rany.

– Zanim zostałam żoną Madoka, byłam jedną z nałożnic króla Elfhame. Zapewniam cię, Jude, niełatwo jest być kochanką Najwyższego Króla. Oznacza to nieustanne niebezpieczeństwo. I to, że zawsze jesteś pionkiem w grze.

Chyba gapię się na nią z rozdziawionymi ustami. Nigdy wcześniej się nie zastanawiałam, jak wyglądało jej życie, nim u nas zamieszkała. Niespodziewanie obawy Oriany zaczynają mieć sens – przywykła do gry według zupełnie innych reguł. Tak jakby podłoga zachwiała mi się pod nogami: oto stoję przed kobietą, której nie znam, o której nie wiem, ile wycierpiała, nim zamieszkała w tym domu, i właściwie nie mam pojęcia, jak to się stało, że wyszła za Madoka. Kochała go czy to było małżeństwo z rozsądku, aby zyskać jego opiekę?

– Nie wiedziałam – wygłaszam głupi komentarz.

– Nie dałam nigdy Eldredowi dziecka – ciągnie Oriana. – Lecz inna z jego kobiet zaszła w ciążę. Kiedy umarła, dały się słyszeć pogłoski, że któryś z królewiczów ją otruił, chcąc pozbyć się konkurenta do tronu. Wiem, że Oriana mówi o Liriope. – Nie musisz mi wierzyć. Krąży wiele plotek, nie mniej potwornych. Gdy wiele władzy skupia się w jednym ośrodku, jest też wiele ochłapów, o które niejeden chce walczyć. Na takich dworach rządzą trucizna i zółć. Ty się do tego nie nadajesz.

– Dlaczego tak przypuszczasz? – pytam, bo jej słowa niepokojąco przypominają mi stwierdzenie Madoka, że kariera rycerska nie byłaby dla mnie odpowiednia. – Może właśnie bym się w takiej grze odnalazła?

Jej palce znów gładzą moją twarz, odgarniają włosy. Mogłoby się zdawać, że to czuły gest, ale nie, robi to, żeby mi się przyjrzeć.

– Musiał bardzo kochać swoją matkę – mówi Oriana. – Szaleje na waszym punkcie. Ja na jego miejscu już dawno bym was odesłała.

W to akurat nie wątpię.

– Jeśli pomimo mojego ostrzeżenia będziesz się zadawać z księciem Dainem i jeśli miałabyś nosić w swoim łonie jego spadkobiercę, powiedz

o tym mnie pierwszej. Przysięgnij mi to na grób twojej matki. – Czuję jej paznokcie na karku. – Mnie. Czy zrozumiałaś?

– Obiecuję. – Tej akurat przysięgi bez trudu dotrzymam. Próbuję nadać swoim słowom powagę, żeby mi uwierzyła. – Naprawdę. Obiecuję.

Wypuszcza mnie.

– Możesz odejść. Wypoczywaj, Jude. Kiedy wstaniesz, udamy się na koronację, a potem niewiele będzie już czasu na odpoczynek.

Dygam i wycofuję się.

Taryn czeka na mnie w sieni. Siedzi na ławie rzeźbionej w splecione węże i macha nogami. Gdy drzwi się zamykają, spogląda na mnie.

– Co ją ugryzło?

Kręcę głową, próbując uporządkować całą masę różnych odczuć.

– Wiedziałaś, że kiedyś była nałożnicą Najwyższego Króla?

Taryn aż parska z zachwyty.

– Nie. Właśnie to ci powiedziała?

– Mniej więcej.

Myślę o matce Lokiego i ptaszku uwięzionym w złotym żołędziu, o Eldredzie na tronie i jego głowie dźwigającej brzemień własnej korony. Trudno mi go sobie wyobrazić z kochanką, a przecież musiał mieć ich wiele, dochował się przecież tak licznego potomstwa, co jest rzeczą niezwykłą w Krainie Elfów. Kto wie, może brak mi wyobraźni i tyle.

Taryn sprawia wrażenie, jakby i jej trudno było w to uwierzyć.

– Hmm. – A potem nagle sobie przypomina, że chciała mnie o coś spytać:
– Czy wiesz, po co tu był książę Balekin?

– Tutaj? – Nie jestem pewna, czy mam ochotę na więcej niespodzianek tego dnia. – Tutaj? U nas w domu?

Taryn przytakuje.

– Przyjechał z Madokiem, a potem zamknęli się w jego gabinecie na długie godziny.

Chciałabym wiedzieć, jak długo to było po odejściu księcia Daina. Mam nadzieję, że dość, aby Dain nie usłyszał, że znikła jakaś służąca. Gdy tylko poruszę dłonią, czuję ból, ale przynajmniej jestem w stanie nią poruszać. Na więcej kar chwilowo nie jestem przygotowana.

Zresztą Madok nie był na mnie zagniewany; kiedy oglądałyśmy suknię, zachowywał się normalnie, był nawet w dobrym humorze.

Może jednak rozmawiali o czymś innym.

– Dziwne – mówię, ale ponieważ kazano mi milczeć, nie mogę opowiedzieć Taryn, że jestem szpiegiem, a o Sophie nie jestem w stanie mówić.

Dobrze, że zbliża się koronacja. Niech już się zacznie i przyćmi wszystko inne.



Tej nocy przysypiam na łóżku w ubraniu, czekam na Ducha. Przez dwie noce z rzędu opuściłam jego lekcje – najpierw byłam na przyjęciu u Lokiego, a potem szukałam Sophie w głębinach. Będzie niezadowolony.

Staram się o tym nie myśleć, skupić się za to na wypoczynku. Wdech, wydech.

Kiedy przybyłam do Elysium, miałam kłopoty z zasypianiem. Wydawałoby się normalne, gdybym miała koszmary, ale nie, zbyt wielu sobie nie przypominam. Moje sny nie były po prostu w stanie dorównać horrorowi przeżywanemu w prawdziwym życiu. Raczej nie mogłam się uspokoić na tyle, żeby móc zasnąć. Wierciłam się i przewracałam z boku na bok przez całą noc i rano, serce mi waliło jak oszalałe, aż wreszcie po południu zapadałam w płytki sen – akurat wtedy, kiedy reszta Krainy Elfów ze snu się budziła. Snułam się po korytarzach zamku jak niespokojny upiór, przeglądałam prastare księgi, przestawiałam pionki na planszy do gry w lisa i gęś, schodziłam do kuchni po kawałek sera, gapiałam się na krwawy kaptur Madoka, jakbym w nim miała znaleźć odpowiedzi na wszystkie zagadki wszechświata. Jedna z goblinek, która pracowała wtedy u nas, Nela Uter, odnajdywała mnie po jakimś czasie i prowadziła do sypialni. Kiedyś mi powiedziała, że skoro nie mogę zasnąć, trzeba po prostu zamknąć oczy i leżeć bez ruchu. Dzięki temu przynajmniej ciało odpocznie, nawet jeśli umysł tego dokonać nie zdoła.

Leżę więc tak, nagle słyszę szelest na balkonie. Odwracam się, myśląc, że ujrzę Ducha. Już mam zacząć się z niego nabijać, że dał mi się usłyszeć, kiedy dociera do mnie, że to wcale nie Duch. To Valerian. W ręce ma długi zakrzywiony nóż, na twarzy równie krzywy i ostry uśmiech.

– Co... – Siadam gwałtownie. – Co ty tu robisz?

Nie wiem, dlaczego pytam go szeptem, tak jakbym to ja miała się obawiać, że on zostanie przyłapany.

Dain powiedział, że jestem na jego służbie, wolno mi uderzyć tylko wtedy, gdy on każe. W przeciwnym razie mam wstrzymać swoją dłoń. Dłoń.

Dobrze, że pod tym względem jego czar mnie nie powstrzymuje.

– A bo co? – pyta Valerian i zbliża się do mnie. Pachnie likworem sosnowym, palonym włosiem, na jego policzku widać ślad złotego proszku. Nie mam pojęcia, gdzie był przedtem, ale trzeźwy raczej nie jest.

– To jest mój dom.

Jestem przygotowana do treningu z Duchem. Mam nóż w cholewie, drugi u boku. Otrzymałam jednak od księcia Daina wyraźny rozkaz i nie chcę go znowu zawieść, więc nie sięgam po broń. Prawdę mówiąc, zupełnie zgłupiałam, nigdy bym nie przypuszczała, że Valerian wtargnie do mojego pokoju.

Podchodzi do łóżka. Nóż trzyma nieźle, chociaż widać, że zbyt wielkiej wprawy to on nie ma. Nie jest synem wojownika.

– Nigdzie tu nie ma twojego domu – mówi głosem drżącym od gniewu.

– Jeżeli Cardan cię na to namówił, to lepiej się zastanów. Pomyśl, w co cię wrabia – odzywam się wreszcie. Zaczynam się bać, ale jednocześnie jakimś cudem mój głos ani trochę nie drży. – Wystarczy, że krzyknę. W sieni są strażnicy, którzy mają duże i ostre miecze. Naprawdę duże. Zginiesz przez swojego kumpla.

Gdy inni sądzą, że jesteś bezsilna, twoja przewaga rośnie.

Słyszy, ale moje słowa nie robią na nim wrażenia. W jego oczach widzę szaleństwo – są zaczerwienione, chyba nie skupia na mnie wzroku.

– A wiesz, co powiedział, kiedy mówiłem, że mnie dźgnęłaś? Powiedział, że na nic lepszego nie zasłużyłem.

Nie możliwe, Valerian musiał go źle zrozumieć. Cardan po prostu się z niego naśmiewał. Cóż, w końcu pokonała go dziewczyna, i to śmiertelna.

– No, a coś ty myślał? – odpowiadam, skrywając zaskoczenie. – Nie wiem, może tego jeszcze nie zauważyłeś, ale to jest kompletny dupek.

Jeśli przypadkiem Valerian dotąd miał wątpliwości, czy chce mnie zamordować, teraz już wie to na pewno. Skacze, wbija ostrze w materac tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżałam, ja zaś błyskawicznie się przetaczam i już stoję. Gęsie pióra wzbijają się, kiedy wyszarpuje klingę, wirują w powietrzu jak płatki śniegu. Valerian cofa się, odzyskuje równowagę, a ja wyciągam

nóż.

Nie zdradzaj swojej zręczności w posługiwaniu się żelazem. Nie zdradzaj swojego panowania nad czarem. Nie zdradzaj, do czego jesteś zdolna.

Księżę Dain nie zdaje sobie sprawy, że szczególna moja zdolność polega na wkurzaniu tych i owych.

Valerian znowu atakuje. Jest oślepiiony trunkiem i wściekłością, niespecjalnie dobrze wyszkolony, ale jest elfem, więc ma koci refleks, a poza tym przewagę daje mu wzrost – ma dłuższe ręce, więc lepszy zasięg. Serce bije mi mocno w piersi. Powinnam zawołać o pomoc. Powinnam wrzeszczeć.

Otwieram usta, a wtedy rzuca się na mnie. Zamiast krzyku wydobywa się głucho stęknienie, bo tracę równowagę. Uderzam ramieniem o podłogę, znów turlam się w bok. Jestem na tyle wytrenowana, że mimo zaskoczenia kopniakiem wytrącam mu nóż z ręki. Broń stuka o podłogę.

– No, już – mówię, próbując go uspokoić. – Już, wystarczy.

Nie zatrzymuje się. Chociaż trzymam w dłoni nóż, chociaż dwukrotnie uniknęłam jego ataku, chociaż go rozbroiłam i chociaż już raz wbiłam mu ostrze pod żebro, znowu sięga mi do gardła. Palce wpijają się w moją szyję i przypominam sobie, jak wpychał mi zgniły owoc w usta, miękki miąższ między wargami. Pamiętam, jak dusiłam się i krztusiłam słodkim nektarem w tym potwornym błogostanie zatrucia prajabłkiem i nawet nie przejmowałam się, że umieram. On chciał patrzeć na moją śmierć, przyglądać się, jak walczę o łyk powietrza – tak jak teraz. Patrzyłam wtedy w jego oczy i teraz widzę dokładnie ten sam wyraz.

Jesteś niczym. Właściwie to ciebie prawie nie ma. Istniejesz tylko po to, żeby przed bezsensowną i bolesną śmiercią stworzyć następne istoty swojego gatunku!

Myli się co do mnie. Już ja się postaram, by moje życie łątki liczyło się choć trochę.

Nie będę się bać ani jego, ani zakazów księcia Daina. Jeśli nie mogę być od nich lepsza, będę od nich dużo gorsza.

Choć jego palce zaciskają mi krtań, chociaż już ciemno mi się robi przed oczyma, wymierzam cios starannie i zadaję pchnięcie w jego pierś. W samo serce.

Valerian stacza się ze mnie, wydając dziwny bulgot. Oddycham głęboko. Usiłuje wstać, dźwiga się, pada. Spoglądam na niego, widzę wystającą z jego klatki piersiowej rękojeść mojego noża. Czerwień jego kaftana staje się

głębsza i wilgotna.

Sięga do rękojęści, jakby chciał wyciągnąć nóż.

– Nie rób tego – mówię odruchowo, bo w ten sposób tylko przyspieszyłby wpływ krwi. Rozglądam się gorączkowo, chwytam leżący na podłodze szlafroczek, żeby zatamować krwotok. Valerian przekręca się na bok, odwraca się ode mnie i choć już ledwo mnie widzi, na jego twarzy pojawia się szyderczy uśmiech.

– Słuchaj, muszę ci... – zaczynam.

– Przeklinam cię – słyszę szept Valeriana. – Przeklinam cię. Po trzykroć cię przeklinam. Tyś mnie zamordowała, więc niech twe dłonie zawsze będą splamione krwią. Niech śmierć będzie ci jedynym towarzyszem. Niech... – Nagle urywa, zanosi się kaszlem. Gdy atak się kończy, Valerian leży bez ruchu. Oczy ma na wpół przymknięte, lecz nie ma już w nich blasku. Moja ranna dłoń zakrywa usta wobec horroru tej klątwy, jakbym chciała powstrzymać krzyk – ale nie krzyczę. Nie krzyknęłam przez cały ten czas, więc tym bardziej nie będę krzyczeć teraz, kiedy już nie ma po co.

Minuty płyną, a ja tylko siedzę przy Valerianie i patrzę, jak jego twarz blednie, bo już nie napływa do niej krew, jak usta przybierają odcień zielonkawosiny. Jego śmierć nie bardzo się różni od śmierci śmiertelników, chociaż na pewno byłby oburzony, gdyby mu to powiedzieć. Gdyby nie ja, mógłby żyć tysiąc lat.

Przebita dłoń boli mnie wściekle, musiałam nią o coś uderzyć podczas walki.

Rozglądam się, w lustrze po przeciwnej stronie komnaty widzę swoje odbicie: dziewczyna o potarganych włosach i rozgorączkowanych oczach, u jej stóp kałuża krwi.

Wkrótce przyjdzie Duch. On będzie wiedział, co zrobić z trupem. Na pewno już zabijał. Tyle że księżę Dain już się na mnie gniewa, bo raniłam dziecię jego dworzanina. Zamordowanie tegoż dziecięcia w noc przed koronacją może nie przypaść nowemu władcy do gustu. A więc Dwór Cieni w żadnym wypadku nie może się o tym dowiedzieć.

A więc sama muszę schować zwłoki.

Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu pomysłu, ale najlepszy, jaki przychodzi mi do głowy, to żeby wepchnąć go, przynajmniej na razie, pod łóżko. Rozkładałam szlafrok obok ciała Valeriana, przetaczam trupa. Trochę mnie mdli, bo jest jeszcze ciepły. Mniejsza o to; wciągam go pod łóżko,

potem wpycham, najpierw rękami, potem nogami. Rzucam jakieś ciuchy.

Zostały smugi krwi. Przy łóżku stoi dzban z wodą, polewam nią deski podłogi, spryskuję też swoją twarz. Kiedy kończę wycierać, moja zdrowa ręka drży. Padam na podłogę, obie dłonie wsuwam we włosy.

Nie jest dobrze.

Nie jest dobrze.

Nie jest dobrze.

Kiedy jednak na balkonie pojawia się Duch, nie orientuje się, że coś jest nie tak – i o to właśnie chodzi.

ROZDZIAŁ 19



Tej nocy Duch pokazuje mi, którądy wspiąć się o wiele wyżej, niż kiedykolwiek byłam, znacznie ponad poziom podestu, na którym ongiś kryłyśmy się z Taryn. Wdrapujemy się aż do dźwigarów stropu wielkiej sali, siadamy okrakiem na potężnych belkach. Oplecione są korzeniami, ich treliáže czasem przybierają kształt klatek, czasem balkonów, niekiedy bardziej przypominają liny. W dole pod nami wrą przygotowania do koronacji. Służba rozwija błękitne obrusy wyszywane srebrem i złotem, na każdym z nich widnieje paradny herb rodu Kolcowojów – drzewo z kwiatami, cierniami, korzeniami.

– Myślisz, że kiedy księżę Dain zostanie królem, będzie lepiej? – pytam.

Uśmiecha się lekko i smutno kręci głową.

– Będzie tak jak zawsze – odpowiada. – Tylko bardziej.

Nie wiem, co to ma znaczyć, ale jest to na tyle elfowa odpowiedź, żeby się zorientować, iż więcej z niego nie wyciągnę. Myślę o zwłokach Valeriana pod moim łóżkiem. Elfowie nie rozkładają się tak jak śmiertelnicy. Niekiedy

ich ciała porastają pleśnią albo grzybami. Słyszałam opowieści o polach bitewnych, które przerodziły się w zielone łąki. Miałabym ochotę już wrócić i sprawdzić, czy przemienił się murawę, wątpię jednak, żebym miała aż tyle szczęścia.

Właściwie nie powinnam rozmyślać o jego trupie, bardziej powinnam myśleć o nim samym. Są rzeczy gorsze nawet od zostania przyłapaną.

Wędrujemy po belkach pośród korzeni, niewidziani przez nikogo, przeskakujemy w ciszy z belki na belkę ponad rojem odzianych w liberie służących. Spoglądam na Ducha, widzę jego spokojną twarz i to, jak za każdym razem nieomylnie stawia stopy. Próbuję go naśladować. Staram się przy tym oszczędzać ranioną dłoń, tą ręką tylko pomagam sobie w utrzymaniu równowagi. Chyba to zauważył, ale o nic nie pyta. Może już wie, co się zdarzyło.

– Teraz czekamy – mówi. Zatrzymujemy się na jednym z masywnych dźwigarów.

– Na coś szczególnego?

– Słyszałem, że z włości Balekina ma przybyć posłaniec przebrany w liberę najwyższego króla – odpowiada Duch. – Mamy go zabić, zanim dotrze do królewskiej części pałacu.

Mówi to beznamiętnie i rzeczowo. Ciekawe, od jak dawna pracuje dla Daina. Chciałabym też wiedzieć, czy Dain kazał mu kiedyś przebić dłoń nożem, czy wszyscy troje przeszli taki test, a może to takie specjalne wyzwanie dla śmiertelników?

– Czy ten niby posłaniec ma zabić księcia Daina? – pytam.

– Tego właśnie nie chcielibyśmy się dowiedzieć – brzmi odpowiedź.

Pode mną kształty z ukłóconego cukru zdobione są kryształowymi iglicami. Jabłka pomalowane proszkiem nevermore piętrzą się tak wielkimi stosami, że starczy ich, by pogrążyć wszystkie dwory w letargu.

Przypominają mi się ślady złota na ustach Cardana.

– Na pewno tędy będzie szedł?

– Tak – odpowiada Duch i więcej nic nie mówi.

Czekamy więc. Próbuję się nie wiercić, choć minuty przemieniają się w godziny. Wystarczy czasami nieznaczny ruch, byle nie zeszywniały mięśnie. To istotna część mojego wyszkolenia – Duch uważa tę część treningu za jedną z najważniejszych, zaraz po bezgłośnych podchodach. Po wielokroć powtarzał mi, że rzemiosło zabójcy i złodzieja polega głównie na

oczekiwaniu. Najtrudniejsze zaś jest to, żeby nie pozwolić umysłowi odpłynąć, zając się czym innym. Chyba ma rację, bo tu, w górze, gdy przyglądam się przypluwom i odpływom grupek służących, myśli moje wędrują to ku koronacji, to przypomina mi się Sophie i kamienie w jej kieszeniach, to Cardan zajeżdżający konno, gdy umykałam z Próżnego Dworu, to znów zamierający, śmiertelny uśmiezek Valeriana.

Raz po raz przywołuję myśli do terażniejszości. W którymś momencie widzę człapiące przez salę stworzenie obdarzone długim, wlokącym się po ziemi bezwłosym ogonem. Z początku wydaje mi się, że to ktoś ze służby kuchennej, jednak nie, torba, którą dźwiga, jest zbyt brudna i coś się nie zgadza, jeżeli chodzi o liberię. Nie ma też na sobie stroju służących Balekina, a jednak jego uniform w jakiś sposób różni się od tego, który nosi personel pałacu.

Zerkam na Ducha.

– Zgadza się – mówi. – Strzelaj.

Dłonie trochę mi się pocą, kiedy dobywam miniaturowej kuszy. Mierzę, opierając ją o ramię. Wychowałam się w rzeźnickim domu. Do tego mnie wyszkolono. Moim najważniejszym wspomnieniem z dzieciństwa jest podwójne morderstwo, bardzo krwawe. Już kogoś tej nocy zabiłam. A jednak przez chwilę mam wątpliwości, czy jestem w stanie to zrobić.

Nie jesteś zabójcą.

Na wydechu wypuszczam bełt. Czuję w ramieniu gwałtowne szarpnięcie. Stwór kuli się i pada, zwała przy tym piramidę złotych jabłek. Przypadam do belki, maskując się pośród płataniny korzeni, tak jak mnie nauczono. Służba podnosi krzyk, usiłując wypatrzeć zabójcę. Mnie.

Duch uśmiecha się kącikiem ust.

– To twój pierwszy? – pyta. A kiedy spoglądam na niego, nie rozumiejąc, uściśla: – Czy już kogoś zabiłaś?

Niech śmierć będzie ci jedynym towarzyszem.

Potrząsam głową, ale milczę, w tej chwili nie ufam sobie na tyle, żeby kłamać na głos.

– Niektórzy śmiertelnicy potem wymiotują. Albo płaczą – dodaje, wyraźnie zadowolony, że żadnej z tych słabości nie ulegam. – Zresztą to żaden wstyd.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, biorę głęboki wydech i zakładam nowy bełt.

A co czuję? Coś jakby nerwową, przesączoną adrenaliną gotowość. Tak jakbym przestąpiła jakiś próg. Przedtem nigdy nie wiedziałam, jak daleko jestem zdolna się posunąć. A teraz chyba już znam odpowiedź. Posunę się tak daleko, jak będzie trzeba. I dużo dalej.

Duch unosi brwi.

– Dobra w tym jesteś. Celny strzał i mocne nerwy.

Jestem zaskoczona. Duch nie jest skory do komplementów.

Ślubowałam, że stanę się gorsza od moich rywali. Dwukrotne morderstwo w ciągu jednej nocy to całkiem niezłe osiągnięcie, mogę być z siebie dumna. Madok nie mógł bardziej się co do mnie pomylić.

– Szlachetnie urodzonym najczęściej brak do tego cierpliwości – dodaje Duch. – Poza tym nie lubią brudzić sobie rączek.

Nie wiem, co mam powiedzieć, zwłaszcza wobec dopiero co rzuconej przez Valeriana klątwy. Może coś się we mnie załamało, bo widziałam na własne oczy krwawą śmierć swoich rodziców. Może moje porąbane życie ukształtowało mnie w jakiś porąbany sposób, tak że sama stałam się zdolna do krwawych jatek. Przy okazji zastanawiam się też, czy to może kwestia wychowania, w końcu dorosłam pod opieką Madoka, którego specjalnością jest przelewanie krwi. Jestem taka z powodu tego, co zrobił moim rodzicom, czy dlatego, że to on przez lata pełnił rolę mojego rodzica?

Niech twe dłonie zawsze będą splamione krwią.

Duch sięga i chwyta mnie za nadgarstek; zanim zdążę wyrwać rękę, pokazuje palcem blade półksiężycy u podstawy moich paznokci.

– Skoro już mówimy o rączkach, to po ich odbarwieniu zorientowałam się, co wyprawiasz. Ten niebieski odcień, poza tym czuć to w zapachu twojego potu. Trujesz się.

Przełykam ślinę, ale potem, ponieważ nie ma powodu, by zaprzeczać, kiwam głową.

– Po co?

Cenię w nim to, że skoro pyta, to nie po to, żeby prawić kazania. Po prostu chce wiedzieć.

Trochę nie wiem, jak mu to wyjaśnić.

– Wiesz, kiedy ktoś jest śmiertelnikiem, musi bardziej się starać.

Duch przygląda mi się uważnie.

– Nie powiem, obdarzono cię skarbami ponad miarę. Wielu zresztą śmiertelników pod wieloma względami przewyższa elfów. Przecież dlatego

kradniemy ich do naszego świata.

Mija moment, nim dociera do mnie, że to nie żart.

– To znaczy, że mogłabym być...

Nie mogę się zdobyć, żeby dokończyć zdanie.

Parska cicho.

– Lepsza ode mnie? Czy ty nie przesadzasz?

– Nie, nie to chciałam powiedzieć – protestuję, ale on się tylko uśmiecha. Patrzą w dół. Trup wciąż tam leży. Zgromadziło się wokół niego kilku rycerzy. Gdy zabiorą ciało, my też się będziemy stąd zabierać. – Muszę tylko być w stanie pokonać swoich wrogów. Nic więcej.

Zaskoczony wyraz jego twarzy.

– A więc masz wielu wrogów?

Założę się, że w jego wyobrażeniu, skoro poruszam się wśród śmietanki elfów wysokiego rodu, chodzić może co najwyżej o drobne psikusy, dyskretnie wbijane szpile, małostkowe fochy.

– Nie, niewielu – odpowiadam, mając w pamięci rozleniwione, nienawistne spojrzenie, jakim wodził za mną Cardan w ogrodowym labiryncie przy świetle pochodni. – Niewielu, ale zapewniam cię, że godnych uwagi.

Gdy rycerze wynoszą ciało i nikt już nas nie wypatruje, Duch znów prowadzi mnie przez gąszcz korzeni. Przemykamy potem korytarzami, aż udaje nam się niepostrzeżenie dobrać do torby posłańca. Przy okazji mogę z bliska obejrzyć zwłoki. Widok mrozący krew w żyłach, bo posłaniec był przebrańcem, istotą rodzaju żeńskiego i o ile jej ogon był przypięty i fałszywy, nos jak pietruszka całkiem autentyczny. Znam ją z widzenia, szpiegowała dla Madoka.

Duch wkłada list do kieszeni i otwiera go dopiero, gdy jesteśmy już w lesie. Kiedy czyta w świetle księżyca, jego twarz kamienieje. Zaciska palce tak mocno, że papier szeleści.

– Co tam jest? – pytam.

Odwraca arkusz w moją stronę.

ZABIJ TEGO, KTO CI DORECZY TĘ WIEŚĆ

I nic więcej.

Jakby to było mało.

– Co to znaczy? – pytam, mam w głowie mętlik.

Duch potrząsa głową.

– To znaczy, że Balekin zastawia pułapkę. Chodźmy stąd.

Wciąga mnie w cień, znikamy, odchodzimy. Nie zdradzam Duchowi, że moim zdaniem ta istota pracowała dla Madoka. Próbuję rozgryźć to sama, ale brakuje mi zbyt wielu kawałków układanki.

Co zabójstwo Liriope ma wspólnego z koronacją? Co z tym wszystkim wspólnego może mieć Madok? Czy jego szpiegunka mogła być podwójną agentką, pracować zarówno dla Balekina, jak i dla Madoka? Jeśli tak, czy należy stąd wnioskować, że przeprowadzała rozpoznanie w moim domu?

– Ktoś stara się nas wywieść na manowce – mówi Duch. – Zastawiają pułapkę. Bądź jutro bardzo czujna.

Nie otrzymuję od Ducha żadnych wyraźnych rozkazów, nawet nie mówi mi, żebym przestała zażywać truciznę. W ogóle nie mówi mi, żebym coś robiła inaczej, za to tuż po wschodzie słońca odprowadza mnie do domu, żebym choć trochę się przespała. Kiedy już mamy się rozstać, strasznie mnie kusi, żeby zdać się na jego litość.

Zrobiłam coś strasznego. – Tak bym chciała powiedzieć.

Pomóż mi pozbyć się trupa.

W ogóle mi pomóż.

Tak, tak. Wszyscy mamy głupie marzenia. Nie znaczy to jednak, że powinny one zostać spełnione.



Zakopuję Valeriana w pobliżu stajni, jednak w pewnej odległości od padoku, żeby nawet najbardziej krwiożercze rumaki Madoka, te o ostrych kłach, nie wygrzebały go z ziemi, nie przeżuwały jego szlachetnie urodzonych gnatów.

Nie tak łatwo jest zakopać ścierwo wysokiego rodu. Zwłaszcza niełatwo jest je zakopać w taki sposób, żeby nie zwrócić uwagi wszystkich w całym zamku, służby i rodziny. Muszę zaturlać truchło Valeriana na balkon, po czym zrzucić je w krzaki. Potem zaś trzeba jedną ręką zaciągnąć go na miejsce, które dopiero muszę znaleźć. Jestem wykończona i strasznie

spocona, gdy wreszcie uznaję, że ten tutaj skrawek polany będzie w miarę w sam raz. Poranne ptaszęta nawołują się, podczas gdy nieboskłon jaśnieje.

Przez chwilę sama miałabym ochotę się położyć na tej trawie lśniącej od rosy, ale muszę kopać.



Po południu, w nieprzytomnym od bezsenności oszołomieniu, poddaję się makijażowi i koafiuirom, daję sobie nałożyć jarzmo gorsetu.

W zielonym uchu Madoka pojawiły się trzy tłuste, złote kolczyki, u palców długie szpony, też złote. Oriana u jego boku wygląda niczym rozkwitająca róża, na szyi zawiesiła sobie kolie z zielonych szmaragdów, tak masywną, że niemal starczy za napierśnik.

Wracam do swojej komnaty, odwijam opatrunek. Moja dłoń wygląda gorzej, niż się spodziewałam – rana jest wilgotna i lepka, nie zasklepiła się. Wokół niej utrzymuje się opuchlizna. Wreszcie stosuję się do rady Daina i z kuchni biorę mech. Przemywam ranę, opatruję ją na nowo, znów zasłaniając guziczkiem. Zamierzałam pójść na koronację bez rękawiczek, ale w tej sytuacji nie mam wyboru. Przetrzęsam szufladę, wreszcie znajduję rękawiczki z błękitnego jedwabiu.

Wyobrażam sobie, jak Loki ujmie mnie za rękę, powiedzie w tan wokół Wielkiej Sali pod Wzgórzem. Mam nadzieję, że uda mi się nie syczeć z bólu, jeśli zbyt mocno ściśnie lewą dłoń. Przenigdy nie może się dowiedzieć, co stało się z Valerianem. Choćbym nie wiem jak mu się podobała, nie chciałby się całować z dziewczyną, która zakopała w ziemi jego przyjaciela.

Mijamy się z siostrami w sieni, biegamy tu i tam, zgarniamy ostatnie potrzebne drobiazgi. Vivienne na próżno szuka w mojej kasetce z biżuterią czegoś, co by pasowało do jej srebrzystoszarej sukni.

– Niesamowite, naprawdę z nami idziesz na bal – mówię. – To ci dopiero niespodzianka dla Madoka.

Na szyi mam kolie, która maskuje sińce po wpijających się w nią palcach Valeriana. Kiedy Vivi przykłęka, żeby rozwikłać płataninę kolczyków, ogarnia mnie strach, że zajrzy pod łóżko i dostrzeże jakieś pominięte przeze mnie plamy krwi. Tak się niepokoję, że ledwo zauważam jej uśmiech.

– Lubię czasem wszystkich zaskoczyć – odpowiada. – Poza tym mam ochotę poplotkować z księżniczką Rhyią i nie chciałabym, żeby ominął mnie spektakl, jakim będzie takie zgromadzenie elfowych władców w jednym miejscu, no, a przede wszystkim chcę poznać tajemniczego wielbiciela Taryn i zobaczyć, jak Madok zareaguje na jego oświadczenia.

– Domyślasz się chociaż, kto to taki?

Muszę przyznać, że zdarzyło się mnóstwo rzeczy i prawie o tym zapomniałam.

– Nie mam pojęcia. A ty?

Wreszcie znajduje, czego jej było trzeba: opalizujące labradorytowe kropelki, które podarowała mi Taryn na szesnaste urodziny. Sporządził je goblin złotnik, otrzymał od niej w zamian trzy całusy.

Nim jednak w moim życiu pojawiły się dwa trupy, rzeczywiście zachodziłam w głowę, kto może się ubiegać o jej rękę. Pamiętam, jak Cardan wziął ją na bok, a potem się popłakała. Pamiętam, że Valerian bezwstydnie rozbierał ją wzrokiem. I jak pchnęła mnie trochę za mocno, kiedy żartowałam, że może to Balekin – chociaż jestem prawie pewna, że to jednak nie o niego chodzi. Jestem półprzytomna, mam ochotę położyć się na łóżku i zamknąć oczy. Błagam, niech to nie będzie żaden z nich. Niech się okaże, że to ktoś bardzo miły, kogo dotąd nie znałyśmy.

Właśnie, przecież powiedziała, że chyba go polubię.

Już mam zacząć się na głos zastanawiać, o kogo może chodzić, gdy do pokoju wchodzi Madok. Dzierży wąski miecz w srebrnej pochwie.

– Vivienne, czy możesz nas na chwilę zostawić samych? – odzywa się, nieznacznie skłaniając głowę.

– Oczywiście, tatusiu – odpowiada z leciutkim, lecz kąśliwym naciskiem na to słowo, po czym znika razem z moimi kolczykami.

Madok trochę niezręcznie odkasłuje i podaje mi srebrny miecz. Jelec i głowica są gładkie, niezdobione, o eleganckim kształcie. Głownia rytowana wzdłuż zboczy w ledwo widoczne pędy winorośli.

– To podarunek. Chcę, żebyś miała go dziś u boku.

Chyba trochę mnie zatkało. Ten miecz jest naprawdę, ale to naprawdę, naprawdę piękny.

– Ćwiczyłaś tak pilnie, że uznałem, iż musi do ciebie należeć. Płatnerz, którego stworzył, nadał mu imię Brzask, ale ty oczywiście możesz go nazwać, jak zechcesz, lub nie nadawać żadnego imienia. Powiada się, że

przynosi on swojemu posiadaczowi szczęście, ale jak wiesz, tak się mówi o prawie każdym mieczu. Należy on do twojej rodzinnej spuścizny.

Przypominam sobie słowa Oriany o tym, że Madok ma do nas wyraźną słabość, a stąd wniosek, że musiał bardzo kochać naszą matkę.

– Ale co z Dębem? – pytam nieśmiało. – Może on by go chciał?

Madok uśmiecha się lekko.

– Pytanie, czy ty go chcesz?

– Tak – mówię, nie mogłabym odpowiedzieć inaczej. Kiedy całkiem go wydobywam go z pochwy, czuję, jakby stworzony został do mojej ręki. Jest idealnie wyważony. – Tak, oczywiście, że tak.

– To dobrze się składa, ponieważ należy ci się on, choć został wykuty dla mnie. Sporządził go twój ojciec, Justyn Duarte. Wykuł go i nadał mu imię.

Na chwilę zapiera mi dech w piersiach. Nigdy przedtem Madok nie wypowiedział na głos imienia mojego ojca. Nie rozmawiamy przy kolacji o tym, że zamordował moich rodziców, raczej ten temat omijamy.

Na pewno zaś nie rozmawiamy o czasach, kiedy jeszcze żyli.

– Sporządził go mój ojciec – powtarzam ostrożnie, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiałam. – Mój ojciec był tutaj, w Elysium?

– Tak, spędził tu kilka lat. Mam tylko kilka jego dzieł. Ten miecz jest dla ciebie, mam też coś dla Taryn. – Krzywi się nieznacznie. – To tutaj poznali się z twoją matką. Potem razem uciekli do śmiertelnego świata.

Biorę drżący wdech, zdobywam się na odwagę, by zadać pytanie, które od dawna nie daje mi spokoju, nigdy jednak nie przeszło mi przez usta.

– Jacy oni byli? – Kurczę się na dźwięk własnych słów. Nawet nie wiem, czy chcę, żeby mi to powiedział. Czasami wolałabym pałać do niej nienawiścią. Gdybym potrafiła zdobyć się na nienawiść do niej, nie byłoby takie straszne, że go kocham.

Jednak, oczywiście, ona pozostaje moją matką. Jedyne, co mogłabym mieć jej za złe, to że odeszła, ale przecież stało się to wbrew jej woli.

Madok siada na stołku o gęsich nóżkach stojącym przed toaletką, wyciąga chorą nogę; wygląda to tak, jakby miał mi zaraz opowiedzieć historyjkę na dobranoc.

– Twoja matka była mądra i bystra. I młoda. Kiedy sprowadziłem ją do Elysium, piła i tańczyła całymi tygodniami. Była gwiazdą każdego balu.

Nie zawsze mogłem jej towarzyszyć. Wybuchła wojna na Wschodzie; pewien król z niecnego rodu, który władał rozległym terytorium, nie był

skłonny ugiąć kolana przed Najwyższym Królem. Jednak gdy byłem tutaj, syciłem się jej szczęściem. Posiadała dar sprawiania, że wszyscy wokół niej czuli, jakby to, co niemożliwe, stawało się możliwe. Wówczas sądziłem, że to dlatego, iż jest śmiertelniczką, ale teraz sądzę, że nie w pełni oddawałem jej sprawiedliwość. To brało się z czegoś innego. Może z jej śmiałości. Nigdy nie odczuwała lęku ani przed magią, ani przed niczym innym.

Lękałam się, że go rozgniewam, ale najwyraźniej niepotrzebnie. Mało tego, w jego głosie słyszę niespodziewane ciepło. Siadam na ławie przed łóżkiem, podpieram się moim nowym srebrnym mieczem.

– Twój ojciec był ciekawym człowiekiem. Pewnie sądziłaś, że go nie znałem, tymczasem zaś przychodził po wielokroć do mojego domu, mojego dawnego domu. Tego, który spalili. Piliśmy miód w ogrodach, my troje. Opowiadał, że od dziecka kochał się w mieczach. Kiedy był w twoim mniej więcej wieku, namówił swoich rodziców, żeby w podwórzu domu pozwolili mu wybudować pierwszą własną kuźnię. Nie poszedł do wyższych szkół, tylko znalazł mistrza, który wziął go do terminu. Następnie zaś zawarł znajomość z kuratorką w pewnym muzeum. Wpuszczała go ukradkiem po godzinach, dzięki czemu mógł z bliska przyglądać się dawnym mieczom i doskonalić swoje rzemiosło. Potem jednak usłyszał o głowniach, które wykuć potrafią tylko elfowie, więc zaczął nas szukać. Kiedy tu przybył, już posiadał niemałe umiejętności płatnerskie, a kiedy odszedł, umiał o wiele więcej. Nie mógł się jednak powstrzymać, przechwalał się wykradzionymi nam sekretami i wykradzioną z Krainy Elfów małżonką. W ten sposób wieść dotarła do Balekina, ten zaś mnie powiadomił.

Jeżeli mój ojciec naprawdę znał Madoka, to naprawdę postąpił nierozsądnie, przechwalając się, że skradł mu żonę. Przecież i ja chodziłam ulicami ludzkich miast, a Elfhame wydawało się wtedy tak odległe... Mijały lata, z czasem tamten pobyt w Krainie Elfów musiał mu się już wydawać jakimś odległym snem.

– Mało dobrego można o mnie powiedzieć – rzecze Madok – ale mam wobec ciebie dług i ślubowałem, że zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, najlepiej, jak potrafię.

Wstaję, przechodzę przez komnatę; dotykam ręką w rękawicze bladej skóry jego twarzy. Mruży kocie oczy. Nie mogę mu wybaczyć, ale i wobec niego nie jestem zdolna do nienawiści. Stoimy tak przez dłuższą chwilę, potem podnosi wzrok, ujmuje moją zdrową dłoń i całuje ją przez

tkaninę rękawiczki.

– Od dzisiaj wiele się zmieni – powiadamia mnie. – Czekam na ciebie w powozie.

Wychodzi. Łapię się za głowę. Nie mogę skupić myśli. Kiedy jednak wstaję, zawieszam swój nowy miecz u boku. Jest zimny i ciężki jak obietnica.

ROZDZIAŁ 20



Dąb w jaskrawej zieleni podskakuje przed karocą. Na mój widok pędzi, bo chce, żebym go wzięła na ręce, po czym nagle skręca, żeby pogłaskać konie.

Elfowe dziecię, elfowe kaprysy.

Taryn wygląda przepięknie w swej wyszywanej sukni, a Vivi promienieje w szarościach przechodzących w barwę fioletową z kunsztownie haftowanymi ćmami przefruwającymi od jej ramienia, przez pierś, w trzepotliwy rój u boku. Uświadamiam sobie, jak rzadko ją widywałam w naprawdę pięknych strojach. Włosy ma zaczesane do góry, moje kolczyki połyskują w jej spiczastych, porośniętych puszkami uszach. Kocie oczy lśnią w półmroku, identycznie jak oczy Madoka. Chociaż raz na myśl o tym się uśmiecham. Ujmuję dłoń Taryn moją zdrową dłonią, siostra odwzajemnia się mocnym uściskiem. Uśmiejemy się do siebie, chociaż raz coś nas łączy – sekret, który niebawem się wyjaśni.

Ktoś pomyślał i dostarczył do karocy niezłe zapasy jedzenia, to stanowczo

dobry pomysł, bo przez cały dzień nie było czasu, żeby się porządnie najeść. Zdejmuję rękawiczkę i zjadam dwie bułeczki, tak leciuteńkie i pełne powietrza, że aż się rozplývają na języku. W środku jest masa z miodu, rodzynek i orzechów, tak wyborna, że aż łzy napływają do oczu. Madok wręcza mi kawał bladożółtego sera i krwisty plaster sarniny opiekanej w pieprzu i owocach jałowca. Posiłek nie zajmuje nam wiele czasu.

Dostrzegam czerwony kaptur Madoka wetknięty jak chusteczka do kieszeni z przodu. Domyślam się, że to coś w rodzaju symbolu, ludzie podczas takich oficjalnych okazji przypinają ordery.

Żadne z nas właściwie się nie odzywa. Nie wiem, o czym rozmyślają inni, ale ja nagle sobie uświadamiam, że będę musiała tańczyć. Tańczę okropnie, bo nie mam w tym żadnej wprawy poza upokarzającymi lekcjami w szkole, gdzie miewam Taryn za partnerkę.

Myślę o Duchu, Karakanie i Bombie, którzy próbują ochronić Daina przed niejasnymi zakusami ze strony Balekina. Chciałabym wiedzieć więcej, chciałabym umieć im pomóc.

W liście był rozkaz, żeby zabić posłańca.

Sącę korzenne wino, zerkam na Madoka. Jest w dobrym humorze, a więc albo nie wie, że stracił jednego ze swoich szpiegów, albo jest mu to obojętne.

Moje serce zaczyna bić szybciej. Wciąż napominam samą siebie, żeby nie ocierać dłoni o suknię, bo nie chcę wybrudzić jej jedzeniem. Wreszcie Oriana wydobywa chusteczki pachnące wodą różaną i miętową, abyśmy mogli doprowadzić się do porządku. Jest to wyśmienity pretekst do gonitwy, bo Dąb nie zamierza na to pozwolić. W karocy nie ma zbyt wiele miejsca do biegania, ale Dąb radzi sobie całkiem nieźle, depcząc przy tym po nas wszystkich.

W tym zamęcie nawet nie zauważam, kiedy wjeżdżamy prosto na skałę i znajdujemy się w pałacu. Zatrzymujemy się, nim dostrzegłam, że jesteśmy na miejscu. Lokaj otwiera drzwiczki i widzę dziedziniec wypełniony muzyką, głosami, zabawą. Oraz świece, cały las świec, których воск topi się, tworząc substancję podobną do drewna przeżartego przez termity. Świece umieszczono też na gałęziach drzew, ich płomyki drżą od powiewu sukien. Świece stoją wzdłuż ścian niczym strażnicy, gęsto ustawione świece zdobią szczyty głązów.

– Gotowa? – szepcze do mnie Taryn.

– Tak – odpowiadam podniecona.

Nasza rodzina wysypuje się z powozu. Oriana zaopatrzyła się w srebrną smyczkę, którą przymocowuje do nadgarstka Dęba, co wydaje się nie najgorszym pomysłem, choć on jest innego zdania – siada na ziemi i nie zamierza ruszyć się z miejsca, zupełnie jak kot.

Vivienne rozgląda się po dziedzińcu. Widzę dziki błysk w jej spojrzeniu. Rozdyma nozdrza.

– Czy mamy po raz ostatni złożyć uszanowanie królowi? – pyta Madoka.

Ten nieznacznie kręci głową.

– Nie. Gdy przyjdzie czas złożenia przysięgi, zostaniemy wezwani. Do tego czasu ja muszę zostać przy księciu Dainie, a wy się bawcie, dopóki nie odezwą się dzwony, potem zaś Val Moren rozpocznie ceremonię. Wówczas zbliżcie się do tronu, aby być świadkami koronacji. Podejdźcie jak najbliżej wyniesienia, tam moi rycerze będą mogli nad wami czuwać.

Spoglądam na Oriane, oczekując kolejnych pouczeń, żebym się nie wpakowała w kłopoty, a może nawet żebym trzymała nogi razem, ale zbyt jest zajęta namawianiem Dęba, żeby jednak wstał i poszedł z nią.

W sali tronowej pałacu Elfhame jest nadzwyczaj tłoczno. Roi się tam od dworzan, monarchów i niepodporządkowanych nikomu elfów samotników. Selkie z dworu Toni, królowej Orlagh, rozmawiają między sobą w swoim własnym języku, skóry zwisają im z ramion jak peleryny. Widzę władcę Dworu Termitów, Roibena, który ponoć zabił swoją ukochaną, by zdobyć tron. Stoi obok jednego ze stołów rozstawionych na krzyżakach i nawet w tej zatłoczonej sali wokół niego tworzy się wolna przestrzeń, tak jakby nikt nie miał odwagi podejść bliżej. Włosy ma koloru soli, ubrany jest całkowicie na czarno, u biodra ma groźnie wyglądający zakrzywiony miecz. Towarzyszy mu zupełnie doń niepasująca wyglądem zielonoskóra pixie ubrana w perłowoszarą bieliźnianą sukienkę i wysoko sznurowane glany, to najwyraźniej strój ze świata śmiertelników. Po jej obu bokach dwójka rycerzy w strojach z herbem króla, jedną z nich jest w kobieta o szkarłatnych włosach splecionych w koronę z warkocza. To Dulcamara, która wykladała nam zasady dziedziczenia korony.

Są też inni, postacie znane mi z ballad. Rua Srebrna z Nowego Avalonu, która wykroiła sobie wyspę z wybrzeża Kalifornii, rozmawia z przebywającym na wygnaniu synem króla Olszyn, Severinem, który może zawrze przymierze z nowym Najwyższym Królem, ale możliwe też jest, że połączy swoje siły z Lordem Roibenem. U jego boku widzę rudowłosego

chłopca, śmiertelnika, w moim mniej więcej wieku, co sprawia, że przyglądam mu się z zainteresowaniem. Czy to służący? Czy jest pod działaniem czaru? Obserwuje tłum, ale po samym spojrzeniu trudno to określić, kiedy jednak mnie widzi, uśmiecha się porozumiewawczo.

Natychmiast odwracam wzrok.

Tymczasem selkie przegrupowują się i dostrzegam w ich towarzystwie kogoś jeszcze. Ten ktoś ma szarą skórę, sine usta, mokre włosy okalające twarz o zapadniętych oczach. Mimo wszystko ją rozpoznaję. To Sophie. Słyszałam opowieści o tym, że syreny i wodnicy z Toni potrafią tchnąć nowe życie w topielców, ale dotąd w to nie wierzyłam. Kiedy otwiera usta, widzę jej ostre jak szpile zęby. Dreszcz przechodzi mi po plecach.

Przepycham się przez tłum za Vivi i Taryn. Kiedy odwracam się znowu, nie widzę już Sophie, więc nawet nie jestem całkiem pewna, czy sobie jej nie uroiłam.

Mijamy Shagfoala o ślepiach jak żarzące się węgle i Barghesta. Wszyscy śmieją się zbyt głośno, tańczą nazbyt ogniście. Jeden z tańczących uchyla maskę goblina i puszcza do mnie oko. Pod maską goblina kryje się goblin Karakan.

– Słyszałem, słyszałem. Dobra robota – chwali mnie. – Teraz miej oko na wszystko, co wydaje się nie w porządku. Jeśli Balekin uczyni jakiś krok przeciwko Dainowi, zrobi to przed rozpoczęciem ceremonii.

– Dobrze – odpowiadam, odsuwam się od sióstr, żeby z nim przez chwilę pogawędzić. W takim ścisku łatwo się zgubić.

– To dobrze, że dobrze. Miło będzie zobaczyć na własne oczy, jak książę Dain przywdziewa koronę. – Sięga za pazuchę brązowej kurty i wyciąga srebrną flaszkę, upija z niej okazały łyk. – A poza tym lubię się przyglądać, jak szlachetnie urodzeni hopsają i po pijanemu robią z siebie głupców.

Podaje mi butelkę, wyciągając w moją stronę szarozieloną szponiastą dłoń. Nawet z pewnej odległości czuć zapach tego, co jest w środku: ostry, mocny, nieco błotnisty.

– Dzięki, chyba się bez tego obejść – mówię i potrząsam głową.

– Na pewno się obejdiesz – odpowiada, śmieje się, a potem znów nasuwa na twarz maskę.

Spoglądam za nim z uśmiechem, gdy znika w tłumie. Jego widok podniósł mnie na duchu i przypomniał, że wreszcie znalazłam swoje miejsce w tym świecie. Karakan, Duch i Bomba nie są w ścisłym tego słowa znaczeniu

moimi przyjaciółmi, ale chyba mnie lubią, więc nie ma co dzielić włosa na czworo. U nich jest moje miejsce i dzięki temu mam jakiś cel w życiu.

– Gdzie to się podziewałaś? – woła Vivienne i ciągnie mnie za ramię. – Trzeba by cię trzymać na smyczy jak Dęba. Chodź, będziemy tańczyć.

Wiruję w tańcu razem z nimi. Muzyka jest wszędzie, nakazuje stopom płaś. Powiada się, że elfowa muzyka tak wciąga, że nie można jej się oprzeć, co nie jest do końca prawdą. Prawdą jest jednak, że jeśli już się zacznie, nie można przestać, dopóki muzyka nie zamilknie. Nie cichnie zaś przez całą noc, jeden tan przechodzi w kolejny, pieśń staje się kolejną pieśnią, bez ustanku dla pochwycenia oddechu. To radosne uczucie, tak dać się pochłonać muzyce, płynąć z jej falą. Rzecz jasna, Vivi jako jedna z nich może przestać, kiedy tylko zechce. Może też nas wyrwać z roztańczenia, więc w jej towarzystwie jesteśmy niemal bezpieczni. Pewnym problemem jest to, że Vivi nie zawsze pamięta o bezpieczeństwie, a ja jestem ostatnią osobą, która miałaby prawo ją za to ganić.

Klaszcze, dołączamy do kręgu, podskakujemy, śmiejemy się. Ta pieśń jakby przyzywała moją krew, krążyła w moich żyłach w tym samym urywanym rytmie, z tymi samymi błogimi akordami. Potem krąg się rozsypuje i jakoś tak się dzieje, że trzymam za ręce Lokiego.

Wirujemy razem jak szaleni.

– Naprawdę jesteś piękna – mówi. – Jak zimowa noc.

Uśmiecha się do mnie lisimi oczami. Jego rude włosy wiją się puklami wokół spiczastych uszu. W jednym z nich ma złote kółko lśniąca niczym maleńkie zwierciadło. To on jest piękny, pięknem nieludzkim i zapierającym dech w piersi.

– Miło mi, że podoba ci się moja sukienka – udaje mi się wykrztusić.

– Powiedz, czy mogłabyś mnie pokochać? – pyta, jakby zupełnie bez przyczyny.

– Oczywiście – odpowiadam i śmieję się, bo nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekuje, ale pytanie jest tak dziwnie sformułowane, że trudno zaprzeczyć. Kocham mordercę moich rodziców, więc pewnie mogłabym pokochać kogokolwiek. Lokiego akurat chętnie bym pokochała.

– Powiedz mi, co byłabyś zdolna dla mnie zrobić?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Ten chłopak o gorejących oczach nie jest tym samym Lokim, który na szczycie wieży przemawiał do mnie tak łagodnym głosem, ani tym, który ze

śmiechem gonił mnie po korytarzach swojej rezydencji. Nie bardzo jeszcze wiem, kim jest ten nowy Loki, ale muszę przyznać, że już zdołał skutecznie wyprowadzić mnie z równowagi.

– Powiedz mi, czy mogłabyś mi obiecać, że mi coś obiecasz?

Uśmiecha się, jakby się ze mną przekomarzał.

– Ale co obiecać?

Okręca mną wokół siebie, skórzane trzewiki wirują na udeptanej ziemi. W oddali rozlega się głos fletni.

– Obiecay mi, że obiecasz mi cokolwiek, o co cię poproszę – mówi niedbałym tonem, chociaż nie jest to byle jaka prośba i byle jaka obietnica.

– Czy ja wiem, chyba to zależy od obietnicy – odpowiadam, bo prawdziwa odpowiedź na takie żądanie może być tylko jedna: „nie”. Tego jednak nikt nie chciałby usłyszeć.

– Czy kochasz mnie dość, by się mnie wyrzec? – Przypuszczam, że na mojej twarzy widać, co w tej chwili czuję. Pochyla się bliżej mnie. – Czy to nie ostateczny sprawdzian miłości?

– Bo ja wiem... Czy ja wiem – mówię, zdezorientowana.

Wszystko to niewątpliwie prowadzi do jakiejś deklaracji – albo coś mi wyzna, albo okaże się, że nic dla niego nie znaczę.

– Czy kochasz mnie na tyle, żeby mnie opłakiwać?

Te słowa rozlegają się przy mojej szyi, czuję jego oddech. Przechodzi mnie dreszcz zarazem pożądania i niepokoju.

– Gdyby ktoś cię zranił albo zabił, tak?

– Nie. Gdybym to ja cię zranił.

Nie brzmi to dobrze. Przynajmniej jednak znam właściwą odpowiedź:

– Jeśli mnie zranisz, nie będę płakać. Zranię cię tak samo albo gorzej.

– No tak, na pewno...

Potem milknie, ogląda się za siebie. A mnie się mąci w głowie. Moja twarz płonie. Naprawdę boję się, co zaraz powie.

– Odbijany, czas zmiany – słyszę głos i widzę, że przypadł mi w udziale najfatalniejszy tancerz, jakiego mogłabym sobie wyobrazić: Cardan. – Ojoj – mówi do Lokiego. – Cóż to, czyżbym coś rzekł nazbyt pochopnie?

Mówi to opryskliwym tonem, który, rzecz jasna, w żaden sposób nie podnosi mnie na duchu.

Loki odstępuje mnie najmłodszemu z królewiczów, zgodnie z zasadami etykiety i regułami tańca. Kątem oka widzę Taryn, która nas obserwuje. Stoi

jak skamieniała pośród tanecznego szaleństwa, zagubiona, a wokół elfowie pływają jak szaleni, w zawirowaniach i zawijasach wymieniają się partnerami. Niewykluczone, że zanim Cardan przyczepił się do mnie, czepiał się także jej.

Chwyta mnie za zranioną dłoń. Ma czarne rękawiczki, przez jedwab czuję ciepły dotyk giemzy. Też jest ubrany na czarno, w kaftan obszyty kruczymi piórami, a wysokie sztylpy mają metalowe czuby, więc od razu uświadamiam sobie, jak łatwo by mu było okaleczyć mnie w tańcu, kopiąc po gołeniach. Na głowie ma coś w rodzaju żelaznego diademu, który jednak lekko już się przekrzywił. Na policzkach mażnięcie srebrzystej farby i czarne kreski na oczach. Makijaż na lewej powiece mu się już rozmazał, tak jakby zapomniał, że go ma, i przetarł oko.

– Czego chcesz? – pytam, właściwie zmuszam się, żeby go zapytać. Wciąż myślę o Lokim, wciąż obracam w myślach to, co powiedział, i to, czego nie powiedział. – Jakież to obelgi dziś usłyszę od twojej książęcej mości? No, mów!

Unosi po wielkopańsku brwi.

– Śmiertelnicy nie będą mi rozkazywać – odpowiada z tym swoim drapieżnym uśmiechem.

– Ach, więc chciałeś mi powiedzieć coś miłego? To się chyba nie uda. Elfowie nie potrafią kłamać.

Chciałabym być rozgniewana, ale tak naprawdę to jestem wdzięczna. Może nie jemu, tylko losowi, ale jednak moja twarz już nie płonie, już nie pieką mnie oczy. Jestem gotowa do walki, a to dużo lepszy stan umysłu. Wiadomo, że nie taki był jego zamiar, natomiast przedziwnym trafem uwolnił mnie od Lokiego.

Przesuwa dłonią po moim biodrze.

Piorunuję go wzrokiem.

– Ty naprawdę mnie nienawidzisz, prawda? – pyta i uśmiecha się szerzej.

– Och, prawie tak jak ty mnie.

Pamiętam, pamiętam tę kartkę z wściekle wybazgranym moim imieniem. Pamiętam, jak w labiryncie wodził za mną pijanym wzrokiem. I widzę, jak patrzy na mnie teraz.

Puszcza moją rękę.

– Do następnego starcia – mówi, składając mi kpiący ukłon.

Spoglądam za nim; lekko chwiejnym krokiem odchodzi, znika w tłumie.

Nie za bardzo wiem, jakie wnioski mam wyciągnąć z tej rozmowy.



Rozlega się dźwięk dzwonów, to sygnał rozpoczęcia ceremonii. Milkną skrzypki i harfy. Przez długą chwilę pod wzgórzem panuje cisza, a potem uczestnicy ceremonii kierują się ku swoim miejscom. Przepycham się do przodu, tam, gdzie gromadzi się szlachetnie urodzona elita dworu Najwyższego Króla. Tam będzie moja rodzina. Oriana już jest, widzę ją, stoi pośród rycerzy Madoka, a wygląda tak, jakby gotowa była dać wiele, żeby tylko móc znaleźć się gdzie indziej. Dąb, spuszczone ze smyczy, siedzi na ramionach Taryn, która szepce coś Lokiemu do ucha, ten śmieje się.

Zatrzymuję się. Tłum wokół mnie kłębi się i przepycha, a ja jakbym wrosła w ziemię. Tymczasem Taryn przechyla się i poprawia Lokiemu kosmyk włosów, zakłada mu go za ucho.

W tym drobnym geście zawiera się tak wiele. Próbuję sobie wmówić, że to nic nie znaczy, ale po tej naszej dziwnej rozmowie już nie potrafię. Podobno jednak Taryn ma narzeczonego, który zaraz jej się oświadczy. Poza tym wie, że Loki i ja jesteśmy... Czymkolwiek jesteśmy.

Czy kochasz mnie dość, by się mnie wyrzec? Czy to nie ostateczny sprawdzian miłości?

Z tłumu wyłania się Vivienne, jej kocie oczy lśnią, ma rozpuszczone włosy. Bierze Dęba w ramiona i obraca się wokół własnej osi, dookoła, dookoła, wiruje, aż upadają oboje, płacząc się w spódnicach Vivi.

Powinam tam iść, ale nie idę.

Jeszcze nie mogę spojrzeć w oczy Taryn, najpierw muszę pozbyć się tak podłej, nielojalnej myśli.

Zwlekam więc, obserwuję, jak rodzina królewska gromadzi się na podium. Najwyższy Król zasiada na tronie ze splecionych gałęzi, w ciężkim diademie na głowie, rozgląda się czujnie brązowymi, sowimi oczami osadzonymi w głęboko pooranej zmarszczkami twarzy. Księżę Dain siedzi na prostym drewnianym zydłu obok niego, w białych szatach, stopy i ramiona ma odsłonięte. Za tronem ustawia się rodzina królewska – Balekin i Elowyn, Rhyia i Caelia. Obecna jest nawet Taniot, matka księcia Daina, odziana

w lśniący złoty strój. Brakuje tylko jednej osoby – Cardana.

Najwyższy Król Eldred wstaje, pod Wzgórzem zapada cisza.

– Długo rządy moje trwały, lecz dzisiaj pragnę, byście mnie od nich uwolnili. – Jego głos odbija się echem w sali tronowej. Rzadko przemawiał w ten sposób, to znaczy do zgromadzenia swoich poddanych; jestem pod wrażeniem siły jego głosu, ale i kruchości jego ciała. – Kiedy pierwszy raz poczułem zew, by wybrać się na poszukiwanie Obiecanej Krainy, łudziłem się, że to wkrótce minie. Lata jednak mijają i nie mogę więcej się opierać. Od dziś nie będę już królem, tylko wędrowcem.

Choć wszyscy z całą pewnością wiedzą, że właśnie z tego powodu się tutaj zgromadziliśmy, wokół mnie rozlegają się płacz i zawodzenie. Jakiś chochlik szłocha, wtulając twarzyczkę w kudły kozłobrodego puka.

Nadworny poeta i seneszał Val Moren wstępuje z boku na podium. Jest przygarbiony, łykowaty, w jego długich włosach tkwią liście i patyki, a na ramieniu siedzi wyleniały kruk. Opiera się ciężko o długą laskę z gładkiego drewna, na której końcu pojawił się pąk, jakby to drewno wciąż żyło. Plotka głosi, że jako młodzieniec został zwabiony z krainy śmiertelników do łóża Eldreda. Jak sobie teraz poradzi bez swojego króla?

– Niełatwo nam się z tobą rozstać, o panie – odzywa się, a słowa te w jego ustach nabierają szczególnego, słodko-gorzkiego wydźwięku.

Eldred składa dłonie w puchar; gałęzie, z których spleciony jest tron, zaczynają drzeć, rosnać, wypuszczają zielone pędy wijące się w powietrzu, pojawiają się liście i pączki kwiatów. Korzenie u stropu również się ożywiają, pełzną i pną się po wewnętrznych ścianach wzgórze. Powietrze przepełnia niezwykły aromat, jak letni powiew niosący obietnicę jabłek.

– Kto inny zajmie me miejsce. Żądam, uwolnijcie mnie.

Ku memu zaskoczeniu zgromadzeni elfowie przemawiają jednym głosem:

– Uwalniamy.

Słowo to rozlega się wszędzie wokół mnie.

Najwyższy Król pozwala, by ciężki koronacyjny płaszcz opadł z jego ramion i spoczął u jego stóp, mieniając się blaskiem drogocennych kamieni. Eldred zdejmując z głowy dębową koronę. Od razu jakby odmłodził, wyprostował się. To niepokojące, wygląda, że jest spragniony tej odmiany. Eldred był Najwyższym Królem w Elfhame dłużej, niż sięga pamięć większości obecnych elfów. Zawsze wydawał mi się stary, lecz wraz z królewskim płaszczem i koroną jakby wyzbył się brzemienia tych lat.

– Kogo uczynisz swym następcą, kto zostanie naszym najwyższym królem? – pyta Val Moren.

– Mój trzeciorodny, Dain – odpowiada Eldred. – Podejdź do mnie, synu.

Książę Dain wstaje ze stołka. Matka zdejmuje zakrywającą go białą szatę, Dain staje nagi przed ojcem. Nie wiem, gdzie mam podziąć wzrok. Nagość w Krainie Elfów nie jest niczym nadzwyczajnym, ale nie u rodziny królewskiej. Gdy stoi tak wobec nich wszystkich odzianych w ciężkie paradne szaty, wyszywane brokaty i wspaniałości, sprawia wrażenie bezbronnego, ale wygląda przepięknie.

Zastanawiam się, czy odczuwa chłód. Przypominam sobie moją przebitą dłoń i mam nadzieję, że choć trochę marznie.

– Czy przyjmujesz? – zapytuje Val Moren.

Ptaszysko na jego ramieniu rozpościera skrzydła i bije nimi powietrze. Nie wiem, czy należy to do ceremonii.

– Przyjmę ciężar i honor korony – odpowiada z wielką powagą Dain; w tej chwili nagość staje się czymś innym, swoistą oznaką władzy. – Przyjmę i zachowam.

– Niecne dwory, siły mroku, wystąpcie, by namaścić swojego księcia – nakazuje Val Moren.

Do wyniesienia zbliża się ciężkim krokiem boganka. Jej ciało jest porośnięte gęstym złotym włosom, ręce ma tak długie, że wlokłyby się po ziemi, gdyby ich nie zgięła. Wygląda, że mogłaby bez trudu przełamać księcia Daina na pół. W pasie zawiązała spódnicę z pozszywanych futer, w potężnej dłoni trzyma naczynie przypominające wielki kałamarz.

Maluje jego lewe ramię w długie spirale krzepnącej krwi, rozsmarowuje ją na brzuchu księcia, na lewej nodze aż po stopę. Dain nawet nie drgnie. Kiedy boganka kończy, cofa się kilka kroków, by przyjrzeć się swojemu krwawemu dziełu, po czym kłania się z lekka Eldredowi.

– Cne dwory, ludu zmierzchu, wystąpcie, by namaścić swojego księcia – nakazuje Val Moren.

Do podium zbliża się drobny chłopiec w przepasce, chyba z brzożowej kory, zmierzwił włosy sterczą mu na wszystkie strony. Na jego plecach widać bladozielone skrzydełka. Namaszcza prawy bok Daina, a czyni to za pomocą grubych smug żółtego jak masło kwiatowego pyłku.

– Samotnicy żyjący w ukryciu, wystąpcie, by namaścić waszego księcia – powiada Val Moren.

Tym razem do księcia podchodzi gnom w schludnym, starannie uszytym kaftaniku. Przybywa z dłonią pełną błota, które rozmazuje pośrodku klatki piersiowej Daina, tuż nad jego sercem.

Wreszcie dostrzegam w tłumie Cardana, który chwieje się na nogach. W ręce trzyma ogromny bukłak z winem, wszystko wskazuje na to, że potężnie się wstawił. Kiedy przypominam sobie rozmazaną srebrną farbę na jego twarzy oraz to, jak jego ręka zsunęła się po moim biodrze, odnoszę wrażenie, że już wtedy niewiele mu brakowało. Czuję ogromną, wstrętą satysfakcję na myśl, że nie stoi razem ze swą królewską rodziną, w chwili gdy rozgrywa się najważniejsze od stuleci wydarzenie na tym dworze.

Będzie potem miał za swoje.

– Kto go przyodzieje? – pyta Val Moren.

Najpierw siostry, a potem matka kolejno przynoszą Dainowi białą tunikę, skórzane spodnie, złoty naszyjnik i wysokie buty z kozłej skóry. Po chwili wygląda jak król z bajki, który będzie rządził mądrze i sprawiedliwie. Wyobrażam sobie Ducha czuwającego na dźwigarach stropu i Karakana w masce – myślę, że przyglądają się temu z dumą. Sama czuję się poniekąd dumna, w końcu to jemu złożyłam przysięgę wierności.

Nie potrafię jednak zapomnieć jego słów: *Jesteś na mojej służbie, Jude Duarte.*

Ranioną dłonią muskam rękojeść srebrnego miecza. Miecza wykutego przez mojego ojca. Od tej nocy będę szpiegiem Najwyższego Króla, przynależącym w pełni praw do jego dworu. Będę okłamywać jego wrogów, a jeśli to nie zadziała, znajdę sposób, żeby przydarzyło im się coś znacznie gorszego. A gdyby on sam wystąpił przeciwko mnie, cóż – znajdę jakiś sposób, żeby i przed nim się obronić.

Val Moran uderza laską w ziemię tak mocno, że wibracje czuję aż w zębach.

– A kto go ukoronuje?

Na obliczu Eldreda maluje się duma. Korona połyskuje w jego kościstych dłoniach; błyszczy tak, jakby metal świecił własnym blaskiem

– Ja to uczynię.

Straż dyskretnie się przegrupowuje, być może przygotowując się do wyprowadzenia Eldreda z pałacu. Rodzinę królewską oddziela teraz od tłumy więcej rycerzy niż na początku ceremonii.

Najwyższy Król przemawia:

– Podejdz, Dainie. Uklęknij przede mną.

Następca tronu zgina kolana przed swoim ojcem.

Zerkam w stronę Taryn, która nadal stoi obok Lokiego. Oriana opiekuńczo obejmuje ramieniem Dęba. W tej samej chwili któryś z poruczników Madoka pochyla się i coś do niej mówi, pokazując w stronę wyjścia. Oriana coś mówi do Vivi, po czym odwraca się, rusza do wrót komnaty. Taryn i Loki idą za nią. Zaciskam zęby, zaczynam się przepychać przez tłum, by do nich dotrzeć. Nie chcę zhańbić się jak Cardan, nie znajdując się tam, gdzie mi wyznaczono miejsce.

Przez moje myśli przebija się głos Val Morena.

– Ludu Elfhame, czy uznajecie księcia Daina jako swego Najwyższego Króla?

Rozlega się jednocześnie grzmiący i piskliwy, dudniący i przenikliwy głos tłumy:

– Uznajemy.

Patrzę na rycerzy otaczających podium. W równoległej rzeczywistości mogłabym zostać jednym z nich. Kiedy im się przyglądam dokładniej i rozpoznaję ich twarze, orientuję się, że to najlepsi z dowódców Madoka. Wojownicy najlojalniejsi z lojalnych.

Nie mają na sobie zwykłych mundurów. Na lśniące zbroje narzucili szaty dworskie z herbami rodu Kolcowojów. Zapewne to tylko szczególne środki ostrożności ze strony Madoka, że w newralgicznym punkcie umieścił swoich najlepszych ludzi. Tak, tylko że zabita przeze mnie szpiegunka, którą niesiona wiadomość i tak skazywała na śmierć, również należała do ludzi Madoka.

A Oriana, Dąb i moje siostry właśnie znaleźli się już poza salą tronową, odprowadzani przez jednego z zastępców Madoka. Chwilę wcześniej, zanim wokół podestu pojawili się tak liczni strażnicy.

Madok powiadał, że ma plan, jak zapewnić nam przyszłość.

Natychmiast muszę odnaleźć Karakana. Natychmiast muszę odnaleźć Ducha. Muszę im powiedzieć, że dzieje się coś niedobrego.

Roztropny strateg czeka na właściwą sposobność.

Przepycham się obok trójki goblinów, trolla i jednego z milczków. Jakiś spriggan warczy na mnie, ale nie zwracam na to uwagi. Zbliża się koniec z ceremonii. Widzę, że wino już leje się do kubków i pucharów.

Spoglądam w stronę podium. Balekin właśnie odłączył się od pozostałych

książąt i księżniczek. Przez chwilę wydaje mi się, że to po prostu ciąg dalszy ceremonii – ale tylko do momentu, kiedy dobywa długiego miecza o wąskim ostrzu, który doskonale pamiętam z tamtego okropnego pojedynku, kiedy pastwił się nad Cardanem. Zatrzymuję się.

– Bracie – odzywa się książę Dain z wyrzutem w głosie.

– Ja cię nie uznaję – mówi Balekin. – Przychodzę, by wyzwąć cię do walki o koronę.

Rycerze stojący wokół wyniesienia dobywają mieczy.

Natomiast ani Elowyn, ani Eldred, ani w ogóle nikt z nich nie posiada żadnej broni; Val Moren, Taniot, Rhyia... Po prostu nie mają czym się bronić. Tylko Caelia wyciąga z gorsetu nóż, właściwie kozik, o wiele za krótki, by mógł się do czegoś przydać.

Chcę dobyć miecza, ale ścisk jest zbyt wielki.

– Balekinie – odzywa się surowym tonem Eldred. – Mój chłopcze. Najwyższy Dwór nie może stać się taki jak poprzednie dwory. U nas nie ma spuścizny przez przelaną krew. Żaden pojedynek z twoim bratem nie skłoni mnie, żeby nałożyć koronę na twoją niegodną głowę. Pogódź się z moim wyborem. Nie ośmieszaj się wobec wszystkich elfów.

– Powinniśmy to załatwić między sobą – mówi Balekin do Daina, nie racząc nawet spojrzeć w stronę ojca. – Teraz już nie ma Najwyższego Króla. Nie ma nikogo, tylko my i korona.

– Nie widzę potrzeby, żeby z tobą walczyć – odpowiada Dain, jednocześnie gestem przyzywa otaczających podium rycerzy. Wiem, że Madok jest pośród nich, ale jestem zbyt daleko, żeby zobaczyć coś więcej. – Nie jesteś wart nawet takiego zachodu.

– Więc niech to obciążą twoje sumienie. – Balekin robi krok, potem następny, i zadaje pchnięcie. Nawet nie patrzy w tamtą stronę, ale sztych jego miecza przebija krtań Elowyn. Ktoś krzyczy, potem krzyczą już wszyscy. Przez chwilę rana jest tylko pęknięciem na skórze, a potem tryska z niej krew, cała rzeka czerwieni. Elowyn postępuje jeszcze krok, ostatni w swoim życiu, opada na kolana, podpira się rękami i z głośnym stukotem zwała się na podium. Złota materia i lśniące klejnoty toną w szkarłacie.

A to był tylko błysk głowni jego miecza, niemal gest od niechcenia.

Eldred unosi dłoń. Zapewne chce przywołać tę samą magię, która tchnęła życie w martwe gałęzie i poruszyła korzenie, przywołała kwiaty i świeże pędy niczym potęgą wiosny. Jednak jego moc odeszła, wyzbył się jej razem

z królestwem. Rozkwitłe kwiaty już więdną i brązowieją.

Kruk wzbija się z ramienia Val Morena, ulatuje, kracząc, ku gęstwie korzeni zwisających ze sklepienia tronowej sali pod Wzgórzem.

– Straż! – woła Dain głosem oczekującym natychmiastowego posłuchu. Jednak żaden ze zbrojnych nie nadchodzi. Wszyscy jak jeden mąż odwracają się plecami do podium, kierując miecze w stronę zgromadzonej publiczności. A więc wszystko odbywa się za ich przyzwoleniem, to dzięki nim Balekin może rozegrać ten zamach.

Nie mogę jednak uwierzyć, żeby taki był zamiar Madoka. Dain jest przecież jego przyjacielem. Walczyli ramię w ramię. Dain z pewnością go wynagrodzi, kiedy zostanie Najwyższym Królem.

Tłum zaczyna falować, porywa mnie ze sobą. Stwory mroku rozpychają się, niektórzy chcą się znaleźć bliżej, inni jak najdalej od krwawej sceny. Widzę, jak solowłosy władca Dworu Termitów rwie się do walki, lecz powstrzymują go jego własni rycerze. Mojej rodziny już tu nie ma. Szukam wzrokiem Cardana, ale zgubił się gdzieś w tłumie.

Wszystko dzieje się tak prędko. Caelia podbiega do Najwyższego Króla. Trzyma w dłoni ten swój nożyk, za krótki, by mógł posłużyć jako broń, a jednak dzierży go dzielnie. Taniot klęka przy ciele Elowyn, ponieważ próbuje powstrzymać upływ krwi materiałem swojej spódnicy.

– Co teraz powiesz, ojcze? – pyta Balekin. – Bracie?

Z cienia wylatują dwa bełty, ze stukotem trafiając Balekina w bok. Chwieje się, ale nic więcej. Przez dwa rozdarcia kaftana widać błysk metalu. Zbroja. Odruchowo spoglądam w górę, spodziewając się gdzieś tam ujrzeć Ducha.

Ale przecież ja tak samo jak on jestem na służbie księcia. Moim obowiązkiem jest znaleźć się przy Dainie. Przepycham się do przodu. W głowie, gdzieś na marginesie umysłu, tworzę niejasną wizję przyszłości, niczym bajkę opowiadaną samej sobie, prosty i jasny przekaz, który zaprowadza porządek w otaczającym mnie chaosie. Jakoś przedstanę się do księcia i obronię go przed zdradzieckim Balekinem, wytrzymam – aż ocalą nas wierni członkowie jego straży. Zostanę bohaterką, tą, która osłoniła swego króla przed knowaniami zdrajców.

Tymczasem jednak znajduje się tam Madok.

Przez krótką chwilę czuję ulgę. Można kupić lojalność jego dowódców, ale Madok nigdy by nie...

W tej właśnie chwili Madok wbija miecz w pierś Daina z taką siłą, że przebija jego ciało na wylot, po czym gwałtownie szarpie żelazem w górę, rozcinając serce.

Stoję nieruchomo w rozgorączkowanym tłumie. Nieruchomo jak kamień.

Widzę białą kość i obnażoną czerwień mięśni. Księżę Dain, który miał zostać Najwyższym Królem, upada na ciężki od klejnotów królewski płaszcz, a kamienie lśnią pośród strugi jego krwi.

– Zdrajcy – szepcze ze zgrozą Eldred. Szepcze, ale jego głos niesie się po sali, rozlega jak głośny, rozpaczliwy krzyk.

Madok zaciska szczęki, jakby wykonywał tylko jakieś przykre, lecz konieczne zadanie. Swój czerwony kaptur włożył teraz na głowę; ten sam złowrogi kaptur, który miał kieszeni, któremu tylekroć się przyglądałam w zbrojowni. Dziś unurza go na nowo, pojawią się na nim nowe smugi. Nadal jednak nie mogę uwierzyć, że robi to na czyjś rozkaz.

Musiał jednak zawrzeć z Balekinem przymierze, wprowadził w błąd szpiegów Daina. Obstawił podwyższenie swoimi oficerami, aby je oddzielić od każdego, kto chciałby stanąć w obronie królewskiej rodziny. To on musiał namówić Balekina do uderzenia w chwili, kiedy nikt się tego nie spodziewał. Któż jak nie on wymyślił, że jedyny sposób, by nie ściągnąć na siebie śmiertelnej klątwy korony, to sięgnąć po nią, gdy nie spoczywa na niczyjej głowie. Znam go dość dobrze, by mieć pewność, że to jego strategia.

Madok zdradził Eldreda. Dain już nie żyje, odszedł, zabierając ze sobą wszystkie moje nadzieje i zamiary.

Jak powiedział Madok, podczas koronacji wiele może się zdarzyć.

Balekin triumfuje, to widok trudny do zniesienia.

– Daj mi koronę.

Eldred upuszcza ją, dębowa korona toczy się po podłodze.

– Sam sobie weź, skoro tak jej pragniesz.

Caelia wydaje rozpaczliwy okrzyk. Rhyia, przerażona, spogląda na tłum. Val Moren staje u boku Eldreda, pociągła twarz poety jest trupio blada. Otoczone przez zbrojnych podium jest jak jakaś straszna teatralna scena, na której aktorzy aż do końca muszą odegrać wyznaczone role. Do samego krwawego końca.

Ręce Madoka pokryte są czerwienią. Nie mogę oderwać od nich wzroku.

Balekin sięga po Najwyższą Koronę. Złote liście dębu połyskują w blasku świateł.

– Zbyt długo zwlekałeś, ojcze. Należało zrezygnować dużo wcześniej. Stałeś się słaby. Pozwoliłeś zdrajcom bezkarnie buntować się w swoich lennach, pomniejszych dworów nikt nie kontroluje, a dzikie elfy nie słuchają już nikogo. Dain byłby taki sam. To tchórz, który chowa się za gmatwaną intrygą. Ja zaś nie boję się rozlewu krwi.

Eldred nie odzywa się. Nie próbuje pochwycić korony, nie szuka broni. Czeka.

Balekin rozkazuje rycerzowi, by przyprowadził do niego Taniot. Tym rycerzem jest kobieta w szkarłatnym kapturze i zbroi; wstępuje na podwyższenie i chwyta wyrywającą się nałożnicę. Głowa Taniot uderza raz i drugi, jej długie czarne rogi wbijają się głęboko w ramię napastniczki. To na nic, wszystko na nic. Zbrojnych jest zbyt wielu. Przypadają jeszcze dwaj inni, obezwładniają Taniot.

Balekin staje przed ojcem.

– Ogłoś, że jestem Najwyższym Królem, włóż koronę na moją głowę, a potem będziesz mógł stąd odejść, wolny i nietknięty. Otoczę moje siostry opieką. Twoja nałożnica będzie żyć. W przeciwnym razie zabiję Taniot. Zabiję ją tutaj, na oczach wszystkich, aby wiedzieli, żeś na to pozwolił.

Moje spojrzenie wędruje w stronę Madoka, ale jest zajęty rozmową z pewnym trollem, swoim podkomendnym – z tym, który jadł przy naszym stole, przekomarzał się z Dębem, rozśmieszał go. Ja też się wtedy śmiałam. A teraz trzęsą mi się ręce, cała się trzęsę.

– Balekinie, mój pierworodny, czyjej byś krwi nie przelał, i tak nigdy nie będziesz rządził w Elfhame – mówi na to Eldred. – Nie jesteś godzien tej korony.

Zamykam oczy i myślę o słowach, które usłyszałam od Oriany – że niełatwo jest być kochanką Najwyższego Króla, bo zawsze jest się pionkiem w grze.

Taniot godnie czeka na śmierć. Stoi nieruchomo. Jej postawa jest królewska i wyniosła, jakby już przeszła do Królestwa Ballad. Palce jej dłoni są splecione. Milczy, gdy rycerz – ta sama kobieta w szkarłatnym kapturze, ranna w ramię – bierze zamach, a potem zadaje potężny cios. Rogata głowa Taniot toczy się, aż uderza o zwłoki Daina.

Czuję na twarzy deszcz mokrych kropelek.

Wielu jest elfów, którzy uwielbiają śmierć i przemoc, jeszcze więcej takich, którzy kochają krwawe widowiska. Tłum zgromadzony w sali

tronowej ogarnia istny amok, chcieliby jeszcze krwi, jeszcze więcej trupów. Obawiam się, że ich pragnienie może zostać spełnione, i to niebawem. Dwaj rycerze chwytają Eldreda.

– Nie będę ci powtarzał! – krzyczy Balekin.

A Eldred tylko się śmieje. I śmieje się nawet wtedy, gdy Balekin rozcina go na pół. Nie tryska krwią jak pozostali. Zamiast posoki z rany wydobywa się rój czerwonych puchatych motyli. Wzbijają się w powietrze tak prędko, że już po chwili ciało Najwyższego Króla znika, są tylko wirujące w powietrzu purpurowe ćmy, trzepocąca chmura, tornado miękkich skrzydełek.

Jednak magia, z której powstały, jest efemeryczna, gdyż ćmy spadają na podłogę i po chwili podium jest nimi usiane niczym liśćmi opadłymi z drzew. To nie do wiary, ale Najwyższy Król jest martwy.

Wokół krew i martwe ciała. Val Moren pada na kolana.

– Siostry – odzywa się Balekin, idąc w ich stronę. W jego głosie nie słychać już tej pewności siebie, pojawia się służalcza miękkość. Jakby znajdował się w samym środku straszego snu, z którego jednak nie chce się przebudzić.

– Nałożycie mi koronę? Zróbcie to i żyjcie.

Przypomina mi się, jak Madok usiłował nakazać mojej matce, żeby nie uciekała.

Caelia rzuca nóż, idzie na spotkanie brata. Jej suknia ma złoty gorset, spódnica jest błękitna, w rozpuszczonych włosach księżniczki wianuszek z jagód.

– Zrobię to – mówi. – Dosyć, już dosyć. Uczynię cię Najwyższym Królem, choć hańba tej zbrodni już na zawsze będzie plamić twoje panowanie.

Nigdy to jak zawsze – przelatuje mi przez myśl i od razu zżymam się, bo to nie jest odpowiednia chwila, żeby przypominać sobie głupiutkie złote myśli Cardana. Oddycham jednak z ulgą, bo chociaż Balekin jest potworem, a jego rządy z pewnością będą koszmarnie, to przynajmniej skończy się ta rzeź.

Świst bełtu; ten pocisk nadlatuje z zupełnie innego kierunku niż poprzednie. Księżniczka rozwiera szeroko oczy, chwytą się za serce, jakby rana była czymś nieprzyzwoitym i trzeba ją było zakryć. Potem bez najmniejszego odgłosu pada. Krzyczy za to Balekin. Madok wydaje rozkazy swoim ludziom, wskazuje sklepienie. Wydzielona grupa zbrojnych biegnie po schodach. Kilkoro strażników z dobytą bronią wzbija się na

bladozielonych skrzydłach.

Zabił ją. To Duch ją zabił.

Przepycham się na oślep w stronę podium, przez szlachetny motłoch wyjący, bo ciągle złakniony krwi. Nie wiem, co zrobię, kiedy uda mi się tam dotrzeć.

Rhyia podnosi nóż swojej siostry i trzyma go drżącą dłonią. W niebieskiej sukni wygląda jak ptak schwytyany, zanim zdołał zerwać się do lotu. Jest jedyną prawdziwą przyjaciółką Vivi w Krainie Elfów.

– Naprawdę chcesz ze mną walczyć, siostrze? – odzywa się Balekin. – Nie masz miecza ani zbroi. Daj spokój, już na to za późno.

– Za późno – powtarza księżniczka, potem podnosi nóż i wbija sobie ostrze tuż pod uchem.

– Nie! – krzyczę, ale mój wrzask zagłuszają ryk tłumu i wycie Balekina. A potem, ponieważ więcej śmierci już nie zniosę, zaciskam powieki. Nie otwieram ich, nawet kiedy potrąca mnie ktoś duży i włochaty. Słyszę, jak Balekin rozkazuje odnaleźć Cardana, sprowadzić mu Cardana, wtedy dopiero odruchowo otwieram oczy. Cardana nigdzie nie widać. Tylko bezwładne ciało Rhyi oraz morze krwi.

Skrzydłaci strażnicy kierują się ku płataninie korzeni, w której skrył się Duch. Chwilę później spada w tłum. Wstrzymuję oddech, boję się, że jest ranny, ale nie, przetacza się, wstaje i biegnie po schodach. Strażnicy depczą mu po piętach.

Nie ma szans. Jest ich zbyt wielu, nie ma dokąd uciekać. Chciałabym mu pomóc, dostać się do niego, ale ugrzęzłam w ścisaku. Jestem bezsilna. Nikogo nie zdołam uratować.

Wzrok Balekina pada na nadwornego poetę, pokazuje go palcem.

– Ty mnie ukoronujesz. Wypowiadaj słowa ceremonii!

– Ale ja nie mogę – sprzeciwia się Val Moren. – Nie jestem twym krewnym, panie, nie mam więzów krwi z Koroną.

– Zrobisz to – nalega Balekin.

– Tak, mój panie – odpowiada drżącym głosem seneszal i nadworny poeta. Pod Wzgórzem zapada głucha cisza, starzec pospiesznie klepie koronacyjne formuły. Kiedy jednak zadaje zgromadzonym pytanie, czy przyjmą Balekina jako Najwyższego Króla, nikt się nie odzywa. Balekin trzyma złotą dębową koronę w ręce, ale jeszcze jej nie ma na głowie.

Balekin spoglądała po zebranych i chociaż wiem, że mnie nie zauważy,

i tak robi mi się nieprzyjemnie. Jego głos grzmi:

– Oddajcie się w moje władanie!

Milczenie. Elfowi władcy nie uginają kolan. Elfowie wysokiego rodu nie odzywają się. Samotni elfowie patrzą i oceniają. Widzę królową Annet z najdalej na południe położonego niecnego dworu zwanego Ćmigrodem, która właśnie daje znak swojej świcie, że czas opuścić salę tronową. Przechodząc przez wrota, odwraca się jeszcze, a na jej twarzy maluje się wzgarda.

– Przysięgaliście wierność Najwyższemu Królowi – krzyczy Balekin. – Teraz ja jestem królem.

Podnosi koronę i zakłada ją sobie na głowę.

W tej samej chwili zaczyna wyc z bólu. Zrzuca diadem. Na jego czole widać wypalone znamię, czerwoną krzywą pręgę.

– Nie przysięgaliśmy królowi, tylko koronie! – krzyczy ktoś. To lord Roiben z Dworu Termitów. Przedostał się jakoś, stoi teraz przed rzędem rycerzy. Choć między nim a Balekinem jest ich kilkunastu, Roiben nic sobie z tego nie robi. – Masz trzy dni, by założyć ją na swoją głowę, oprawco własnej krwi! Trzy dni, zanim opuszczę to miejsce, nie złożysz przysięgi, nie poddawszy się twojej władzy, z niesmakiem miast respektu! I z pewnością nie tylko ja.

Ryk śmiechu, potem głośnie szept: dziesiątki ust powtarzają jego słowa tym, którzy ich nie dosłyszeli. W sali tronowej wciąż pulsuje barwna zbieranina: olśniewający elfowie z cnych dworów i przerażający z niecnych, prócz tego elfowie samotnicy, którzy rzadko opuszczają swoje pagórki, rzeki czy grobowe kurhany; gobliny i wiedźmy, pixie i puki. Dopiero co na własne oczy widzieli brutalną rzeź niemal całej królewskiej rodziny. Wyobrażam sobie, jaki krwawy chaos zapanuje, jeśli zabraknie monarchy, który byłby w stanie ich okiełznać. Wyobrażam też sobie, że wielu z nich przyjmie to z niekłamaną radością.

Błędne ogniki jarzą się w powietrzu, które cuchnie świeżo rozlaną krwią. Uświadamiam sobie, że to nie koniec biesiady. Wszak uczta dopiero się zaczęła.

Natomiast nie jestem pewna, czy powinnam nadal brać w niej udział.

KSIĘGA DRUGA

Opróżnij serce ze śmiertelnych snów.
Wiatr liście w wirujący wprawia ruch,
Policzki nasze blade, włosy potargane,
W oczach naszych błysk a piersi zdyszane,
Ręce wymachują, wargi rozchylone;
A kogo oczy w naszą czeredkę wpatrzone,
Wnikniemy między niego a dzieło ręki jego,
Wnikniemy między niego a serce spragnione.

William Butler Yeats
Zastępy Sidhe

ROZDZIAŁ 21



Znów jestem dzieckiem, skrywam się pod stołem, a nade mną biesiadny gwar.

Przyciskam dłoń do piersi, czuję bicie serca. Nie mogę myśleć. Nie potrafię myśleć. Nie jestem w stanie myśleć.

Na mojej sukni jest krew, kropelki wsiąkają w błękitne niebo.

Sądziłam, że śmierć nie może mną już wstrząsnąć, lecz tak wiele, tak wiele jej było. Odpychający, żaloszny nadmiar. Moje myśli wciąż powracają do białych żeber księcia Daina, do krwi tryskającej z gardła Elowyn i do króla, który po tylekroć, nawet umierając, odmawiał Balekinowi korony. Nieszczęsne Tariot, Caelia i Rhyia, które kolejno musiały się przekonać, że korona elfów znaczy więcej niż ich życie.

Myślę o Madoku, który przez te wszystkie lata był prawą ręką Daina. Elfowie co prawda nie mogą wprost kłamać, ale kłamstwem Madoka był każdy śmiech, każde klepięcie w ramię, każdy wspólnie wychylony puchar wina. Madoka, który zadbał o nasze stroje i podarował mi ten piękny miecz.

Przecież zawsze wiedziałam, kim jest – próbuję sobie powtarzać. Widziałam zakrzepłą krew na jego kapturze. Jeśli pozwoliłam sobie o tym zapomnieć, była to tylko moja własna głupota.

Tyle dobrego przynajmniej, że nim zaczęło się zabijanie, kazał swoim zbrojnym wyprowadzić rodzinę. Przynajmniej nikt poza mną nie musiał tego widzieć, chociaż musieliby już być naprawdę daleko, żeby nie słyszeć krzyków. Przynajmniej Dąb nie będzie wyrastał, tak jak ja, w cieniu nagłej śmierci.

Nie ruszam się, dopóki nie ucichnie łomotanie mego serca. Muszę wydostać się z pałacu pod Wzgórzem. Zabawa dopiero się rozkręca, a bez króla, który zasiadałby na tronie, niewiele brakuje, żeby jej uczestnicy zechcieli się oddawać wszelkim rozrywkom, jakie im tylko przyjdą do głowy. Wydaje mi się, że to nie najlepszy czas i miejsce dla śmiertelników.

Próbuję sobie przypomnieć rozkład sali tronowej, to, co widziałam spod sklepienia, gdy się tam znalazłam w towarzystwie Ducha. Chodzi o to, żeby odtworzyć z pamięci, gdzie znajdują się wejścia do głównej części zamku.

Gdyby udało mi się odnaleźć któregoś ze strażników i przekonać go, że jestem pod opieką Madoka, być może odprowadziliby mnie bezpiecznie do domu, do reszty rodziny. Tylko że ja nie chcę tam wracać. Nie chcę widzieć Madoka zbryzganego krwią, siedzącego u boku Balekina. Nie chcę udawać, że to, co się wydarzyło, nie jest potwornością. Nie chcę skrywać wstrętu.

Jest inne wyjście. Mogę przepęłnić pod stołami aż do schodów, a potem wspiąć się po nich do owej skalnej półki opodal gabinetu strategicznego Madoka. Liczę, że stamtąd uda mi się przekraść do części zamku, w której prawdopodobnie teraz nikogo nie ma – tam, gdzie znajdują się wejścia do tajnych tuneli. Stamtąd będę już mogła wydostać się, nie obawiając się strażników ani nikogo innego. Adrenalina już tętni w moim ciele, które rwie się do działania, ale choć stworzyłam pozory, planem tego jeszcze nazwać nie można. Co z tego, że wydostanę się z pałacu, skoro nie mam dokąd potem iść.

Potem coś wymyślisz – ponagla mnie instynkt.

Dobrze, połowa planu wystarczy. Lepsze to niż nic.

Na czworakach, nie dbając o suknię ani o to, że pochwa mojego miecza wlecze się po udeptanej ziemi – posuwam się do przodu. Nad sobą słyszę muzykę. Słyszę też inne odgłosy – na przykład chrzęst, który może oznaczać miażdżenie w potężnych zębiskach grubych kości, skowyt, wycie. Nie

zwracam na to wszystko uwagi.

Nagle obrus unosi się, przez chwilę oślepiam mnie blask światła i ktoś zamaskowany chwyta mnie za ramię. Jestem skulona pod stołem, niełatwo w tej pozycji dobyć miecza, sięgam więc po nóż ukryty w gorscie. Już mam zadać cios, kiedy rozpoznaję te pretensjonalne buty z ostrogami na czubach.

Cardan. Jedyna istota, która może ukoronować Balekina. Jedyny prócz niego pozostały przy życiu potomek rodu Kolcowojów. Z całą pewnością szukają go teraz po całej Krainie Elfów, a tu proszę, książętko snuje się pośród biesiadników w dyskretnej półmaseczce srebrnego lisa jak gdyby nigdy nic, mruga w pijackim zamroczeniu, odrobinę się zatacza. Omal nie wybucham śmiechem. Już takie moje szczęście, że akurat na niego wpadłam.

– Jesteś śmiertelniczką – powiadamia mnie. W drugiej ręce księcia widzę pusty kubek przechylony do góry dnem, pewnie w ogóle zapomniał, że go trzyma. – Tutaj jest dla ciebie niebezpiecznie. Zwłaszcza jak będziesz mi tu wymachiwać nożem.

– Dla mnie jest niebezpiecznie?

Pomijając już, jak absurdalnie to brzmi wobec gwałtownego zgonu jego ojca i rodzeństwa, nie pojmuję, skąd nagle u niego taka troska o moje bezpieczeństwo, skoro dotąd zajęty był głównie tym, żeby mu zagrazać. Próbuję napominać samą siebie, że pewnie jest wstrząśnięty i zrozpaczony i może to dlatego zachowuje się dziwnie, ale jakoś trudno sobie wyobrazić, że mógłby rozpaczać po kimkolwiek. Najpierw ktokolwiek musiałby go choć odrobinę obchodzić. Teraz na przykład najwyraźniej nie obchodzi go nawet własne bezpieczeństwo.

– Schowaj się, zanim ktoś cię rozpozna – syczę do niego.

– Chcesz się ze mną bawić w chowanego pod stołem? Mam się babrać w pył i proch? To zaiste dobre dla twojego gatunku, lecz o wiele poniżej mojej godności.

Śmieje się, jakby się spodziewał, że i mnie to rozbawi.

Jakoś mnie tym nie rozśmieszył. Zaciskam pięść i walę go w brzuch, dokładnie tam, gdzie trzeba, żeby zwinął się z bólu. Opada na kolana, kubek wypada mu z dłoni, rozlega się pusty metaliczny brzęk.

– Oooch! – stęka, a potem już się nie opiera, gdy wciągam go pod stół.

– Wydostaniemy się stąd niepostrzeżenie, nikt nas nie zauważy – mówię szeptem. – Dostaniemy się pod stołami do schodów, potem przejdziemy do górnej części pałacu. I nie mów mi, że pełzanie jest poniżej twojej godności.

Jesteś tak pijany, że i tak ledwie trzymasz się na nogach.

Słyszę jego wzgardliwie parsknięcie.

– Skoro tak ci na tym zależy – odpowiada.

Jest zbyt ciemno, żeby widzieć wyraz jego twarzy, a zresztą i tak jest zakryta maską.

Idziemy więc na czworakach, a nad nami brzmią ballady i pijackie pieśni, krzyki i szepty, rytmiczny odgłos tańczących stóp. Serce wciąż mi wali od tego rozlewu krwi, od tego, że Cardan jest tak blisko, a trochę też z emocji, że uderzyłam go i nic mi się nie stało. Uważam na niego, cały czas sprawdzam, czy pełźnie za mną. W nozdrzach czuję zapach ubitej ziemi, rozlanego wina i krwi. Myśli rozpoczynają gonitwę, czuję, że zaraz zacznę się trząść. Przygryzam mocno wargę, żeby sprawić sobie ból – żeby mieć na czym się skupić.

Muszę wziąć się w garść. Nie mogę się teraz rozsypać, nie kiedy Cardan mnie widzi.

Zdecydowanie nie pora na to, zwłaszcza że zaczyna mi się w głowie układać pewien plan, a ostatni z książąt jest jego istotną częścią.

Spoglądam za siebie; widzę, że się zatrzymał. Siedzi na ziemi, patrzy na swoją dłoń. Na pierścień.

– On mną gardził.

Mówi to tonem niedbałym, jakby prowadził zdawkową konwersację. Jakby zapomniał, gdzie się znajduje.

– Balekin? – pytam, bo pamiętam, co widziałam w Próżnym Dworze.

– Nie, mój ojciec – prycha Cardan. – Tamtych za bardzo nawet nie znałem, mówię o moich braciach i siostrach. Czy to nie zabawne? A książę Dain nie życzył sobie mojej obecności w pałacu, więc musiałem się wynieść.

Milczę, czekam, nie wiem, co mogłabym na to powiedzieć. To dla mnie nowość, bo niespodziewanie Cardan zachowuje się zupełnie tak, jakby miał jakieś uczucia.

Chwilę potem dochodzi do siebie. Jego spojrzenie lśni w ciemności, skupia się na mnie.

– A teraz oni wszyscy nie żyją. Za sprawą Madoka, czcigodnego generała. Jak mogli być tak naiwni, żeby mu zaufać? Ach, zresztą twoja matka przekonała się o tym już dawno temu, nieprawdaż?

Mrużę powieki.

– Czołgaj się.

Unosi się kącik jego ust.

– Ty pierwsza.

Wędrujemy na czworakach, przebywamy całą drogę pod stołami, aż wreszcie jesteście już tak blisko schodów, jak tylko się da. Cardan odgarnia obrus, po czym podaje mi dłoń gestem pełnym wielkopańskiej galanterii. Pewnie by powiedział, że robi to dla zachowania pozorów, ale oboje wiemy, że w ten sposób kpi sobie ze mnie. Wstaję, nie dotykając jego ręki.

Teraz liczy się tylko to, żeby wydostać się z sali tronowej, zanim uczta nie przerodzi się w powszechną jatkę, zanim ktoś nie uzna, że zabawnie byłoby się ze mną zabawić, zanim ktoś, kto nie życzy już sobie władzy Najwyższej Korony, nie wypruje z Cardana flaków.

Ruszam w stronę schodów, ale Cardan chwyta mnie za rękę.

– Nie, nie tak. Rycerze twojego ojca cię rozpoznają.

– Przecież nie mnie szukają – przypominam mu.

Choć maska zasłania większą część jego twarzy, widać, że marszczy czoło. Widać to zresztą też po grymasie jego ust.

– Gdy zobaczą twoją twarz, mogą wykazać nadmierne zainteresowanie osobą ci towarzyszącą.

To irytujące, ale ma rację.

– Jeżeli cokolwiek o mnie wiedzą, to przede wszystkim to, że na pewno ty byś nią być nie mógł. – Śmieszne, że to mówię, bo przecież właśnie stoimy obok siebie. Czuję się jednak nieco lepiej, kiedy już to powiedziałam. Wzdycham, rozpuszczam warkocze, przesuwam dłońmi włosy, tak że zasłaniają mi twarz.

– Wyglądasz... – mówi, po czym macha ręką, mruga kilkakrotnie, najwyraźniej nie mając zamiaru dokończyć zdania. Uznaję, że sztuczka z włosami powiodła się lepiej, niż oczekiwałam.

– Zaczekaj chwilę – mówię i daję nura w tłum. Jest to dość ryzykowne, ale zdaję sobie sprawę, że bezpieczniej będzie zasłonić twarz. Dostrzegam nieznaną pixie w czarnej aksamitnej masce. Podnosi właśnie do ust wróble serduszko na długiej szpili. Podchodzę na palcach, staję za nią, rozcinam wstążki i chwytam maskę, nim upadnie na podłogę. Odwraca się, rozgląda, patrzy, gdzie upadła jej maska – ale mnie już tam nie ma. Zaraz przestanie szukać i zajmie się następnym smakołykiem. Mam nadzieję. W końcu to tylko maska.

Wracam do Cardana, który znów wlewa w siebie wino, jednocześnie paląc

mnie spojrzeniem. Nie mam pojęcia, co takiego we mnie widzi, czego się dopatruje. Strużka zielonego napoju spływa mu po policzku. Sięga po srebrny dzban, żeby nalać sobie znowu.

– Idziemy – mówię, teraz ja chwytam go za rękę.

Jesteśmy już przy schodach, kiedy drogę zastępują nam trzej zbrojni.

– Idźcie się zabawiać gdzie indziej – mówi któryś z nich. – Tędy wiedzie droga do pałacowych apartamentów, pospólstwu wstęp zakazany.

Niemal czuję, jak Cardan sztywnieje, bo to głupiec i bardziej go obchodzi, że ktoś wziął go za przedstawiciela niższych warstw, niż to, że komuś grozi niebezpieczeństwo, nawet gdy tym kimś jest, niestety, on sam. Ciągnę go za rękę.

– Tak jest, oczywiście – odpowiadam, próbując go nakłonić, żebyśmy stąd poszli, zanim zrobi coś, czego oboje pożałujemy.

Cardan jednak ani drgnie.

– Mylicie się bardzo co do mnie, mój pocziwcze.

Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się.

– Najwyższy Król Balekin pozostaje w przyjaznych stosunkach z dworem, do którego należy ta oto dama – oznajmia Cardan, srebrnousty pod maską srebrnego lisa. Na jego ustach widnieje niedbały uśmiezek. Przemawia językiem klas wyższych, wyniosłym tonem, z niedbałym gestem, jakby wszystko to do niego należało. Jest pijany, ale i tak robi to nadzwyczaj przekonująco. – Słyszeliście może o królowej Gliten z Południowego Zachodu. Balekin posłał wiadomość dotyczącą zaginionego księcia i oczekuje odpowiedzi.

– Zapewne posiadasz, panie, jakiś na to dowód? – Zbrojny przemawia już całkiem innym tonem.

– Ależ oczywiście. – Cardan wyciąga w jego stronę zaciśniętą dłoń i otwiera ją, by ukazać lśniący królewski pierścień. Zupełnie nie wiem, kiedy zdążył go zdjąć z palca, w każdym razie nie miałam pojęcia, że ma tak zręczne dłonie, zwłaszcza w stanie skrajnego upojenia. – Dano mi to, abyście wiedzieli, kim jestem.

Na widok pierścienia rozstępują się bez słowa.

Z uśmiezkiem zarazem uprzedzająco grzecznym, ale i wzgardliwym Cardan chwytam mnie za ramię, prowadzi na schody. Zaciskam zęby, ale nie mam wyboru. Zaczynamy już wchodzić po stopniach – i dzieje się to dzięki niemu.

– Ej, a co z tą śmiertelniczką? – woła za nami strażnik. Cardan łaskawie odwraca się do niego.

– No cóż, mój pocziwcze, jednak nie całkiem się co do mnie mylicie. Zamierzam nieco się zabawić – mówi.

Odpowiadają mu porozumiewawcze uśmiechy.

Mogę się wściekać, ale muszę przyznać, że Cardan po mistrzowsku operuje słowami. Zgodnie z pokrętnymi zasadami rządzącymi elfowym językiem, wszystko, co powiedział, jest w zasadzie prawdą – rzecz jasna, prawdą na tyle, na ile trzymać się dosłownych znaczeń poszczególnych wyrazów. Balekin jest przyjacielem Madoka, a ja należę do dworu Madoka, jeśli nieco naciągnąć kwestię owych znaczeń. Jestem więc damą z tego dworu. Można też przypuszczać, że rycerze słyszeli o królowej Gliten, bo mało kto o niej nie słyszał. Nie wątpię też, że Balekin naprawdę czeka na wiadomość o zaginionym księciu. Prawdopodobnie wręcz nie może się doczekać jakichkolwiek wieści o nim. Nikt też nie mógłby twierdzić, że pierścień Cardana nie świadczy o tym, kim jest.

Co do tego zaś, że zamierza się zabawić – to może znaczyć cokolwiek.

Cardan jest sprytny, ale nie budzi przez to większego zaufania. Jego błyskotliwe wykręty zanadto mi przypominają moje własne kłamstwa. Chwilowo to bez znaczenia, jesteśmy wolni. Za nami z każdą chwilą narasta zgiełk uczyty, która miała być świętem intronizacji nowego Najwyższego Króla: coraz głośniejsze krzyki, coraz większe zapamiętanie w niekończących się tańcach. Spoglądam jeszcze raz za siebie na morze ciał i skrzydeł, czarnych oczu i ostrych zębów.

Przechodzi mnie dreszcz.

Wchodzimy po schodach. Pozwalam mu trzymać się za ramię i prowadzić. Pozwalam mu otwierać drzwi, do których ma klucze. Pozwalam robić, co chce. A potem, kiedy jesteśmy już w pustym korytarzu na górnym poziomie, odwracam się i przykładam ostrze noża do jego szyi, tuż pod brodą.

– Jude? – odzywa się, przyciśnięty do ściany; wymawia moje imię starannie, jakby się obawiał zniekształcić je w pijackim bełkocie. Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby je wymówił na głos.

– Dziwisz się? – pytam, szczerzę do niego zęby w uśmiechu. Zarozumiałe elfowe książątko, mój najgorszy wróg, wreszcie w mojej mocy. Jest mi z tym jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażałam. – Nie powinieneś się dziwić.

ROZDZIAŁ 22



Przyciskam mocnej, żeby poczuł ukąszenie ostrza. Czarne oczy wpatrują się teraz intensywniej.

– Dlaczego? – pyta. Tak po prostu.

Rzadko mi się zdarza tak upojne uczucie. Muszę się skupić, żeby mi nie uderzyło do głowy, bo jest równie niebezpieczne jak wino.

– Dlatego, że masz wyjątkowego pecha, a mnie się akurat poszczęściło. Rób, co ci każę, to odłożę sobie na później przyjemność poderżnięcia ci gardła.

– Korci cię, żeby dzisiejszej nocy przelać jeszcze trochę królewskiej krwi? – pyta kpiącym tonem, wykonuje przy tym ruch, jakby chciał się uwolnić od nacisku noża. Poruszam się razem z nim, klinga nadal dotyka jego krtani. Peroruje dalej: – Masz za złe, że nikt cię nie zaprosił do udziału w rzezi?

– Jesteś pijany – mówię.

– Och, wielka mi nowina. – Opiera głowę o kamienną ścianę, zamyka oczy. Światło pobliskiej pochodni sprawia, że jego czarne włosy przybierają

brązowawy odcień. – Ty naprawdę sądzisz, że pozwolę ci się zawlec przed oblicze generała jak jakiś parias z niższych...

Naciskam mocniej. Wciąga powietrze, urywa w pół zdania i wybucha gorzkim śmiechem.

– Oczywiście – podejmuje, kpiąc tym razem z samego siebie: – Oczywiście, przecież leżałem nieprzytomny, kiedy wymordowano mi rodzinę. Trudno niżej upaść.

– Przestań tyle gadać – mówię, odganiając od siebie precz wszelką myśl o współczuciu dla niego. On nigdy mi nie współczuł. – Idziemy.

– Bo co? – pyta, wciąż nie otwierając oczu. – Przecież mnie nie zarzniesz.

– Kiedy ostatnio widziałeś swojego kochanego przyjaciela Valeriana? – pytam szeptem. – Dziś chyba raczej nie, a przecież nieobecność w czasie koronacji to wielki despekt poczyniony królewskiej rodzinie. Czy to cię nie zastanowiło?

Otwiera oczy. Patrzy trzeźwiej, zupełnie jakbym go spoliczkowała.

– Owszem, zastanowiło. Gdzie on jest?

– Gnije w ziemi. Zabiłam go, a potem zakopałam. Lepiej więc dla ciebie, żebyś mi uwierzył. Choć wydaje się to nieprawdopodobieństwem, przypadkowo jesteś teraz najważniejszą osobą w całym Elysium. Ten, kto ma cię swoich rękach, może mieć władzę. A ja chcę władzy.

– Pewnie rzeczywiście miałaś wtedy rację. – Przygląda się mojej twarzy, nie zdradzając żadnego uczucia. – Chyba istotnie nie zdawałem sobie sprawy, do czego jesteś zdolna.

Staram się nie okazać, że jego spokój wytrąca mnie z równowagi. Czuję się tak, jakby nie dość było tego noża w dłoni, jakby to było za mało, żeby go przekonać. Kusi mnie więc, żeby go zranić i przekonać siebie samą, że można w nim obudzić strach. Nie powinnam tak myśleć, przecież dopiero co stracił całą rodzinę.

Nie wątpię jednak, że wykorzysta każdą najmniejszą oznakę słabości z mojej strony i że litość jest największą słabością.

– Dobra, rusz się wreszcie – mówię szorstkim tonem. – Idź do pierwszych drzwi, otwórz je. Za nimi będzie szafa, do której wejdziemy. To jest tajemne przejście.

– Dobrze, jak sobie chcesz – odburkuje, próbując odsunąć nóż.

Trzymam broń mocno, więc ostrze kaleczy palec Cardana. Klnie i wsadza palec do ust.

– Po co to było?

– Dla zabawy – odpowiadam, po czym powoli odsuwam sztych od jego gardła. Wykrzywiam wargi i przywdziewam maskę zimnego okrucieństwa, które znam tak dobrze z oblicza prześladowającego mnie w koszmarach. Dopiero kiedy to robię, uświadamiam sobie, kogo małpuję, czyja twarz przeraża mnie do tego stopnia, że zechciałam ją sobie przywłaszczyć.

Jego twarz.

Moje serce wali tak mocno, że aż mnie mdli.

– Może wreszcie byś mi powiedziała, dokąd idziemy? – pyta, gdy popycham go drugą ręką.

– Nie. Idź już. – To warknięcie w moim głosie jest już naprawdę moje własne. Nie do wiary, ale posłusznie rusza przed siebie chwiejnym krokiem przez korytarz i do wskazanego przeze mnie miejsca. Kiedy dochodzimy do ukrytego korytarza, posłusznie wchodzi do szafy – rzucając mi tylko przez ramię nieprzeniknione spojrzenie. Może jest bardziej pijany, niż mi się wydawało.

Bez znaczenia. Wkrótce wytrzeźwieje.



Kiedy znajdujemy się już w mateczniku Dworu Cieni, przywiązuję księcia Cardana do krzesła, wykorzystując oddarte pasy tkaniny z mojej sukni. Potem zdejmuję jego maskę i swoją. Nie opiera się, pozwala na wszystko, tylko ma dziwną minę. Jesteśmy sami; nie mam pojęcia, kiedy ktoś się zjawi, o ile w ogóle ktoś jeszcze przyjdzie.

To również bez znaczenia. Poradzę sobie i bez nich.

Bądź co bądź dotąd wszystko przebiegło po mojej myśli. Gdy tylko zobaczyłam Cardana, od razu wiedziałam, że przejęcie nad nim kontroli to jedyny sposób, by móc wyrzec jakikolwiek wpływ na swój los w tym świecie.

Myślę o tym, co ślubowałam Dainowi, szczególnie zaś o tym, co obiecałam samej sobie, a czego nigdy nie wypowiedziałam na głos: zamiast się bać, stanę się kimś, kogo inni będą się lękać. Skoro Dain nie zapewni mi władzy, muszę sama po nią sięgnąć.

Niewiele czasu spędziłam w kryjówce Dworu Cieni, więc nie znam

sekretów tego miejsca. Przemierzam komnatę, otwieram ciężkie drewniane drzwi, zaglądam do szafek – staram się zorientować, co mam do dyspozycji. Natrafiam na spiżarnię pełną nie tylko trucizn, ale i serów i kiełbas. Znajduję salę ćwiczebną wysypaną drobnymi trocinami, a na jej ścianach broń. Pośrodku sali stoi nowiutki drewniany manekin, na którego twarzy ktoś nabazgrał złowieszczy uśmiech. Zaglądam do pokoju na tyłach, gdzie sporządzono cztery barłogi, stoi tam kilka kubków, na podłodze leżą rozrzucone ubrania. Niczego nie dotykam, dopóki nie trafiam do pokoju, w którym widzę biurko. Biurko Daina, na nim zwoje papierów, pióra, wosk do pieczętowania.

Przez chwilę przygniata mnie ciężar potworności tego, co się stało. Księcia Daina już nie ma i nigdy nie będzie, odszedł na zawsze. A razem z nim – jego ojciec i siostry.

Wracam do głównej sali, ciągnę Cardana na krzesło do gabinetu, stawiam przy otwartych drzwiach, żeby móc cały czas mieć go na oku. Ze ściany w pokoju ćwiczebnym zdejmuję ręczną kuszę i zaopatruję się w kilka bełtów. Gotową do strzału broń kładę przed sobą, zasiadam w fotelu Daina, podpieram rękami brodę.

– Skoro już mnie tak opakowałaś, to chyba jesteś zadowolona, co? Może więc w końcu mi powiesz, gdzie jesteśmy?

Mam ochotę tłuc Cardana i tłuc, aż zdołam zetrzeć z jego twarzy ten wyraz lekceważenia. Gdybym jednak sobie na to pozwoliła, zrozumiałaby, jak bardzo się go obawiam.

– Tutaj spotykali się szpiedzy księcia Daina – powiadamiam księcia.

Muszę wyzbyć się lęku. Trzeba się skoncentrować. Cardan jest tylko narzędziem, atutem w przetargu.

Rzuca mi dziwne, zaskoczone spojrzenie.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? I co cię napadło, żeby mnie tu sprowadzić?

– Zastanawiam się, co robić dalej – przyznaję.

Niechętnie, lecz szczerze.

– A co będzie, jak któryś ze szpiegów tu przyjdzie? – pyta; informacja chyba wybiła go z otępienia, wyraźnie trochę się zaniepokoił. – Zastaną cię w swojej kryjówce i...

Widząc mój uśmieszek, urywa, teraz jest naprawdę zdumiony. Dokładnie widzę, w którym momencie uświadamia sobie, że jestem tu u siebie.

Milczy.

Nareszcie. Nareszcie udało mi się go poskromić.

Robię coś, na co nigdy przedtem bym się nie poważyła. Przeglądam zawartość biurka księcia Daina. Są tam całe grube pliki korespondencji. Listy. Notatki ani nie skierowane do Daina, ani nie napisane jego ręką, prawdopodobnie wykradzione. Prócz tego – notatki Daina: decyzje, zagadki, projekty zarządzeń. Zaproszenia. Formalne i prywatne listy, również kilka od Madoka. Nie bardzo nawet wiem, czego szukam. Po prostu przeglądam wszystko pospiesznie, jak najprędzej, byle znaleźć cokolwiek, co pomogłoby mi zrozumieć, dlaczego został zdradzony.

Przez całe moje życie w tej krainie nieodmiennie towarzyszyło mi przekonanie, że Najwyższy Król i księżę Dain są niekwestionowanymi władcami. Sądziłam, że Madok jest wobec nich całkowicie lojalny. Ani razu w głowie nie zrodziła mi się najmniejsza choćby buntownicza myśl. Owszem, zdawałam sobie sprawę z krwiożerczości Madoka. Chyba wiedziałam, że pragnie nowych zdobyczy, nowych wojen, kolejnych bitew. Zdawało mi się jednak, że dążenie do wojny to część jego roli jako głównodowodzącego, natomiast rolą najwyższego monarchy było te dążenia kiełznać. Madok rozprawiał o honorze, obowiązkach, powinności żołnierskiej. W tym duchu wychował mnie i Taryn, wydawało się więc logiczne, że gotów jest wiele w imię tych wartości poświęcić.

Nie miałam natomiast wrażenia, że Madok choćby lubi Balekina.

Przypominam sobie martwą posłanniczkę, którą sama zastrzeliłam, i wiadomość, którą niosła – zabić tego, kto przyniesie tę wiadomość. Czy jakoś tak. To była zasłona dymna, zapewne jedno z wielu działań mających na celu zdezorientowanie szpiegów Daina, abyśmy gonili za własnym ogonem, podczas gdy Balekin i Madok planowali tymczasem zabójcze uderzenie w czasie i miejscu, którego nikt się nie domyślał: otwarcie, na oczach wszystkich.

– Czy wiedziałeś? – pytam Cardana. – Czy wiedziałeś, co Balekin zamierzał zrobić? Czy dlatego podczas koronacji odłączyłeś się od reszty rodziny?

Cardan śmieje się głośno.

– Jeżeli tak myślisz, to powiedz mi, dlaczego nie pobiegłem prosto w ramiona umiłowanego Balekina?

– Odpowiedz, mimo wszystko – nalegam.

– Nie, nie wiedziałem. A ty? Jak by nie było, Madok to twój ojciec.

Sięgam po sztabkę wosku leżącą na biurku Daina, jeden jej koniec jest poczerwiała.

– Jakie ma znaczenie, co powiem? Przecież mogłabym skłamać.

– Odpowiedz, mimo wszystko – powtarza moje słowa, a potem ziewa.

Naprawdę mam ochotę go walnąć.

– Nie, ja też nie wiedziałam – przyznaję, nie patrząc już na niego. Spoglądam za to na stos papierów, odciski w wosku. – A powinnam była wiedzieć.

Podchodzę do Cardana, kucam, zaczynam zdejmować z jego palca królewski pierścień. Próbuje wyrwać dłoń z mojego uchwytu, ale jest przywiązany tak, że nie może tego zrobić. Po chwili mam już pierścień w dłoni.

Nienawidzę tego uczucia, tej bezrozumnej paniki, kiedy dotykam jego skóry.

– Pożyczę tylko sobie ten głupi pierścień – mówię.

Sygnet idealnie pasuje do odcisku na pieczęci listu. Widocznie pierścienie wszystkich książąt i księżniczek są takie same. Z tego wniosek, że pieczęć jednego jest identyczna z pieczęcią innego. Sięgam po czystą kartę i zaczynam pisać.

– Nie macie tutaj przypadkiem czegoś do picia? – pyta Cardan. – Spodziewam się, że wkrótce z waszej strony czeka mnie wiele nieprzyjemności, chciałbym więc pozostać nietrzeźwym, aby móc łatwiej je znieść.

– Myślisz, że obchodzi mnie, jak to zniesiesz?

Słyszę odgłos kroków, wstaję. Ze wspólnej sali dobiega brzęk tłuczonego szkła. Wsuwam pierścień Cardana za gorset, gdzie uciska mnie i wpija się w skórę. Biegnę do sieni. Karakan zrzucił z półki słoiki, rozbił szafkę. Na kamiennej podłodze pośród stłuczonego szkła dostrzegam rozlane roztwory i napary. Mandragora. Wężowa ageratina. Ostróżka skowroncza. Duch chwytą właśnie Karakana za ramię, chcąc powstrzymać przed dalszym demolowaniem wnętrza. Robi to, mimo że jest ranny, a po jego nodze ścieka krew, porusza się sztywno. Widać po nim, że była to noc walki.

– Hej – odzywam się.

Obaj są zaskoczeni moim widokiem. A potem jeszcze bardziej, kiedy widzą w gabinecie Daina księcia Cardana przywiązanego do krzesła.

– Chyba powinnaś świętować razem z ojcem – rzuca gniewnie Duch. Słowa jak wymierzony mi policzek. Dotąd zawsze był wzorem doskonałego, wręcz nienaturalnego spokoju. Teraz żaden z nich spokojny nie jest. – Bomba jeszcze nie wróciła, oboje, narażając życie, wyratowali mnie z donżonu Balekina. Wracamy i co? Widzimy, jak się chełpisz.

– Nie! – protestuję. – Zastanów się przez chwilę. Gdybym wiedziała, co ma się wydarzyć, gdybym była po stronie Madoka, przybyłabym tu bez wątpienia w towarzystwie licznego oddziału zbrojnych. Obaj zginęlibyście już w drzwiach. Raczej nie zjawiałabym się tu sama i nie przyprowadzałabym więźnia, którego mój ojciec tak bardzo pragnie dostać w swoje ręce.

– Spokój, oboje. Wszyscy jesteśmy wykończeni – wtrąca Karakan, taksując wzrokiem szkody, jakich dopiero co narobił. Potrząsa głową, po czym idzie w stronę Cardana. Przygląda się twarzy księcia. Jego czarne wargi rozciągają się w szerokim uśmiechu, ukazując zęby. Zaraz potem zwraca się do mnie, i to z wyraźnym uznaniem. – Chociaż nie, wygląda na to, że ktoś z nas jednak zachował przytomność umysłu.

– No, dzień dobry – odzywa się Cardan do Karakana tak, jakby siedzieli razem przy herbatce.

Strój Cardana jest w nieładzie – od pełzania pod stołami oraz od tego, że został schwytyany i skrepowany; jego niesławny ogon wystaje spod białej poły koszuli. Jest cienki, niemal bezwłosy, tylko koniec zdobi kępka kłaków. Patrząc, jak wije i skręca się nerwowo, trzepie na prawo i lewo – chwost przeczy kamiennej twarzy właściciela, opowiada własną historię o niepewności i strachu.

Teraz rozumiem, dlaczego tak go skrywa.

– Księcia trzeba zabić – mówi Duch. Kuśtyka w jego stronę, odgarnia jasnobrązowe włosy z czoła. – Jest ostatnią osobą z królewskiej rodziny, która mogłaby założyć koronę na skronie Balekina. Bez Cardana Balekin poniesie klęskę, nigdy nie zasiądzie na tronie. W ten sposób pomścimy Daina.

Cardan szybko wciąga powietrze, potem powoli wypuszcza je nosem.

– Wolałbym żyć.

– Pamiętaj, że my już nie pracujemy dla Daina – przypomina Duchowi Karakan, rozdyma nozdrza długiego jak zakrzywiony nóż zielonego nosa. – Dain nie żyje, więc teraz trony i korony mało go obchodzą. Trzeba

odsprzedać księcia, wziąć za niego, ile się da, i wiać. Zaczepić się na jakimś pośledniejszym dworze albo pośród wolnego ludku. Kiedy masz złoto, można się zabawić. Ciebie też możemy wziąć ze sobą, Jude. Jeśli zechcesz.

Kusząca oferta. Spalić za sobą wszystkie mosty. Uciec. Zacząć gdzieś od nowa, tam gdzie nie zna mnie nikt oprócz Ducha i Karakana.

– Nie chcę pieniędzy Balekina – mówi Duch, spluwając na podłogę. – A pod jakimkolwiek innym względem książątko na nic nam się nie przyda. Za młody, nic nie znaczy. Jeżeli nie za Daina, to zabijmy go dla dobra całej Krainy Elfów.

– Za młody, nic nie znaczy, ma paskudny charakter – uzupełniam.

– Zaraz – wtrąca Cardan. Wiele razy w wyobraźni widziałam jego strach, lecz rzeczywistość przerasta te marzenia. To rozkosz patrzeć, jak jego oddech przyspiesza, jak Cardan szarpie się w moich starannie zaciągniętych węzłach. – Chwilę! Powiem wszystko, co wiem, wszystko o Balekinie. Wszystko, co chcecie. Jeżeli trzeba wam złota i bogactw, dostaniecie, ile dusza zapragnie. Znam drogę do skarbcza Balekina. Mam dziesięć kluczy do dziesięciu zamków pałacu. Mogę wam się przydać.

Tylko w moich snach Cardan był taki – bezsilny, żałosny, nadskakujący.

– Co wiedziałeś o planach swojego brata? – pyta Duch. Odrywa się od ściany, wyraźnie kuleje.

Cardan stanowczo kręci głową.

– Tylko tyle, że Balekin nie cierpiał Daina. Ja zresztą także, bo był wyjątkowo godny pogardy. Nie wiedziałem, że udało mu się przekonać o tym Madoka.

– Godny pogardy? Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam oburzona, choć rana na dłoni długo jeszcze będzie się goić. W moim poczuciu śmierć Daina najwyraźniej zmyła jego winy.

Cardan rzuca mi nieprzeniknione spojrzenie.

– Dain otruł własne dziecko. Mało? Tak, kiedy było jeszcze w łonie matki, długo urabiał naszego ojca, aż końcu ojciec wierzył już tylko jemu. Spytał ich – szpiegdy Daina na pewno wiedzą, jak go przekonał, że Elowyn przeciwko niemu spiskuje, a Balekin jest głupcem. To Dain się postarał, by wydalono mnie z pałacu, bym musiał zamieszkać u starszego brata albo zostać bez dachu nad głową. Nakłonił ojca do rezygnacji z tronu, po tym jak przez dłuższy czas zatruchiwał mu wino, aż ojciec poczuł się zmęczony i chory – rzecz jasna, temu klątwa korony nie mogła przeciwdziałać.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Myślę o Liriope, o liście, o tym, że Balekin szukał dowodu na to, kto miał taką a nie inną truciznę. Niemożliwe jednak, żeby Eldred był podtruwany grzybem rumienia.

– Spytaj, spytaj swoich przyjaciół – powtarza Cardan, ruchem głowy wskazując najpierw Karakana, potem Ducha. – Na pewno jeden albo drugi z nich posłużył się tą trucizną, która spowodowała śmierć dziecka i jego matki.

Potrząsam głową, ale zauważam, że Duch unika mojego spojrzenia.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Bo spółdził dziecko z nałożnicą Eldreda i bał się, że to wyjdzie na jaw, a ojciec wówczas wybierze innego z nas jako swojego następcę. – Cardan wygląda na zadowolonego, że udało mu się mnie zaskoczyć. Właściwie zaskoczył nas, sądząc po tym, co widzę na twarzach Karakana i Ducha. Nie jestem pewna, czy mi się podoba, jak teraz na niego spoglądają – tak jakby pomалу dochodzili do wniosku, że książętko jednak przedstawia sobą pewną wartość. – Nawet królowi elfów może się nie spodobać, gdy jego miejsce w łóżnicy zajmie własny syn.

Nie powinno być dla mnie żadnym wstrząsem, że na dworze elfowego króla panuje takie zepsucie i dzieją się potworne rzeczy. Przecież wiedziałam o tym; tak samo jak wiedziałam, że Madok potrafi przelać krew bliskich osób i że Dain nie jest ucieleśnieniem dobroci. Raczej nieprędko zapomnę, że zmusił mnie, bym przebiła nożem własną dłoń. Przyjął mnie do służby, bo mogłam być użyteczna, nic więcej.

Elfowie są piękni, ale to piękno jest jak ścierwo złotego jelenia; pod skórą roją się zżerające padlinę robaki, gotowe w każdej chwili wypełznąć na powierzchnię.

Mdli mnie od smrodu krwi. Krew jest na mojej sukni, mam ją pod paznokciami, w nosie. Jak niby miałabym stać się gorsza od elfów?

Hm, sprzedać księcia Balekinowi. Zastanawiam się nad tym. Balekin stałby się moim dłużnikiem. Przyjąłby mnie na swój dwór, tak jak tego kiedyś pragnęłam. Dałby mi wszystko, co mógł mi zaoferować Dain, i znacznie więcej: posiadłości, rycerskie ostrogi, znak miłości na czole – by kto na niego spojrzy, oszalał z pożądania. Miecz, który za każdym ciosem tka plecionkę czaru.

Teraz jednak żadna z tych rzeczy już nie wydaje mi się godna zachodu.

Żadna z nich nie zapewnia prawdziwej władzy. Prawdziwej władzy nie można od kogoś dostać. Prawdziwej władzy nie można nikomu odebrać.

Zastanawiam się, jak by to wyglądało, gdyby Najwyższym Królem został Balekin, gdyby Krąg Wilg zastąpił wszystkie inne stronnictwa. Myślę o jego wynędzniałych sługach i o tym, jak zachęcał brata, żeby jednego z niewolników zabił, i jak kazał wychłostać Cardana, prawiąc jednocześnie o umiłowaniu rodziny.

Nie, jakoś nie widzę się w służbie księcia Balekina.

– Przypominam, że księżę Cardan jest moim więźniem – odzywam się, przechadzając się tam i z powrotem. Niewiele jeszcze umiem, w szpiegowskim fachu radzę sobie dopiero od niedawna i nie bardzo mam ochotę z tego zrezygnować. – Ponieważ zaś jest moim więźniem, to ja zadecyduję o jego losie.

Karakan i Duch spoglądają po sobie.

– Chyba że będziemy walczyć – mówię, bo oni nie są moimi przyjaciółmi i muszę o tym pamiętać. – Tylko że to ja mam dostęp do Madoka. Przez niego mam dostęp do Balekina. Dlatego jestem najlepszą osobą do prowadzenia z nimi układów.

– Jude – napomina mnie Cardan ze swojego krzesła, ale teraz już wszystkie ostrzeżenia są na nic, zwłaszcza te płynące z jego ust.

Chwila napięcia, ale Karakan zaraz wykrzywia się w uśmiechu.

– Nie, dziewczynko, bić się nie będziemy. Jeżeli masz jakiś plan, to się bardzo cieszę. Ja tam na przykład słaby jestem w planowaniu, chyba że chodzi o to, jak wydlubać klejnociki z ładnej oprawy. Ty skradłaś księciunia, a więc to twoja gra – jeśli uważasz, że dasz sobie radę.

Duch marszczy czoło, ale się nie sprzeciwia.

Chodzi teraz o to, żeby wszystkie fragmenty układanki znalazły się na swoim miejscu. Jedna rzecz nie ma sensu – dlaczego Madok wspiera Balekina? Balekin jest okrutny i zmienny, nie nadaje się na monarchę. Nawet jeśli Madok uważa, że Balekin zapewni mu upragnione wojny, mam wrażenie, że potrafiłyby do nich doprowadzić w jakiś inny sposób.

Myślę o liście, który znalazłam na stole Balekina, tym od matki Nicassii. Dlaczego po tak długim czasie Balekin chciał zdobyć dowód, że to Dain uknuł zamordowanie Liriope? Skoro go dostał, dlaczego go nie przedstawił Eldredowi? No, chyba że to zrobił, a Eldred nie uwierzył albo go to nie obchodziło. Chyba że... Właśnie, a jeżeli ten dowód był przeznaczony dla

kogoś innego?

– Kiedy otruto Liriope? – pytam.

– Siedem lat temu, w miesiącu sztormów – odpowiada Duch i krzywi się. – Dain powiedział mi, że otrzymał przepowiednię dotyczącą tego dziecka. Czy to ważne? Czy pytasz tylko z ciekawości?

– Co głosiła przepowiednia?

Kręci głową, jakby nie chciał sobie tego przypominać, ale odpowiada:

– Że jeśli chłopiec przyjdzie na świat, księżę Dain nigdy nie zostanie królem.

Typowa przepowiednia w Kraju Elfów – taka, która niby to ostrzega, bo dowiadujesz się z niej, co możesz stracić, ale niczego nie obiecuje. Teraz chłopiec nie żyje, a księżę Dain i tak nigdy królem nie będzie.

Warto się pilnować, żeby nie opierać swojej strategii na łamigłówkach.

– A więc to prawda – mówi cicho Karakan. – To ty ją załatwiłeś.

Duch jeszcze bardziej marszczy czoło. Przedtem nie przyszło mi do głowy, że nie muszą znać wzajemnie swoich zadań. Wręcz przeciwnie.

Obaj mają nietęgę minę. Nie wiem, czy Karakan wykonałby taki rozkaz. Nie wiem, dlaczego otrzymał go Duch. Kiedy teraz na niego patrzę, nie wiem, co widzę.

– Pójdę do domu – oświadczam. – Będę udawać, że zgubiłam się podczas uczty koronacyjnej. Myślę, że uda mi się wysondować, ile Cardan jest dla nich wart. Wrócę jutro i omówię szczegóły z wami oboma i z Bombą, jeżeli wróci. A więc dajcie mi jeden dzień, żebym się zorientowała w sytuacji, i przysięgnijcie, że do tego czasu nie podejmiecie żadnych decyzji.

– Jeżeli Bomba ma więcej rozumu od nas, to już dawno się ukryła. – Karakan pokazuje szafkę. Duch bez słowa idzie po butelkę i stawia ją na zniszczonym drewnianym stole. – Skąd będziemy wiedzieć, że nas nie zdradzisz? Nawet jeśli teraz mówisz szczerze i naprawdę jesteś po naszej stronie, po powrocie do twierdzy Madoka możesz zmienić zdanie.

Patrzę na Karakana i na Ducha, ważę każde słowo:

– Cardana muszę zostawić pod waszą pieczęcią, co znaczy, że muszę wam zaufać. Obiecuję, że was nie zdradzę, a wy obiecajcie, że kiedy wrócę, księżę jeszcze tu będzie.

Cardan chyba oddycha z ulgą, że cokolwiek się zdarzy, nie nastąpi tak od razu. Choć może tę ulgę przyniósł mu widok butelki.

– Możesz okazać się kimś, kto wynosi królów na trony – odzywa się Duch.

– Szarą eminencją. Kusząca rola. Dzięki tobie Balekin może mieć jeszcze większy dług wdzięczności wobec twojego ojca.

– On nie jest moim ojcem – odparowuję. – A jeśli nawet postanowię dołączyć do Madoka, no to co? Ważne, żebyście dostali swoją dolę, i chyba reszta jest bez znaczenia, no nie?

– Chyba rzeczywiście – odpowiada niechętnie Duch. – Jeśli jednak wrócisz tu z Madokiem czy kimkolwiek innym, na pewno zabijemy Cardana. A potem ciebie też. Zrozumiano?

Kiwam głową. Gdyby nie géis księcia Daina, mogliby mnie zakłąć. Rzecz jasna, o ile géis księcia Daina działa po jego śmierci, czego jeszcze nie wiem i trochę obawiam się odpowiedzi na to pytanie.

– Jeżeli zajmie ci to więcej niż dzień, też go zabijemy, A potem się ulotnimy – mówi dalej Duch. – Więźniowie są jak śliwki. Im dłużej się ich trzyma, tym mniej się do czegokolwiek nadają, a w końcu się psują. Jeden dzień i jedna noc. Nie spóźnij się.

Cardan wzdryga się, próbuje napotkać moje spojrzenie, ale nie zwracam na niego uwagi.

– Zgadzam się – odpowiadam, bo nie jestem głupia. W tej akurat chwili nikt z nas jakoś szczególnie nie ufa komukolwiek poza samym sobą. – O ile przysięgniecie, że kiedy jutro tu wrócę, sama, Cardan będzie cały i zdrow.

A ponieważ i oni głupcami nie są, przysięgają.

ROZDZIAŁ 23



Nie mam pojęcia, co zastanę w domu. Najpierw jednak czeka mnie długi marsz przez las, tym dłuższy, że muszę szerokim łukiem omijać obozowiska dworów przybyłych na koronację. Moja suknia jest brudna i postrzępiona, stopy obolałe i przemarznięte. Kiedy przybywam na miejsce, zamek Madoka wygląda tak samo jak zawsze.

Myślę o innych sukniach wiszących w mojej szafie, czekających, bym je włożyła, i o trzewikach czekających, żebym w nich tańczyła. Myślę o przyszłości, która, jak sądziłam, miała mnie czekać, i o tej, która istotnie jest przede mną, ziejącej jak otchłań.

W sieni widzę więcej zbrojnych niż zazwyczaj; wchodzą i wychodzą z komnat Madoka. Służący też biegają na wszystkie strony, niosą kufle piwa, kałamarze i mapy. Mało kto raczy na mnie spojrzeć.

Słyszę, jak ktoś krzyczy. Vivienne. Razem z Orianą jest w salonie naszej macochy. Vivi biegnie w moją stronę, wyściskuje.

– Już miałam go zabić – mówi. – Obiecałam sobie, że go zabiję, jeżeli

przez jego głupie plany coś ci się stanie.

Uświadamiam sobie, że ani drgnęłam. Podnoszę rękę, żeby dotknąć jej włosów, dotykam palcami jej ramienia.

– Nic mi nie jest – mówię – tylko porwał mnie tłum. Wszystko w porządku, nic się nie stało.

Rzecz jasna, nic nie jest w porządku i stało się wiele niedobrych rzeczy, nikt jednak się ze mną nie spiera.

– Gdzie reszta?

– Dąb leży w łóżku – informuje Oriana – a Taryn czeka przed drzwiami gabinetu Madoka. Pewnie niedługo tu przyjedzie.

Wyraz twarzy Vivi zmienia się jakby w reakcji na te słowa, a ja nie bardzo wiem, jak mam to rozumieć.

Idę na górę do swojej komnaty, gdzie wreszcie mogę zmyć farbę z twarzy i błoto ze stóp. Vivi przysłała ze mną, siada na wysokim stołku. W promieniach słońca wpadających przez balkonowe okno jej kocie oczy lśnią jasnym złotem. Nie odzywa się, gdy przeczesuję włosy, skudłone i splątane. Przebieram się na ciemno, w granatową tunikę z wysokim kołnierzem i obcisłymi rękawami, w lśniące czarne buty z wysokimi cholewami, na dłonie naciągam nowe rękawiczki. Przymocowuję Brzask do solidniejszego pasa i ukradkiem wsuwam królewską pieczęć do kieszeni.

Jakie to dziwne uczucie znów znaleźć się w swojej komnacie, z pluszakami, książkami i kolekcją trucizn. Oraz skradzionymi księciu Cardanowi *Przygodami Alicji w Krainie Czarów* i *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra* na nocnym stoliku. Znowu ogarnia mnie panika. Powinnam wykombinować, jak wykorzystać to, że pojmałam poszukiwanego księcia elfów. A tutaj, w domu mojego dzieciństwa, na myśl o swojej śmiałości ogarnia mnie pusty śmiech. Za kogo ja się uważam?

– Co ci się stało w szyję? – pyta Vivi. – I w lewą rękę?

Zapomniałam, jak starannie przedtem skrywałam te obrażenia.

– To wszystko nieważne. Wobec tego, co teraz się zdarzyło, naprawdę nieważne. Powiedz mi lepiej, dlaczego on to zrobił?

– To znaczy, dlaczego Madok poparł Balekina? – pyta przyciszonym głosem. – Nie wiem. Polityka. On nie dba o niczyje życie. Nic go nie obchodzi, że przez niego nie żyje księżniczka Rhyia. On ma to gdzieś. Nigdy nic go nie obchodziło. Właśnie o to chodzi, że on jest potworem.

– Nie wierzę, żeby Madok naprawdę chciał Balekina na króla w Elfhame –

mówię.

Balekin miałyby przez całe stulecia zgubny wpływ na delikatne relacje między Elysium a światem śmiertelników, decydowałyby o życiu i śmierci. Cała kraina stałaby się jak jego Próżny Dwór.

Wtedy dochodzi mnie z dołu głos Taryn.

– Loki już całą wieczność siedzi u Madoka. Przecież on naprawdę nie wie, gdzie się schował Cardan.

Vivi nieruchomieje, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Jude... – mówi, jej głos jest niemal tylko tchnieniem.

– Madok pewnie próbuje go nastraszyć – odpowiada Oriana. – Poza tym wiesz, że wobec całego tego zamieszania nie na rękę mu ślub w rodzinie.

Nim Vivi jest w stanie powiedzieć choćby jedno słowo, które mogłoby mnie powstrzymać, jestem już na schodach.

Przypominam sobie słowa Lokiego, po tym jak walczyłam w turnieju i wkurzyłam Cardana. Powiedział: *Jesteś jak historia, która jeszcze się nie wydarzyła*. Kiedy mówił, że chce zobaczyć, co zrobię, chodziło mu o to, co się stanie, jeśli złamię mi serce, tak?

Jeżeli nie trafi się dobra opowieść, to sam ją tworzę.

Do tego jeszcze słowa Cardana, kiedy go spytałam, czy jego zdaniem nie zasługuję na Lokiego. Powiedział wtedy z tym swoim perfidnym uśmiechem, że znakomicie do siebie pasujemy. Potem jeszcze podczas koronacji: *Czas zmiany*. I na koniec: *Czyżbym coś rzekł nazbyt pochopnie?*

Nieźle się musiał bawić. Wszyscy mieli niezły ubaw.

– Wiesz co, chyba już wiem, kim jest twój ukochany – wołam do mojej bliźniaczej siostry.

Taryn patrzy w górę, jest blada jak ściana. Schodzę po schodach powoli, ostrożnie stawiam stopy.

Chciałabym jeszcze wiedzieć, czy kiedy Loki i jego przyjaciele śmiali się ze mnie, ona śmiała się razem z nimi.

Wszystkie te dziwne spojrzenia, napięcie w jej głosie, kiedy mówiłam o Lokim. Jak dopytywała się, co z nim robiłam w stajni, co robiłam w jego domu – wszystko to nagle, niestety, zaczyna mieć sens. Czuję bolesne ukłucie zdrady.

Dobynam miecza.

– Wyzywam cię – mówię do Taryn. – Wyzywam cię na pojedynek. O mój honor, który został podle zdradzony.

Taryn patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami.

– Chciałam ci powiedzieć – powiada. – Tyle razy już, już miałam ci coś zdradzić, ale po prostu nie mogłam. Loki powiedział, że jeśli wytrzymam, to będzie sprawdzian miłości.

Dobrze pamiętam jego słowa podczas uczyty koronacyjnej: *Czy dość mnie kochasz, by się mnie wyrzec? Czyż to nie ostateczny sprawdzian miłości?*

Wygląda na to, że Taryn ten sprawdzian przeszła pomyślnie, ja zaś sromotnie oblałam.

– A więc się oświadczył – odzywam się na głos. – Oświadczył ci się podczas rzezi królewskiej rodziny. Niezwykle to romantyczne.

Oriana wydaje cichy okrzyk, pewnie obawia się, że Madok mógłby mnie usłyszeć i że nie spodobałoby mu się, jak określam zaistniałą sytuację. Taryn pobladła chyba jeszcze bardziej. O ile wiem, żadne z nich tego wszystkiego nie widziało na własne oczy, więc możliwe, że przedstawiono im zupełnie inną wersję wydarzeń. Nie trzeba kłamać, żeby wprowadzić kogoś w błąd.

Zaciskam dłoń na rękojeści miecza noszącego imię Brzask.

– Co takiego powiedział Cardan, że się popłakałaś? Pamiętasz, to chyba było dzień po tym, jak wróciliśmy ze śmiertelnego świata.

W każdym razie ja pamiętam doskonale, jak go pchnęłam, jak moje dłonie zagłębiły się w aksamitny kaftan, a on walnął plecami o drzewo. I jak potem Taryn stwierdziła, że to nie ma nic wspólnego ze mną. I że nie powie, o co chodzi.

Taryn przez długą chwilę nie odpowiada. Widzę po jej twarzy, że nie chce mi wyznać prawdy.

– Właśnie o to chodziło, prawda? On wiedział. Wszyscy wiedzieli.

I przypominam sobie jeszcze Nicassię siedzącą przy stole w domu Lokiego, która jakby przez chwilę chciała mi coś powiedzieć. Mówiła, że on wszystko niszczy i nic innego robić nie potrafi.

Wtedy sądziłam, że ma na myśli Cardana.

– Powiedział, że to przeze mnie kopnął ziemią w nasze jedzenie – odpowiada cicho Taryn. – Loki wprowadził ich w błąd, żeby myśleli, że to ty go odebrałaś Nicassii. Dlatego na tobie się mścili. A Cardan powiedział, że cierpisz za mnie i że gdybyś wiedziała, to byś się wycofała, ale że nie wolno mi o tym powiedzieć.

Przez długą chwilę nic nie robię, tylko przyswajam sobie jej słowa. Potem rzucam miecz między nas dwie. Upada z metalicznym brzękiem.

– Podnieś – nakazuję.

Taryn kręci głową.

– Nie chcę z tobą walczyć.

– Na pewno nie chcesz? – Staję przed nią, twarzą w twarz, jesteśmy bardzo blisko siebie. Doskonale czuję, że pragnęłaby mnie odepchnąć. Jakże musiało ją dręczyć, że całowałam się z Lokim, że spałam w jego łóżku. – A jednak coś mi mówi, że bardzo byś tego chciała, naprawdę chciałabyś mi dołożyć. W każdym razie ja na pewno mam na to ochotę.

Wysoko nad kominkiem, tuż pod jedwabnym sztandarem z herbem Madoka, wisi miecz. Przysuwam krzesło, wchodzę na gzyms kominka, zdejmuję broń z haka. Może być.

Zeskakuję, idę w jej stronę, mierząc głownią prosto w serce.

– Dawno nie ćwiczyłam – mówi Taryn.

– No popatrz, a ja akurat ostatnio sporo ćwiczyłam. – Podchodzę bliżej. – Ale ty będziesz miała lepszy miecz i możesz zadać pierwsze uderzenie. Tak jest sprawiedliwie.

Taryn przez dłuższą chwilę mi się przygląda, potem podnosi Brzask. Cofa się kilka kroków, dobywa go.

Oriana zrywa się, znów wydaje cichy okrzyk – ale nie idzie w naszą stronę. Nie próbuje nas powstrzymać.

Tyle już legło w gruzach, tak wielu rzeczy nie umiem naprawić. Jednak bić się umiem.

– Co wy robicie, kretynki! – krzyczy Vivi z balkonu. Nie mogę zwracać na nią uwagi, muszę skupić się na Taryn, która miękkim krokiem przestępuje z nogi na nogę i zaczyna mnie okrążyć. Obie uczyłyśmy się u Madoka, który jest dobrym nauczycielem.

Cięcie.

Zasłona, klingi zderzają się.

Metaliczny odgłos rozlega się w komnacie jak dzwon.

– Dobrze się bawiłaś, kiedy tak mnie oszukiwałaś? Fajnie było pomyśleć, że masz nade mną przewagę, co? Niezła zabawa: flirtował ze mną, całował się ze mną, a cały czas przysięgał, że będziesz jego żoną.

– Nie! – Z pewnym trudem paruje pierwszą serię moich uderzeń, ale widać, że jej mięśnie pamiętają, jak to się robi. Oddycha szybciej. – To było okropne, ale ja nie jestem taka jak ty. Ja chcę, żeby tutaj było moje miejsce. A ty się stawiałaś i było coraz gorzej. Nie pytałaś mnie o zdanie, kiedy

zaczęłaś się ścinać z Cardanem. Może i z mojego powodu to się zaczęło, ale przez ciebie się nie skończyło. Mało cię obchodziło, co ściągasz na moją głowę i na swoją też. A ja musiałam udowodnić Lokiemu, że jestem inna.

Kilkoro służby zebrało się, żeby oglądać walkę.

Nie dbam o nich, nie dbam o zmęczenie mięśni od wykopywania grobu jedną ręką, nie dbam o pulsujący ból w lewej dłoni. Ostrze mojego miecza przecina spódnicę Taryn, tuż przy jej skórze. Krzyczy, odskakuję w tył.

Wymieniamy po serii szybkich cięć. Taryn coraz szybciej oddycha, nie jest przyzwyczajona do takiego naporu, ale też nie ustępuje mi pola.

Nacieram szybko, nie daję jej czasu na nic więcej niż tylko na obronę.

– A więc to była zemsta?

Za dawnych czasów urządziłyśmy sobie ćwiczebne pojedynki na drewniane miecze. Potem zdarzało nam się wziąć za kudły, wrzeszczeć na siebie albo traktować się nawzajem jak powietrze – tak jednak nigdy nie walczyłyśmy. Nigdy na ostro.

– Taryn! Jude! – drze się Vivi, biegnąc w stronę spiralnych schodów. – Przestańcie, bo inaczej ja was powstrzymam.

– Ty nienawidzisz elfów. – Oczy Taryn lśnią, gdy zadaje eleganckie pchnięcie. – Nigdy ci nie zależało na Lokim. Chciałaś go tylko odebrać Cardanowi.

Na te słowa tak mnie zamurówuje, że udaje się jej przejść pod moją zasłoną. Ostrze muska mnie, nim wykonuję unik.

Taryn dalej wyrzuca z siebie:

– Myślisz, że jestem słaba!

– Bo jesteś – odpowiadam. – Słaba, żałosna i...

– Jestem lustrem – krzyczy. – Jestem lustrem, w które nie chcesz spojrzeć!

Biorę zamach do następnego cięcia, wkładam w nie całą swoją siłę. Jestem wściekła, tak wściekła z tak wielu powodów. Nienawidzę własnej głupoty. Tego, że dałam się podejść. Furia ryczy w mojej głowie wystarczająco głośno, by zagłuszyć wszystkie inne myśli.

Brzeszczot zatacza lśniący łuk w stronę jej boku.

– Przestańcie, mówię! – wrzeszczy Vivi, a w jej głos jak lepka pajęczka sieć wplata się czar. – Przestańcie, teraz!

Z Taryn jakby uszło powietrze, opuszcza ręce, Brzask wysuwa się z jej nagle omdlałych palców. Na jej twarzy pojawia się rozmarzony uśmiezek, tak jakby nasłuchiwała odległej muzyki. Próbuję powstrzymać uderzenie, ale

jest za późno. Mogę tylko wypuścić miecz z dłoni. Leci siłą bezwładną przez całą salę, wali w półkę na książki, barania czaszka spada na podłogę. Od rozmachu padam na podłogę.

Mało brakowało.

Oślupiała ze zgrozy, mówię do Vivi:

– Nie miałaś prawa.

Te słowa jakby mówiły się same, zamiast dużo ważniejszych: *Bo mogłam przeciąć Taryn na pół.*

Vivi jest zdumiona.

– Masz na sobie talizman? Widziałam, jak się przebierałaś, niczego takiego nie zauważyłam.

Géis Daina. A więc przetrwał po jego śmierci.

Czuję znużenie w kolanach. Moja dłoń pulsuje. Piecze mnie miejsce, gdzie ostrze Brzasku musnęło moją skórę. Jestem wściekła, że przerwała nam walkę. Jestem wściekła, że próbowała na nas magii. Dźwigam się na nogi, ciężko dyszę. Pot spływa mi po czole, ręce mi się trzęsą.

Czyjeś dłonie chwytają mnie od tyłu. Trójka służących obezwładnia mnie, łapią mnie za ramiona. Dwóch innych odciąga Taryn jak najdalej ode mnie. Vivi dmucha jej w twarz, powraca oślupiała świadomość.

Wtedy w sieni pojawia się Madok, a wokół niego żołnierze i oficerowie. Oraz Loki.

Ściska mnie w dołku.

– Co was opętało? – krzyczy Madok, wściekły jak rzadko. – Czy nie dość jeszcze śmierci na dzisiaj?

Dziwne, że to mówi, bo przecież walnie się do tych śmierci przyczynił.

– Czekać na mnie obie w pokoju gier.

Nie mogę zapomnieć, jak ostrzem swojego miecza przebił pierś Daina. Nie umiem spojrzeć mu w oczy. Trzęsę się cała, chce mi się krzyczeć. Chcę pobiec w jego stronę. Znowu czuję się jak dziecko, bezradne dziecko w domu śmierci.

Chcę coś zrobić, ale nie robię nic.

Madok rzuca rozkaz Gnarbonowi:

– Idź z nimi. Pilnuj, żeby trzymały się od siebie z daleka.

Gnarbon prowadzi nas do wskazanej komnaty. Siadam na podłodze, zasłaniam twarz dłońmi. Kiedy po chwili na nie spoglądam, są mokre od łez. Ocieram szybko palce o spodnie, żeby Taryn tego nie zobaczyła.



Czekamy co najmniej godzinę. Nie odzywam się do Taryn ani słowem, ona też milczy. Chlipie przez chwilę, potem wyciera nos i przestaje.

Na pociechę przypominam sobie Cardana przywiązanego do krzesła. Potem jednak przypominam też sobie, jak na mnie patrzył przez zasłonę kruczoczarnych włosów, jego pijany uśmieszek, i to już wcale mnie nie pociesza.

Czuję się wykończona i kompletnie, zupełnie przegrana.

Nienawidzę Taryn. Nienawidzę Madoka. Nienawidzę Lokiego. Nienawidzę Cardana. Nienawidzę wszystkich. Nienawidzę, ale jeszcze nie dość ich nienawidzę.

– Co on ci dał? – pytam Taryn, zmęczona ciszą. – Ja od Madoka dostałam miecz sporządzony przez naszego tatę. Ten, którym walczyłaś. Powiedział, że dla ciebie też coś ma.

Milczy tak długo, że już przestaję czekać na odpowiedź.

– Zestaw noży, stołowych. Podobno rozcinają nawet kości. Miecz jest lepszy. Przynajmniej ma imię.

– Nożom do steków też możesz nadawać imiona. Chrząstkogrom. Stukotlet. Mięsociel.

Słyszę parsknięcie, które brzmi jak stłumiony śmiech.

Potem jednak znów zapada milczenie.

Wreszcie do sali wchodzi Madok, a poprzedza go cień kładący się na podłodze jak dywan. Rzuca mi schowany do pochwy Brzask, po czym zasiada na kanapie o ptasich nogach. Kanapa stęka, nie przywykła do takiego ciężaru. Gnarbon kłania się mu służbiście i wychodzi.

– Taryn, chciałbym z tobą porozmawiać o Lokim – odzywa się Madok.

– Zrobiłeś mu coś złego?

W jej głosie słyszę ledwo stłumiony szloch. To pewnie świństwo z mojej strony, ale od razu zastanawiam się, czy nie robi tego specjalnie na użytek Madoka.

Ten zżyma się, jakby to samo mu przyszło do głowy.

– Kiedy poprosił mnie o twoją rękę, powiedział, że chociaż, jak wiadomo,

elfowie są zmienni, nadal pragnie cię pojąć za żonę. Należy chyba przez to rozumieć, że nie powinnaś się po nim spodziewać szczególnej stałości. Początkowo nie wspominał o flircie z Jude, ale kiedy przed chwilą go o to spytałem, powiedział: *Uczucia śmiertelniczek są tak ulotne, że nie sposób się powstrzymać, by z nimi nie poigrać.* Powiedział też, że ty, Taryn, udowodniłaś mu, że potrafisz być taka jak my. Nie wątpię, że cokolwiek w tym celu zrobiłaś, było to źródłem konfliktu między tobą a twoją siostrą.

Spódnica sukni Taryn jest schludnie ułożona wokół niej. Nic nie szkodzi, że w jest w jednym miejscu rozcięta, Taryn prezentuje się godnie, draśnięty bok też jej w niczym nie przeszkadza. Wygląda jak dama z elfowych wyższych sfer – o ile nie przyglądać się zbyt uważnie zaokrąglonym uszom. Kiedy pozwalałam sobie na szczerłość z samą sobą, trudno mi winić Lokiego, że ją wybrał. Ja mam skłonność do przemocy. Truję się od tygodni. Jestem zabójczynią, kłamczuchą i szpiegiem.

Krótko mówiąc, rozumiem, dlaczego ją wybrał. Boli mnie jednak, że o n a nie wybrała mnie.

– Co mu odpowiedziałeś? – pyta Taryn.

– Odpowiedziałem, że ja na przykład nie uważam się za kogoś szczególnie zmiennego. I że moim zdaniem nie jest wart żadnej z was.

Dłonie Taryn zaciskają się pięści, ale poza tym nie okazuje gniewu. Opanowała dworski sznyt, który jest mi obcy. Podczas gdy ja pobierałam nauki u Madoka, ona uczyła się u Oriany.

– Czy zabronisz mi przyjąć jego oświadczyzny?

– To nie skończy się dobrze – oświadcza Madok. – Nie stanę jednak na drodze twojemu szczęściu. Nie stanę nawet na drodze nieszczęściu, jakie dla siebie wybrałaś.

Taryn nie mówi nic, ale słyszę, że odetchnęła z ulgą.

– Idź – mówi do niej. – I żadnych więcej pojedynków z siostrą. Możesz znajdować rozkosz u boku Lokiego, ale lojalność winna jesteś swojej rodzinie.

Zastanawiam się, jaką lojalność ma na myśli. Sądziłam, że jest lojalny wobec Daina. Wydawało mi się, że złożył mu przysięgę.

– Ale to ona... – zaczyna Taryn, a Madok unosi dłoń wraz z groźbą zakrzywionych czarnych pazurów.

– Ona cię wyzwala? A czy może też wepchnęła ci miecz w dłoń i zmusiła, żeby nim wymachiwać? Naprawdę myślisz, że twoja siostra nie ma honoru,

że pokroiłaby cię na kawałki, gdybyś nie podjęła wyzwania, nie sięgnęła po broń?

Taryn spogląda na niego koso, unosi dumnie głowę.

– Ja nie chciałam tej walki.

– Zatem również w przyszłości tego się trzymaj – kwituje Madok. – Nie ma sensu walczyć, jeśli nie zamierzasz zwyciężyć. Możesz odejść. Zostaw mnie samego ze swoją siostrą.

Taryn wstaje, idzie do drzwi. Kładzie dłoń na ciężkiej mosiężnej klamce i jeszcze raz się odwraca, jakby chciała coś dopowiedzieć. Cień porozumienia, które jakby nawiązałyśmy pod jego nieobecność, już dawno gdzieś zniknął. Widzę po wyrazie jej twarzy, że chce, żeby Madok mnie ukarał, ale bardzo poważnie obawia się, iż niestety tego nie zrobi.

– Powinieneś spytać Jude, gdzie jest książę Cardan – mówi, mrużąc oczy.

– Ostatni raz go widziałam, kiedy z nią tańczył.

A potem znika za drzwiami, zostawiając mnie z tłukącym się w piersi sercem i królewską pieczęcią palącą w kieszeni. Ona nic nie wie. Jest po prostu wredna, próbuje narobić mi kłopotów, posłać na koniec zatrutą strzałę. Mimo wszystko nie wierzę, żeby powiedziała coś takiego, gdyby знаła prawdę.

Madok pochyła się ku mnie i powiada:

– Pomówmy o twoim dzisiejszym zachowaniu.

– Chyba o twoim dzisiejszym zachowaniu – odparowuję.

Wzdycha, przeciera twarz wielką dłonią.

– Byłaś tam, prawda? Zamierzałem was wszystkich stamtąd wyprowadzić, żebyście nie widzieli.

– Myślałam, że kochasz księcia Daina – mówię. – Myślałam, że jesteś jego przyjacielem.

– Dostatecznie go kochałem – odpowiada Madok. – Bardziej, niż kiedykolwiek pokocham Balekina. Są jednak inne osoby, wobec których jestem zobowiązany do lojalności.

Znowu myślę o mojej układance, o odpowiedziach, po które wróciłam do domu. Co Balekin mógł dać lub obiecać Madokowi, że go przekonał do wystąpienia przeciwko Dainowi?

– Kto to taki? – Chcę wiedzieć. – Co jest warte życia tak wielu istnień?

– Dostatecznie tego – warczy. – Nie zasiadasz jeszcze w mojej radzie wojennej. Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie. Teraz mogę cię tylko

zapewnić, że chociaż zapanował nieporządek, nie niweczy to moich planów. Teraz najpilniejszą sprawą jest odnalezienie najmłodszego księcia. Jeżeli istotnie wiesz, gdzie jest Cardan, na pewno zdołam nakłonić Balekina, by ci ofiarował sowitą nagrodę. Pozycję na jego dworze. I rękę kogokolwiek zechcesz. Albo wciąż jeszcze bijące serce kogokolwiek, kogo śmierci zapragniesz.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Myślisz, że odebrałabym Taryn Lokiego?

Wzrusza ramionami.

– Dopiero co chciałaś ściąć jej głowę. Zdradziła cię i oszukała. Nie wiem, co uznasz za odpowiednią zapłatę.

Przez chwilę tylko spoglądamy na siebie. Jest potworem, więc jeśli ja zapragnę czegoś naprawdę potwornego, z pewnością nie będzie mnie za to potępiał. W każdym razie nie jakoś bardzo.

– Jeśli zechcesz wysłuchać mej rady – mówi, dosłownie cedząc słowa – to brzmi ona tak: miłość nie rozkwita na cierpieniu. Zapewniam cię, że tyle wiem. Kocham cię i kocham Taryn, ale nie sądzę, żeby była odpowiednią żoną dla Lokiego.

– A ja jestem odpowiednia?

Nie mogę powstrzymać się od myśli, że miłość Madoka jest niebezpieczna dla tych, których nią obdarza. Kochał moją matkę. Kochał księcia Daina. Jego miłość prawdopodobnie zapewnia nam nie większe bezpieczeństwo niż im.

– Nie sądzę, żeby był dla ciebie odpowiedni. – Szczerzy zęby w uśmiechu.
– A jeżeli twoja siostra się nie myli i rzeczywiście wiesz, gdzie znajduje się książę Cardan, oddaj mi go. To zniewieściały fircyk bez żadnych zadatków na wojownika. Oczywiście, jest na swój sposób czarujący i niegłupi, ale nie warto go chronić.

Za młody, za słaby, nic nie znaczy.

Wciąż intensywnie rozmyślam o zaplanowanym przez Madoka i Balekina zamachu, zastanawiam się, jak miał się odbyć. Zabić dwoje najstarszych, najbardziej wpływowych. Wówczas Najwyższy Król powinien ulec i ukoronować najpotężniejszego z pozostałych, tego, który ma zbrojnych po swojej stronie. Zakładali, że może niechętnie, ale w obliczu takiego zagrożenia Eldred ukoronuje Balekina. Cóż, on jednak tego nie zrobił. Balekin usiłował go przymusić i w efekcie wszyscy zginęli.

Wszyscy oprócz Cardana. Niemal wszystkie figury zostały zmiecione z planszy.

Niemożliwe, żeby Madok zaplanował taki właśnie obrót rzeczy. Wciąż jednak pamiętam jego lekcje strategii – każdy rozwój wypadków musi doprowadzić do zwycięstwa.

Nikt jednak nie zdoła przewidzieć wszystkich możliwości. To absurd.

– Sądziłam, że usłyszę kazanie o tym, żeby nie walczyć na ostro w domu – odzywam się, próbując odwrócić tok rozmowy od kwestii Cardana. Dostałam już to, co obiecałam Dworowi Cieni – ofertę. Teraz tylko muszę postanowić, co z nią zrobić.

– Czy muszę ci mówić, że gdyby twój miecz sięgnął celu i zraniłabyś Taryn, żałowałabyś tego po koniec swoich dni? Ze wszystkich lekcji, jakich ci udzieliłem, tę powinnaś pamiętać najlepiej.

Patrzy mi w oczy. Mówi o mojej matce. Mówi o tym, jak zamordował moją matkę.

Na to nic nie potrafię odpowiedzieć.

– Szkoda, że nie wyładowałaś złości na kimś, kto bardziej na to zasłużył. W takich czasach przecież się zdarza, że ten i ów znika bez śladu.

Rzuca mi wymowne spojrzenie.

Czy znaczy ono, że nic się nie stanie, jeżeli zabiję Lokiego? Ciekawe, co by powiedział, gdybym się przyznała, że już zabiłam jednego ze szlachetnie urodzonych. Gdybym mu pokazała, gdzie zakopałam truchło. Niewykluczone, że by mnie pochwalił, a może nawet i pogratulował.

– Jak możesz spać w nocy? – pytam.

Bzdurne pytanie i wiem, że zadałam je tylko dlatego, że pokazał mi, jak mnie samej blisko do tego wszystkiego, czego w nim nienawidzę.

Marszczy brwi, zerka na mnie, zastanawiając się, na jakiego rodzaju odpowiedź zasługuję. Wyobrażam sobie, jak musi mnie widzieć – naburmuszona smarkula, która go osądza.

– Niektórzy potrafią grać na fletni lub malować. Żywiołem innych jest miłość – odzywa się po chwili. – Moim jest wojna. Jedyne, co kiedykolwiek spędzało mi sen z powiek, to próby zaprzeczenia tej prawdzie.

Z wolna kiwam głową.

Madok powstaje.

– Przemyśl to i zastanów się, jakie dary ty otrzymałaś od losu.

Oboje wiemy, co to znaczy. Oboje wiemy, w czym jestem dobra i kim

jestem – właśnie dopiero co zamachnęłam się nagim mieczem na rodzoną siostrę. Pytanie brzmi, co z tym talentem zrobić?



Gdy wychodzę z sali gier, orientuję się, że w tym czasie Balekin musiał przybyć wraz ze swoją gwardią. Zbrojni noszący jego herb – trzy śmiejące się ptaki – stoją na baczność w sieni. Mijam ich, pnę się po schodach, wlokąc za sobą swój miecz, zbyt wykończona, by zrobić cokolwiek innego.

Jestem co prawda głodna, ale nie mam siły jeść. Czy na tym polega złamane serce? Nie jestem wcale pewna, czy mdli mnie z powodu Lokiego, czy raczej z tęsknoty za światem, jaki był przed rozpoczęciem koronacji. Gdybym jednak mogła cofnąć czas, to może raczej do momentu, zanim zabiłam Valeriana, a może, bo po co się ograniczać, aż do czasów, kiedy jeszcze żyli moi rodzice. Czemu nie cofnąć się do samego początku?

Słyszę stukanie do drzwi, otwierają się, chociaż nic nie mówię. Do środka wchodzi Vivi. Niesie drewnianą tacę, na tacy jest kanapka i karafka z bursztynowego szkła.

– Wiem, jestem idiotką. Kompletną – odzywam się. – Przyznaję. Oszczędź mi kazania.

– Myślałam, że to ty mnie zrugasz za te czary – odpowiada Vivi. – Wiesz, za to zaklęcie, któremu nie uległaś.

– I słusznie, bo nie powinnaś rzucać zaklęć na swoje siostry.

Wyciągam korek z karafki, upijam długi łyk. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem spragniona. Piję dalej, niemal opróżniam naczynie.

– A ty nie powinnaś przymierzać się do ćwiartowania mieczem swoich. – Układa się na poduszkach obok moich pluszaków. W roztargnieniu sięga po węża, bawi się jego rozdwojonym filcowym językiem. – Dotąd myślałam o tym wszystkim – o szermierce, o pasowaniu na rycerza – jak o zabawie.

Pamiętam, jak się na nas gniewała, kiedy zadomowiłyśmy się w Elysium i zaczęłyśmy się bawić. Kwietne wianki na głowach, strzelanie z łuku w niebo. Zajadanie się kandyzowanymi fiołkami, spanie w trawie z głowami na pniach padłych drzew. Byłyśmy dziećmi; dzieci mogą przez cały dzień się śmiać, a nocą zasypiać z płaczem. Natomiast trzymać w dłoni broń, taki

miecz, od jakiego zginęli nasi rodzice, i myśleć, że to zabawka – musiała uważać, że jestem bez serca.

– Nie, to nie jest zabawa – odzywam się wreszcie.

– Nie – powtarza Vivi i owija pluszowego węża wokół pluszowego kota.

– Czy ona ci o nim mówiła? – pytam, kładę się na łóżku obok niej. Dobrze jest się położyć, może aż za dobrze. Od razu ogarnia mnie senność.

– Nie, nie wiedziałam, że Taryn jest z Lokim – odpowiada Vivi, z rozmysłem wypowiadając całe zdanie, żebym nie musiała się zastanawiać, czy to nie wybieg, czy nie próbuje odpowiedzieć wymijająco. – Ale nie chcę rozmawiać o Lokim. Zapomnij o nim. Chcę, żebyśmy opuściły Elysium. Dzisiaj.

Aż siadam z wrażenia.

– Co?

Śmieje się z mojej reakcji. To taki zwyczajny, normalny odgłos i tak zupełnie nie pasujący do przyjęcia i wydarzeń ostatnich dni.

– Tak myślałam, że to cię zaskoczy. Pomyśl, cokolwiek tam się zdarzy, nic dobrego z tego nie wyniknie. Balekin to dupek. Do tego głupi. Szkoda, że nie słyszałaś, jak tato przeklinał, kiedy wracaliśmy do domu. Wiejmy stąd i już.

– A co z Taryn? – pytam.

– Już z nią o tym rozmawiałam, ale nie powiem ci, czy się zgodziła. Chcę, żebyś odpowiedziała za siebie. Słuchaj, ja wiem, że ty masz mnóstwo tajemnic. Zamartwiasz się czymś. Jesteś bledsza i chudsza, i twoje oczy mają dziwny połysk.

– Nic mi nie jest – odpowiadam.

– Kłamczucha – słyszę w odpowiedzi, ale nie mówi tego oskarżycielskim tonem. – Przecież to przeze mnie trafiłyście tutaj. Najgorsze rzeczy, jakie ci się przydarzyły, stały się z mojej przyczyny. Nigdy mi tego nie powiedziałaś, i to bardzo miłe z twojej strony, ale przecież ja wiem. Musiałaś stać się kimś zupełnie innym – i dokonałaś tego. Czasem, kiedy na ciebie patrzę, nie jestem pewna, czy potrafiłabyś być jeszcze ludzką istotą.

Nie mam pojęcia, co z tym zrobić – usłyszałam komplement i obelgę zarazem. Jednak w tych słowach jest coś więcej, jakby wróżba.

– Lepiej tu sobie radzisz ode mnie – dodaje Vivi. – Ale założę się, że nie byle jakim kosztem.

Głównie to nie mam ochoty wyobrazić sobie życia, jakie mogłabym wieść, życia bez magii. Życia, w którym musiałabym chodzić do szkoły

i uczyć się jakichś nieprzydatnych rzeczy. W którym miałabym żyjących ojca i matkę. W którym to moja starsza siostra byłaby dziwadłem. W którym nie byłabym tak wściekła. W którym nie miałabym rąk splamionych krwią. Próbuję to sobie teraz wyobrazić i dziwnie się z tym czuję, spinam się i ściska mnie w żołądku.

Dobrze, to uczucie nazywa się panicznym strachem.

Kiedy wilki przychodzą po tamtą Jude, zostaje pożarta w jednej chwili – a wilki zawsze przychodzą. Przeraza mnie myśl o własnej kruchości. Tymczasem taka, jak teraz jestem, staję się coraz bardziej wilkiem. Cokolwiek ważnego pozostało z tamtej drugiej Jude, co w niej jest nienaruszone, a we mnie złamane, otóż tego być może już się nie da odzyskać. Vivi ma rację, dzieje się to sporym kosztem. Tylko że ja na to nie zważam i nie wiem, czy jeszcze mogę to coś odzyskać. Nawet nie wiem, czy miałabym ochotę dostać to z powrotem.

Chociaż, mogłabym przecież spróbować.

– Ale co byśmy robiły w śmiertelnym świecie? – pytam.

Vivi uśmiecha się, przysuwa w moją stronę tacę z kanapką.

– Chodziłybyśmy do kina. Zwiedzałybyśmy miasta. Nauczyłybyśmy się prowadzić samochód. Jest mnóstwo elfów, którzy nie mieszkają w dworach, nie bawią się w politykę. Możemy żyć, jak nam się spodoba. Mieszkać w apartamencie albo na drzewie. Jak tylko zechcesz.

– Z Heather?

Sięgam po kanapkę, wbijam w nią zęby. Plaster baraniny i piklowane liście mniszka. Burczy mi w brzuchu.

– Mam nadzieję, że tak – odpowiada Vivi. – Pomożesz mi jej wszystko wytłumaczyć.

Dociera do mnie, że pierwszy raz proponuje nam ucieczkę nie do świata ludzi, tylko życie takie, jakie prowadzą dzicy elfowie – pośród śmiertelników, ale nie jako śmiertelnicy. Mogłybyśmy kraść lody z ich kubków, monety z ich kieszeni. Natomiast nie musiałybyśmy iść do nudziarskiej pracy ani zakładać rodziny. Przynajmniej ona by nie musiała.

Ciekawe, co Heather na to powie.

Kiedy już w taki czy inny sposób rozstrzygniemy kwestię księcia Cardana – co potem? Nawet jeśli uda mi się rozwikłać zagadkę listów Balekina, nadal nie ma tu dla mnie dobrego miejsca. Dwór Cieni przestanie istnieć. Taryn wyjdzie za mąż. Vivi odejdzie. Mogę odejść razem z nią. Mogłabym

przemyśleć, co się we mnie złamało, i próbować zacząć od początku.

Myślę też o propozycji Karakana, żeby razem z nimi zacząć się na jakimś innym dworze. Zająć życie od nowa w Krainie Elfów. Jedno i drugie jest ucieczką, ale co innego mi pozostaje? Łudziłam się, że kiedy znajdę się w domu, wpadnę na jakiś pomysł, ale jak dotąd, na próżno.

– Dzisiaj nie mogę – odpowiadam niezbyt pewnym tonem.

– A więc przynajmniej bierzesz pod uwagę taką możliwość – cieszy się Vivi i z radości aż przyciska dłonie do serca.

– Mam kilka spraw do załatwienia. Daj mi jeden dzień. – Wciąż targuję się o to samo – czas. Jednak gdy minie ten dzień, wyjaśnią się sprawy związane z Dworem Cieni. Rozstrzygniemy kwestię Cardana. W taki czy inny sposób wszystko się wyjaśni. Wyrwę elfom z gardła taką czy inną zapłatę. Jeżeli zaś nadal nie będę miała pomysłu, będzie już na to i tak za późno. – Czymże jest jeden ulotny dzień w twoim wiecznym, nieśmiertelnym, nieskończonym życiu?

– Jeden dzień, żeby podjąć decyzję, czy żeby spakować bagaże?

Odgryzam następny kawałek kanapki, odpowiadam z pełnymi ustami:

– Jeden na jedno i na drugie.

Vivi przewraca oczami.

– Tylko pamiętaj, że w śmiertelnym świecie nie będzie tak jak tutaj. – Idzie do drzwi. – To znaczy, ty nie będziesz musiała być taka, jaka jesteś tutaj.

Słyszę kroki Vivi na korytarzu. Odgryzam kolejny kęs kanapki. Przeżuwam i połykam, ale nie czuję żadnego smaku.

A co, jeżeli naprawdę jestem właśnie taka? Jeżeli kiedy wszystko będzie inne, ja nie będę inna, tylko właśnie taka?

Wyjmuję z kieszeni królewski pierścień Cardana, kładę go na środku dłoni. Nie powinnam była wejść w jego posiadanie. Ręce śmiertelników nie mają prawa go dotykać. Nawet patrzeć na niego z bliska, a jednak pozwałam sobie na ten despekt. Złoto ma głęboki czerwony odcień, krawędzie są wygładzone od ciągłego noszenia. W części pieczętnej pozostały odrobinki wosku, próbuję go wydłubać paznokciem. Ciekawe, ile taki sygnet byłby wart w świecie śmiertelników.

Wsuwam go na swój niegodny palec.

ROZDZIAŁ 24



Budzę się rano ze smakiem trucizny w ustach. Spałam w ubraniu, tuląc do siebie miecz. Chociaż tak naprawdę wcale na to nie mam ochoty, człapię do drzwi pokoju Taryn, stukam. Muszę jej coś powiedzieć, zanim świat znów stanie na głowie. Muszę się z nią pogodzić, i tyle. Jednak nikt nie odpowiada, więc wchodzę. Jej komnata jest pusta.

Idę do apartamentów Oriany, w nadziei, że może ona będzie wiedziała, gdzie znajdę Taryn. Zaglądam przez otwarte drzwi, stoi na balkonie, spogląda na drzewa i dalej, na jezioro. Wiatr rozwiewa jej włosy jak biały sztandar. Wzdyma jej muślinową suknię.

– Co robisz? – pytam.

Odwraca się zaskoczona. Nic dziwnego. Chyba nigdy jeszcze nie zadałam jej tak obcesowego pytania.

– Mój ród miał kiedyś skrzydła – odpowiada z tęsknotą w głosie. – Ja sama nigdy ich nie miałam, ale czasem mi ich brakuje.

Ciekawe, pewnie widzi się w marzeniach szybującą w powietrzu.

– Widziałaś może Taryn?

Wokół słupów łoża Oriany pną się winorośle o zielonych pędach. Błękitne kiście kwiatów zwisają nad nim jak wonny baldachim. Nie ma gdzie usiąść, wszędzie wiją się rośliny. Trudno mi sobie wyobrazić Madoka w tej sypialni.

– Udała się do domu swojego wybrańca, ale oboje stawią się jutro w pałacu Najwyższego Króla Balekina. I ty także tam będziesz. Władca wyprawia bowiem przyjęcie na cześć twojego ojca, zaprasza niektórych suzerenów z cnych oraz niecnych dworów. Twój ojciec spodziewa się, że będziecie się odnosić do siebie mniej wrogo.

Nawet nie potrafię sobie wyobrazić tego horroru, tego zażenowania, kiedy ubrana w piękną suknię, w powietrzu gęstym od zapachu prajabłek, udawać będę, że Balekin jest kimś innym niż tylko potworem i mordercą.

– Czy Dąb też będzie? – pytam i w tej samej chwili czuję ukłucie żalu. Jeżeli odejdę, nie będę widzieć, jak dorasta. Oriana klaszcze w dłonie, podchodzi do swojej toaletki. Można tam podziwiać jej biżuterię: plastry agatu na długich łańcuchach przedzielone surowymi kryształami, kolie z kamieni księżycowych, głęboką zielen krewawników i opalowy wisior, lśniący jak ogień w blasku słonecznych promieni. Prócz tego na srebrnej tacy, obok pary rubinowych kolczyków w kształcie gwiazd leży złoty żołądz.

Złoty żołądz, taki sam jak ten, który znalazłam w kieszeni sukni ongiś należącej do Liriope. Liriope, która była matką Lokiego. Myślę o jej szalonych, wesołych strojach, o jej sypialni pokrytej kurzem. O tym, że żołądz znaleziony w jej kieszeni skrywał mechanicznego ptaka.

– Próbowałam przekonać Madoka, że Dąb jest zbyt mały, więc będzie się nudzić na tym przyjęciu, ale Madok nalega. Może jeśli usiądziesz obok niego, mogłabyś go zabawiać.

Myślę o losie Liriope i tym, jak Oriana mówiła mi, że jej zdaniem zanadto się zbliżyłam do księcia Daina. Oraz jak mi wyznała, że zanim stała się małżonką Madoka, była nałożnicą króla Eldreda. Myślę o tym, że mogło jej się spieszyć z zamążpójściem, bo kto wie, czy nie miała czegoś do ukrycia.

Myślę teraz o innej notce znalezionej na biurku Balekina, o wierszu napisanym ręką Daina, sonecie do damy o włosach jak wschód słońca i oczach, w które patrzeć można bez końca.

I wreszcie o tym, co powiedział ptaszek:

Najdroższy przyjacielu, to są ostatnie słowa Liriopie. Rozpuściłam trzy złote ptaszyny. Trzy, aby przynajmniej jedna do ciebie dotarła. Jest już o wiele za późno na jakiegokolwiek antidotum, więc jeśli to usłyszysz, pozostawiam ci brzemię moich sekretów i ostatnie życzenie serca: chroń go, zabierz go daleko z tego dworu. Zapewnij mu bezpieczeństwo i nigdy, przenigdy nie zdradź prawdy o tym, co się ze mną stało.

Potem przychodzą rozmyślenia o strategii, o Dainie, Orianie i Madoku. Przypominam sobie, jak Oriana przybyła do naszego zamku. Jak niewiele czasu upłynęło, nim Dąb przyszedł na świat. Z początku nie wolno nam było go widywać, trwało to całe miesiące, tak był chorowity. O tym, jak zawsze go przed nami chroniła, ale może działo to się z zupełnie innego powodu, niż sądziłam.

Sądziłam też przecież, że dzieckiem, które Liriopie chciała trzymać z daleka od dworu, był Loki. Ale może to dziecko, które nosiła w łonie, nie umarło razem z nią?

Aż trudno mi oddychać, trudno wydobyć słowa, walczę z powietrzem stojącym w płucach. Sama nie mogę uwierzyć w to, co zaraz powiem, chociaż zdaję sobie sprawę, że to logiczny wniosek.

– Dąb nie jest dzieckiem Madoka, prawda? W każdym razie nie jest nim bardziej niż ja.

Jeśli chłopiec przyjdzie na świat, księżę Dain nigdy nie będzie królem.

Oriana zasłania dłonią moje usta. Jej skóra pachnie jak powietrze, gdy spadnie śnieg.

– Nie mów tak. – Jej twarz jest tuż przy mojej, a głos drży. – Nigdy więcej tak nie mów. Jeśli kochasz Dęba, nie mów więcej tych słów.

Odpycham jej rękę.

– Jego ojcem był księżę Dain, a Liriopie jego matką. To z powodu Dęba Madok wsparł Balekina, dlatego pragnął śmierci Daina. A teraz ten chłopiec jest kluczem do korony.

Oriana otwiera usta, ujmuje dłońmi moją lodowatą dłoń. Nigdy nie zdawała mi się tak obca, jak jakaś istota z baśni, blada jak upiór.

– Skąd o tym wiesz, ludzka dziecińco?

A ja sądziłam, że to księżę Cardan jest w tej chwili najważniejszą osobą w całym Królestwie Elfów.

Bez słowa wyciągam z kieszeni bliźniaczy złoty żołędź.

Szybko zamykam drzwi, zamykam balkon. Oriana patrzy na mnie, nie

protestuje.

– Gdzie on teraz jest? – pytam.

– Dąb? Jest ze swoją niańką – odpowiada szeptem Oriana i ciągnie mnie do tapczanika w rogu wyłożonego wężowym brokatem i pokrytego futrem. – Mów, prędko.

– Najpierw powiedz mi, co się stało siedem lat temu.

Oriana bierze głęboki wdech.

– Może myślisz, że byłam zazdrosna o Liriope, bo także była nałożnicą Eldreda, ale to nieprawda. Była mi przyjacielem. Nie przyjaciółką od plotek i wspólnego intrygowania, lecz przyjacielem. Kochałam ją. Była radosna, roześmiana, nie można jej było nie kochać – nawet jej syna odrobinę kocham, nic nie mogę na to poradzić, to ze względu na nią. Nawet mimo tego, że stał się kością niezgody między tobą a Taryn.

Jak musiał czuć się Loki, kiedy jego matka była kochanką króla? Miotają mną sprzeczne uczucia, od empatii po pragnienie, żeby jego życie stało się pasmem cierpień.

– Byłam jej przyjacielem i powiernikiem – powtarza Oriana. – Opowiedziała mi, kiedy zaczął się jej romans z księciem Dainem. Nie traktowała tego poważnie. Myślę, że bardzo kochała ojca Lokiego. Zarówno związek z Dainem, jak i z Eldredem to były tylko przelotne miłości. Wiesz sama, że nasz rodzaj nie musi się zbytnio lękać niechcianej ciąży. Krew elfów jest rzadka. Myślę, że się niczego nie spodziewała, bo któż by przypuszczał, że ledwie dziesięć lat po przyjściu na świat Lokiego pocznie następnego syna. Niektóre z nas rodzą następane dziecko sto lat po pierwszym. Niektóre nie rodzą nigdy.

Kiwam głową. Właśnie dlatego śmiertelnicy są elfom niezbędni. Gdyby nie dopływ świeżej krwi, elfowie dawno by już wymarli, nie na wiele by im się zdała ich długowieczność, której nadają szumne miano nieśmiertelności.

– Śmierć od grzyba rumienia jest straszna – opowiada Oriana z dłonią przyciśniętą do krtani. – Ruchy powolnieją, kończyny opanowuje niepohamowany dygot, aż wreszcie następuje paraliż. Świadomość jednak pozostaje, jak dusza w zatrzymanym zegarze. Wyobraź sobie, jaka to potworność, wyobraź sobie nadzieję... Bo sądzisz, że może jeszcze zdołasz się poruszyć, wysilasz się, lecz na próżno. Kiedy dotarła do mnie jej wiadomość, Liriope już nie żyła. Wycięłam... – milknie.

Nie kończy zdania, ale wiem, co chciała powiedzieć. Musiała wyciąć

dziecko z łona Liriope. Nie mogę sobie wyobrazić wymuskaney Oriany dokonującej tak krwawego i dzielnego czynu. Trzeba wbić nóż w martwe ciało, znaleźć właściwy punkt i ciąć dalej. Wydostać dzieciaczka z łona, przyłożyć zakrwawione ciało do swojego. Któż jednak inny mógł to zrobić?

– Uratowałaś go – mówię, bo skoro nie chce o tym opowiadać, to nie musi.

– Nadałam mu takie imię ze względu na złoty żołądź Liriope – mówi głosem cichszym niż oddech. – Jest moim malutkim złotym Dębem.

Tak strasznie chciałam wierzyć, że służba dla Daina to zaszczyt, że jest, czy był, kimś zasługującym na wierność, lojalność. Tak to bywa, gdy się zbyt za czymś tęskni: człowiek gotów jest przełknąć apetyczny kąsek, nie sprawdzając zawczasu, czy nie jest zgniły.

– Wiedziałaś, że to Dain otrul Liriope?

Oriana potrząsa głową.

– Nie, przez długi czas nie. To przecież mogła zrobić którakolwiek z nałożnic Eldreda albo i Balekin, krążyły bowiem pogłoski, że to jego zbrodnia. Dopuszczałam nawet myśl, że dokonał tego sam Eldred, że ją otrul bo romansowała z jego synem. Potem jednak Madok odkrył, że to Dain zdobył grzyby rumienia. Nalegał, żeby Dąb nigdy nie przebywał w pobliżu księcia. Był wściekły, rozgniewany w tak przerażający sposób – nigdy go przedtem takiego nie widziałam.

Nietrudno się domyślić, z jakich powodów Dain wzbudził furię Madoka. Madoka, który kiedyś sądził, że jego żona i dziecko nie żyją. Madoka, który kochał Dęba. Madoka, który nieustannie nas napominał, że rodzina jest najważniejsza.

– Wyszłaś więc za Madoka, żeby was chronił?

Mam tylko niejasne wspomnienia z czasów ich narzeczeństwa, zaraz potem zawarli małżeństwo, dzieciak ponoć był już w drodze. Pewnie nawet myślałam, że to niezwykle, ale przecież każdy ma prawo do szczęśliwego trafu. Dla mnie zresztą nie tak bardzo szczęśliwego, bo pamiętam, jak ja i Taryn niepokoiłyśmy się, co nowe dziecko może dla nas znaczyć. Lękałyśmy się, że Madok będzie miał nas dość, że odprawi nas dokądś z kieszeniami pełnymi złota i zagadkami przyszpilonymi do koszuliny. Jakoś pech nikomu się nie wydaje podejrzany.

Oriana przez szklane drzwi spogląda na drzewa szarpane wiatrem.

– Zawarliśmy z Madokiem porozumienie. Jesteśmy wobec siebie szczerzy.

Nie wiem, co ona chce przez to powiedzieć – że są małżeństwem

z rozsądku, z wyrachowania?

– Na czym więc polega jego gra? – pytam. – Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby chciał nazbyt długo utrzymać Balekina na tronie. Jak go znam, to gdyby nie wykorzystał tak podstawowego atutu, w swoim mniemaniu dopuściłby się zbrodni wobec podstawowych zasad strategii.

– O czym ty mówisz?

Chyba ją rzeczywiście zaskoczyłam. No jasne, całkowita szczerłość w ich małżeństwie. Jasne, jasne.

– No, że chce osadzić Dęba na tronie – mówię, jakby to było coś oczywistego. Bo też i jest. Nie wiem, jak zamierza to przeprowadzić ani kiedy, ale jestem pewna, że taki ma zamiar. Oczywiście, że tak.

– Dąb? – szepcze Oriana. – Nie, nie, nie. Jude, nie. Przecież to tylko dziecko.

Zabierz go daleko od tego dworu. O to prosiła Liriope. Może szkoda, że Oriana tej prośby nie spełniła.

Pamiętam, jak całe wieki temu Madok przy kolacji powiedział, że gdy następuje zmiana władzy, tron staje się chwiejny. Niewykluczone, że początkowo zamierzał doprowadzić do śmierci zarówno Daina, jak i Balekina, aby król odłożył koronację na późniejszy czas, kiedy Dąb będzie mógł odegrać istotną rolę. Teraz jednak, niezależnie od jego pierwotnych planów, kiedy pozostały przy życiu tylko trzy osoby krwi królewskiej, bez wątplenia musiał pomyśleć o wykorzystaniu takiej okazji. Jeśli Dąb zostanie Najwyższym Królem, wtedy Madok będzie regentem. Będzie rządził Królestwem Elfów, dopóki Dąb nie osiągnie pełnoletniości.

A potem, kto wie, co się stać może? Jeśli zdoła trzymać Dęba w szachu, być może będzie rządził Elysium po wsze czasy.

– Też kiedyś byłam dzieckiem – odpowiadam Orianie. – I jakoś mi się nie wydaje, żeby Madok przejmował się wtedy tym, co i jak zniosę. I coś mi mówi, że teraz Dębem też się nie będzie przejmował.

Nie żebym myślała, że Madok nie kocha Dęba. Oczywiście, że go kocha. Ale mnie też kocha. I kochał moją matkę. Natomiast jest tym, kim jest. Nie może być inny, bo taka jest jego natura.

Oriana chwyta mnie za rękę, ściska tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w skórę.

– Ty nie rozumiesz. Królewskie dzieci nie żyją długo, a Dąb jest taki delikatny. Był za mały, kiedy przyszedł na ten świat. Żaden król ani królowa

z jakiegokolwiek dworu nie pokłoni przed nim głowy. Nie jest wychowany do tego brzemienia. Musisz to powstrzymać.

Co zrobi Madok, posiadając praktycznie niczym nie ograniczoną władzę? A czego ja mogłabym dokonać, mając brata na tronie? Mogłabym go na tym tronie osadzić. Mam koronny atut w rękawie, bo o ile Balekin z pewnością za nic by się nie zgodził na koronację Dęba, to idę o zakład, że Cardan nie miałby nic przeciwko temu. Tak więc mogłabym uczynić mojego braciszka królem, a siebie księżniczką. Władza jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy po nią sięgnąć.

Ambicja to coś doprawdy szczególnego; łatwo się nią zarazić, za to trudno ją powstrzymać. Jeszcze niedawno zadawałam się nadzieją, że zostanę przyjęta do rycerskiego stanu, dzięki czemu zyskam dość wpływów, żeby Cardan i jego przyjaciele zostawili mnie w spokoju. Pragnęłam jedynie znaleźć swoje miejsce w Elysium.

A teraz całkiem poważnie rozważam, kto ma być następnym królem.

Przed oczami nadal mam strugę krwi spływającą po kamiennym podium na udeptaną ziemię. Krew ściekającą z korony; kiedy Balekin ją podniósł, ubabrał sobie dłonie na czerwono. Wyobrażam sobie tę samą koronę wieńczącą czoło Dęba i krzywię się na tę myśl.

Pamiętam też, jak to było, kiedy Dąb mnie zaczarował. Wymierzałam sobie wtedy policzek za policzkiem, chociaż bolało coraz bardziej, a potem miałam opuchniętą twarz i ślady znikły dopiero po tygodniu. Oto jak dzieci wykorzystują władzę.

– Dlaczego myślisz, że mogę temu zapobiec? – pytam.

Oriana puszcza moją rękę.

– Nie wiem. Kiedyś powiedziałaś, że się co do ciebie myślę, że nigdy byś nie skrzywdziła Dęba. Powiedz mi, czy możesz coś zrobić? Czy jest jeszcze jakaś szansa?

Mówiłam jej, że nie jestem potworem, ale to było wtedy, teraz już jestem kimś zupełnie innym. Być może...

– Być może – odpowiadam, co nie jest żadną odpowiedzią.

Wychodząc, widzę mojego braciszka. Jest w ogrodzie, zbiera naparstnice. Śmieje się, promienie słońca lśnią złotem w jego kasztanowych włosach. Kiedy podchodzi do niego niańka, ucieka.

Na pewno nie wie, że te kwiaty są trujące. Gotowa jestem się założyć.

ROZDZIAŁ 25



Gdy wracam do Dworu Cieni, już z daleka słyszę śmiech. Spodziewałam się zastać Cardana w takiej sytuacji, w jakiej go pozostawiłam – zastraszzonego i okiełznanego – może nawet jeszcze bardziej niż przedtem. Tymczasem siedzi przy stole z rozwiązanymi rękoma i rżnie w karty z Karakanem, Duchem oraz Bombą. Na stole leży stos klejnotów, stoi dzban wina. Dwie puste butelki walają się po podłodze, w ich szkle na zielono odbijają się płomienie świec.

– Jude! – woła Bomba. – Siadaj! Przyłączysz się do gry?

Cieszę się, że ją widzę całą i zdrową. Poza tym jednak wcale mi się nie podoba to, co widzę.

Cardan wita mnie uśmiechem, jakbyśmy byli odwiecznymi przyjaciółmi. Zapomniałam, jaki czar potrafi roztaczać i jakie to niebezpieczne.

– Co wy wyprawiacie? – krzyczę. – Powinien być związany! On jest więźniem a nie gościem.

– Bez obaw. Dokąd niby miałby uciec? – odpowiada Karakan. – I sądzisz,

że my troje nie potrafimy wybić mu z głowy próby ucieczki?

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby być jednorękiem – wtrąca Cardan. – Jeżeli jednak znów mi zwiążecie obie ręce, będziecie musieli sami wlewać mi wino do ust.

– Zdradził nam, gdzie stary król trzymał naprawdę dobre wino – informuje mnie Bomba, odgarniając białe włosy. – Nie mówiąc już o klejnotach, które należały do Elowyn. Stwierdził, że w całym tym zamęcie nikt nie zauważy, jeśli znikną, i rzeczywiście, jak dotąd nikt na to nie zwrócił uwagi. Najłatwiejsza robota w karierze Karakana.

Chce mi się krzyknąć. Nie mieli go polubić! Chociaż właściwie, czemu nie? Przecież jest księciem, który odnosi się do nich z szacunkiem. Bratem Daina. Należy do ludu elfów, tak jak oni.

– Wszystko i tak pogrąża się w chaosie – mówi Cardan. – Dlaczego więc się nie zabawić, Jude?

Biorę głęboki wdech. Jeżeli Cardan zdoła osłabić moją pozycję na Dworze Cieni, jeżeli za jego sprawą stanę się dla nich kimś z zewnątrz, nigdy nie pomogą mi w zrealizowaniu planu, który zaczyna mi się rysować w głowie. Na razie i tak nie mogę wymyślić, w jaki sposób dopomóc tym, którzy pomocy potrzebują. Tego tylko brakowało, żeby jeszcze on zaczął wszystko utrudniać.

– Co wam zaoferował? – pytam, jakbyśmy wszyscy brali udział w tym samym żarciku. Bo tak, przecież to hazard, gra. Może zresztą Cardan niczego im nie proponował.

Staram się nie dać po sobie poznać, że na odpowiedź czekam z zapartym tchem. Staram się, żeby nie widzieli, jak maleńka się czuję przy Cardanie.

Duch uśmiecha się – rzadki widok.

– Głównie złoto, ale także władzę. Zaszczyty.

– Czyli mnóstwo rzeczy, których nie ma – uzupełniła Bomba.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi – rzecze Cardan z urazą w głosie.

– Wezmę go do gabinetu.

Gestem właściciela kładę dłoń na oparciu krzesła. Muszę go zabrać z tej komnaty, zanim całkiem ich przekabaci na swoją stronę. I to natychmiast.

– Ale po co? – dopytuje się Karakan.

– To mój więzień – przypominam.

Kucam, żeby przeciąć pasma krępujące jego nogi. Uświadamiam sobie, że musiał spać w tej pozycji, na siedząco – o ile w ogóle spał. Nie wygląda

jednak na zmęczonego. Uśmiecha się do mnie z góry, tak jakbym przyklękała przed nim, aby oddać mu hołd, a przynajmniej pokłon.

Chciałabym zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy, ale może to niewykonalne. Może pójdzie z nim do grobu.

– A nie moglibyśmy tu zostać? – pyta Cardan, zwracając się do mnie. – Tutaj jest wino.

Na to Karakan parska śmiechem.

– Coś nie pasuje, księciuniu? Podobno ty i Jude jesteście serdecznymi przyjaciółmi?

Wyraz twarzy Cardana zmienia się w coś, co przypomina zaniepokojenie. Dobrze.

Prowadzę go więc do gabinetu, który tak jakbym zarekwirowała dla siebie. Cardan idzie niepewnym krokiem, sztywno, w końcu długo był związany. A może po prostu dlatego, że razem z moją załogą opróżnili kilka flaszek wina. Nikt się jednak nie sprzeciwia, kiedy go zabieram. Zamykam drzwi, przekręcam klucz.

– Siadaj – mówię, wskazuję krzesło.

Siada.

Obchodzę biurko, zajmuję fotel z drugiej strony.

Przychodzi mi do głowy, że gdybym go zabiła, mogłabym wreszcie przestać o nim myśleć. Nie musiałabym już nigdy więcej się tak czuć.

Jednak wraz z nim bezpowrotnie przepadłby prosty sposób osadzenia Dęba na tronie. Być może Madok zdołałby jakoś zmusić Balekina, żeby go ukoronował, ale bez niego nie mam żadnych atutów. Żadnego planu. W żaden sposób nie pomogę mojemu bratu. Nic, nigdy, nigdzie.

Chociaż, kto wie, może jednak warto.

Kusza spoczywa tam, gdzie ją zostawiłam, w szufladzie biurka. Wyciągam ją, napinam i wymierzam w stronę Cardana.

Chrapliwie wciąga powietrze.

– Zastrzelisz mnie? – pyta i mruga powiekami. – Tu i teraz?

Mój palec muska spust. Czuję spokój, błogi spokój. Byłoby przejawem słabości przedłożyć lęk nad ambicję, nad rodzinę, nad miłość – ale miło jest mieć świadomość, że mimo wszystko mogłabym to zrobić. Upajające poczucie władzy.

– Nie rozumiem, dlaczego mogłabyś tego chcieć – mówi, jakby usiłując wyczytać coś z mojej twarzy i jakby podjął jakąś decyzję. – Naprawdę

wolałbym, żebyś tego nie robiła.

– W takim razie niepotrzebnie wciąż w mojej obecności przybierasz ten kpiący uśmieszek. Myślisz, że tu i teraz zniosę twoje naśmiewanie się ze mnie? Nadal uważasz, że jesteś lepszy ode mnie?

Mój głos nieco drży i za to nienawidzę Cardana jeszcze bardziej. Codziennie ćwiczyłam w pocie czoła, żeby stać się groźnym przeciwnikiem, teraz Cardan jest całkowicie w mojej władzy, a jednak to ja się boję, nie on.

Obawa przed nim stała się nawykiem – nawykiem, którego łatwo mogę się wyzbycić za pomocą żelaznego bełtu w jego sercu.

Podnosi ręce w geście protestu, rozkłada palce – nie ma pierścienia; jego królewski pierścień tkwi przecież w mojej kieszeni.

– Bo ja się denerwuję – tłumaczy. – Kiedy się denerwuję, ciągle się uśmiecham. Nic na to nie poradzę.

Zupełnie nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Na chwilę opuszczam kuszę.

Mówi dalej, nie chce mi zostawić zbyt dużo czasu na myślenie.

– Przerażasz mnie. Prawie cała moja rodzina nie żyje, a ponieważ nigdy nie mieli dla mnie zbyt wiele miłości, nie mam ochoty do nich dołączyć. Przez całą noc zachodziłem w głowę, co ze mną zrobisz, i oczywiście, doskonale wiem, na co zasługuję. Mam powody do zdenerwowania.

Przemawia do mnie jak do przyjaciela, nie jak do wroga. Poniekąd to działa, rozluźniam się. Kiedy sobie to uświadamiam, popadam w taką panikę, że bliska jestem natychmiastowego uśmiercenia go.

– Powiem ci, cokolwiek zechcesz – proponuje Cardan. – Cokolwiek.

– Bez wykrętów i bawienia się słówkami?

Pokusa jest ogromna. Wszystko, co usłyszałam od Taryn, wciąż tłucze mi się po głowie i przypomina, jak niewiele wiem.

Przykłada dłoń tam, gdzie normalne istoty mają serce.

– Przysięgam.

– A jeżeli i tak cię zastrzele?

– Możesz to zrobić – odpowiada kwaśnym tonem – ale chcę, żebyś mi dała słowo, że tego nie zrobisz.

– Sam wiesz, ile warte jest moje słowo – przypominam mu.

– Ciągle to powtarzasz. – Unosi brwi. – Muszę ci wyznać, że nie podnosi mnie to na duchu.

Śmieję się zaskoczona. Kusza drga w mojej dłoni. Cardan nie spuszcza

z niej wzroku. Niespiesznym ruchem odkładam ją na blat biurka.

– Powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć, ale naprawdę wszystko, to cię nie zastrzele.

– A co mogę zrobić, żebyś mnie nie wydała Balekinowi i Madokowi?

Unosi brew. Nie przywykłam, by tak skupiał na mnie uwagę. Czuję się z tym niezręcznie, moje serce przyspiesza.

Mogę tylko rzucić mu groźne spojrzenie.

– Może na razie skupiłbyś się na tym, żeby pozostać przy życiu?

Wzrusza ramionami.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wpadła mi w ręce kartka z moim imieniem – mówię. – Moje imię powtarza się na niej wielokrotnie i nic więcej tam nie ma.

Porusza się niespokojnie, ale nic nie mówi.

– No? – ponaglam go.

– To nie jest pytanie – rzuca zdesperowany. – Zadaż mi normalne pytanie, to ci odpowiem.

Nieźle się zaczyna z tym mówieniem mi wszystkiego, co chcę wiedzieć.

Moja dłoń wędruje w stronę kuszy, ale jej nie podnoszę.

Cardan ciężko wzdycha.

– Po prostu zapytaj. Może jesteś ciekawa, czy to prawda, że mam ogon. Chcesz go sobie zobaczyć?

Jego ogon akurat już widziałam, ale nie o tym zamierzam z nim rozmawiać.

– Mówisz, że mam ci zadać pytanie. Dobrze. Kiedy Taryn zaczęła romansować z Lokim?

Śmieje się zadowolony. Wyraźnie rozmów na ten temat wcale nie zamierza unikać. Nic dziwnego.

– No, ciekaw byłem, kiedy mnie wreszcie o to zapytasz. Zaczęło się kilka miesięcy temu. Opowiadał nam o tym. Rzucał kamieniami w jej okno, zostawiał liściki, spotykali się przy blasku księżyca. Musieliśmy przysiąc, że zachowamy tajemnicę, żeby to wyglądało na zwykłe żarty. Mam wrażenie, że początkowo robił to, żeby wzbudzić zazdrość Nicassii. Ale potem...

– Skąd wiedział, że to jej pokój? – pytam, marszcząc czoło.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Może i nie wiedział. Może którakolwiek z was zaspokoiłaby jego potrzeby podboju śmiertelniczek. Wydaje mi się, że docelowo zamierzał

posiąść was obie.

Nie podoba mi się to wszystko.

– A co z tobą?

Rzuca mi dziwne, przelotne spojrzenie.

– Nie, mnie Loki jeszcze nie uwiódł. Prawdę mówiąc, nawet nie próbował, jeżeli chcesz wiedzieć. Pewnie powinienem czuć się urażony.

– Nie o tym mówię. Ty i Nicassia byliście...

Nie wiem, jak to nazwać. „Byliście razem” to nie jest odpowiednie określenie dla tej pięknej i podłej pary siejącej zniszczenie i czerpiącej z tego radość.

– Tak, Loki mi ją skradł – mówi Cardan przez zaciśnięte szczęki. Teraz już się nie uśmiecha. Najwyraźniej nie tak łatwo mu to wyznać. – I nie wiem, czy Loki jej chciał, żeby wzbudzić zazdrość jakiejś innej kochanki, czy żeby mnie rozgniewać, czy przypadkiem akurat dlatego, że Nicassia jest taka piękna. Nie wiem również, czego mi brakuje, że wybrała akurat jego. Wierzysz mi teraz, że udzielam ci tak szczerych odpowiedzi, jakie ci obiecałem?

Myśl o tym, że Cardan mógł doznać miłosnego zawodu, przekracza moje możliwości wyobrażenia.

Kiwam głową.

– Kochałeś ją?

– A cóż to za pytanie?

Wzruszam ramionami.

– Chciałabym wiedzieć.

– Tak – odpowiada ze wzrokiem wbitym w blat biurka, patrzy na moją dłoń. I nagle zdaję sobie sprawę, że mam obgryzione paznokcie. – Kochałem.

– Dlaczego chciałeś mojej śmierci? – pytam, bo chcę przypomnieć nam obojgu, że odpowiedzi na kłopotliwe pytania to i tak niewiele wobec tego, na co zasłużył. Jesteśmy wrogami, niezależnie od tego, ile żarcików powie i jak łaskawie by się do mnie nie odnosił. Ten, kto obdarzony jest urokiem osobistym, jest naprawdę uroczy, ale to wszystko. Nic więcej.

Wzdycha ciężko, opiera głowę na rękach, przestaje nawet zwracać uwagę na kuszę.

– Chodzi ci o tę historię z utopcami? To ty niepotrzebnie się wierciłaś i szarpałaś, i rzucałaś w nie kamieniami. To są strasznie leniwe stworzenia i nawet obawiałem się, że w końcu je rozdrażnisz i któryś z nich spróbuje cię

ukąsić. Być może jestem zepsuty do szpiku kości, ale mam tę jedyną zaletę, że nie jestem mordercą. Owszem, chciałem cię przestraszyć, ale z pewnością nie chciałem twojej śmierci. Nigdy. Nigdy nie chciałem niczyjej śmierci.

Teraz pamiętam, jak jeden z utopców poruszył się, ale Cardan czekał, dopóki nie znieruchomiał, dopiero potem się wycofał, żebyśmy z Taryn mogły wyjść na brzeg. Przyglądam mu się, patrzę na ślady srebrnej farby, pamiątkę po przyjęciu, widzę atramentową czerń jego oczu. Nagle przypomina mi się, jak ściągnął ze mnie Valeriana, kiedy się dławiłam elfowym prajabłkiem.

Nigdy nie chciałem niczyjej śmierci.

Mimo woli przypominam sobie, jak nieudolnie dzierżył miecz w gabinecie Balekina, jak niezręcznie się nim posługiwał. Sądziłam, że robi to z rozmysłem, żeby dokuczyć bratu. Dopiero teraz sobie uświadamiam, że może po prostu nie lubi walczyć i dlatego nigdy nie nauczył się porządnie szermierki. Gdybyśmy kiedykolwiek stanęli w szrankach, z pewnością bym wygrała. Zrobiłam niejedno, żeby być dla niego godną przeciwniczką, lecz niewykluczone, że wcale nie walczyłam z Cardanem. Może walczyłam z własnym cieniem.

– W każdym razie Valerian bez wątpienia próbował mnie zamordować. Co najmniej dwukrotnie. Najpierw w wieży, potem z mojej komnacie, w moim domu.

Cardan podnosi głowę, porusza się niespokojnie, potem nieruchomieje, jakby dopiero teraz coś zrozumiał.

– Kiedy mówiłaś, że go położyłaś trupem, to myślałem, że go wytropiłaś, no i... – Zawiesza głos, potem podejmuje: – tylko skończony głupiec mógłby zakraść się do rezydencji generała.

Rozpinam kołnierz koszuli, żeby mu pokazać ślady palców Valeriana.

– Mam też siniaka na ramieniu, bo przewrócił mnie na podłogę. Teraz wierzysz?

Wyciąga do mnie rękę, jakby chciał tych śladów dotknąć palcami. Podnoszę broń, Cardan pospiesznie cofa dłoń.

– Valerian lubił sprawiać ból. Wszystko jedno komu, mnie też. Wiedziałem, że chce ci coś zrobić. – Milknie, tak jakby właśnie usłyszał własne słowa. – I zrobił. Myślałem, że to mu wystarczy.

Nigdy dotąd się nie zastanawiałam, jak to mogło być, kiedy się miało Valeriana za przyjaciela. Okazuje się, że mniej więcej tak samo, jak kiedy był

czyimś wrogiem.

– Czyli to nie miało znaczenia, dopóki Valerian tylko chciał „coś mi zrobić”? – pytam. – Dopóki mnie nie zabił, wszystko było w porządku?

– Musisz przyznać, że lepiej żyć, niż nie żyć – odpowiada Cardan.

Kładę obie dłonie na blacie biurka.

– Powiedz, dlaczego mnie nienawidzisz. Chcę to wreszcie usłyszeć.

Jego długie palce gładzą z drugiej strony to samo drewno.

– Naprawdę? Mam ci odpowiedzieć szczerze?

– Mam kuszę i obiecałam, że jej nie użyję, ponieważ ty obiecałeś mi odpowiedzi. A więc jak?

– Doskonale. – Spogląda na mnie spode łba. – Nienawidzę cię, bo twój ojciec cię kocha, chociaż jesteś ludzkim pomiotem spłodzonym przez jego niewierną żonę, podczas gdy mój nigdy o mnie ani trochę nie dbał, chociaż jestem księciem elfów. Nienawidzę cię, bo nie masz brata, który cię bije. I jeszcze nienawidzę cię, bo Loki użył ciebie i twojej siostry, by doprowadzić Nicassię do płaczu, po tym, jak mi ją odebrał. Nie mówiąc o tym, że po turnieju Balekin nieustannie mi wypominał, że ty, śmiertelniczka, pokonałaś mnie w walce.

Nie sądziłam, że Balekin w ogóle zdaje sobie sprawę z mojego istnienia.

Spoglądamy na siebie ponad dzielącym nas biurkiem. Cardan rozpiera się wygodnie, w każdym calu wygląda jak zły książę z bajki. Chyba już się nie obawia mojej kuszy.

– To wszystko? – pytam. – Bo jeżeli tak, to chyba kpisz sobie ze mnie. Jak możesz mi zazdrościć? Ty nie musisz mieszkać na co dzień pod tym samym dachem z mordercą swoich rodziców. Nie musisz wciąż hodować w sobie gniewu, bez którego w każdej chwili może się pod twoimi stopami otworzyć otchłań lęku.

Urywam, zaskoczona tym, co powiedziałam.

Obiecywałam sobie, że nie dam mu się oczarować, a jednak pozwoliłam się omamić, nieoczekiwanie dla siebie samej pozwoliłam sobie na szczerłość.

Uśmiech Cardana przeradza się w lepiej mi znany grymas.

– Ach, doprawdy? Myślisz, że nie wiem, co to złość? Myślisz, że nie wiem, co to strach? W końcu to nie ty targujesz się o swoje życie.

– A więc naprawdę dlatego mnie nienawidzisz? – dopytuję. – Tylko i wyłącznie dlatego? Nie masz jakiegoś lepszego powodu?

Przez chwilę mam wrażenie, że zignorował to pytanie, ale w następnej

chwili dociera do mnie, że nie odpowiada, bo nie może kłamać, a nie ma ochoty wyznać prawdy.

– No? – odzywam się, znów sięgam po kuszę, zadowolona, że mam pretekst, by umocnić swoją pozycję osoby pociągającej za sznurki. – Mów!

Pochyla się, zamyka oczy.

– Najbardziej ze wszystkiego nienawidzę cię dlatego, że o tobie myślę. Często. To okropne, ale nie mogę przestać.

Zamurowało mnie, nie wiem, co powiedzieć.

– Może naprawdę byłoby lepiej, gdybyś mnie zastrzeliła – mówi i zakrywa twarz smukłą dłonią.

– Próbujesz sobie igrać ze mną – odzywam się.

Nie wierzę mu. Nie dam się nabrać na taką sztuczkę. Myśli, że jestem taka głupia, że dam sobie zawrócić w głowie. Nic z tego. Gdybym tak łatwo dała się łąpać na lep urody, nie przetrwałabym ani jednego dnia w tej krainie. Wstaję, żeby go zmusić do wyznania prawdy.

Kusza nie jest najlepsza na krótkie odległości, sięgam więc po sztylet. Cardan nie patrzy, kiedy się do niego zbliżam. Przykładam ostrze do jego szyi tak jak dzień wcześniej w korytarzu, odwracam jego twarz w swoją stronę. Niechętnie podnosi wzrok.

Wstyd i przerażenie na jego twarzy nie są udawane. Teraz już nie jestem taka pewna, co mam o tym sądzić.

Pochyłam się nad nim na odległość pocałunku. Rozwiera szerzej oczy. Na jego książęcym obliczu maluje się dziwna mieszanka lęku i pożądania. To upajające, mieć kogoś w swojej mocy. A zwłaszcza Cardana, o którym sądziłam, że jest w ogóle pozbawiony jakichkolwiek uczuć.

– Ty naprawdę mnie pragniesz – mówię. Jesteśmy tak blisko, że czuję ciepło jego oddechu. – Pragniesz, a jednocześnie bardzo tego nie chcesz.

Teraz trzymam ostrze tak, że dotyka jego karku. Nie wygląda na tak przerażonego, jak mogłabym oczekiwać.

Dopóty, dopóki nie zbliżam swoich warg do jego ust.

ROZDZIAŁ 26



Nie mam dużego doświadczenia w całowaniu. Przed nim był tylko Loki, a przed Lokim nie było nikogo. Jednak całowanie się z Lokim nie było takie, jak całowanie się z Cardanem – jazda po ostrzach noży, błyskawica adrenaliny. Uczucie takie, jak wypłynąć daleko nad morze, za daleko, kiedy już nie ma powrotu, a jest tylko zimna czarna woda zamykająca się nad głową.

Okrutne usta Cardana są zaskakująco miękkie. Przez długą chwilę po zetknięciu się naszych warg jest nieruchomy niczym posąg. Zamyka tylko oczy, muskając rzesami mój policzek. Wzdrygam się, jak przystało na kogoś, komu depczą po grobie. Potem jego ręce unoszą się, delikatnie przesuwają po moich ramionach. Gdybym nie wiedziała dlaczego, mogłabym sądzić, że to przez uszanowanie, ale wiem. Poruszają się tak wolno, bo on usiłuje się powstrzymać. On tego nie chce i nie chce tego chcieć.

Smakuje kwaśnym winem.

Czuję, kiedy się poddaje i przyciąga mnie do siebie pomimo grożącego mu

ostrza. Całuje mocno, z żarłoczną desperacją, wsuwa palce w moje włosy. Nasze usta razem, zęby, wargi, języki. Pożądanie uderza mnie jak kopnięcie w żołądek. Jest jak walka, tyle że zmagamy się o to, by wedrzeć się nawzajem pod swoją skórę.

Wtedy ogarnia mnie zgroza. Cóż to za szalona zemsta w rozkoszowaniu się jego chucią zmieszaną z odrazą. Zresztą tak naprawdę jest o wiele gorzej. Dużo gorzej, bo to mi się podoba. Podoba mi się wszystko w całowaniu z nim – znajomy przydźwięk lęku i świadomość, że to dla niego kara, i dowód, że mnie pożąda.

Nóż w mojej dłoni jest bezużyteczny. Rzucam go na biurko, kątem oka widzę, że sztych wbija się w drewno. Na ten odgłos Cardan odrywa się ode mnie zaniepokojony. Jego usta są różowe, oczy ciemne. Widzi nóż i parska śmiechem.

To wystarcza, żebym się cofnęła. Chcę z niego kpić, wykazać jego słabość, nie okazując własnej, jednak nie ufam swej twarzy, która mogłaby zbyt wiele zdradzić.

– Tak to sobie wyobrażałeś? – pytam.

Na szczęście mój głos brzmi szorstko.

– Nie – odpowiada bezbarwnym tonem.

– Opowiadaj – nakazuję.

Potrząsa głową, jakby z żalem.

– O ile rzeczywiście mnie nie zadźgasz, to chyba ci nie powiem. A jeśli zadźgasz, to tym bardziej nie powiem.

Omam się nie roześmiałam. Siadam na biurku Daina, żeby przywrócić dystans między nami. Moja skóra jest zbyt napięta, pokój nagle stał się zbyt ciasny dla nas dwojga.

– Chcę coś zaproponować – odzywa się Cardan. – Nie zamierzam włożyć korony na głowę Balekina tylko po to, żeby zaraz stracić swoją. Domagaj się, czego tylko chcesz dla siebie i dla Dworu Cieni, ale poproś też o coś dla mnie. Niech mi da jakąś ziemię daleko stąd. Powiedz mu, że będę się trzymał z daleka i spokojnie trwonił majątek. Nigdy więcej nie będzie musiał mnie oglądać. Spłodzi sobie jakiegoś bękarta jako spadkobiercę i niech jemu przekazuje Najwyższą Koronę. A może ów potomek poderżnie mu gardło, skoro już powstała w tej rodzinie taka tradycja. Nic mnie to nie obchodzi.

Z niechęcią muszę przyznać, że to całkiem rozsądna oferta, dowodząca przy tym zdumiewającej przytomności umysłu jak na kogoś, kto był przez

całą noc przywiązany do krzesła, do tego prawdopodobnie przez cały ten czas mocno pijany.

– Wstań – mówię.

– Nie obawiasz się więc, że spróbuję ucieczki? – pyta, przeciągając się. Buty z ostrogami na czubkach lśnią; przychodzi mi do głowy, że powinnam mu je zabrać, bo można się nimi posłużyć jako bronią. Potem sobie przypominam, jak nieudolnie wymachuje mieczem.

– Po tym pocałunku tak oszalałam, że z trudem nad sobą panuję – mówię, wkładając w to cały sarkazm, na jaki mnie stać. – Nie marzę o niczym innym, jak tylko o tym, żeby cię uszczęśliwić. Jasne, wytarguję dla ciebie, co zechcesz, tylko całuj mnie jeszcze. Uciekaj sobie, uciekaj. Przecież nie strzelę ci w plecy.

Mruga kilka razy.

– To dziwne tak słuchać, jak kłamiesz mi prosto w oczy.

– Dobrze, w takim razie powiem ci prawdę. Nie uciekniesz, bo nie masz dokąd.

Podchodzę do drzwi, przekręcam klucz, wyglądam. Bomba leży na posłaniu w pokoju sypialnym. Karakan na mój widok unosi brwi. Duch zasnął w fotelu, ale kiedy wchodzimy, natychmiast się budzi. Mam nadzieję, że nie widać po mnie zakłopotania.

– Jak tam? Księciunio przesłuchany? – pyta Karakan.

Kiwam głową.

– Chyba wiem, co trzeba zrobić.

Duch przygląda się Cardanowi.

– A więc? Sprzedajemy, kupujemy? Ścieramy jego flaki z sufitu?

– Idę się przejść – oznajmiam. – Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Karakan wzdycha.

– Muszę uporządkować myśli – dodaję. – Potem wszystko wyjaśnię.

– Czyżby? – rzuca Duch, przyglądając mi się uważnie. Pewnie uważa, że łatwo przychodzą mi obietnice, rzucam je na wiatr i trwonię jak zakłęte złoto, które nieuchronnie przemieni się w suche liście.

– Rozmawiałam z Madokiem. W zamian za Cardana oferował mi wszystko, cokolwiek zechcę. Złoto, magię, sławę. Cokolwiek. To znaczy, że padła konkretna oferta, a ja nawet jeszcze nie przyznałam, że wiem, gdzie się podziewa zaginiony książę.

Duch krzywi się na wzmiankę o Madoku, ale nic nie mówi.

– W czym więc problem? – dopytuje się Karakan. – Wymieniłaś same dobre rzeczy. Ja bym brał.

– Dopracowuję szczegóły – odpowiadam. – Wy musicie tylko powiedzieć, czego chcecie. Dokładnie – ile złota i co oprócz tego. Spiszcie na papierze.

Karakan stęka, ale nie zamierza się spierać. Kiwa pazurzystą dłonią na Cardana, żeby wrócił do stołu. Książę zatacza się, opiera o ścianę, żeby tam dojść. Upewniam się, czy wszystkie ostre przedmioty są na swoich miejscach, po czym idę do wyjścia. Kiedy spoglądam za siebie, widzę, że Cardan zręcznie tasuje karty, ale spojrzenie jego czarnych lśniących oczu podąża za mną.



Idę do Jeziora Masek, siadam na czarnej skale. Zachód słońca rozpałił niebo, przemienił szczyty drzew w płomienie.

Przez długi czas tylko patrzę na fale dopływające do brzegu. Oddycham głęboko i czekam, aż mój umysł się uspokoi, myśli rozjaśnią. Nade mną świergocą ptaki, nawołują się, przygotowując do nocy; w dziuplach błyskają budzące się błędne ogniki.

Balekin nie może zostać Najwyższym Królem, należy zrobić wszystko, aby temu zapobiec. Byłby fatalnym władcą, bo jest okrutnikiem, który nienawidzi śmiertelników. Na razie obowiązują określone zasady rządzące pograniczem obu światów – te zasady mogłyby ulec zmianie. Być może nie będą już potrzebne układy, żeby sprowadzać ludzi do Elysium. Bezwzględni wyzyskiwacze będą mogli zakłąć i porwać każdego, kiedy tylko zechcą. Kiedyś tak właśnie było, także i teraz się zdarza. Najwyższy Król może uczynić oba światy znacznie gorszymi, niż są, może faworyzować nieczne dwory, siać niezgodę i terror przez tysiąc lat.

Cóż więc się stanie, jeżeli zamiast z Balekinem, zawrę porozumienie z Madokiem?

Osadzi na tronie Dęba, a potem sam obejmie rządy jako regent-tyran. Rozpęta wojnę ze wszystkimi dworami, które mu się nie podporządkują. Dąb będzie wyrastał pośród strug przelewanej krwi i stanie się kimś podobnym do Madoka lub może kimś bardziej wyrafinowanym, choć nie mniej okrutnym –

jak Dain. Na pewno jednak byłoby to lepsze od rządów Balekina. Poza tym mogę liczyć, że choćby ze względu na mnie dotrzyma warunków porozumienia zarówno ze mną, jak i z Dworem Cieni. A ja – co wtedy zrobię?

Pewnie mogłabym odejść razem z Vivi.

Albo wytargować sobie pozycję rycerza. Mogłabym zostać, by opiekować się Dębem, próbując równoważyć wpływ Madoka na chłopca. Co prawda nie na wiele by się to zdało. Nie wiem, czy w ogóle chciałby mnie słuchać.

Co zaś się stanie, jeżeli wyłączę z rozgrywki Madoka? Dwór Cieni nie dostanie złota, nikt się nie wzbogaci. Trzeba by jakoś zdobyć koronę i założyć ją na głowę Dęba. A co potem? Potem i tak Madok zostanie regentem. Nie powstrzymam go. Dąb będzie wyrastał w jego cieniu, tak samo będzie jego marionetką, nadal będzie mu groziło niebezpieczeństwo.

Chyba... Chyba żeby Dęba ukoronować, a potem wykraść z Elysium. Będzie sobie Najwyższym Królem na obczyźnie. Kiedy zaś dorośnie i będzie gotów, powróci z całą mocą korony Kolcowojów. Do tego czasu Madok zapewne w taki czy inny sposób będzie rządził Krainą Elfów, ale nie wychowa Dęba na krwiożerczego potwora rozkochanego w wojnie. Nie będzie miał na chłopca tak przemożnego wpływu, jaki by wywarł jako regent. Gdyby Dąb spędził dzieciństwo w świecie ludzi, po powrocie do Elysium być może darzyłby chociaż odrobiną sympatii to miejsce, w którym wyrastał, i ludzkie istoty, które poznał.

Dziesięć lat. Gdyby udało nam się przez dziesięć lat utrzymać Dęba z dala od Krainy Elfów, mógłby wyrosnąć na rozumnego władcę, niespaczonego zgubnymi wpływami.

Rzecz jasna po tak długim czasie mogłoby się okazać, że o tron trzeba stoczyć walkę. Ktoś – przypuszczalnie Madok, chociaż może i Balekin, może nawet któryś z pomniejszych królów lub królowych – mógłby go zająć i starać się skupić władzę w swoich rękach.

Mrużę oczy, spoglądając w czarną wodę. Gdyby znalazł się jakiś sposób, żeby tron pozostał niezajęty, dopóki Dąb nie dorośnie, bez wojen Madoka, bez żadnego regenta.

Podjęłam decyzję i wstaję. Na dobre lub na złe, ale już wiem, co zrobię. Mam gotowy plan. Madokowi ta strategia nie przypadłaby do gustu, nie spełnia bowiem podstawowego wymagania, żeby każde z możliwych rozwiązań było korzystne. Tutaj wcale nie wiadomo, czy plan w ogóle się

powiedzie, a wyjście jest tylko jedno.

Widzę swoje odbicie w wodzie. Zerkam jeszcze raz i uświadamiam sobie, że to nie mogę być ja. Woda w Jeziorze Masek nigdy nie pokazuje twarzy tego, kto w nią spogląda. Pochyliłam się. Na niebie księżyc w pełni, więc światło jest dość mocne, żebym mogła ujrzeć moją matkę. Patrzy na mnie. Jest młodsza, niż ją pamiętam. I śmieje się, przywołuje kogoś, kogo nie widzę.

Przez otchłań czasu wskazuje na mnie palcem. Kiedy mówi, czytam z jej ust: *Patrz! Śmiertelniczka*. Jest zachwycona.

Następnie dołącza do niej odbicie Madoka, który obejmuje ją w talii. On nie wygląda na młodszego, ale jego twarz ma pogodny wyraz, jakiego nigdy u niego nie widziałam. Macha do mnie.

Jestem dla nich kimś obcym.

Chcę wykrzyknąć: *uciekaj!* Rzecz jasna, akurat tego jej mówić nie muszę.



Gdy wchodzę, wita mnie spojrzenie Bomby. Siedzi przy stole, odmierza miarką szary proszek. Obok niej kilka zakorkowanych szklanych kul. Wspaniałe białe włosy spięła za pomocą jakiegoś brudnego sznurka w niechlujny koński ogon. Na nosie ma ślady smaru.

– Reszta śpi – informuje mnie. – Księżcunio też.

Siadam przy stole, wzdycham. Spinałam się i przygotowywałam do wyjaśnień, a teraz cała ta energia nie ma jak znaleźć ujścia.

– Mamy tu coś do jedzenia?

Bomba rzuca mi uśmiezek, kończy napełniać następną kulę, odkłada ją niedbale do koszyka, który ma u stóp.

– Duch gwizdnął skądś nieco chleba i masła. Kiełbasy zjedliśmy, wina też już nie ma, ale może został kawałek sera.

Grzebię w szafce, wydaję jedzenie, zjadam – nie myśląc o tym, co jem. Nalewam sobie kubek wzmacniającej, gorzkiej herbaty z fenkułu. Napar trochę mnie podnosi na duchu. Przez chwilę przyglądam się, jak Bomba sporządza bomby. Przy pracy pogwizduje sobie, odrobinę fałszując. Dziwnie słyszeć coś takiego, bo większość elfów ma wyborny muzyczny

słuch, ale taka melodyjka nawet bardziej mi się podoba. Jest niedoskonała, a przez to weselsza, łatwiejsza, mniej odurzająca.

– Dokąd się udasz, kiedy będzie po wszystkim? – pytam.

Spogląda na mnie zdziwiona.

– A dlaczego myślisz, że się dokądś wybieram?

Zagląda do prawie pustego już kubka.

– Dlatego, że Dain odszedł. A właściwie to chodzi mi o to, że Duch i Karakan mają takie plany, prawda? Nie wybierasz się razem z nimi?

Bomba wzrusza szczupłymi ramionami, gołą stopą pokazuje mi koszyk pełen kul.

– Widzisz to?

Kiwam głową.

– Kiepsko się z nimi podróżuje – wyjaśnia. – Dlatego zostanę tutaj, z tobą. Masz już plan, no nie?

Jestem zbyt zbita z tropu, żeby sformułować jakąś rozsądną odpowiedź. Bomba śmieje się ze mnie.

– Cardan twierdzi, że masz. Gdybyś po prostu miała załatwić wymianę, już byś to zrobiła. I gdybyś zamierzała nas zdradzić, też już byś to zrobiła.

– Ale... – zaczynam, potem gubię wątek. Chodziło chyba o to, że Cardan nie powinien za dobrze się orientować w naszych sprawach. – A co myślą inni?

Bomba znów zajmuje się swoją robotą.

– Nic na ten temat nie mówili, ale nikt z nas nie przepada za Balekinem. Jeżeli masz ten swój plan, to dobrze, w porządku. Jeżeli jednak chcesz mieć nas po swojej stronie, może powinnaś uchylić rąbka tajemnicy.

Oddycham głęboko i podejmuję decyzję. Jeżeli mam to zrobić, przyda mi się każda pomoc.

– Co byś powiedziała na kradzież korony? Pod nosem królów i królowych?

Bomba uśmiecha się szeroko.

– Powiedz mi tylko, co mam wysadzić w powietrze.



Dwadzieścia minut później zapalam ogarek i idę do sypialni. Tak jak mówiła Bomba, Cardan leży wyciągnięty na jednym z barłogów. Wygląda okrutnie pięknie. Umył twarz i zdjął kaftan, który zwinął i włożył sobie pod głowę. Trącam go w ramię; budzi się w jednej chwili. Podnosi rękę, jakby chciał mnie odgonić.

– Cicho – szepczę. – Nie obudź reszty. Muszę z tobą porozmawiać.

– Odejdź. Powiedziałaś, że jeżeli odpowiem na twoje pytania, to mnie nie zabijesz. No to odpowiedziałem, więc daj mi spać.

Nie brzmi to jak głos oszalałego z pożądania chłopaka, z którym się całowałam zaledwie parę godzin temu. Brzmi raczej sennie, arogancko, jakby chciał, żeby się od niego odczepić.

– Mam dla ciebie coś lepszego niż twoje życie – mówię. – No, choź wreszcie.

Wstaje, zarzuca na ramiona kaftan i idzie za mną do gabinetu Daina. Opiera się o futrynę. Jego powieki są ciężkie, włosy potargane od snu. Już sam jego widok napełnia mnie wstydem.

– Pewna jesteś, że przyprowadziłaś mnie tutaj właśnie po to, żeby rozmawiać?

Okazuje się, że gdy się człowiek z kimś całował, możliwość ponownego całowania przyćmiewa wszystko, choćby za pierwszym razem wydawało się to nadzwyczaj niedobrym pomysłem. Tak więc pamięć dotyku jego ust na moich wargach zawisa w powietrzu między nami.

– Przyprowadziłam cię tutaj, żeby zawrzeć z tobą układ.

Unosi brwi.

– Jakież to intrygujące.

– Co byś powiedział na to – mówię – że nie będziesz musiał ukrywać się gdzieś na prowincji? A gdyby pojawiła się alternatywa dla objęcia tronu przez Balekina?

Wyraźnie nie to spodziewał się ode mnie usłyszeć. Na chwilę opuszcza go ta jego wyniosła beztroska.

– Wiem – mówi powoli. – Jest alternatywa. Ja nią jestem. Tylko że ja byłbym okropnym królem i wcale bym tego nie chciał. Poza tym Balekin raczej nie zechce włożyć korony na moje skronie. Tak się składa, że nie żyjemy w wielkiej przyjaźni.

– Myślałam, że skoro mieszkasz w jego domu...

Krzyżuję ramiona na piersi, starając się wyprzeć z pamięci wspomnienie

o karze wymierzonej Cardanowi przez Balekina. Nie mogę sobie w tej chwili pozwolić na to, żeby współczucie zaćmiło jasność mojego umysłu.

Odchyła głowę, spogląda na mnie przez ciemne rzęsy.

– Może właśnie dlatego nie za bardzo się lubimy.

– Ja też cię nie za bardzo lubię – przypominam.

– Wspominałaś o tym. – Uśmiecha się do mnie leniwie. – A więc jeśli nie ja i nie Balekin, to kto taki? Może Madok?

– Mój brat, Dąb – informuję go. – Nie będę teraz wdawać się w szczegóły, ale w jego żyłach płynie odpowiednia krew. Tak jak w twoich. Może więc założyć koronę.

Cardan marszczy czoło.

– Jesteś pewna?

Przytakuję. Nie mam ochoty mu tego mówić, zanim nie wyjawię, czego od niego chcę. Pocieszam się jednak, że Cardan niewiele może z tą wiedzą zrobić. Już wiem, że w żadnym razie nie wydam go Balekinowi, mógłby więc wygadać się tylko przed Madokiem, który przecież o tym wie.

– Aha, więc Madok zostanie regentem – zgaduje Cardan.

Potrząsam głową.

– Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy. Chcę ukoronować Dęba na najwyższego króla, a potem posłać go do śmiertelnego świata. Po to, żeby nie pozbawić go dzieciństwa. I chodzi o to, żeby pewnego dnia mógł zostać dobrym władcą.

– Dąb może się nie zgodzić z twoim wyborem – zauważa Cardan. – Może na przykład woleć Madoka od ciebie.

– Byłam skradzionym dzieckiem – mówię. – Wychowałam się w obcej krainie, a znalazłam się tam, to znaczy tutaj, w o wiele gorszych okolicznościach. Vivi się nim zajmie. Jeżeli zaś przystaniesz na mój plan, otrzymasz wszystko, czego żądałeś, i jeszcze więcej. Potrzebuję jednak od ciebie przysięgi. Tak, nie przesłyszałeś się. Chcę, żebyś pod przysięgą oddał mi się na służbę.

Wybucham takim samym śmiechem jak wtedy, gdy rzuciłam nóż na biurko.

– Co? Ja miałbym oddać ci się we władanie? I to dobrowolnie?

– Myślisz, że żartuję? Mówię jak najpoważniej.

Szczypię się pod osłoną skrzyżowanych ramion, żeby zachować kamienną twarz. Muszę sprawiać wrażenie doskonałego spokoju i całkowitej pewności siebie, tymczasem serce mi wali, jak w dzieciństwie, gdy grałam z Madokiem

w szachy. Obmyślałam wtedy zwycięskie ruchy na wiele posunięć z góry, zapominając o ostrożności, po czym sprowadzał mnie na ziemię brutalnie prosty, nieprzewidziany ruch z jego strony. Przypominam sobie, żeby oddychać, żeby się skupić.

– Cóż, poniekąd łączy nas wspólny cel – stwierdza Cardan. – Ale po co ci moja przysięga?

– Muszę mieć pewność, że mnie nie zdradzisz. Z koroną w rękach jesteś zbyt niebezpieczny. Co będzie, jeżeli jednak włożysz ją na głowę brata? Albo zechcesz jej dla siebie?

Zastanawia się przez chwilę.

– Powiem ci dokładnie, czego chcę – chcę otrzymać włości, w których mieszkam. Ze wszystkim. Próżny Dwór. Chcę go mieć.

Kiwam głową.

– Załatwione.

– Chcę wszystkie butelki z królewskich piwnic, łącznie z najstarszymi i najcenniejszymi winami.

– Wszystkie będą twoje – mówię.

– Chcę, żeby Karakan nauczył mnie kraść – dodaje.

Tym mnie zaskoczył, więc przez chwilę nie odpowiadam. Czyżby żartował? Nie sprawia takiego wrażenia.

– Po co?

– To zawsze się może przydać – stwierdza Cardan. – A poza tym polubiłem go.

– W porządku – mówię z pewnym niedowierzaniem. – Znajdę jakiś sposób, żeby to załatwić.

– Naprawdę sądzisz, że możesz mi to wszystko obiecać? – spogląda na mnie krytycznie.

– Naprawdę. Mogę. I obiecuję, że pokrzyżujemy Balekinowi plany. Dostaniemy koronę elfów – zapewniam go, co już jest przejawem lekkomyślności z mojej strony. Ile jeszcze obietnic złożę, nim ktoś zacznie mnie z nich rozliczać? Mam nadzieję, że jeszcze co najmniej kilka.

Cardan rozsiadł się w fotelu Daina. Patrzy na mnie zza biurka tak chłodnym wzrokiem, jakby siedział na tronie. Trochę mnie to drażni, ale cóż, mniejsza o drobiazgi i o to, kto gdzie siedzi. Wytrzymam. Spokój. Wstrzymuję oddech.

– Mogę ci zaprzysiąc służbę na rok i dzień – oświadcza Cardan.

– Nie, nie, to za krótko – protestuję. – Nie da się...

Cardan parska jak kot.

– Jestem pewien, że do tego czasu twój braciszek zostanie ukoronowany i wywieziony. Albo też, mimo twoich obietnic, przegramy, a wówczas to i tak bez znaczenia. Lepszej oferty ci nie złożę, zwłaszcza jeżeli znowu zechcesz mi grozić.

Przynajmniej zyskam nieco na czasie. Wzdycham ciężko.

– Dobrze, niech będzie. Zgoda.

Cardan wstaje, idzie w moją stronę. Nie mam pojęcia, co zamierza zrobić. Obawiam się, że jeśli mnie pocałuje, opanuje mnie ten upokarzający głód rozkoszy, który poczułam poprzednim razem. Ale nie. Kiedy klęka przede mną, jestem zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek myśleć. Długimi, chłodnymi palcami ujmuje moją dłoń.

– No, dobrze – mówi niecierpliwie, wcale nie jak wasal, który ma złożyć przysięgę damie swojego serca. – Jude Duarte, zrodzona z prochu, zaprzysięgam ci się na służbę. Będę postępować według twoich poleceń. Będę ci tarczą. Będę postępować zgodnie z twoją wolą. Niech tak się dzieje przez rok i jeden dzień... I ani minuty dłużej!

– Trzeba przyznać, że udoskonaliłeś słowa ślubowania – mówię, siląc się na pogodny ton. Mimo tego czuję, że w jakiś sposób zyskał nade mną przewagę; w jakiś sposób to on przejął kontrolę nad sytuacją.

Wstaje płynnym ruchem, puszcza moją rękę.

– I co teraz?

– Możesz wracać do łóżka. Za jakiś czas cię obudzę i powiem, co zrobimy.

– Jak każesz – odpowiada Cardan z kpiącym uśmiechem na ustach. Wraca do pokoju sypialnego, zapewne by znów lec na barłogu. Myślę, że to takie dziwne – jest tutaj, śpi na łachmanach, od kilku dni w tym samym ubraniu, je zwykły chleb i ser – i wcale się na to nie skarży. Rzekłby kto, że miłsze mu gniazdo szpiegów i morderców od rozkoszy własnego łoża.

ROZDZIAŁ 27



Monarchowie z cnych i niecnych dworów wraz z dzikimi, czyli nikomu niepodległymi elfami założyli swoje obozowiska w najdalej na wschód położonej części wyspy. Rozstawili namioty, niektóre z pstrokatego, inne z prześwitującego jedwabiu. Gdy się zbliżam, widzę płonące ogniska. W powietrzu unosi się woń miodowego wina i przypalonego mięsa.

Cardan stoi obok mnie, w prostym czarnym stroju, gładko ogolony, z włosami zaczesanymi do tyłu. Jest blady i zmęczony, chociaż pozwoliłam mu się wyspać tak długo, jak uważałam to za bezpieczne.

Po złożeniu przez Cardana przysięgi nie obudziłam Ducha ani Karakana. Strategię omówiłam z Bombą, a zajęło mi to prawie godzinę. To ona zdobyła dla Cardana ubranie oraz to ona zgodziła się ze mną, że młody książę istotnie może się przydać. Tak właśnie się tu znalazłam, z zamiarem namówienia któregoś z władców, by zechciał poprzeć innego Najwyższego Króla niż Balekin. Jeśli mój plan ma się udać, będę podczas przyjęcia potrzebowała

kogoś, kto opowie się po stronie nowego króla, najchętniej kogoś, kto zdołałby zapobiec przeistoczeniu się tej prośzonej kolacji w kolejną rzeź – jeśli coś pójdzie nie tak.

Jeśli nie trafi się coś lepszego, będę potrzebowała sporo efektów odwracających uwagę, żeby móc bezpiecznie wydostać stamtąd Dęba. Szklane kule Bomby mogą nie wystarczyć. Własne obietnice już roztrwonіłam, teraz zacznę obiecywać w imieniu Korony.

Oddycham głęboko. Kiedy stanę przed panami i paniami wysokiego rodu, kiedy oznajmię swój zamiar, by się przeciwstawić Balekinowi, nie będzie już odwrotu, nie będzie ucieczki, nie da się wpełznąć pod kołdrę i zakryć głowy. Jeżeli to zrobię, pozostanę przykuta niewidzialnym łańcuchem do Elysium, dopóki Dąb nie zasiądzie na tronie.

Do uczty pozostaje jedna noc i połowa dnia, a potem muszę się udać do Próżnego Dworu.

Jest tylko jeden sposób, żeby elfowy ludek we właściwym czasie przystał na rządy Dęba – muszę tu zostać. Muszę posłużyć się naukami Madoka i Dworu Cieni, manipulować i mordować, byle zachować dla niego tron. Początkowo myślałam o dziesięciu latach, ale może wystarczy siedem. To nie tak długo. Siedem lat faszzerowania się truciznami, siedem lat bezsenności, niedosypiania, życia w pełnej gotowości. Jeszcze tylko siedem lat, a potem Kraina Elfów może stanie się lepsza i bezpieczniejsza. I zapracuję sobie na swoją pozycję.

Loki pokpiwał sobie ze mnie, mówiąc, że prowadzę grę, w której stawką są trony i korony. Wtedy tak nie było, ale teraz już jest. Może zresztą od Lokiego też się czegoś nauczyłam. Wpisał mnie w swoją opowieść, a teraz ja zamierzam stworzyć opowieść dla kogoś innego.

– Więc ja mam tu siedzieć i dostarczać informacje – odzywa się Cardan, opierając się o pień hikory. – A ty masz oczarowywać koronowane głowy? Wszystko to na głowie postawione.

Miażdżę go spojrzeniem.

– Potrafię być czarująca. Ciebie przecież oczarowałam.

– Nie oczekuj od innych, że podzielą moje zdeprawowane upodobania.

– Teraz wydam ci rozkaz – zapowiadam. – Dobrze?

Zaciska szczękę. Domyślałam się, że to niemała rzecz dla księcia elfów, pozwolić sobą dyrygować, zwłaszcza mnie, jednak potakuje skinieniem głowy.

Wypowiadam słowa rozkazu:

– Masz tu zostać i czekać, aż będę gotowa opuścić ten las, albo jeśli zagrozi ci bezpośrednio niebezpieczeństwo lub minie dzień, a ja nie wrócę. Gdy będziesz czekał, rozkazuję ci nie wydawać dźwięków i nie dawać znaków, które zwróciłyby uwagę innych na ciebie. Jeżeli pojawi się bezpośrednio niebezpieczeństwo albo minie dzień, a ja nie wrócę, rozkazuję ci udać się do Dworu Cieni, kryjąc się przy tym najlepiej, jak potrafisz – dopóki tam nie dotrzesz.

– Nieźle – komentuje. Jakoś udaje mu się wciąż utrzymać ten wyniosły, królewski ton.

Ton okropnie irytujący.

– Doskonale – mówię. – Powiedz mi teraz, co wiesz o królowej Annet.

Ja wiem tyle, że Annet opuściła ceremonię koronacyjną przed wszystkimi innymi władcami i władczyniami. Znaczy to, że albo nie może znieść myśli, że królem miałby zostać Balekin, albo miała jakieś inne powody. Muszę je w takim razie poznać.

– Ćmigród to wpływowo, liczący się, bardzo tradycyjny niecny dwór. Pani Annet jest konkretna i bezpośrednia, zależy jej przede wszystkim na władzy. Słyszałem też, że pożera kochanków, którymi się znudzi.

Uśmiecham się mimo woli. Dziwne, że knując zamach stanu, współpracuję właśnie z Cardanem. Jeszcze dziwniejsze, że on spaceruje sobie ze mną, jak kiedyś spacerował z Nicassią albo z Lokim.

– Więc dlaczego wyszła podczas koronacji? – pytam. – Z twojego opisu wynika, że ona i Balekin są wręcz dla siebie stworzeni.

– Annet nie ma spadkobiercy – wyjaśnia Cardan. – Bardzo by zaś pragnęła takowego mieć. Moim zdaniem, nie przypadło jej do gustu, że w ciągu paru chwil wyrżnięto prawie wszystkich przedstawicieli rodu. W dodatku na darmo. W końcu Balekin ich wymordował, a i tak nie zdołał włożyć korony na swe skronie.

– Chyba rozumiem – mówię na wdechu.

Cardan chwyta mnie za nadgarstek. Dotyk jego ręki jest dla mnie drobnym wstrząsem.

– Uważaj na siebie – przestrzega mnie, potem się uśmiecha. – Strasznie nudno by tu było siedzieć przez cały dzień tylko dlatego, że dałaś się zabić.

– Jakbym nie miała innych zmartwień niż to, czy się nudzisz – fukam. – Wyruszam do obozowiska królowej Annet oraz jej niecnych dworzan.

Płonie ogień, a namioty mają zielonkawy kolor trzęsawiska. Straż pełnią troll i goblin. Troll odziany jest w zbroję pomalowaną na kolor niepokojąco podobne do barwy zaschłej krwi.

– Witam – odzywam się; chyba muszę jeszcze popracować nad wstępnym powitaniem. – Jestem posłanniczką. Pragnę się widzieć z królową.

Troll spogląda na mnie z góry, najwidoczniej zaskoczony, że stanęła przed nim ludzka istota.

– A któż to miał tyle dziwnej śmiałości, żeby na dwór nasz posłać takie śliczności?

Chyba miało mi to schlebiać, lecz nie jestem tego całkiem pewna.

– Król Balekin – oznajmiam. Zakładam, że to imię będzie najlepszą rekomendacją.

Na to troll uśmiecha się, ale niezbyt przyjaźnie.

– Co to za król bez korony? Wszyscy znają odpowiedź: żaden król.

Drugi strażnik śmieje się.

– Nie przepuścimy cię, smaczny kąseczku. Biegnij w te pędy do swojego pana i powiedz mu, że królowa Annet nie uznaje go, chociaż docenia interesujące widowisko, jakie jej zapewnił. Nie przybędzie na jego ucztę, choćby po wielokroć prosił i przesyłał nie wiadomo jak kuszące przynęty. Jak ty.

– To nie jest tak, jak wam się wydaje – oponuję.

– Doskonale, doskonale, w takim razie dotrzyмай nam towarzystwa przez kilka chwil. Twoje kości na pewno smakowicie chrupią w zębach.

Istotnie, troll ma bardzo ostre zębiska, a w jego głosie teraz już słycać lekką pogrózkę. Wiem, że nie ma zamiaru jej spełnić, bo gdyby miał, powiedziałby coś zupełnie innego albo po prostu nic by nie powiedział, tylko by mnie połknął.

Wiem to, ale na wszelki wypadek i tak się wycofuję. Istnieją pisane i niepisane zasady dotyczące przyjmowania gości, ale wszystkie zasady elfów są tak zagmatwane, że nigdy nie mam pewności, czy chronią mnie, czy wręcz przeciwnie.

Książę Cardan czeka na polanie, leżąc na plecach, jakby liczył gwiazdy.

Spogląda na mnie pytająco. Potrząsam głową i siadam obok niego na trawie.

– Nawet nie udało mi się z nią porozmawiać.

Księżycowa poświata podkreśla jego kości policzkowe i czubki uszu.

– To znaczy, że coś zrobiłaś źle.

Mam ochotę odszczeknąć, ale przecież ma rację. Nie spisałam się. Trzeba zachowywać się bardziej oficjalnie, wykazywać większą pewność, iż mam prawo stanąć przed samym monarchą, tak jakbym do tego przywykła. Przećwiczyłam sobie, co mam powiedzieć w rozmowie z królową, ale nie zastanawiałam się, jak do niej dotrę. Ta część zadania wydawała się łatwiejsza, teraz jednak zdaję sobie sprawę, że może być nawet odwrotnie.

Leżę, spoglądam w gwiazdy. Gdybym miała więcej czasu, mogłabym sporządzić horoskop, dowiedziałabym się wówczas, czy szczęście może mi sprzyjać.

– No dobrze. Do kogo zwróciłbyś się teraz na moim miejscu?

– Do króla Roibena i do syna króla Olszyn, Severina.

Jego twarz jest tak blisko mojej twarzy.

Nie jestem przekonana.

– Przecież obaj nie należą do Najwyższego Dworu. Nie składali przysięgi Koronie.

– Właśnie dlatego – odpowiada Cardan. – Mają mniej do stracenia, a więcej do wygrania, jeśli udzielą wsparcia zamachowi stanu, który ktoś może nazwać zdradą. Powiada się, że protegowanym Severina jest rycerz śmiertelnik, i jego kochankiem także jest człowiek, więc będzie z tobą rozmawiał. Ponadto jego ojciec przebywał na wygnaniu, więc doceni, że ktoś zabiega o względy jego dworu. – Wyciąga rękę i przesuwa palcem po moim uchu. Dostrzegam sromotne wybrzuszenie. Wzdrygam się, zamykam oczy, by nie patrzeć na coś, co mnie zawstydza. Cardan mówi cały czas, ale w jakimś momencie chyba zdaje sobie sprawę, co się dzieje, bo gwałtownie cofa rękę. Oboje jesteśmy zawstydzeni. – Natomiast jeśli chodzi o lorda Roibena, z opowieści wynika, iż jest postacią żywcem wyjętą z tragedii. Wywodzi się z rodu cnych rycerzy, przez dziesięciolecia skazany był na torturę służby na niecnym dworze, aż doszedł do władzy. Nie wiem, co możesz zaproponować komuś takiemu, ale jego dwór liczy się na tyle, że jeśli zyskasz jego wsparcie dla Dęba, nawet Balekin się zaniepokoi. Do tego wiem, że ma małżonkę czy nałożnicę z niższych sfer, którą darzy wielkim afektem, więc uważaj, żeby jej się nie narazić.

Pamiętam, jak kompletnie pijany Cardan zagadał strażników, gdy uciekaliśmy z uczyty koronacyjnej. Zna swoją sferę, zna jej obyczaje. Nieważne, że udziela tych swoich pouczeń tak wyniosłym tonem, mogą się

złościć, ale głupotą byłoby nie dawać mu posłuchu. Wstaję, mam nadzieję, że w tym świetle nie widać płonących mi czerwienią policzków. Cardan siada, już ma coś powiedzieć...

– Wiem, wiem – mówię, nim ruszam z powrotem w stronę obozowiska. – Mam strzec się śmierci, bo inaczej zanudzisz się na śmierć.

Postanawiam wpieryw spróbować szczęścia u syna króla Olszyn. Jego obozowisko jest małe, tak jak i jego dziedzina – to tylko kawałek lasu opodal Dworu Termitów Roibena, jego otoczenie nie jest z natury ani cnym, ani niecnym dworem.

Jego namiot sporządzony jest z jakiejś ciężkiej tkaniny pomalowanej na srebrno i zielono. Kilku rycerzy siedzi wokół wesołego ogniska. Żaden z nich nie nosi zbroi, mają tylko grube skórzane tuniki i buty. Jeden z nich usiłuje umocować kocioł z wodą nad ogniem. Chłopiec, śmiertelnik, którego widziałam razem z Severinem podczas koronacji, ten rudzielec, który przyłapał moje spojrzenie, rozmawia półgłosem z jakimś rycerzem. Chwilę potem obaj się śmieją. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Podchodzę bliżej ogniska.

– Upraszam o wybaczenie – odzywam się głośno, być może nazbyt grzecznie jak na królewskiego wysłannika. Nie ma rady, trzeba brnąć dalej. – Mam wiadomość dla syna króla Olszyn. Nowy Najwyższy Król pragnie zawrzeć porozumienie.

– Naprawdę? – Ku mojemu zaskoczeniu jako pierwszy odzywa się człowiek.

– Tak, śmiertelniku – odpowiadam, wznosząc się tym samym na szczyty hipokryzji. No, ale przecież właśnie tak przemawiałby do niego sługa Balekina.

Robi dziwną minę, mówi coś do innego rycerza. W następnej chwili zdaję sobie sprawę, że jest nim pan Severin we własnej osobie. Włosy ma koloru jesiennych liści, oczy zielone, zakrzywione rogi wyrastające nad czołem, a kończące się tuż nad uszami. Nie spodziewałam się, że będzie siedział z resztą swojej świty przy ogniu, ale szybko odzyskuję przytomność umysłu i nisko się kłaniam.

– Muszę porozmawiać z waszą wysokością sam na sam – oznajmiam.

– Doprawdy? – mówi i spogląda na mnie pytająco. Nie odpowiadam, więc dodaje: – Oczywiście. Tędy, proszę.

– Powinieneś ją odczarować – woła za nami rudzielec. – Poważnie, ci

zakłęci sładzy przyprawiają mnie o ciarki.

Severin nie odpowiada na jego słowa. Idę za nim do namiotu. Reszta zostaje na swoich miejscach, natomiast wewnątrz widzę kilka kobiet w sukniach; siedzą na poduszkach, fletnista gra cichą melodyjkę. Obok nich siedzi kobieta rycerz z mieczem na kolanach; piękna broń, która przyciąga mój wzrok.

Severin prowadzi mnie do niskiego stolika otoczonego pufami i zastawionego jadłem – jest tam patera z winogronami i morelami, talerz pełen miodowych ciasteczek, prócz tego srebrna karafka na wodę z rogową rączką. Gestem nakazuje mi usiąść, po czym sam siada na drugim pufie.

– Częstuj się, czym wola – powiada, co brzmi bardziej jak zaproszenie niż jak rozkaz.

– Pragnę poprosić waszą wysokość, by zechciał być świadkiem koronacji – odzywam się, nie zwracając uwagi na jedzenie. – Jednak to nie Balekin przywdzieje koronę.

Nie sprawia wrażenia szczególnie zaskoczonego, przygląda mi się tylko bardziej podejrzliwie.

– A więc nie jesteś jego posłanniczką?

– Przemawiam w imieniu tego, który będzie następnym Najwyższym Królem – oznajmiam i wydobywam z kieszeni pierścień Cardana na dowód, że mam jakieś powiązanie z królewskim rodem, że nie zmyśliłam sobie tego wszystkiego od początku do końca. – A następnym Najwyższym Królem nie będzie Balekin.

– Aha, rozumiem. – Mówi to beznamiętnym tonem, lecz nie może oderwać wzroku od pierścienia.

– Mogę obiecać waszej wysokości, że wasz dwór zostanie uznany za suwerenny – o ile udzieli nam pomocy. Nie będzie musiał obawiać się podboju ze strony nowego Najwyższego Króla i oferujemy zamiast tego przyjazny sojusz.

Strach dławi mi gardło, z trudem wymawiam ostatnie słowa. Jeśli Severin nie zgodzi się udzielić mi pomocy, istnieje obawa, że zdradzi mnie przed Balekinem. Jeśli do tego dojdzie, wszystko stanie się o wiele trudniejsze.

Na to już nie mam wpływu.

Twarz Severina pozostaje nieprzenikniona.

– Nie będę cię obrażał pytaniem, w czyim imieniu występujesz. Jest tylko jeszcze jedna możliwość: młody książę Cardan, o którym słyszałem wiele

różnych opowieści. Nie jestem jednak idealnym kandydatem na jego popiecznika, a to z tych samych przyczyn, dla których ta oferta jest wielce kusząca. Mój dwór mało się liczy. Co więcej, jestem synem zdrajcy, więc i mój honor niewiele znaczy.

– Jednak wasza wysokość wybiera się na ucztę Balekina. Ja proszę tylko o pomoc w krytycznej chwili. – Propozycja jest kusząca, sam to przyznał. Może trzeba go tylko trochę ponamawiać. – Cokolwiek wasza wysokość słyszał o księciu Cardanie, to i tak z pewnością lepiej się on nadaje na władcę niż jego brat.

Przynajmniej to jest prawdą.

Severin spogląda w bok, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje.

– Dopomogę wam, jeśli nie będę jedynym. Tyle mogę rzec, ze względu na was i na mnie. – Wstaje. – Dobrze życzę tobie i księciu. Jeśli będę mógł udzielić wsparcia, to uczynię, co w mojej mocy.

Wstaję, znowu się pocę.

– To wielka wspaniałość.

Gdy opuszczam jego obóz, niemal kręci mi się w głowie. Z jednej strony, udało się. Zdołałam porozmawiać z władcą elfów i nie zrobić z siebie idiotki. Co więcej, nawet prawie go przekonałam do mojego planu. Potrzeba mi jednak jeszcze drugiego wielmoży, kogoś naprawdę wpływowego, kto zechce mnie poprzeć.

Tego miejsca najbardziej się obawiam. Największe z obozowisk, tymczasowa siedziba Roibena z Dworu Termitów. Roibena słynącego z krwiożerczości, który zdobył obie swe korony z mieczem w ręku, nie ma więc powodu, by odnosić się krytycznie do krwawego zamachu Balekina. Z jego słów podczas niedoszłej koronacji wynosić mogę tylko tyle, że lekce sobie waży Balekina, dopóki ten nie zdoła przywdziać dębowego diademu na swoje skronie.

Być może i on nie zechce rozmawiać z kimś przysłanym przez Balekina. Biorąc pod uwagę, jak rozległe jest jego obozowisko, mogę sobie wyobrazić, ile posterunków straży będę musiała przejść, nim zdołam z nim pomówić.

Mogłabym jednak się przekraść. Poza tym, skoro jest ich tam tak wielu, kto zwróci uwagę na jedną osobę więcej?

Zbieram nieco suchych gałęzi, całkiem pokaźny pęk chrustu. Obarczona, ze spuszczone głową, maszeruję w stronę obozowiska Termitów. Mijam

zbrojnych, którzy istotnie, w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Mam zawrót głowy, bo kolejny plan się powiódł. Kiedy byłam dzieckiem, czasem Madok musiał przerwać grę w połowie. Plansza pozostawała nietknięta, czekała, aż do niej wrócimy. Przez cały dzień i noc wyobrażałam sobie kolejne swoje ruchy oraz jego kontrposunięcia, tak że kiedy ponownie zasiadaliśmy do gry, nie była to już ta sama gra. Najczęściej jednak nie udawało mi się trafnie przewidzieć jego następnych ruchów. Miałam własną strategię, ale była ona niewystarczająca do gry, w której brałam udział.

Tak właśnie teraz się czuję, wkraczając do obozowiska Roibena. Rozgrywam grę, w której przeciwnikiem jest Madok, i chociaż snuję plany i usiłuję przewidywać jego ruchy, jeśli znów popełnię błąd, czeka mnie sromotna klęska.

Rzucam drwa obok ogniska. Błękitnoskóra niewiasta o czarnych zębach przygląda mi się przez chwilę, po czym powraca do rozmowy z koźlonogim faunem.

Otrzeputuję korę z ubrania i kieruję się do największego z namiotów. Staram się iść lekko i pewnie. W miejscu, gdzie cień jest najgłębszy, wpełzam pod połę namiotu. Przez chwilę leżę, półukryta po obu stronach, po żadnej zaś nieukryta całkowicie.

Wnętrze namiotu rozświetlają zielone alchemiczne lampy, przez co wszystko przybiera niezdrową barwę. Poza tym jednak wnętrze jest wykwintne, bogate. Koberce ułożone jedne na drugich. Ciężkie drewniane stoły, krzesła oraz łoże, na którym piętrzą się futra oraz brokatowe kapy wyszywane granatami.

Natomiast na stole, ku mojemu zaskoczeniu, widzę kartony z fast foodu. Zielonoskóra pixie, która towarzyszyła Roibenowi podczas koronacji, je makaron pałeczkami. Król Termitów siedzi obok niej i ostrożnie otwiera chińskie ciasteczko z wróżbą.

– I co tam napisali? – pyta dziewczyna. – Czy coś w rodzaju: *wizyta jak zwykle zakończy się rzezią?*

– Napisali: *twoje buty dziś cię uszczęśliwią* – odpowiada poważnie Roiben i podsuwa jej karteczkę, żeby sama mogła się przekonać.

Jego pani spogląda na swoje skórzane glany. On wzrusza ramionami, uśmiechając się leciutko.

W tej samej chwili ktoś brutalnie wywleka mnie z kryjówki. Odwracam się na plecy, nade mną stoi ktoś z dobytym mieczem. Winić mogę tylko samą

siebie. Na co ja właściwie czekałam, trzeba było zakraść się do środka i tam znaleźć lepszą kryjówkę. Niepotrzebnie podsłuchiwałam rozmowę, choć odrobinę usprawiedliwia mnie to, że przybrała tak zaskakujący obrót.

– Wstawaj – powiada rycerz, w którym rozpoznaję Dulcamarę. Ona jednak chyba mnie nie pamięta.

Wstaję, prowadzi mnie do królewskiego namiotu, a kiedy znajdujemy się wewnątrz, podcina mi nogi, tak że padam na kobierce. Mam okazję przekonać się, że są naprawdę miękkie. Opiera but o mój grzbiet, jakbym była pokonaną zwierzyną.

– Złapałam szpiega – oznajmia. – Złamać kark?

Mogłabym się przeturlać i chwycić ją za kostkę. Straciłaby wtedy równowagę na czas wystarczający, żebym mogła wstać. Gdybym przy tym złamała jej nogę, prawdopodobnie udałoby mi się uciec. Przynajmniej wstałabym, mogłabym dobyć broni i walczyć.

Jednak przybyłam tu, by uzyskać audiencję u lorda Roibena, i właśnie na swój sposób osiągnęłam cel. Nie ruszam się więc, w końcu nie chodzi o to, żeby się popisywać przed Dulcamarą.

Pan Roiben podchodzi i pochyla się nade mną, jego włosy rozsypują się po obu stronach twarzy, srebrne oczy przyglądają mi się bezlitośnie.

– A do czyjegoż to dworu należysz?

– Do dworu Najwyższego Króla – odpowiadam. – Prawdziwego Najwyższego Króla, Eldreda, który został zdradziecko obalony przez swojego syna.

– Nie jestem pewien, czy ci wierzę. – Zaskakuje mnie zarówno oględnością tego stwierdzenia, jak i przypuszczeniem, że kłamię. – Wstań, siądź z nami i posil się. Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia. Dulcamaro, możesz nas zostawić samych.

– Chcecie to coś karmić? – rzuca ponurym tonem Dulcamara.

Władca nie odpowiada. Po chwili milczenia Dulcamara chyba przypomina sobie, gdzie jej miejsce, więc skłania się i wychodzi.

Podchodzę do stołu. Pixie przygląda mi się oczami jak dwie krople atramentu, podobnymi do oczu Strzępki. Gdy sięga po sajonkę, dostrzegam, że ma w każdym palcu o jeden staw więcej.

– Częstuj się – zachęca. – Mamy tego mnóstwo. Zużyłam jednak większość saszetek ostrej musztardy.

Roiben czeka, obserwuje mnie.

– Jedzenie śmiertelników – stwierdzam, starając się, by zabrzmiało to neutralnie.

– Przecież żyjemy obok śmiertelników, czyż nie? – pyta Roiben.

– Mam wrażenie, że jeśli o nią chodzi, to ma ze śmiertelnikami trochę więcej wspólnego – zauważa pixie.

– Za pozwoleniem – powiada Roiben, przyglądając mi się wyczekująco. Uświadamiam sobie, że naprawdę czekają, żebym coś zjadła. Nadziewam pierożek na pałeczkę, wpycham go sobie do ust. Pycha.

Pixie na powrót zajmuje się swoimi kluskami.

Roiben wskazuje ją gestem dłoni.

– To jest Kaye. Kim ja jestem, zapewne wiesz, skoro zakradłaś się do mojego obozowiska. Jakim imieniem mam cię nazywać?

Nie jestem przyzwyczajona do tak uprzedzającej grzeczności – bo znaczy to, że nie domaga się, bym zdradziła swoje prawdziwe imię.

Co prawda, imiona nie mają mocy nad śmiertelnikami.

– Jude – przedstawiam się. – A zwracam się do ciebie, panie, ponieważ mogę osadzić na tronie kogoś innego niż Balekina, ale w tym celu potrzebuję pomocy.

– Kogoś lepszego od Balekina czy po prostu kogoś innego?

Zastanawiam się, bo odpowiedź na to pytanie nie jest taka łatwa.

– Kogoś, kto nie wymordował większości swojej rodziny na oczach wszystkich. Czy to nie znaczy, że jest lepszy?

Pixie-Kaye parska.

Lord Roiben spogląda na swoją dłoń, na drewniany stół, znów na mnie. Nie potrafię niczego wyczytać z jego surowej twarzy.

– Balekin nie jest dyplomata, ale być może jest w stanie czegoś się nauczyć. Najwidoczniej ma wielkie ambicje i dlatego dokonał krwawego zamachu. Nie każdy ma na to dość charakteru.

– Ja na pewno nie miałam dość charakteru, żeby się temu przyglądać – wtrąca Kaye.

– Dokonał zamachu i natychmiast stracił nad nim kontrolę – przypominam.

– Poza tym wydaje mi się, że nie przypadł ci do gustu, panie – biorąc pod uwagę, co powiedziałaś podczas koronacji.

Kącik ust Roibena drga leciutko. To jest tylko ślad uśmiechu, ledwo dostrzegalny.

– No, nie. Nie przypadł. Uważam, że to tchórzostwo – zamordować siostry

i ojca, bo się obraził, że nie chcą go słuchać. W dodatku cały czas chował się za plecami zbrojnych, pozwolił swojemu dowódcy uśmiercić spadkobiercę wybranego przez Najwyższego Króla. To dowód słabości, którą prędzej czy później ktoś z pewnością wykorzysta.

Po karku przechodzi mi chłodny dreszcz wyczekiwania.

– Potrzebny mi ktoś, kto będzie obecny podczas koronacji, kto ma dość siły, żeby jego świadectwo się liczyło. Ty, panie. To zdarzy się podczas uczyty Balekina, jutro wieczorem. Jeśli po prostu pozwolisz, by to się zdarzyło, i zechcesz złożyć przysięgę nowemu Najwyższemu Królowi...

– Bez obrazy – przerywa mi Kaye – ale co ty masz z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego cię obchodzi, kto zasiądzie na tronie?

– Dlatego, że to mój kraj – odpowiadam. – Tutaj się wychowałam i wyrosłam. Nader często go nie cierpię, ale jest mój.

Lord Roiben kiwa głową.

– Ale nie zamierzasz zdradzić, kim jest ten nowy pretendent ani też w jaki sposób chcesz doprowadzić do jego ukoronowania?

– Wolałabym nie – przyznaję.

– Mógłbym kazać Dulcamarze katować cię tak długo, aż wreszcie zaczęłabyś błagać, żebym zechciał wysłuchać twoich sekretów. – Mówi to niedbałym tonem, stwierdza po prostu fakt, lecz to mi przypomina wieści o jego złowrogiej reputacji. Chińskie żarcie z fast foodu i uprzedzająca grzeczność nie mogą mi przesłonić faktu, kim jest, z kim mam do czynienia.

– Czy to nie byłoby takim samym tchórzostwem jak ów zamach Balekina? – odpowiadam, starając się przemawiać z taką samą pewnością siebie jak w Dworze Cieni, jak wobec Cardana. Nie może zobaczyć, że się lękam, a przynajmniej nie może się zorientować, jak bardzo się lękam.

Przez dłuższą chwilę spoglądamy na siebie, pixie obserwuje nas oboje. Wreszcie pan Roiben oddycha głęboko.

– Prawdopodobnie nawet gorszym tchórzostwem. A więc dobrze, Jude, która wynosisz królów na trony. Postawimy w tej grze na ciebie. Założ koronę na skronie inne niż balekinowe, a ja pomogę ci sprawić, że korona na nich pozostanie. – Urywa. – Ale ty w zamian zrobisz coś dla mnie.

Czekam w napięciu.

Łączy długie palce.

– Pewnego dnia poproszę twojego króla o przysługę.

– Mam zgodzić się na coś, nie wiedząc nawet, co to będzie?

Odpowiada z kamienną twarzą, choć pogodnie:

– O, właśnie. Widzę, że się rozumiemy.

Kiwam głową. Jaki mam wybór?

– O coś równej wartości – uściślam. – Coś, co będzie w naszej mocy.

– Było to nadzwyczaj interesujące spotkanie – mówi Roiben z nieprzeniknionym, tajemniczym uśmiechem.

Kiedy wstaję, żeby wejść, Kaye spogląda na mnie znacząco.

– Powodzenia, śmiertelniczko.

Te słowa jeszcze dźwięczą mi w uszach, kiedy wędruję z powrotem w stronę polany, gdzie czeka Cardan.

ROZDZIAŁ 28



Kiedy wracamy, Duch czuwa. Dokonał kolejnego wypadu, z którego przyniósł garść małych jabłuszek, nieco suszonej sarniny, świeże masło i jeszcze parę tuzinów butelek wina. Przyniósł też trochę rzeczy z pałacu: obszytą jedwabiem kozetkę, satynowe poduszki, lśniąca narzutę z cienkiego jak pajęczyna jedwabiu oraz chalcedonowy serwis do herbaty.

Spogląda ze zdobyczej kozetki, jest zarazem spięty i zmęczony. Myślę, że zżera go żal, choć nie na ludzki sposób.

– I cóż? O ile pamiętam, obiecano mi złoto.

– A gdybym ci obiecała także zemstę? – pytam, znów świadoma ciężącego na moich ramionach brzemienia zaciągniętych długów.

Zerka na Bombę.

– A więc ona rzeczywiście ma plan.

Bomba mości się wygodnie na poduszce.

– Ona ma tajemnicę, to coś lepszego niż plan.

Zgarniam jabłko. Podchodzę do stołu, siadam na nim.

– Wkroczymy na ucztę Balekina i gwizdniemy mu królestwo sprzed nosa. Chyba całkiem niezła zemsta?

Śmiało i bez ogródek, prosto do celu. Tak jakbym była tu panią i władczynią. Jak przystało na córkę głównodowodzącego. Tak jakbym naprawdę była w stanie to wszystko ogarnąć.

Usta Ducha wykrzywają się w uśmiechu. Wyciąga z szafki cztery srebrne kubki, jeden z nich stawia przede mną.

– Napijesz się?

Kręcę głową. Patrzę, jak nalewa. Wraca na swoją kozetkę, ale siada na samym brzegu, tak jakby zaraz miał się zerwać na równe nogi. Wypija potężny łyk wina.

– Opowiadałeś o zamordowaniu nienarodzonego dziecięcia Daina – odzywam się.

Duch przytakuje.

– Widziałem wyraz twojej twarzy, kiedy Cardan opowiadał o Liriope i kiedy zrozumiałaś, jaki w tym był mój udział.

– Byłam zaskoczona – mówię. – Chciałam sądzić, że Dain jest inny.

Cardan prycha głośno, zgarnia oba srebrne kubki, swój i ten, który był przeznaczony dla mnie.

– Morderstwo to nielekki kawałek chleba – stwierdza Duch. – Przypuszczam, że Dain byłby nie gorszym królem niż większość innych książąt. Natomiast mój ojciec był śmiertelnikiem. On nie uważałby księcia Daina za kogoś dobrego. Mnie zresztą też nie. Chodzi o to, że w tym fachu warto się zastanowić, na ile dobro się dla ciebie liczy – zanim zajdziesz na tej drodze zbyt daleko.

Duch pewnie ma rację, ale w tej chwili nie czas, żeby się nad tym zastanawiać.

– Nie rozumiesz – mówię. – Dziecko Liriope przeżyło.

Duch spogląda na Bombę wyraźnie zaskoczony.

– To jest ten sekret?

Bomba przytakuje rozpromieniona.

– Sekret i plan.

Duch patrzy na nią przeciągle, potem spogląda na mnie.

– Nie chcę się tułać po obcych dworach i szukać zajęcia. Chcę tu zostać i służyć następnemu Najwyższemu Królowi. A więc, tak. Tak, skradnijmy królestwo.

– Nie musimy tego robić w służbie dobra – mówię Duchowi – ale spróbujmy to zrobić dobrze. Przynajmniej równie dobrze, jak którykolwiek z książąt.

Duch się uśmiecha.

– Może nawet trochę lepiej – mówię i zerkam na Cardana.

Duch przytakuje.

– Chętnie.

Idzie obudzić Karakana, więc zaraz potem muszę wszystko jeszcze raz wyjaśnić.

Kiedy dochodzę do balekinowego przyjęcia i tego, co moim zdaniem powinno się podczas niego zdarzyć, Karakan zaczyna mi przerywać, nie jestem w stanie dokończyć prawie żadnego zdania. Kiedy kończę swoją przemowę, wyciąga z szafki pergamin i pióro, skrzętnie zapisuje, kto i w jakim miejscu powinien się znajdować, żeby plan mógł się powieść.

– Widzę, że rozplanowujesz mój plan – stwierdzam.

– Tylko troszeczkę – mówi, oblizując stalówkę, i zaczyna od nowa. – A nie boisz się, co zrobi Madok? To mu się może nie spodobać.

Oczywiście, że Madok mnie niepokoi. W przeciwnym razie w ogóle bym tego wszystkiego nie robiła. Po prostu przekazałabym mu żywy klucz do królestwa.

– Pewnie, że zachwycony nie będzie – odpowiadam. Przyglądam się resztkom wina w szklanym naczyniu. Kiedy na przyjęciu pojawię się z Cardanem pod ramię, Madok od razu będzie wiedział, że prowadzę własną grę. A kiedy się zorientuje, że chcę go pozbawić stanowiska regenta, wpadnie we wściekłość.

Wiem, że kiedy wpada we wściekłość, jest jeszcze bardziej krwiożerczy niż zwykle.

– A masz co na siebie włożyć? – dopytuje się Karakan. Widząc moje zaskoczone spojrzenie, rozkłada ręce. – No, bo bawisz się w politykę. Ty i Cardan musicie się wystroić na ten bankiet. Twój nowy król potrzebuje godnej oprawy.

Jeszcze raz sprawdzamy kolejne punkty planu, Cardan pomaga nam sporządzić plan Próżnego Dworu. Staram się nie zwracać uwagi na jego długie palce przesuwające się po papierze, na chorobliwy dreszcz, który mnie przechodzi, kiedy jego spojrzenie na mnie spoczywa.

O świcie wypijam trzy kubki herbaty i samotnie ruszam, by odbyć

rozmowę, która odbyć się musi przed bankietem – rozmowę z moją siostrą Vivienne.



Wracam więc do swojego domu – do domu Madoka, przypominam samej sobie. Domu, który nigdy nie był naprawdę mój, a po dzisiejszej nocy już nigdy moim nie będzie. Tymczasem słońce wschodzi pośród złotego blasku. Gdy wspinam się po spiralnych schodach, czuję się jak cień. Mijam komnaty, w których wyrastałam. Idę do swojej sypialni i pakuję manatki. Trucizny, noże, suknie i klejnoty, które pewnie Karakan uzna za niezupełnie stosowne. Z pewnym żalem zostawiam na łożu pluszowe zwierzątka. Zostawiam kapcie i buty, książki, ulubione bibeloty. Zostawiam za sobą moje drugie życie tak samo, jak porzuciłam pierwsze, w niepewności jutra.

Potem podchodzę do drzwi Vivi, drapię w nie cichutko. Po kilku chwilach otwiera, jest zasnana.

– O, świetnie – mruczy, ziewa. – Spakowałaś się. – Potem widzi wyraz mojej twarzy i potrząsa głową. – Proszę, tylko nie mów, że zostajesz.

– Coś się wydarzyło. – Stawiam torbę na podłodze. Mówię ściszym głosem. Właściwie nie mam powodu, żeby się kryć z tym, że tu jestem, ale krycie się weszło mi w krew. – Posłuchaj.

– Znikłaś – zarzuca mi. – Czekałam na ciebie i czekałam. Cały czas musiałam udawać przed tatą, że wszystko jest w porządku. Niepokoiłam się o ciebie.

– Wiem – odpowiadam.

Patrzy na mnie, jakby chciała mi przyłać.

– Bałam się, że nie żyjesz.

– Jak widzisz, żyję, i to jak najbardziej – mówię i wyciągam rękę, przyciągam Vivi do siebie, tak żeby móc mówić do niej szeptem: – Muszę ci coś wyznać. Wiem, że to ci się nie spodoba, ale byłam szpiegiem księcia Daina. Nałożył na mnie *géis*, żeby nie mogła się z tym zdradzić, dopóki on żyje.

Jej cieniutkie brwi unoszą się.

– Szpiegiem? Co to właściwie znaczy?

– To znaczy węszenie i zdobywanie informacji. Zabijanie. I zanim cokolwiek powiesz, ja ci powiem: byłam w tym dobra.

– Aha – brzmi jej odpowiedź. Wiedziała, że coś się ze mną działo, ale sądząc po wyrazie jej twarzy, to nie odgadłaby prawdy nawet za milion lat.

Mówię dalej.

– Dzięki temu wiem, że Madok chce dokonać pewnego politycznego posunięcia, które dotyczy Dęba. – Tłumaczę jeszcze raz całą historię z Liriope, Orianą i Dainem. Do tej pory zdołałam już ją na tyle opanować, żeby ograniczyć się do najważniejszych punktów, przekazywać informacje zwięźle i przekonująco. – Madok chce zrobić Dęba królem, a sam zostać regentem. Nie wiem, czy taki miał plan od początku, ale teraz – z całą pewnością.

– I dlatego nie chcesz odejść ze mną do ludzkiego świata.

– Chcę, żebyś zamiast mnie wzięła ze sobą Dęba. Żebyś trzymała go z daleka od tego wszystkiego, dopóki trochę nie dorośnie, żeby już nie potrzebował regenta. Ja tu zostanę i dopilnuję, żeby miał po co wracać.

Vivi bierze się pod boki, gestem, który przypomina mi moją matkę.

– A jak dokładnie chcesz tego dokonać?

– To już zostaw mnie – zbywam ją. Życzyłabym sobie w tej chwili, żeby Vivi nie знаła mnie tak dobrze, jak mnie zna. Żeby trochę zbić ją z tropu, opowiadam o bankiecie Balekina i o tym, jak Dwór Cieni pomoże mi zdobyć koronę. Vivienne jest mi potrzebna, musi przygotować Dęba na koronację. – Kto sprawuje kontrolę nad królem, rządzi królestwem – oznajmiam, nie stroniąc od banału. – Wiesz, że jeśli Madok zostanie regentem, w Krainie Elfów zapanuje nieustająca wojna.

– Nazwijmy więc sprawy po imieniu: chcesz, żebym zabrała Dęba z Elysium, z dala od wszystkich, których zna, i mam go nauczyć, jak być dobrym królem? – Vivi śmieje się niewesoło. – Nasza matka kiedyś ukradła elfowe dziecię, ja nim byłam. I wiesz, co się stało. Myślisz, że teraz będzie inaczej? Jak chcesz powstrzymać Madoka i Balekina? Przecież oni przetrząsną całą ziemię aż po jej krańce.

– Kogoś się pośle, żeby go strzegł, żeby strzegł was wszystkich – ale co do reszty, mam już plan. Madok nie będzie was ścigał.

Wobec Vivi zawsze się czuję jak młodsza siostra, głupiutka dziewczynka, która zaraz się potknie o własne nogi i wyrznie buzią w podłogę.

– Ale może ja nie chcę bawić się w niańkę – rzuca Vivi. – Może zostawię

go na podziemnym parkingu albo zapomnę odebrać ze szkoły. Może nauczę go jakichś paskudnych sztuczek. Może będzie mnie za to wszystko winił.

– Zaproponuj jakieś inne rozwiązanie. Naprawdę myślisz, że o niczym innym nie marzę?

To brzmi, jakbym ją błagała o jej łaskę, ale nic na to nie poradzę.

Patrzemy na siebie w napięciu. Potem ona siada ciężko na fotelu, przytula głowę do poduszki oparcia.

– Jak ja to wszystko wytłumaczę Heather?

– Obawiam się, że sprawa z Dębem jest najmniej szokującą częścią tego, co będziesz musiała jej powiedzieć. Pamiętaj, że to tylko kilka lat, a ty jesteś nieśmiertelna. I to właśnie jest najbardziej szokującą rzeczą, którą musisz jej w końcu wyznać.

Rzuca mi spojrzenie tak smutne, że aż serce się kraje.

– Złóż mi obietnicę, że dzięki temu ocalimy życie Dęba.

– Obiecuję, że tak będzie.

– I obiecaj mi też, że nie przypłacisz tego własnym życiem.

Kiwam głową.

– Nie przypłacę.

– Kłamczucha – mówi. – Jesteś wstrętną kłamczuchą, nienawidzę tego wszystkiego.

– Wiem – mówię. – Wiem o tym.

Przynajmniej nie powiedziała, że mnie również nienawidzi.



Gdy wychodzę z domu, otwierają się drzwi sypialni Taryn. Ma na sobie suknię koloru kości słoniowej wyszywaną we wzory przedstawiające spadające liście. Wstrzymuję oddech. Nie zamierzałam się z nią spotkać.

Spoglądamy na siebie przez długą chwilę. Nie może nie zauważyć, że niosę na ramieniu torbę i ubrana jestem tak samo, jak kiedy walczyłyśmy.

A potem zamyka drzwi, pozostawiając mnie mojemu własnemu losowi.

ROZDZIAŁ 29



Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się wejść frontowymi drzwiami Próżnego Dworu. Dotąd zakradałam się kuchennym wejściem, zawsze przebrana za służącą. Teraz stoję przed wypolerowanymi drewnianymi wrotami, blask na nie pada z dwóch baniek, w których uwieczono błędne ogniki – krążą jak oszalałe, beznadziejnie poszukując drogi ucieczki. W ich świetle widoczna jest wielka, złowroga twarz, jej nos jest przebity kółkiem. To kołatka. Cardan wyciąga dłoń, a ponieważ wychowałam się w Krainie Elfów, niespecjalnie mnie dziwi, kiedy drzwi wrzeszczą:

– Mój książę!

– Moje drzwi – odpowiada uprzejmie, z uśmiechem, który wyraża spoufalenie i łaskawą życzliwość. Dziwnie jest widzieć, jak jego perfidny czar zostaje użyty w jakimś innym celu niż samo zło.

– Witaj i bądź pozdrowiony – mówią drzwi. Otwierają się na oścież, ukazując jednego z elfowych lokajów Balekina. Sługa gapi się na Cardana

z otwartą gębą, nic dziwnego, widzi wszak elfów elfów.

– Inni goście już przybyli – udaje mu się w końcu wykrztusić.

Cardan pilnuje, żebym go wzięła pod ramię, nim wkroczymy do sieni; kiedy staram się iść krok w krok z nim, czuję przyływ ciepła. Nie mogę pozwolić sobie na brak szczerości wobec siebie samej. Otóż wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew temu, że jest zepsuty do szpiku kości, muszę też przyznać, że Cardan jest bardzo zabawny.

Może powinnam się cieszyć tym, jak niewielkie to będzie miało znaczenie.

Na razie jednak jest to wyjątkowo denerwujące. Cardan ma na sobie szatę Daina wykradzioną z pałacowej garderoby i dopasowaną zgrabnymi paluszkami pewnej domowej brùnaidh, która miała wobec Karakana dług karciany. Prezentuje się po królewsku w płaszczu zarzuconym na kaftan, pod spodem luźna koszula, do tego szerokie pludry i szal oraz te same co na koronacji wysokie buty z ostrogami na czubach. W jego lewym uchu lśni szafir. Powinien się prezentować po królewsku. Sama pomogłam wybrać te szaty, pomogłam go wystroić – a mimo wszystko robi na mnie wrażenie.

Ja mam na sobie suknię w butelkowym zielonym kolorze i kolczyki w kształcie jagód. W kieszeni trzymam złoty żołędź Liriope, u boku mam miecz mojego ojca. Pod suknią, blisko ciała cały zestaw noży. Mam wrażenie, że tego wszystkiego jest o wiele za mało.

Maszeruję przez salę, wszyscy się za nami odwracają. Władcy i władczynie elfów. Królowie i królowe z ostatnich dworów. Przedstawiciel królowej Toni. Balekin. Moja rodzina. Dąb stojący między Orianą a Madokiem. Spoglądam na króla Roibena, dzięki białym włosom łatwo go wypatrzeć w tłumie. Nie zdradza, że mnie rozpoznał, zupełnie jakbyśmy się nigdy dotąd nie widzieli. Jego twarz jest nieprzenikniętą maską. Będę musiała zaufać, że dotrzyma układu, chociaż niezbyt podoba mi się kalkulacja oparta na założeniach. Wychowano mnie w przekonaniu, że strategia to wynajdywanie słabości przeciwnika, a następnie ich najlepsze wykorzystanie. To doskonale rozumiem. Natomiast sprawienie, żeby ktoś zechciał stanąć po mojej stronie, opowiedzieć się za mną, czy żeby chociaż po prostu mnie polubił – z tym radzę sobie dużo gorzej.

Moje spojrzenie przyciąga najpierw stół z poczęstunkiem, potem wyszukane suknie dam, wreszcie król goblin kruszący w zębach gnata. Potem wzrok odnajduje krwawą koronę Najwyższego Króla. Spoczywa na półce ponad nami, na poduszeczce. Połyskuje złowrogim blaskiem.

Gdy to widzę, widzę też, jak wszystkie moje plany obracają się wniwecz. Myśl o tym, żeby ją skraść, i to tak na oczach wszystkich, wydaje się szaleństwem. Chociaż z drugiej strony, gdyby trzeba było przeczesywać cały Próżny Dwór w jej poszukiwaniu, być może byłoby to szaleństwem jeszcze bardziej szalonym.

Balekin właśnie przerwał rozmowę z kobietą, której nie rozpoznaję. Ma ona na sobie suknię utkaną z wodorostów i perłową koliaż, jej czarne włosy splecione w koronę i przybrane perłami wyglądają jak diadem. Dopiero po chwili domyślam się, kim ona jest – to królowa Orlagh, matka Nicassii.

Balekin zostawia ją i rusza w naszą stronę zdecydowanym krokiem.

Cardan dostrzega go; kieruje swoje – i moje – kroki w stronę wina. Jest go mnóstwo, butelki, karafki – bladozielone, żółtożółte oraz purpurowe jak krew wytoczona prosto z mojego serca. Stół przystrojono różami, mleciami, pokruszonymi ziołami i jagodami. Od samego zapachu kręci mi się w głowie.

– Braciszku – wita Cardana Balekin.

Ubrany jest od stóp do głów w czerń i srebro, aksamit jego kaftana jest tak gęsto wyszywany w korony oraz ptaki, że sprawia wrażenie niemal zbroi. Na głowie ma srebrną opaskę w kolorze jego oczu. Nie jest ona Najwyższą Koroną, ale jakąś koroną na pewno jest.

– Szukałem cię wszędzie.

– Nie wątpię – Cardan uśmiecha się jak czarny charakter, czyli jest właśnie taki, jakim go zawsze znałam. – Postanowiłem, że jednak powinienem wreszcie do czegoś się przydać. Zaskoczony, co?

Balekin odpowiada mu słodkim uśmiechem, tak jakby ich wyszczerzone w uśmiechu usta mogły się skrzyżować w pojedynku, a oni sami, nieskalani, mogli pozostać poza tym przyziemnym sporem. Jestem pewna, że wprost marzy o tym, żeby się na Cardana rzucić, upodlić go, siłą zmusić do posłuszeństwa. Skoro jednak reszta rodziny zginęła gwałtowną śmiercią, dotarło do Balekina, że aby się ukoronować, potrzebuje kogoś, kto z własnej woli zechce to uczynić.

Jak na razie sama obecność Cardana powinna wystarczyć, by goście uznali, iż Balekin wkrótce zostanie prawowitym Najwyższym Królem. Gdyby zawołał straż lub sam dopuścił się gwałtu, to złudzenie natychmiast by się ulotniło.

– A ty? – Balekin zwraca się do mnie, a w jego spojrzeniu widzę złość. – Czego tu szukasz? Zostaw nas samych.

– Jude – odzywa się Madok, stając u boku księcia Balekina, a księżę dokładnie w tej samej chwili uświadamia sobie, że mimo wszystko mogą mieć coś z tym wszystkim wspólnego.

Madok jest wyraźnie niezadowolony, ale nie aż tak, żeby się zdenerwować. Pewnie myśli, że jestem głupią gęsią, bo przyprowadziłam zaginionego księcia i teraz czekam, żeby ktoś mnie za to pochwalił i pogłaskał po głowie... I przeklina się w duchu, że nie wyraził tego jaśniej – mam przyprowadzić Cardana do niego, a nie do Balekina. Uśmiecham się tak niewinnie, jak tylko potrafię. Jak dziewczynka, która jest szczęśliwa, że rozwiązała taki trudny problem, który wszystkich dręczył.

To musi być strasznie przygnębiające – znaleźć się tak blisko celu, mieć Dęba i koronę w jednym miejscu, zgromadzonych władców i władczynię elfów. Aż tu nagle bastardka twojej pierwszej żony wszystko psuje, dostarczając twojemu rywalowi jedyną osobę, która może ukoronować Dęba. Widzę jednak, że czujnie spogląda na Cardana. Już obmyśla nowy plan.

Kładzie ciężką dłoń na moim ramieniu.

– A więc go znalazłaś. – Po czym zwraca się do Balekina: – Mam nadzieję, panie, że zamierzasz nagrodzić moją córkę. Coś mówi mi, że niemało się musiała natrudzić, nim go namówiła, by się tu pojawił.

Cardan jakoś dziwnie patrzy na Madoka. Pamiętam, co mówił o moim ojczymie – że traktuje mnie tak dobrze, podczas gdy jego rodzony ojciec wcale nie dostrzegał jego istnienia. Chociaż, nie wiem. Może raczej po prostu dziwnie wyglądamy, tak stojąc obok siebie – generał o krwawym kapturze i ja, ludzki pomiot.

– Otrzyma wszystko, czego zapragnie i wiele więcej – obiecuje wielkopańskim tonem Balekin. Widzę, jak Madok marszczy na to brwi, a ja uśmiecham się do niego leciutko, po czym nalewam wina do dwóch szklanek – wina jasnego i ciemnego. Czynię to ostrożnie, starannie, by nie uronić ani kropli. Zamiast podać jedną Cardanowi, oba szklane puchary oferuję Madokowi, dając mu wybór. Z uśmiechem wybiera trunek w kolorze serdecznej krwi. Drugą zostawiam dla siebie.

– Za przyszłość Krainy Elfów – powiadam, stukając czaszą kielicha w jego kielich, szkło brzęczy jak dzwon. Pijemy. Natychmiast czuję działanie wina – tak jakbym płynęła w powietrzu, pośród dziwnej muzyki. Nie chcę nawet patrzeć na Cardana. Śmiałyby się ze mnie, że kręci mi się w głowie zaledwie po kilku łykach wina.

Cardan sam sobie nalewa kielich wina i wychyla jednym haustem.

– Weź sobie całą butelkę – mówi mu Balekin. – Jestem dziś w łaskawym nastroju. Porozmawiajmy, chcę wiedzieć, czego pragniesz, a wolno ci pragnąć czegokolwiek.

– Ech, wszak nie ma pośpiechu, nieprawdaż? – pyta leniwym tonem Cardan.

Balekin przygląda mu się jak ktoś, kto musi włożyć wiele wysiłku w to, by powstrzymać się od zadania ciosu.

– Myślę, że wszyscy chcieliby mieć to już za sobą.

– Niemniej – odpowiada Cardan i sięga po butelkę – przed nami cała noc.
– Przykłada butlę do ust i pije prosto z niej.

– W twoich rękach jest władza – oznajmia mu Balekin i choć tego już nie mówi, wiadomo, co ma na myśli: „jak na razie”. Do czasu.

Widzę mięsień drgający na szczęce Cardana. Jestem więcej niż pewna, że Balekin już planuje dla niego karę za każdą chwilę zwłoki. Zachowuje w pamięci każde słowo, by potem za nie odpłacić.

Tymczasem Madok dokonuje oceny sytuacji, niewątpliwie rozważa, co mógłby zaoferować Cardanowi. Kiedy uśmiecha się do mnie i pije kolejny łyk wina, jego uśmiech jest szczery i niemal beztroski. Domyślam się, że w jego mniemaniu znacznie łatwiej będzie kierować Cardanem niż Balekinem.

Nagle nie mam wątpliwości, że gdyby gdybyśmy byli sami, miecz Madoka już przebiłby pierś Balekina.

– Kiedy się posilimy, a więc po kolacji, poznasz moje warunki – oznajmia wyniośle Cardan. – Teraz zamierzam dobrze się bawić.

– Moja cierpliwość ma swoje granice – rzuca przez zęby Balekin.

– Cierpliwość to cnota, którą warto w sobie kształcić – zauważa Cardan, kłania się niedbale, po czym prowadzi mnie z dala od Balekina i Madoka.

Odstawiam swój kielich obok patery z wróblimi serduszkami nadzianymi na długie srebrne szpile. Razem z Cardanem pogrążam się w ciżbie gości.

Zatrzymuje nas Nicassia. Opiera długopalcą dłoń o pierś Cardana, jej błękitne włosy lśnią na tle brązowego kołnierza galowej sukni.

– Gdzieś ty się podziewał? – pyta Nicassia i nagle dostrzega, że trzymamy się pod ręce. Niby to marszczy delikatny nosek, ale w jej głosie słychać nagle strach. Udaje jednak spokój, tak jak my wszyscy.

Na pewno myślała, że Cardan nie żyje albo że stało się z nim coś jeszcze

gorszego. Na pewno chciałyby zadać mu mnóstwo pytań, ale przy mnie tego zrobić nie może.

– Jude uczyniła mnie swoim więźniem – oświadcza Cardan, a ja mam ogromną ochotę kopnąć go w kostkę. – Potrafi zawiązać bardzo mocne więzy.

Nicassia najwyraźniej nie wie, czy to żart. Odczuwam niemal to samo, bo też nie jestem tego pewna.

– Dobrze, że udało ci się z nich wyzwolić – oświadcza w końcu Nicassia.

On zaś unosi brwi.

– Udało mi się? – pyta wyniośle i wyrozumiale, tak jakby okazała się mniej pojęta, niż tego oczekiwał.

– Musisz taki być nawet teraz? – pyta go córka królowej Toni, bo chyba postanowiła dla odmiany być szczerą. Chwyta go za ramię.

Wyraz jego twarzy łagodnieje, takim nigdy go nie widziałam.

– Nicassio – mówi i uwalnia rękę. – Dziś w nocy trzymaj się ode mnie z daleka. Dla własnego dobra. Proszę.

Trochę przykro mi widzieć, że nawet w nim jest jakaś czułość. I nie chcę na to patrzeć.

Nicassia spogląda na mnie, usiłuje chyba zorientować się, dlaczego ta prośba nie dotyczy także i mnie. Jednak Cardan już idzie dalej, a ja razem z nim. W pewnej odległości widzę Taryn, a przy niej Lokiego. Gdy widzi, z kim jestem, na jej twarzy dostrzegam szczególny wyraz, który dziwnie przypomina złość.

Ma Lokiego, ale oto ja jestem z księciem.

Nie. Jestem niesprawiedliwa. Nie wolno czegoś takiego wnioskować z jednego spojrzenia.

– Część pierwsza zrealizowana – stwierdzam, odwracając od niej wzrok i mówiąc półgłosem do Cardana. – Dotarliśmy, weszliśmy i jeszcze nikt nas nie zakuł w łańcuchy.

– Tak – potwierdza Cardan. – O ile pamiętam, Karakan powiedział, że to będzie najłatwiejszy kąsek.

Plan, w takiej formie, jak go sobie rozpisaliśmy, składa się z pięciu etapów: po pierwsze, trzeba wejść, po drugie, wprowadzić pozostałych, po trzecie, dostać w swoje ręce koronę, po czwarte, ukoronować nią Dęba i po piąte – ująć z życiem.

Wysuwam dłoń spod jego ramienia.

– Nigdzie się stąd beze mnie nie ruszaj – przypominam Cardanowi.

Uśmiecha się do mnie zaciśniętymi ustami, jak ktoś, kto zostaje niecznie porzucony. Kiwa głową na znak potwierdzenia.

Idę w stronę Oriany i Dęba. Widzę, że w przeciwnym krańcu sali Severin przerywa konwersację i zmierza ku księciu Balekinowi. Zaczynam się pocić. Mięśnie napinają mi się mimo woli.

Jeżeli Severin się wygada, trzeba będzie zrezygnować ze wszystkich etapów poza ostatnim: ujść z życiem.

Na mój widok Oriana unosi brwi, obejmuje ręką szczupłe ramiona Dęba. Chłopiec wyciąga do mnie ramionka. Miałabym ochotę wziąć go na ręce i ukołysać. Chciałabym też spytać, czy Vivi mu wytłumaczyła, co ma się stać. I powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem jednak Oriana chwytą mnie za palce, zaciska na nich dłoń. Przywołuje w ten sposób na nowo kwestię, do ilu kłamstw jestem zdolna.

– Co się dzieje? – pyta mnie, ruchem głowy wskazując Cardana.

– To, o co prosiłaś – odpowiadam, spoglądając w tę samą stronę. Balekin jakimś sposobem wciągnął Cardana w rozmowę z Severinem. Cardan śmieje się z czegoś, co powiedział Balekin, a wygląda przy tym tak beztrosko i arogancko jak rzadko kiedy. Nagle uświadamiam sobie, że ten, kto bezustannie żyje w strachu, komu zawsze grozi niebezpieczeństwo, najłatwiej to zniesie, zmierzając prosto w paszczę lwa. Ja to wiem, ale nie sądziłam, że wie to również Cardan. Balekin trzyma dłoń na ramieniu Cardana. Nietrudno mi sobie wyobrazić, że wpija palce w jego kark.

– Ale to nie będzie łatwe. Musisz zrozumieć, że trzeba za to zapłacić określoną cenę...

– Zapłacę ją – mówi natychmiast Oriana.

– Nikt z nas nie wie, jak będzie wysoka – odpowiadam, choć lepiej by było, gdyby nikt nie słyszał, jak ostrym tonem się odzywam. – W każdym razie my wszyscy będziemy musieli zapłacić.

Wiem, że mam rumieńce na twarzy, w ustach czuję metaliczny smak. Zbliży się czas, by wprowadzić w życie kolejny punkt szalonego planu. Rozglądam się za Vivi, jest jednak za daleko. Nie zdążę jej nic powiedzieć, chociaż dokładnie wiem, co powiedzieć powinnam. Rzucam Dębowi spojrzenie, które ma mu dodać odwagi. Często się zastanawiam, czy to moja przeszłość stworzyła mnie taką, jaką jestem, czy przez to stałam się kimś potwornym. Jeśli tak, czy i z niego uczynię potwora?

Zadaniem Vivi jest sprawić, by ważne dla niego było coś innego niż władza. Moim zaś, by zapewnić mu powrót. Oddycham głęboko, ruszam ku drzwiom wiodącym do sieni. Mijam kilku zbrojnych, kryję się we wnęce, żeby nie znajdować się w ich polu widzenia. Oddycham kilka razy miarowo, po czym otwieram okna.

Czekam kilka chwil, pełna nadziei. Jeśli Karakan i Duch dostaną się do środka, będę mogła im wyjawić, gdzie znajduje się korona. Zamiast tego jednak otwierają się drzwi sali bankietowej i słyszę, jak Madok rozkazuje zbrojnym, by odeszli. Wychodzę na środek, żeby mnie widział. Dostrzega mnie, idzie prosto w moją stronę.

– Jude, zdawało mi się, że tutaj cię znajdę.

– Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem – mówię, czym się zdradzam, daję do zrozumienia, że jestem zdenerwowana. Inaczej mówiąc, odpowiadam na pytanie, którego nawet nie zadał.

Jednak Madok macha na to ręką.

– Kiedy znalazłaś księcia Cardana, trzeba było wpierw przyjść do mnie. Moglibyśmy negocjować z pozycji siły.

– Przypuszczałam, że powiesz coś takiego – odpowiadam.

– Teraz ważne jest, żebym mógł z nim porozmawiać sam na sam. Chciałbym, żebyś weszła tam znowu i sprowadziła go tutaj, byśmy mogli zamienić kilka słów. My troje.

Odchodzę od okna na środek sieni. Duch i Karakan za chwilę tu będą, nie chcę, żeby Madok ich dostrzegł.

– Porozmawiać? O czym, o Dębie?

Tak jak oczekiwałam, Madok idzie ze mną, oddalając się od okna. Marszczy czoło.

– A więc wiesz?

– Że chcesz przejąć władzę w Elfhame? Domyśliłam się.

Patrzy na mnie jak na kogoś obcego, a tymczasem ja nigdy nie czułam się wobec niego mniej obco. Pierwszy raz oboje zrzucamy maski.

– A jednak przyprowadziłaś księcia Cardana tutaj, prosto do Balekina – odpowiada. – A może do mnie? O to chodziło? Czy mamy teraz zacząć się układać?

– Inaczej się nie da? Albo tak, albo tak?

Wyraźnie zaczyna ogarniać go gniew.

– Wolałabyś może, żeby nie było żadnego króla? Jeśli korona szczerze,

rozpocznie się wojna, a jeśli dojdzie do wojny, ja ją wygram. Tak czy inaczej, Jude, dostanę tę koronę. Tobie zaś się opłaca, żeby tak się stało. Nie masz powodu mi się sprzeciwiać. Możesz zostać rycerzem, jeśli taka twoja wola. Możesz dostać znacznie więcej: wszystko, co ci się zamarzy. – Podchodzi krok bliżej. Jesteśmy od siebie w takiej odległości, że moglibyśmy skrzyżować miecze.

– Powiedziałeś, że dostaniesz tę koronę. Ty, nie kto inny – przypominam. Sięgam do rękojeści miecza. – Właściwie nawet nie wspomniałeś o Dębie. On jest dla ciebie tylko środkiem do osiągnięcia celu, a celem tym jest władza. Władza, którą ty obejmiesz.

– Jude... – zaczyna, lecz przerywam mu:

– Dobrze, pójdźmy na układ. Przysięgnij, że nigdy nie podniesiesz ręki na Dęba, a wtedy stanę u twojego boku. Przysięgnij mi, że kiedy dojdzie do pełnoletniości, w tym samym dniu ty ustąpisz ze stanowiska regenta. Oddasz mu całą władzę, jaką zgromadzisz w swoich rękach, i uczynisz to dobrowolnie.

Usta Madoka wykrzywia grymas, jego dłonie zaciskają się w pięści. Wiem, że kocha Dęba. Mnie też kocha. Z pewnością również kochał moją matkę. Na swój sposób. Tyle że jest tym, kim jest. Nie może przysiąc, bo takiej przysięgi musiałby dotrzymać.

On także dobywa miecza. Zgrzyt metalu odbija się głośnym echem w kamiennym pomieszczeniu. Z oddali dobiegają śmiechy, ale w tej sieni jesteśmy sami.

Moje dłonie się pocą, ale mam poczucie, że właśnie ziszcza się coś nieuniknionego, tak jakbym do tej chwili zmierzała od samego początku, przez całe moje życie.

– Nie zdołasz mnie pokonać – mówi Madok, przyjmuje szermierczą pozycję.

– Już cię pokonałam.

– Nie możesz wygrać. – Madok miga ostrzem swojego miecza, zachęcając, bym podeszła, tak jakbyśmy znów ćwiczili na planszy. – Jakie nadzieje możesz wiązać z jednym odnalezionym księżątkiem, skoro znajdujesz się w twierdzy Balekina? Powalę cię lub zabiję, a potem ci go odbiorę. Mogłaś mieć, co byś zechciała, a zostaniesz z niczym.

– Ach, wobec tego wyjawię ci mój plan. Przekonałeś mnie. – Krzywię się.
– Nie odwołujemy tego więcej. Otóż w tej części spisku staczymy ze sobą

walkę.

– Przynajmniej nie tchórzysz.

Rusza na mnie z takim impetem, że chociaż zasłaniam się przed jego ciosem, siła uderzenia powala mnie na podłogę. Rzecz jasna, zrywam się w jednej chwili, ale to był wstrząs. Nigdy ze mną tak nie walczył, nigdy z całej siły. To nie będzie kurtuazyjna wymiana fechtunkowych sztuczek.

Jest głównodowodzącym elfowego wojska. Wiedziałam, że mnie przewyższa, ale nie zdawałam sobie sprawy, że aż do takiego stopnia.

Rzucam ukradkiem spojrzenie w stronę okna. Nie jestem od niego mocniejsza, ale na szczęście nie muszę być. Jeszcze tylko przez chwilę muszę dotrzymać mu pola. Uderzam, licząc, że go zaskoczę. Znowu powala mnie na ziemię. Wykonuję unik, półobrót, ale tego ciosu się spodziewa, muszę więc niezdarnie się wycofać, zasłaniając się przed następnym potężnym uderzeniem jego miecza. Moje ręce omdlewają od siły tego ciosu.

Wszystko to dzieje się odrobinę za szybko.

Wykonuję kilka ruchów, których mnie nauczył, żeby go uspokoić, a potem z nagłą przechodzę do szermierczych trików przejętych od Ducha. Finta w lewo, a potem cięcie w bok. Rana nie jest głęboka, ale jednak, ku zaskoczeniu nas obojga, na jego kaftanie pojawia się czerwona plama. Madok wykonuje pchnięcie. Odskakuję w bok, a on wali mnie łokciem w twarz, znowu powalając na podłogę. Krew z nosa zalewa mi usta. Chwiejnie dźwigam się na nogi.

Jasne, że się boję. Udawałam zucha, ale teraz zdaję sobie sprawę, jak nikłe są moje szanse. Usiłuję zyskać na czasie, jednak każdy z jego ciosów mógłby mnie rozplątać na pół.

– Poddaj się – mówi, kierując sztych miecza w stronę mojej krtani. – Podjęłaś zuchwałą próbę, a ja potrafię to docenić. Wybaczę ci, Jude. Udamy się z powrotem na przyjęcie. Przekonasz Cardana, żeby uczynił to, czego od niego zażądam. Wszystko będzie tak, jak być powinno.

Spluwam krwią na kamienne płyty posadzki.

Dzierżąca miecz dłoń Madoka lekko drży.

– To ty się poddaj – odpowiadam.

Śmieje się, jakbym powiedziała jakiś szczególnie zabawny żart. Potem przestaje się śmiać, jego twarz krzywi grymas.

– Wyobrażam sobie, że czujesz się trochę nieswojo – odzywam się.

Jego miecz się chwieje, jego oczy zdradzają, że nagle zrozumiał.

– Coś ty zrobiła?

– Otrułam cię. Nie obawiaj się, dawka nie była duża. Przeżyjesz.

– Te kielichy z winem – mówi. – Skąd wiedziałaś, który wybiorę?

– Nie wiedziałam – odpowiadam. Myślę, że mimo wszystko będzie musiał uznać tę odpowiedź za satysfakcjonującą, bo takie strategie ceni najwyżej. – Trucizna była w obu kielichach.

– Gorzko tego pożałujesz – zapowiada. Nogi się pod nim uginają, drżą. Wiem, co czuje, bo echa tych odczuć czuję we własnym ciele. Tylko że ja do tej trucizny już dawno przywykłam.

Patrzę mu w oczy, chowam miecz do pochwy.

– Ojczy, jestem tym, co ze mnie zrobiłeś. W końcu stałam się twoją prawdziwą córką.

Madok unosi ostrze, jakby chciał przypuścić ostateczny atak, jednak miecz wysuwa się z jego dłoni, a on sam pada na kamienną podłogę.

Kiedy po kilku minutach pojawiają się Duch i Karakan, zastają mnie siedzącą u jego boku, zbyt zmęczoną, żeby ukryć jego ciało.

Karakan bez słowa wręcza mi chusteczkę, ocieram krew z nosa.

– A więc teraz etap trzeci – oznajmia Duch.

ROZDZIAŁ 30



Kiedy wracam na przyjęcie, wszyscy siedzą już na swoich miejscach u stołu. Podchodzę prosto do Balekina i dygam.
– Wasza wysokość – mówię ściszym głosem. – Madok kazał powiedzieć, że zatrzymały go ważne sprawy i nie będzie na rozpoczęciu uroczystości. Pragnie, byś się nie troskał, lecz doszło jego uszu, iż w pobliżu kręcą się szpiedzy Daina. Da znać, gdy ich schwyta lub zabije.

Balekin spogląda na mnie z lekko zaciśniętymi ustami, lekko też mruży powieki. Bez wątpienia dostrzega ślady krwi, której nie udało mi się zetrzeć z nozdrzy i zębów, czuje też smród potu. Madok tymczasem spoczywa w dawnym pokoju Cardana i nie obudzi się prędzej niż za godzinę.

– Okazałaś się pomocniejsza, niż sądziłem – powiada Balekin, dotykając lekko mojego ramienia. Jakby już zapomniał o swojej wściekłości na widok mnie z Cardanem i spodziewał się, że i ja o niej zapomnę. Ja, która nie zapominam. – Oby tak dalej, a nagroda cię nie minie. Czy nie pragnęłabyś żyć tak jak my? Czy nie pragnęłabyś zostać jedną z nas?

Czyżby Najwyższy Król mógł mi to dać? Mógłby mnie uczynić czymś innym niż ludzką istotą, dać mi nieśmiertelność?

Myślę o słowach Valeriana wypowiedzianych wtedy, kiedy próbował rzucić na mnie czar i zmusić, żebym rzuciła się z okna wieży: *Gdy ktoś się urodził śmiertelnym, to jakby już był martwy.*

Balekin widzi wyraz mojej twarzy i uśmiecha się, jest pewien, że wytropił najtajniejsze pragnienie mojego serca.

Rzeczywiście, gdy zmierzam do swojego miejsca przy stole, ogarnia mnie niepokój. Powinnam tryumfować, a tymczasem czuję mdłości. Przechytryłam Madoka, ale nie daje mi to takiej satysfakcji, jakiej bym pragnęła. Udało mi się wyłącznie dlatego, że nigdy nie myślał o mnie jak o kimś, kto mógłby go zdradzić. Być może, gdy minie wiele lat, moja wiara w ten plan okaże się uzasadniona, do tego czasu jednak będę musiała żyć z goryczą zdrady. Tak, mam coś na swoje usprawiedliwienie. I co dalej?

Przyszłość Krainy Elfów zależy od tego, czy uda mi się rozegrać grę obliczoną na te wszystkie lata – i to rozegrać ją perfekcyjnie.

Widzę Vivi siedzącą między Nicassią i Severinem, uśmiecham się do niej leciutko. Odpowiada mi ponurym grymasem.

Król Roiben spogląda na mnie z ukosa. Zielona pixie obok niego coś mu szepce do ucha, a on kręci głową. W przeciwnym końcu stołu Loki całuje dłoń Taryn. Królowa Orlagh przygląda mi się z nieskrywanym zaciekawieniem. Jest w tej czeredce tylko trójka śmiertelników – Taryn, ja i ten rudzielec, który towarzyszy Severinowi. Z punktu widzenia władczyni Toni to jakby mysz przewodziła zgromadzeniu kotów.

Nad nami wisi żyrandol sporządzony z cienkich płatów miki. Wewnątrz, aby światłu nadać ciepły odcień, uwięziono maleńkie lśniące elfy, które czasem polatują, a wówczas poruszają się cienie na ścianie.

– Jude – mówi Loki, dotykając mojego ramienia. Jego lisie oczy lśnią, rozbawione, bo drgnęłam. Zaskoczył mnie. – Chętnie przyznam, że trochę jestem zazdrosny, gdy widzę Cardana idącego z tobą pod ramię.

Odsuwam się.

– Nie mam na to czasu.

– Podobałaś mi się, wiesz – mówi. – Dalej mi się podobasz.

Przez chwilę zastanawiam się, co by było, gdybym zamachnęła się i porządnie walnęła go w twarz.

– Spadaj, Loki.

Znów się uśmiecha.

– Najbardziej podoba mi się w tobie to, że nigdy nie postępujesz tak, jak się spodziewałem. Na przykład nie sądziłem, że będziesz się o mnie pojedynkować.

– Nie o ciebie chodziło, a krew się nie połała.

Zostawiam go, idę do stołu, lekko chwiejąc się na nogach.

– No, jesteś wreszcie – mówi Cardan, gdy siadam obok niego. – Jak ci upływa ten wieczór? Ja osobiście mam za sobą mnóstwo nudnych rozmów o tym, że wkrótce głowa moja zostanie nadziana na włócznię.

Drżą mi ręce. Powtarzam sobie, że to tylko działanie trucizny. Zaschło mi w ustach. Nie mam w tej chwili głowy do słownych utarczek.

Służba przynosi potrawy – pieczone gęsi lśniące od porzeczkowej polewy, ostrygi, arum w potrawce, torty z żołądźmi i rybę nadziewaną owocami dzikiej róży. Wino leje się strumieniami, ciemna zieleń z błyskami złota. Patrzę, jak płatki kruszcu opadają na dno kielicha, tworząc lśniący osad.

– Czy już ci mówiłem, jak wstrętne dziś wyglądasz? – pyta Cardan, rozpierając się wygodnie w rzeźbionym fotelu, a mówi te słowa tak ciepło, że brzmią niemal jak komplement.

– Nie – odpowiadam, szczęśliwa, że ktoś się ze mną drażni i w ten sposób przywołuje do rzeczywistości. – Powiedz.

– Nie mogę – mówi, przy czym marszczy brwi. – Jude? – Nigdy chyba się nie przyzwyczaję do dźwięku swojego imienia w jego ustach. Jego brwi zbliżają się do siebie. – Masz opuchniętą szczękę.

– Nic mi nie jest – zapewniam go i wypijam spory haust wody.

To już niedługo.

Balekin powstaje i wznosi kielich.

Odsuwam krzesło, żeby móc wstać natychmiast, kiedy tylko nastąpi wybuch.

Huk jest tak głośny, że komnata aż drży w posadach. Elfowie wrzeszczą. Kryształowe puchary upadają i roztrzaskują się na błyszczące okruchy.

Bomba uderzyła.

W tym zamęciu z zacienionej alkowy śmiga czarny bełt i wbija się w drewniany stół tuż przed Cardanem.

Balekin wymachuje rękami.

– Tam, tam, tam! – krzyczy. – Morderca!

Zbrojni biegną, by pojmać Karakana, który wyskakuje z cienia i znowu

strzela. Następny pocisk leci w stronę Cardana, który udaje osłupienie, nawet nie drgnie – tak jak ćwiczyliśmy. Karakan bardzo szczegółowo wyjaśnił księciu, dlaczego tak jest najbezpieczniej i o ile łatwiej mu będzie chybić, jeśli rzekomy cel się nie będzie wiercił.

Nie przewidzieliśmy jednak reakcji Balekina, który zrzuca Cardana z fotela na podłogę i zasłania własnym ciałem. Nagle zaczynam sobie zdawać sprawę, jak mało rozumiem relacje między nimi. Istotnie, Balekin nie zauważył, że Duch wspiął się na półkę, gdzie spoczywa korona krwi. Owszem, posłał zbrojnych w pościg za Karakanem, co pozwoliło Bombie zabarykadować drzwi komnaty.

To wszystko prawda, ale zarazem przypomniał Cardanowi, dlaczego nie należy tego planu doprowadzić do końca.

Zawsze wydawało mi się, że Cardan nienawidzi Balekina, choćby dlatego, że wymordował całą rodzinę. Zapomniałam jednak, że Balekin również należy do rodziny Cardana. Balekin jest tym, który go otoczył opieką, kiedy Dain przeciwko niemu spiskował, kiedy ojciec wygnał go z pałacu. Oprócz Balekina nie pozostał Cardanowi nikt.

Choć jestem pewna, że nie sposób wyobrazić sobie gorszego króla od Balekina i że oprócz wszystkich poddanych dręczyć też będzie Cardana, jednocześnie mam pewność, że obdarzy Cardana władzą. Wolno mu będzie dawać upust swojemu okrucieństwu, z tym jedynie zastrzeżeniem, żeby w tym względzie nie śmiał rywalizować z Balekinem.

Ukoronowanie Balekina było bezpiecznym rozwiązaniem. Znacznie bezpieczniejszym, niż zaufanie komuś takiemu jak ja, niż uwierzenie w Dęba, władcę niejasnej przyszłości. Cardan oddał mi się na służbę, złożył przysięgę. Muszę teraz tylko bardzo uważać, żeby nie znalazł jakiegoś sposobu jej obejścia.

Znajduję się w tyle, przez tłum jest o wiele trudniej się przepchnąć, niż sądziłam, więc nie znajduję się tam, gdzie powinnam. Kiedy spoglądam na półkę, widzę Ducha, który wyłania się z cienia. Rzuca koronę, ale nie mnie. Rzuca koronę mojej bliźniaczce. Korona pada u stóp Taryn.

Vivi wzięła Dęba za rękę. Również Roiben przepycha się przez tłum.

Taryn podnosi koronę.

– Daj ją Vivi – wołam do niej. Duch zdaje sobie sprawę z pomyłki, dobywa kuszy i mierzy w moją siostrę, ale akurat tej pomyłki nie da się naprawić jednym strzałem. Taryn rzuca mi straszne, przerażone spojrzenie.

Cardan dźwiga się, wstaje. Balekin przedziera się już przez komnatę.

– Dziecko, jeśli mi jej nie oddasz, utnę ci głowę – wrzeszczy do Taryn. – Zostanę Najwyższym Królem, a kiedy już nim będę, srogo ukarzę wszystkich, którzy mi się sprzeciwili.

Taryn wyciąga rękę, patrzy na Balekina, na Vivi i na mnie. Potem na królów i królowe, zaś spojrzenia wszystkich kierują się ku niej.

– Oddaj mi moją koronę – krzyczy Balekin, idąc jej stronę.

Drogę zastępuje mu król Roiben. Zatrzymuje go dłonią, którą opiera o jego pierś.

– Czekał.

Nie dobył broni, ale widzę noże lśniące pod jego kaftanem.

Balekin chce odepchnąć rękę Roibena, ale tamten jest jak z żelaza. Duch wymierzył kuszę w Balekina, teraz wszyscy patrzą na niego. Królowa Orlagh znajduje się w odległości kilku kroków.

Rzeź wisi w powietrzu.

Idę w stronę Taryn, żeby ją zasłonić.

Jeżeli Balekin dobędzie broni, jeśli odrzuci precz dyplomację i po prostu zaatakuje, sala biesiadna zmieni się w jatkę. Niektórzy walczyć będą po jego stronie, inni przeciwko niemu. Hołdy wasalne już się nie liczą, złożone bowiem zostały wobec korony, której teraz nikt na swojej głowie nie nosi. Wielmożni widzieli na własne oczy, jak szlachetnie urodzony wymordował własną rodzinę, co nie wzbudziło ich zaufania. Sprowadził do siebie władców i władczynię Krainy Elfów, aby zdobyć ich poparcie, ale teraz nawet on chyba zdaje sobie sprawę, że jeśli znów przeleje krew, pogorszy tylko swoją sytuację.

Ponadto Duch może go zastrzelić, zanim zdoła dojść do Taryn, a tym razem Balekin nie ma pod ubraniem misiurki. Srebrny haft nie ocali go przed bełtem przeszywającym serce.

– To tylko śmiertelniczka – mówi.

– Cóż za wspaniałe przyjęcie, Balekinie, synu Eldreda – przemawia nagle królowa Orlagh. – Jak dotąd jednak raczej strasznie nudne. Zabawmy się więc chociaż teraz. Korona wszak jest bezpieczna w tej komnacie, czyż nie? Tylko ty i twój młodszy brat możecie włożyć ją na swoje głowy. Niechże więc to niewinne dziewczę wybierze, komu ją odda. Jaka to różnica, jeżeli i tak żaden z was nie zechce ukoronować drugiego?

Tego się nie spodziewałam. Sądziłam, że królowa Orlagh jest jego

sojuszniczką, możliwe jednak, że przyjaźń Cardana z Nicassią skłoniła królową wód do faworyzowania młodszego księcia. Może zaś żadnego z nich nie przedkłada nad drugiego i chce tylko więcej władzy dla Toni, a w tym celu pragnie osłabić moc Lądu.

– To kpiny – sapie Balekin. – A co powiesz o wybuchu? Czy on ci nie starczył za rozrywkę?

– Mnie na przykład bardzo zaciekał – wtrąca się król Roiben. – Mało tego, gdzieś zapodział się twój głównodowodzący. Władza waszej mości nawet się jeszcze oficjalnie nie zaczęła, a już zapanował chaos.

Jestem przy Taryn, chwytam koronę, czuję chłodny metal pod palcami. Widziana z bliska jest wspaniała. Liście jakby wyrastają z ciemnego złota, wyglądają niczym żywe pędy, płaczą się, tworząc subtelny ornament.

– Proszę – mówię.

Między nami jest tyle zła. Tyle złości, zdrady i zazdrości.

– Co ty wyprawiasz? – syczy do mnie Taryn.

Stojący za nią Loki przygląda mi się z dziwnym błyskiem w oczach. Chyba moja opowieść jest znacznie ciekawsza, niż sądził, a wiadomo, jak bardzo ceni sobie historyjki.

– Robię, co mogę – odpowiadam.

Ciągnę koronę w swoją stronę, Taryn opiera się przez chwilę, wreszcie rozwiera palce. Cofam się i chwieję z koroną w ręce.

Vivi przyprowadziła Dęba tak blisko, jak tylko zdołała się ośmielić. Oriana stoi w tłumie, składa ręce i rozkłada je na przemian. Musiała zauważyć nieobecność Madoka, na pewno zastanawia się, co miałam na myśli, mówiąc o cenie, którą trzeba zapłacić.

– Książę Cardanie – mówię. – To dla ciebie.

Tłum się rozstępuje, by go przepuścić, wszak młody książę jest nadal kluczową postacią w tym dramacie. Podchodzi, staje obok mnie i Dęba.

– Stać! – krzyczy Balekin. – Powstrzymajcie ich, natychmiast.

Dobywa miecza, nie zważając już na dyplomację i polityczne zagrania. Słysząc świst i szczęk innych dobytých mieczy. Powietrze staje się gęste od stali. Ja także sięgam po broń, lecz w tej samej chwili Duch wypuszcza pocisk. Balekin zatacza się w tył. Słysząc, jak przez zgromadzony tłum przechodzi cichy okrzyk, goście wstrzymują oddech. Zastrzelić króla, nawet jeśli nie został ukoronowany, to rzecz niemała. W następnej chwili, gdy miecz Balekina upada na prastary kobierzec, widzę, gdzie dosięgnął go bełt.

Jego dłoń została przyszpilona do stołu. Przybita żelaznym bełtem.

– Cardanie – woła Balekin. – Znam cię. Wiem, że wolałbyś oddać innemu trudne zadanie sprawowania władzy, byś ty mógł się cieszyć swobodą. Wiem, jak gardzisz śmiertelnymi, prostactwem i głupcami. Pójdź do mnie, bo choć nie zawsze byłem ci powolny, nie starczy ci odwagi, by naprawdę stawić mi czoło. Przynieś mi koronę!

Przygarniam Dęba do siebie, wkładam koronę w jego dłonie, tak żeby ją widział. Żeby przyzwyczał się do trzymania jej w rękach. Vivi poklepuje go zachęcająco po plecach.

– Przynieś mi koronę, Cardanie – powtarza desperacko Balekin.

Księżę Cardan zwraca na starszego brata to samo chłodne, wyrachowane spojrzenie, którym ogarnia tak wiele istot, nim rozedrze ich skrzydła, wrzuci je do rzeki lub wypędzi z dworu.

– Nie, mój braciszku. Chyba jednak tego nie zrobię. Nawet gdybym nie miał innych powodów, by ci się sprzeciwić, zrobiłbym ci to na złość.

Dąb zerka na mnie, szukając potwierdzenia, że dobrze się sprawuje – w końcu wszyscy wokół tak strasznie krzyczą. Kiwam głową, uśmiecham się do niego.

– Pokaż Dębowi, co ma robić – szepczę do Cardana. – Ukłęknij.

– Ale oni pomyślą – zaczyna, lecz mu przerywam:

– No, już!

Cardan klęka, przez tłum przechodzi szmer. Miecze wracają do pochew. Emocje opadają.

– No, to jest naprawdę zabawne – mówi półgłosem Roiben. – Kimże jest to dziecko? Któż mógł je spłodzić?

Wymieniają z królową Annet bardzo niecny elfowy uśmiech.

– Rozumiesz? – mówi Cardan do Dęba, machając niecierpliwie ręką. – Teraz korona.

Spoglądam po twarzach elfowych władców i władczyń. Żadna z nich nie jest przyjazna. Przyglądają się wyczekująco, z niepokojem. Na twarzy Balekina maluje się ślepa furia, szarpie ręką, mocując się z żelaznym pociskiem, tak jakby był w stanie rozerwać własną dłoń, byle nie zezwolić, żeby to się stało.

Dąb czyni niepewny krok w stronę Cardana, potem następny.

– Czwarty etap – rzuca do mnie szeptem Cardan, wciąż sądzi, że jesteśmy po tej samej stronie. Myślę o Madoku, który leży nieprzytomny na górze,

o wszystkich jego morderczych snach i wizjach. Myślę o Orianie i Dębie, skazanych na wiele lat rozstania. O Cardanie i o tym, jak mnie znieawidzi. O tym, jak to jest być czarnym charakterem w bajce.

– Rozkazuję ci, byś przez całą minutę się nie ruszał ani drgnął – odpowiadam półszepem.

Cardan nieruchomieje.

– Teraz – mówi Vivi do Dęba. – Tak jak ćwiczyliśmy w domu.

Wówczas Dąb wkłada koronę na głowę Cardana i oznajmia:

– Koronuję cię – rozlega się jego dziecinny, niepewny głosik. – Jesteś odtąd królem. Najwyższym Królem elfów.

Chłopczyk spogląda na Vivi i na Orianę. Czekają, aż któraś z nich powie mu, że był bardzo dzielny i bardzo grzeczny.

Milczenie. Potem wściekły ryk Balekina. Potem śmiech, okrzyki, wesołe żarty. Każdy lubi niespodzianki, a elfowie przepadają za nimi nade wszystko.

Cardan patrzy na mnie z bezsilną wściekłością. Potem, gdy mija dokładnie minuta, powoli wstaje. Dobrze znam ten gniew w jego oczach, które lśnią jak węgle, czarne żarem gorętszym od każdego płomienia. Tym razem zasłużyłam na to. Obiecałam mu, że będzie mógł opuścić dwór, być wolny od jego intryg. Obiecałam go uwolnić od tego wszystkiego. Cóż, skłamałam.

Rzecz jasna, nie w tym rzecz, bym nie chciała Dęba na Najwyższego Króla. Chcę i z pewnością kiedyś nim zostanie. Jest jednak tylko jeden sposób, by zapewnić mu tron i by jednocześnie mógł nauczyć się wszystkiego, co wiedzieć powinien – przez ten czas ktoś ten tron musi zajmować. Siedem lat. Potem Cardan może odejść, abdykować na rzecz Dęba i zrobić ze swoim życiem, cokolwiek zechce. Jednak do tego czasu będzie musiał grać tron dla mojego braciszka.

Król Roiben przyklęka na jedno kolano, tak jak obiecał.

– Mój królu i panie – mówi.

Chciałabym wiedzieć, jaki będzie koszt jego obietnic, czego zażąda w zamian za to, że dopomógł ukoronować Cardana.

W tym momencie cała komnata rozbrzmiewa gromkim okrzykiem, wznosząc go zarówno królowa Annet, jak i królowa Orlagh, i lord Severin. Taryn gapi się na mnie, zaskoczona i oniemiała. W jej oczach jestem szalona, posadziłam bowiem na tronie kogoś, kogo nienawidzą, nie mam jednak teraz jak jej tego wyjaśnić. Padam na kolana jak wszyscy, więc ona też.

Wszystkie moje obietnice się spełniły.

Przez długą chwilę Cardan rozgląda się bezradnie, ale przecież nie ma wyboru i doskonale sobie z tego zdaje sprawę.

– Powstańcie – powiada, co też czynimy.

Wycofuję się dyskretnie, wtapiam się w tłum. Cardan urodził się jako książę i niezależnie od swoich fanaberii doskonale wie, czego się teraz od niego oczekuje. Potrafi oczarować tłum, potrafi go zabawić. Rozkazuje, by sprzątnięto potłuczone szkło, każe przynieść nowe kielichy, każe lać wino. Wznosi pierwszy toast – za niespodzianki i za korzyści płynące z tego, że był nazbyt pijany, by móc uczestniczyć w pierwszej koronacji. Panie i panowie, władcy szlachetnie urodzonych, ryczą ze śmiechu. Widzę, że zaciska na kielichu dłoń tak mocno, że aż mu knykcie bieleją, mam nadzieję, że nikt inny tego nie dostrzega.

Jednak zaskakuje mnie – zwraca bowiem ku mnie płonące spojrzenie. Przez chwilę wydaje mi się, że w całej komnacie nie ma nikogo innego, tylko my dwoje. Powtórnie unosi kielich, wykrzywia się w kpiącym uśmiechu.

– Oraz za Jude, od której otrzymałem dziś dar. Dar, który odwzajemnię z nawiązką.

Usiłuję skurczyć się i zgarbić, gdy wokół wznoszą się kielichy. Brzęczy kryształowe szkło. Leją się strugi wina. Rozbrzmiewa śmiech.

Bomba trąca mnie łokciem w bok.

– Mamy już dla ciebie ksywkę – mówi niemal bezgłośnie. Nawet nie widziałam, jak dostała się przez zamknięte na klucz drzwi.

– Jaka? – Czuję się tak zmęczona jak nigdy przedtem, a przecież przez następne siedem lat nie będę mogła tak naprawdę odpocząć ani chwili.

Spodziewałam się czegoś w rodzaju „kłamczucha”, Bomba jednak uśmiecha się do mnie szelmowsko, jak ktoś, kto zna wszystkie sekrety.

– *Królowa*. Inaczej się nie dało.

Okazuje się, że znów nie potrafię się roześmiać.

EPILOG

W samym środku centrum handlowego pcham wózek, a Dąb i Vivi zgarniają do niego paczki z pościelą, plastikowe pudełka, obcisłe dżinsy i sandały. Dąb rozgląda się, trochę zmieszany, a trochę rozbawiony. Sięga po różne przedmioty, przygląda im się ciekawie, a potem je odkłada. Tam, gdzie półki ze słodyczami, wrzuca do wózka czekoladowe batony, żelki, lizaki i kandyzowany imbir. Vivi mu tego nie zabrania, więc ja też pozwalam.

Dziwnie wygląda Dąb, gdy nosi czar sprawiający, że jego różki są niewidoczne, że jego uszka wyglądają, jakby były tak samo zaokrąglone jak moje. Dziwnie jest przyglądać się, jak pierwszy raz w życiu przymierza się do hulajnogi, a na ramię ma zarzucony plecaczek w kształcie sowy.

Obawiałam się, że trudno będzie wytłumaczyć Orianie, dlaczego powinien odejść razem z Vivi, ale po koronacji Cardana zgodziła się, że najlepiej się stanie, jeśli przez kilka lat przebywać będzie z dala od dworu. Balekin został uwięziony w wieży. Madok, kiedy odzyskał przytomność, był wściekły, zorientował się bowiem, że odpowiednia chwila na przejęcie przez niego korony już minęła.

– Poważnie, to twój brat? – pyta Heather, przyglądając się, jak Dąb śmiga na hulajnodze. Pyta o to Vivi, nie mnie. – Jeżeli to twój synek, możesz mi powiedzieć. Nie ma problemu.

Vivi śmieje się zachwycona.

– Mam swoje sekrety, ale tym razem nie zgadłaś.

Heather nie była zachwycona, kiedy Vivienne pojawiła się z dzieciakiem i nie do końca spójną opowieścią, dlaczego musi on z nią zamieszkać, ale też nie wywaliła ich obojga za drzwi. W mieszkaniu Heather jest wersalka, na której Dąb może spać, dopóki Vivi nie znajdzie sobie pracy i nie będą mogli wynająć większego mieszkania.

Doskonale wiem, że Vivi nie znajdzie sobie normalnej pracy, ale na pewno jakoś sobie poradzi. Raczej dużo lepiej niż jakoś. W innym świecie, biorąc

pod uwagę historię naszych rodziców i naszą własną przeszłość, namawiałabym Vivi, żeby wyznała Heather całą prawdę. Na razie jednak moja siostra chce podtrzymywać zasłonę ułudy. Niechże ją sobie podtrzyma. Nie mam prawa, by się z nią o to spierać.

Kiedy stajemy w kolejce do kasy, a Vivi płaci rachunek liśćmi przemienionymi w banknoty, rozmyślam sobie o tamtym bankiecie, który za moją sprawą stał się przyjęciem koronacyjnym. Pamiętam rozbawioną cizbę elfów wysokiego rodu zajadających się przysmakami ze spiżarni Balekina. Wszyscy zachwycali się Dębem, którego to bardzo cieszyło i zarazem mocno niepokoiło. Pamiętam Oriane, która naprawdę nie wiedziała, czy ma mi dziękować, czy może mnie spoliczkować. No i Taryn, milczącą, zamyśloną, która mocno trzymała Lokiego za rękę. Do tego może jeszcze Nicassię, która namiętnie ucałowała Cardana w królewski policzek.

Wszystko to ja sprawiłam i teraz muszę ponosić tego konsekwencje.

Kłamałam, zdradzałam i zwyciężyłam. Gdyby tylko znalazł się ktoś, kto by mi pogratulował.

Heather wzdycha, spogląda na Vivi rozmarzona. Czyli jest dobrze.

Wkładamy zakupy do bagażnika jej toyoty prius. Gdy jesteśmy już w domu, Heather wyciąga z lodówki ciasto na pizzę i tłumaczy, co z nim zrobić.

– Mamusia będzie mnie odwiedzać, no nie? – pyta Dąb, układając jednocześnie kawałki czekolady i słodkiej pianki na swoim krążku.

Biorę go za rękę, a tymczasem Heather wsadza to wszystko do piekarnika.

– Oczywiście, kochanie. Na pewno. Pomyśl o tym tak: jesteś tutaj z Vivi na rycerskim terminie. Nauczysz się tego, co musisz wiedzieć, a potem wrócisz do domu.

– Skąd będę wiedział, że się nauczyłem, skoro teraz nie wiem, czego mam się nauczyć?

Nieźle pytanie i nieźła łamigłówka.

– Wrócisz, kiedy powrót okaże się trudniejszym wyborem od tego, żeby nie wracać – odpowiadam.

Vivi spogląda na mnie, jakby usłyszała moją odpowiedź. Jest zamyślona.

Potem zjadam kawałek pizzy Dęba i zlizuję z palców czekoladę. Jest tak słodka, że aż mnie mdli, ale to nieważne. Chcę jeszcze z nimi posiedzieć choćby kilka chwil dłużej, zanim samotnie odfrunę do Krainy Elfów.



Zeskakuję z grzbietu krwawnikowego kuca i ruszam prosto do pałacu. Mam tam teraz swoje apartamenty – wielki salon, sypialnię za podwójnymi wrotami oraz garderobę. Z pustymi szafami: trzeba w nich zawiesić to, co zabrałam z dworu Madoka, i trochę ciuchów kupionych w supermarkecie.

Tutaj teraz będę mieszkać, by mieć oko na Cardana, by wykorzystywać władzę, jaką nad nim mam, aby wszystko działało się po mojej myśli. Dwór Cieni będzie mi w tym dopomagać, zarówno jako służba wywiadowcza jego wysokości Najwyższego Króla, jak i jako jego straż przyboczna.

Dostaną swoje złoto, prosto z królewskiej ręki.

Jedno zaniedbałam. Tak naprawdę dotąd się nie rozmówiłam się z Cardanem. Zostawiłam ledwie kilka rozkazów, a dobrze mi znana nienawiść w jego spojrzeniu sprawiła, że stchórzyłam. W końcu jednak muszę się z nim rozmówić. Niczego nie zyskam, odkładając to na później.

Z ciężkim więc sercem i ciężkimi stopami wędruję do królewskich apartamentów. Stukam do drzwi, lecz naburmuszony lokaj z kwiatami wplecionymi w blond brodę oznajmia, że jego wysokość Najwyższy Król udał się do sali tronowej.

Tam też go zastaję. Rozpiera się w elfowym tronie, spoglądając sobie z wysokości. W tej wielkiej komnacie nie ma nikogo poza nami. Odgłos moich kroków odbija się głośnym echem.

Cardan ma na sobie szerokie pludry, kaftan, na to narzucony płaszcz dopasowany do szerokości ramion, wcięty w tali i sięgający do połowy ud. Wszystko to z burgundowego aksamitu, z wypustkami w kolorze kości słoniowej na połach, ramionach i w talii, obszyte złotą nicią, z którą harmonizują złote guziki i zapinki wysokich butów. U szyi kryza z jasnych sowych piór.

Czarne włosy wiją się puklami wokół jego policzków. Cienie wydobywają wydatność kości policzkowych, długość rzęs, bezlitosne piękno jego oblicza.

Przerażające, jak bardzo wygląda na króla elfów.

Przeraża mnie, jak bardzo silny jest odruch, by przed nim przyklęknąć, pragnienie, by choć raz dotknął mojej głowy upierścienioną dłonią.

Co ja zrobiłam? Przez tak długi czas pałam doń nienawiścią, nikomu

bym nie zaufała mniej. A teraz z nim trzeba będzie się zmagać, ścierać swoją wolę z jego kaprysami. Cóż znaczy przysięga wobec jego przebiegłości.

Na wszystkie światy, co ja zrobiłam?

Idę jednak dalej. Staram się zachować spokój lub przynajmniej jego pozory.

A on się uśmiecha, lecz jego uśmiech jest tak lodowaty, że żaden kamień mu nie dorówna.

– Rok i dzień – woła na mój widok. – Okamgnienie i po wszystkim. Cóż wtedy uczynisz?

Podchodzę coraz bliżej.

– Pozostaje mi nadzieja. Liczę bowiem, że zdołam cię namówić, byś pozostał królem, dopóki Dąb nie będzie gotów do powrotu.

– A kto wie, może rządzenie mi się spodoba – rzuca Cardan tonem zimnym jak gład. – Może nigdy nie zechcę ustąpić z tronu?

– Nie sądzę – mówię, chociaż od samego początku wiedziałam, że taka możliwość istnieje. Wiedziałam, że może trudniej będzie go pozbawić tronu niż nim go obdarzyć.

Cyrograf opiewa na rok i dzień. Mam więc rok i dzień, żeby przedłużyć ten układ. On jednak podkreślił: *I ani o minutę dłużej.*

Uśmiecha się, widać jego zęby.

– Sądzę, że nie będę dobrym królem. Doskonale, nigdy przecież nie chciałem być królem, a zwłaszcza dobrym. Uczyniłaś mnie swoją marionetką. Jak sobie chcesz, Jude, córko Madoka. Owszem, będę twoją marionetką. Ty rządysz. Twoim problemem Balekin, Roiben okrutnik, Orlagh rządząca Tonią. Będziesz moim seneszalem, przypadnie ci w udziale cała czarna robota, podczas gdy ja będę pił wino i rozbawiał mych poddanych. Mogę sobie być tarczą dla twojego brata, lecz nie spodziewaj się, że kiedykolwiek stanę się czymś użytecznym.

Spodziewałam się czegoś innego, może jakichś bardziej prostackich pogroźek. W pewnym sensie to, co mówi, jest gorsze.

On tymczasem wstaje z tronu.

– No, chodź, usiądź sobie. – W jego głosie brzmi całe bogactwo groźby.

Tymczasem gałęzie królewskiego siedziska tak gęsto wypuściły kolce, że ledwie widać płatki kwiatów.

– No bo przecież o to ci chodziło, czyż nie? – pyta. – W imię tego poświęciłaś wszystko. Zapraszam, mój tron jest twój.

Podziękowania



Dziękuję moim przyjaciółom pisarzom, którzy towarzyszyli mi przy wymyślaniu, pisaniu i redagowaniu tej książki. Są to: Sarah Rees Brennan, Leigh Bardugo, Kelly Link, Cassandra Clare, Maureen Johnson, Robin Wasserman, Steve Berman, Gwenda Bond, Christopher Rowe, Alaya Dawn Johnson, Paolo Bacigalupi, Ellen Kushner, Delia Sherman, Gavin Grant, Joshua Lewis, Carrie Ryan i Kathleen Jennings (która podczas warsztatu stworzyła piękne rysunki, tworząc zarazem w ten sposób moją najulubieńszą recenzję). Dziękuję wam!

Dziękuję też wszystkim w ICFA, którzy zechcieli wyrazić swoją opinię po odczytaniu na głos pierwszych trzech rozdziałów.

Dziękuję wszystkim w Little, Brown Books for Young Readers, którzy wsparli tę dziwną wizję. Szczególne podziękowania dla moich wspaniałych redaktorek: Alviny Ling, Lisy Moraleda i Victorii Stapleton.

Dziękuję też Barry'emu Goldblattowi oraz Joannie Volpe za opiekę nad tą książką podczas licznych zawirowań i komplikacji.

Nade wszystko dziękuję mojemu mężowi, Theo, za wiele, wiele rozmów o tej książce odbytych na przestrzeni lat, i naszemu synowi, Sebastianowi, za to, że mnie odrywał od pisania, a w zamian napełniał moje serce radością.